

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Tadeusz Dołęga-Mostowicz**

**BRACIA DALCZ I S-KA**

**Tom pierwszy**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Rozdział I

Od rana już czymś niedobrym pachniało w powietrzu. Szwajcar Molenda, który jeszcze pamiętał rządy samego nieboszczyka Franza, który większość z tych robotników znał od małego, patrzył spode łba, jak wsypywali się do portierni coraz gęstszymi grupkami, jak mu kiwali głowami, dotykając ręką daszków czapek, jak codziennym nieomylnym ruchem przekreślali rączki zegarów i wybijali swoje numery przy dźwięku krótkich dzwonek.

Niby wszystko tak, jak co dzień, a przecież nie to. Stary Molenda zbyt był zrośnięty z życiem fabryki, by nie wyczuć jakiegoś dziwnego nastroju, czającego się w czymś nieuchwytnym, a grożącego niespodziankami. Jako ostatnie kółko w administracji Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, Molenda rozumiał wagę i odpowiedzialność swej funkcji. Na pewno też poszedłby zaraz do naczelnego dyrektora, gdyby nie to, że dosłownie nie miał na czym oprzeć swych obaw.

Ale niedługo czekały na swe uzasadnienie.

W południe, jeszcze zanim strzałka stanęła na dwunastej, zaczęły się nawoływać syreny fabryczne. Pierwsza odezwała się od „Lilpopa” (tym zawsze się śpieszy!), druga „Ursusa”, później „Woli”, dalej „Rudzkiego”, „Gerlacha”, Gazowni, wreszcie rozległ się tuż chrapliwy baryton „Dalczów”. Podczas gdy Wacek, pomocnik Molendy, otwierał drzwi, on sam wyjrzał na ulicę. Jak zwykle wzdłuż muru fabrycznego, po przeciwnej stronie pod parkanem i dalej koło przejazdu kolejowego poprzykucały gromadki kobiet i dzieci z garnuszkami i zawiniątkami: – obiad dla swoich. Zaraz w korytarzu, łączącym podwórze z portiernią, rozlegnie się tupot setek nóg. Zaraz rozdzwonią się zegary obecności... Tak jak co dzień. Dziś jednak coś musiało się stać. Molenda podbiegł do okna: na placu przed biurami administracji gromadził się tłum. Spokojny, nieruchliwy, zdawało się nawet – wesoły, gdyż raz po raz zrywały się w nim śmiechy i frywolne okrzyki.

I nagle zakotłowało się z brzegu tuż przy drzwiach biura personalnego. Nad głowami zatrzepotała czarna masa wielkiego wora od węgla. Gwar przeszedł w huk, w potężny ryk, w ogłuszający hałas. Tłum wielką rozhuśtaną falą runął do bramy. Z okien portierni widać było doskonale, jak kłębił się i przewalał wokół popychanych w środku taczek, na których szamotał się śmiesznie i bezkształtnie czarny worek.

– Precz z Łabędziem! – dobiegały z ogólnego wycia poszczególne okrzyki. – Za bramę!... Nie bić go!... Łabędziu mój!... Na zbitą mordę!... Niech idzie śpiewać! Wal sukinsyna!... A kopnij go tam który!... Nie bić go!... Nie bić go lekko!...

Śmiech, wrzaski i podśpiewywanie „Łabędziu mój” mieszały się z dudnieniem setek ciężkich butów po bruku. W tym hałasie stary Molenda nie dosłyszał tupotu w korytarzu, a gdy rzucił się do szafki, by bronić kluczy, było już za późno. Kilkunastu robotników i kilkadziesiąt robotnic otoczyło go zwartą masą, a tymczasem wyłamano drzwiczki od szafki i porwano klucze. Po chwili portiernia opustoszała. Natomiast przeciągły jęk otwieranej bramy świadczył, że klucze zdobyto.

Oto tłum rozstał się. Ci, co popychali taczki, rozpędzili się i taczki z furją wyjechały na ulicę, podskakując na kocich łbach bruku. W jednej chwili przechyliły się i wyrzuciły swą

zawartość do rynsztoka, pełnego mętnej i kolorowoszklistej od smarów wody. Radosne, triumfalne wycie nappełniło powietrze. Taczki cofnęły się i brama zawarła się z głuchym hałasem, a ludzie ruszyli na podwórze. Nie upłynęła minuta i, jakby nigdy nic, zatłoczyli portiernię, wydzwanając na zegarach wyjście.

Tymczasem Molenda wybiegł przed fabrykę, by ratować uwięzionego w worku. Wiedział, kto to jest. „Łabędziem” przecie od początku nazywają nie tylko tu, lecz na całej Woli, pana Zdzisława Dalcza, dyrektora personalnego. Molenda też nie czuł do niego najmniejszego sentymentu, ale poczuwał się do obowiązku wybawienia członka dyrekcji z okropnej sytuacji. Nie było to łatwe. Worek z szamocącym się wewnątrz dyrektorem otoczyły kobiety, wśród pisków, wyzwisk i drwin, obsypując go grudkami błota i małymi kamyczkami. Wierzch worka był mocno zawiązany drutem i Molenda porządnie się namęczył, zanim zdołał uwolnić pana dyrektora. W mokrym i nieprawdopodobnie utyłanym ubraniu jego okrągła postać, nad którą dyszała czerwona, umazana sadzami twarz i piętrzyła się rozmierzwiona czupryna, sprawiała tak śmieszne wrażenie, że nawet stary szwajcar nie mógł utrzymać należytą powagi. Poszkodowany zaczął krzyczeć, tupać nogami i wygrażać pięściami robotnikom, którzy mijali go teraz, półgłosem rzucając dotkliwe żarciki.

Nigdy się go nie bali, a teraz wiedzieli, że pozbyli się go raz na zawsze. Raz wywieziony na taczkach, nikt nie ośmielił się wrócić do fabryki. Tak było zawsze i zdawało się im, że inaczej być nie może.

Podczas gdy wywożono młodego pana Dalcza, w gmachu Zarządu nikt o niczym nie wiedział. Gmach stał na uboczu, a jego okna wychodziły na ulicę Węglową. Zresztą wraz z pierwszym dźwiękiem syreny urzędnicy powstali od biurka. Głośne rozmowy i rumor przesuwanych krzesel zagłuszył odgłosy awantury. Jeżeli zaś w gabinecie naczelnego dyrektora, pomimo panującej tam ciszy, nie dosłyszano odległego hałasu, to dlatego, że odbywała się tu niezwykle ważna konferencja, decydująca być może o samym istnieniu fabryki. Urzędujący w sąsiednim pokoju sekretarz Holder domyślał się tego i oceniając wagę sytuacji, nie chciał niepokoić pryncypała wiadomością, że przed biurami administracji zbierają się robotnicy. Dopiero wówczas, gdy z kierownictwa ruchu zawiadomiono go telefonicznie o napadzie na młodego Dalcza i o przygotowanych taczkach, odważył się po chwili wahania wejść do gabinetu i powiedzieć:

– Bardzo przepraszam pana dyrektora, że przerywam, ale jest sprawa bardzo pilna.

– No, cóż tam, panie Holder? – uśmiechnął się naczelnny dyrektor swobodnie, chociaż spod jego siwych krzaczastych brwi patrzył niepokój.

Sekretarz zrozumiał i uśmiechnął się również. Ci finansiści nie mogą nawet przypuścić, by w Zakładach Przemysłowych Braci Dalcz miało zdarzyć się coś niepożądanego, a tak niebezpiecznego, by tym aż trzeba było niepokoić samego szefa.

– Właściwie drobiazg, panie dyrektorze – powiedział – ale czeka na instrukcję inżynier Kamiński, a jego pociąg odjeżdża za trzydzieści pięć minut. Dlatego ośmieliłem się...

– Ach, Kamiński, która to? Już po dwunastej? – zdziwił się naczelnny dyrektor i zwracając się do dwóch panów siedzących przed biurkiem, dodał kurtuazyjnie – z panami tak miło się rozmawia, że zapomina się o czasie. Panowie pozwolą, że na chwilę zostawię ich samych?

– Ale prosimy, panie dyrektorze – zerwali się obaj.

Usiedli dopiero wówczas, gdy za Dalczem zamknęły się drzwi. Doskonale wiedzieli, że to jemu na nich zależy, nie odwrotnie, jednak osoba Wilhelma Dalcza wprost nakazywała szacunek. Wspaniałe ten starzec, bliski osiemdziesiątki, a taki wciąż rześki i ruchliwy, nie tylko swoją nieskazitelną opinią, nie tylko szerokimi stosunkami i wpływami czy powszechnie cenionym umysłem imponował ludziom, z którymi się stykał. Sama jego wysoka, nieznacznie przygarbiona postać, sucha rasowa twarz z wysokim jasnym czołem, pogodnym spojrzeniem i z parą siwych jak mleko, niemal szlagońskich dobrodusznym wąsów nakazywała cześć, życli-

wość i zaufanie. Toteż niespodziewana przerwa w konferencji wcale nie zaniepokoiła obu finansistów, z góry zdecydowanych na prolongatę kredytów, o które tak chodziło Dalczowi.

Tymczasem on sam stał w sekretariacie ze słuchawką telefonu w ręku i słuchał sprawozdania. Było już po wszystkim. Sekretarz Holder nie mógł wyczytać na twarzy szefa niczego, co wskazywałoby, jak zamierza postąpić. Powiedział tylko krótkie „dziękuję” i położywszy tubę, odezwał się ze zwykłą uprzejmością:

- Zechce pan, panie Holder, sprowadzić mego syna tutaj do sekretariatu. Zaraz.
- Dobrze, panie dyrektorze.
- Na godzinę zaś drugą zamówi pan do mnie delegatów fabrycznych.
- Słucham, panie dyrektorze.

Wilhelm Dalcz wrócił do oczekujących go panów i z właściwą sobie swobodą wznowił rozmowę. Istotnie zależało mu bardzo na szybkim sfinalizowaniu sprawy. Jemu osobiście. W razie przeciągnięcia się pertraktacyj znowu byłby zmuszony zwrócić się do brata o dalszy wkład, a to równałoby się wyzuciu własnej rodziny z reszty udziałów. Poza tym Karol, nie cierpiący bratanków, oczywiście natychmiast usunąłby z fabryki Zdzisława... Zwłaszcza po dzisiejszej kompromitacji.

Na szczęście rzecz w zasadzie była załatwiona. Chodziło tylko o przyspieszenie terminu i uporządkowanie ksiąg przed przyjazdem z Belgii Krzysztofa, którego trzeba będzie wprowadzić do Zarządu przedsiębiorstwa. Na jakie stanowisko, jakiej pozycji Karol zażąda dla swego syna – Wilhelm Dalcz jeszcze nie wiedział. Znając zdrowy rozsądek brata, nie przypuszczał, by ten chciał od razu powierzyć Krzysztofowi jakiegokolwiek kierownictwo. Ukończenie politechniki i dwa lata praktyki w zagranicznych fabrykach to jeszcze za mało. W każdym razie Karol skorzysta na pewno z pomocy syna w kontrolowaniu gospodarki Zakładów. Oczywiście Wilhelm Dalcz nic przeciw takiej kontroli nie miał. Jeżeli zaś obawiał się czego, to jedynie ewentualnych zatargów Zdzisława i Jachimowskiego z Krzysztofem, którego prawie nie znał, a który niewątpliwie będzie do tamtych nieżyczliwie przez ojca uprzedzony.

Z przygodnych relacyj, jakie Wilhelm Dalcz miewał o swoim bratanku, wynikało, iż jest to spokojny i zimny młody człowiek, no i podobno niezły fachowiec w dziedzinie budowy maszyn. Sam nie znał go prawie wcale. Stosunki wytworzone między domami obu braci przez histerie Józefiny sprawiły to, że poza terenem interesów wszelki kontakt zanikł jeszcze przed przyjściem na świat Krzysztofa. Wilhelm Dalcz widział go zaledwie kilkakrotnie i przelotnie podczas wizyt u brata, od czasu gdy ten został sparaliżowany i unieruchomiony w domu. W pamięci stryja bratanek pozostał czarnym smukłym chłopcem o dość wątlej budowie i bardzo dużych oczach. To wszystko.

Rozmyślenia dyrektora Dalcza przerwało wejście sekretarza.

- Syn pana dyrektora oczekuje – powiedział – czy mam prosić?
- Niech wejdzie.

Po chwili na progu ukazał się Zdzisław. Na zniszczone ubranie nałożył czyjeś za długie i za wąskie palto i wyglądał niemal odrażająco.

- Usiądź – krótko powiedział ojciec.
- To jest straszne! To jest bolszewizm! Ja w tej chwili zawiadomię policję polityczną! – wybuchnął Zdzisław.
- Zamilknij – podniósł nań surowe spojrzenie ojciec – nie po to cię wezwałem, by wysłuchiwać twoich niedorzecznych pogroźek. Proszę mi krótko i ściśle opowiedzieć, co było przyczyną zajścia?

- A czort ich wie, to bydło! Już doprawdy nie mam nerwów do tego chamstwa...
- Zdzisławie, albo się natychmiast uspokoisz, albo wyjdiesz.
- No, poszło o tego brygadzystę Dominiaka. Wydalilem go. Bałwan, pozwala sobie na bezczelne wyzwiska pod moim adresem i jeszcze innych podjudza. Ile razy przechodzę przez narzędziownie, zawsze jakieś...

– Czekaj – przerwał pan Wilhelm – a po co właściwie chodzisz do warsztatów, w jakim celu?

– A co, może mi nie wolno po własnej fabryce chodzić? Przepraszam ojca, ale chyba mam prawo!

– Masz obowiązek zdobyć się na tyle rozsądku, by nie prowokować swoją osobą zatargów, które szkodzą przedsiębiorstwu. Wiesz, że nie cieszysz się wśród robotników popularnością...

– Mam w nosie całą popularność! Pluję na to bydło! Ojciec nie rozumie tego, bo nie ma w sobie krwi wielkich panów, którzy kazali nahajami uczyć moresu czerń. Ale ja mam w sobie i krew Korniewickich!...

– Głupiec – powiedział dobitnie Wilhelm Dalcz.

Zdzisław otworzył usta, lecz spojrzawszy w oczy ojca, zamilczał.

– Powinienem usunąć cię z fabryki. Spróbuję jednak zostawić cię. Inżynier Turski zajmie twoje stanowisko, a ty obejmiesz kierownictwo magazynów.

– Żartuje ojciec? Dlatego, że temu chamstwu nie raczę się podobać, mam przejść na niższe stanowisko?

– Jeżeli wolisz pozostać – spokojnie powiedział pan Dalcz – pozostać i dostać kulkę w łeb... Chyba wiesz, jak rozprawiają się z tymi, których raz już wywieziono taczkami?... Otóż powiedziałem, że spróbuję przenieść cię do magazynów. Naturalnie zależy to od zgody delegatów. Ani myślę znosić dalszych awantur. Co zaś dotyczy kierownictwa magazynów, jest ono i tak dla ciebie zbyt trudne. Niestety, nie umiesz nic i do żadnej pracy się nie nadajesz...

– Jestem współwłaścicielem fabryki i chyba mam w niej niejakie prawa?

– Tak ci się wydaje? – uśmiechnął się Wilhelm Dalcz. – Otóż wiesz, że w tych dniach przyjeżdża Krzysztof. I może się okazać, że... że własność twoja i Haliny, i... moja jest tu zbyt mała, by miała nam dać jakiegokolwiek prawa... Idź. Każ się odwieźć do domu moim samochodem i odeślij wóz z powrotem. Wieczorem bądź w domu. Zakomunikuję ci ostatecznie decyzję co do twego pozostania w fabryce.

– Czy ojciec mówił o naszej sytuacji serio?

Wilhelm Dalcz milczał.

– A to ładnie nas ojciec wygospodarował! – wybuchnął Zdzisław.

– Proszę wyjść – odpowiedział półgłosem ojciec.

Gdy drzwi za Zdzisławem trzasnęły, podniósł ręce do skroni i trwał tak przez chwilę w bezruchu... Nacisnął guzik dzwonka. Na progu ukazał się sekretarz.

– Czy są już delegaci?

– Tak jest, panie dyrektorze.

– Niech wejdą.

Weszli trzej robotnicy. Pan Dalcz znał ich dobrze. Już od trzech lat byli wybierani. Mieli bowiem nie tylko wzięcie u ogółu robotników, lecz i uznanie dyrekcji za swój takt i za umiejętność łagodzenia zatargów, których przecie nie brakło, jak w każdej fabryce.

– Dzień dobry, panowie – powitał ich dyrektor, podając po kolei rękę – siadajcie, proszę.

W milczeniu ściskali końcami palców dłoni zwierzchnika i usadowili się na stojących przed biurkiem fotelach. Nie zanadto swobodnie, ale i nie na brzeżkach. Ot, zwyczajnie. Najbliżej usiadł największy z nich, tokarz Madejczyk, sękaty chłopisko o zezowatym oku i twarzy zorananej ospą. Jako prezes delegacji on też pierwszy się odezwał:

– Ano niby domyślamy się, panie dyrektorze, względem czego pan nas sobie życzył. Cóż... nie nasza wina.

– Wiadomo – podchwycił siedzący za nim szczupły blondynek, ślusarz z modelarni – sami podmówili się. My o niczym nie wiedzieliśmy.

– Zrobiliście mi wielką krzywdę – potrząsnął głową dyrektor Dalcz – nie spodziewałem się, że zasłużyłem u robotników na takie postępowanie.

– Co też pan mówi, panie Dalcz – odezwał się trzeci delegat, giser Czepiel, wzruszając ramionami – pana samego to nikt by palcem nie tknął.

– Ale, panie Czepiel, tknął mego syna. A przecież to było takie proste: – uznawaliście, że mój syn niesłusznie Dominiaka wydalili, należało do mnie przyjść i powiedzieć, zamiast doprowadzać do takiego skandalu. Nie spodziewałem się tego, że na starość doczekam się takich od was dowodów życzliwości.

– Panie dyrektorze, kiedy tu nie o Dominiaka chodziło – przerwał Madejczyk uspokajającym tonem – Dominiaka, wiadomo, niesprawiedliwie wylał, ale w ogóle wszystkim syn pański do żywego dojadł. Za pięć minut spóźnienia kazał po pół godziny strącać, do Kasy Chorych zaświadczeń nie wydawał, a do człowieka to jak do psa gadał. No i co dziwić się, że nerwy nie strzymali?... My sami nieraz chcielibyśmy do pana dyrektora przyjść, ale tak jakoś na rodzony syna, choć to po prawdzie mówiąc, a nie uchylbiając, to pan dyrektor nie bardzo tyż z niego, za przeproszeniem, zaszczytu ma. Niby z początku to nic, ale później, jak zaczął się do każdego czepiać, jak zaczął każdego traktować, jak zaczął wyrażać się, to ludzie znienawidzili. A zwiedzieli się, że znaczy się pański syn, za przeproszeniem, w teatrze opery odśpiewywał, co to za łabędzia był, czy jak tam...

– Za łabędzia, a jakże – z przekonaniem potwierdził blondyn i wszyscy trzej zachichotali dyskretnie.

– A niechby – ciągnął Madejczyk – choć to nie wychodzi, żeby dyrektor personalny i takie rzeczy, ale nie lubili go, to i krzyknij ten i owy, jak pański syn przez halę przechodzi: – Te, Łabędź idzie! A kysz, do Łazienek! Spuszczajcie łabędzia na wodę! Kukuryku! I takie insze rzeczy. Ludzie, jak ludzie, pożartować lubięją. Żeby mądry był, toby koło uszu puścił, a on czepiał się i jak kogo przyłapał, to już mu zemsta pisana. Tak i z Dominiakiem było. Jakże można, chłop żonaty, troje dzieci, a i rzemieślnik, sam pan dyrektor wie, pierwszoklasny i za byle co za bramę... Jego wina, że panu dyrektorowi personalnemu podobało się łabędzia odstawiać?

Wilhelm Dalcz zaczął mówić. Spokojnie, jasno, dobitnie. Sądził, że awantury tego rodzaju są niedopuszczalne, że pomimo wszystko nie może dla nich znaleźć usprawiedliwienia, że nie może ulegać takim presjom, lecz wobec tego, co zaszło, i w przekonaniu, że się to nie powtórzy, przeniesie swego syna na stanowisko głównego magazyniera.

Delegaci spojrzeli po sobie. Blondyn wzruszył ramionami. Czepiel chrząknął, a Madejczyk powiedział:

– Jeżeli pan dyrektor chce ryzykować...

– Chcę od was otrzymać gwarancję, że porządek nie zostanie naruszony. Mój syn nie będzie teraz miał żadnej styczności z robotnikami i sądzę, że... dla mnie też możecie panowie mieć niejakię względy.

Czepiel pochylił się do Madejczyka i mruknął:

– Niech tam...

– Panie dyrektorze – odezwał się ospowaty – z panem toby my poszli na zgodę, ale niby, jak nam przed towarzyszami mówić?... Ot, powiemy tak: pan przyjmie z powrotem Dominiaka, to i rychtyk będzie.

Jednak pan Dalcz ze względów prestiżowych nie mógł na to przystać. Po krótkich pertraktacjach doszedł wszakże z nimi do układu: – Zdzisław ma zapewnione bezpieczeństwo, Dominiak zaś na trzy miesiące otrzyma pracę u „Lilpopa”, a potem przyjęty zostanie z powrotem.

Po wyjściu delegacji, zanim zjawił się wezwany telefonicznie inżynier Turski, do gabinetu wpadł zięć dyrektora Dalcza, doktor Jachimowski, dyrektor handlowy Zakładów.

– Niech ojciec to podpisze – zaterkotał swoim trzeszczącym głosem, podsuwając różowy blankiet asygnaty kasowej – muszę zaraz jechać do ministerstwa i wsunąć te osiem tysięcy do łapy Puczkowskiemu. Inaczej przepadniemy przy przetargu. A to spisał się nasz kochany Zdzich? Co?... Swoją drogą to bolszewizm. Mówiono mi, że głównymmacherem był ten ojca ukochany Czepiel. Należałoby z policją pogadać tak po cichu, żeby go uprzętnęli... No, co



ojciec patrzy! Jak Boga kocham, spóźnię się i Czesi nas ubiegną. Puczkowski to uczciwy człowiek, jeżeli wcześniej od nich łapówkę weźmie, to ze mną już gadać nie zechce. No niechże ojciec prędzej podpisuje!

Pan Dalcz przygryzł siwe wąsy i w zamyśleniu przyglądał się różowemu kwadracikowi papieru, nerwowo potrząsanemu przez wymanicurowane brudne palce zięcia. Z wolna podniósł oczy na jego chudą ziemistą twarz i powiedział:

– Nie podpiszę.

– O, Jezu – zatrzepotał rękami Jachimowski – co ojciec myśli, że ja do własnej kieszeni wezmę forszę? Niech ojciec sam sprawdzi. Puczkowski w cztery oczy nie będzie ukrywał. A ręczę, że inaczej całe zamówienie diabli wezmą. Jeżeli zaś ojciec znajduje, że w naszej sytuacji stać nas na wyrzeczenie się zamówienia na półtora miliona, to ciekaw jestem, co pan Karol na to powie. Ojciec żyje wciąż ubiegłym stuleciem, ale, do pioruna, dlaczego my wszyscy mamy na tym cierpieć? Niech ojciec zadzwoni do biura sprzedaży. Oni wydostali ceny Czechów. Są prawie o czternaście procent niższe od naszych! Rozumie ojciec?... A zresztą, co ja będę z ojcem wojował? Podpisze ojciec czy nie?...

Starzec zgarbił się i powiedział cicho:

– Daj.

Powoli, jakby ociągając się przy każdej literze, podpisał i bez słowa podsunął asygnatę zięciowi.

– No i w porządeczku – zaśmiał się pojednawczo Jachimowski, ukazując złoto-czarne uzębienie – i cóż ojciec zrobi z tym idiotą Zdzichem? Aha, znowu mi przysłała Halina jakiegoś cymbała. Oczywiście wyrzuciłem go za drzwi. Do pioruna, co ona sobie wyobraża, że będę rozdawał posady w fabryce wszystkim jej absztyfikantom i gigolakom? Doprawdy ojciec mógłby trochę utemperować swoją córeczkę. Zdzich napycha nam jakieś wyranzerowane baletnice, Halina swoich gachów, nie dość kochanej rodzinie, jeszcze mamy stać się przytułkiem emerytalnym... Istny dom wariatów... Co to jeszcze – poskrobał się w łysinę – aha! Biuro kalkulacji trzeba wziąć za pysk. Oni nas zarzną cenami robocizny! Liczą na przykład siedemnaście godzin na imadełko „F” do tych dużych frezarek. Umyślnie dowiadywałem się. Czort wie, co. A w niemieckich fabrykach, gdzie robocizna jest o sto czterdzieści procent droższa, wypada w cenie o połowę taniej. Po prostu inżynier Kamiński jest za stary i nie umie kalkulować. Na najbliższym Zarządzie postawię wniosek o wylanie go.

– Kamiński pracuje u nas od trzydziesty pięciu lat – jakby do siebie powiedział Wilhelm Dalcz.

– To i dosyć – ironicznie zawyrokował Jachimowski – no, do widzenia.

Rozmowa z Turskim zajęła przeszło pół godziny. Później przyszedł główny buchalter z weksłami gwarancyjnymi do podpisu, Holder z korespondencją, szef biura zakupów, majster z hartowni z prośbą o pożyczkę na ślub syna, kierownik wojskowych warsztatów samochodowych z pretensjami z powodu ustawicznego psucia się dostarczonych obrabiarek. Ganzier, przedstawiciel Dalczów w Gdańsku, radca prawny w sprawie procesu z hutą Nordi o niedotrzymanie umowy... Jak codziennie, setki piętujących się, zazębiających się w najbardziej skomplikowany i niespodziewany sposób spraw, interesów, trudności.

Pomimo swoich lat siedemdziesięciu ośmiu dyrektor Wilhelm Dalcz nie czuł fizycznego zmęczenia. Trwał na stanowisku niewzruszenie i mocno w tej coraz szybciej i coraz bardziej zygzakowato obracającej się masie zdarzeń. Przynajmniej nikt z tych, kto jakąkolwiek z nim miał styczność, nie wątpił o tym.

Właśnie wybiła czwarta i syrena fabryczna przeciągłym rykiem oznajmiła koniec dnia roboczego, a woźny wszedł, by dyrektorowi podać palto, gdy zadzwonił telefon, przeznaczony wyłącznie do prywatnego użytku. Jego numer znany był zaledwie kilku osobom, a ponieważ dyrektor Dalcz wiedział, iż pani Józefina o tej porze śpi, jeszcze zanim podniósł słuchawkę i usłyszał głos Blumkiewicza, domyślił się, że dzwonią od Karola.

– Dzień dobry, panie Blumkiewicz – powiedział uprzejmie – jakże się ma mój brat?  
– Uszanowanie najniższe, panie dyrektorze, właśnie pan prezes polecił mi zatelefonować i zapytać, czy pan dyrektor nie byłby łaskaw wstąpić do niego, albo po obiedzie, albo zaraz?  
– Więc przyjechał – wyrwało się dyrektorowi Dalczowi.  
– Tak jest, panie dyrektorze, dziś rano razem z panią prezesową. Pan prezes niezmiernie się ucieszył powrotem syna.

– Niech pan powie memu bratu, że zaraz będę.

Położył słuchawkę, mruknął pod nosem coś, czego woźny nie dosłyszał, i wstał. Stary woźny podsunął mu kalosze, a pomagając nałożyć palto, zapytał:

– A to pewno panicz Krzysztof przyjechał?

– Tak, Józefie, przyjechał. Bądź zdrow i powiedz szoferowi, by zajechał po mnie od ulicy Świrskiej.

Podwórce fabryczne już opustoszało. Wilhelm Dalcz szedł swoim równym dużym krokiem po czarnej od węgla, ubitej i tu i ówdzie połyskującej kałużami ziemi wzdłuż wielkiej hali warsztatów stolarskich, aż do wysokich sztachet, oddzielających teren fabryki od starego ogrodu, w którym stał pałacyk wybudowany jeszcze przez jego ojca. Znał tu każde drzewo i każdy krzak. Przecie sam tu mieszkał przez lat wiele, zanim ożenił się z Józefiną. Wąska ścieżka gęsto była pokryta, mokrymi od niedawnego deszczu, żółtymi i czerwonymi liśćmi. Zupełnie już prawie gołe gałęzie drzew sterczały nieruchomo, pod szarym zachmurzonym niebem. Zbudzony jego krokami, zaszczekał wielki łańcuchowy pies, lecz zaraz się uspokoił i zaczął machać ogonem. Wilhelm Dalcz nie bywał tu częstym gościem, ale przecież kundel znał go dość dobrze, by bez obawy dopuścić do wejścia na werandę.

Na spotkanie wybiegł mały, ruchliwy Blumkiewicz i uniżenie pochylając ogromną dominikańską łysinę, wprowadził gościa przez mały, ciemny i ciasny przedpokój do dużego bidermajerowskiego salonu o meblach pokrytych białym płótnem. Tu dopiero pomógł panu Wilhelmowi zdjąć palto.

– Pan prezes czeka.

Sąsiedni pokój, służący jednocześnie za gabinet i sypialnię, miał opuszczone rolety. Przy wysokim mahoniowym łóżku paliła się mała lampka, rzucając krąg żółtawego światła na poduszkę i siwą brodatą głowę z żywymi czarnymi oczyma.

– Jak się miewasz, Karolu?

– Dziękuję ci, Wil – chory wyciągnął do brata lewą rękę – dziś lepiej. Siadaj, proszę. Panie Blumkiewicz, przysuń pan fotel... Dziękuję i tego... może pan odejść. Gdy będę potrzebował, zadzwonię.

Zostali sami. Karol chciał nieco podnieść się w poduszkach, lecz nie starczyło mu sił i Wilhelm musiał go ująć pod sparaliżowane ramię, by mu dopomóc.

– Dziękuję ci – stęknął chory.

– Dzisiaj przyjechał Krzysztof.

– Domyśliłem się tego. Zechcesz zwołać posiedzenie Zarządu?

– Nie, tymczasem w Zarządzie po dawnemu będzie mnie zastępował Blumkiewicz. Krzys jeszcze nie chce wchodzić w sprawy ogólne. Oczywiście po pewnym czasie on obejmie prezesurę, a ja się zrzeknę...

– Czy nie uważasz, Karolu, że on jest za młody? Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat. Mógłbyś jeszcze przez rok, dwa...

– Nie – stanowczo zaprzeczył Karol Dalcz – po prostu nie czuję się uprawniony do dalszego zarządzania jego majątkiem. Nigdy ci, Wil, nie mówiłem o tym, ale sam wiesz, że wszystkie pieniądze, jakie wkładam do fabryki, stanowią wyłączną własność Krzysztofa. Ze spadku po jego przybranym ojcu, nieboszczyku Wyzborze.

Wilhelm nie wiedział o tym. Przypuszczał, że jego brat, prowadząc tak oszczędny i osobniony tryb życia, sam posiadał znaczne fundusze i z nich czerpał, wykupując udziały

bratanków. Że stary skąpiec Wyzbor, wuj Karolowej, umierając, gdy ona spodziewała się potomka, zostawił adoptację i wielki zapis jej dziecku, na wypadek gdyby urodziła syna – to było powszechnie znane. Przyzwyczajony jednak do skrupulatności brata, Wilhelm nie przypuszczał, by ten naruszył kapitały syna, zanim Krzysztof sam wejdzie do czynnego życia i sam zadecyduje o lokacie.

– No – rzucił lekko – skoro czułeś się uprawniony do dysponowania...

Młodszy brat zmierzył go wymownym spojrzeniem:

– Był to jedyny sposób zabezpieczenia Krzysztofowi mojej części przedsiębiorstwa.

Wilhelm nie odpowiedział, a Karol dorzucił prawie szeptem:

– Zanim zostałyby zmarnowane przez twoje dzieci i różnych przybłędów w rodzaju Jachimowskiego... czy innych protegowanych twojej pani Józefiny... wielkopańskich darmozjadów, próżniaków, kretynów, przez całe to robactwo, które obsiadło twój dom, a które wytrułbym, jak...

Zakaszła się, pergaminowa twarz pokryła się bladym rumieńcem, w oczach zaszklily się łzy.

– Uspokój się, Karolu – zimno powiedział Wilhelm – niesprawiedliwe zarzuty nie stają się słuszne przez to, że wypowiada się je z nienawiścią.

– Tak?... Niesprawiedliwe?... Bój się Boga, nie wmawiaj we mnie, że sam siebie umiałeś okłamać! Nie udawaj przede mną! Nawet taki Blumkiewicz widzi, że się tylko męczysz!

– Dajmy spokój twoim przywidzeniom, Karolu. Chciałeś mówić ze mną o Krzysztofie.

Chory sapał przez chwilę i żuł wargi. Opanował się jednak i zaczął mówić:

– Tak. Krzyś skończył budowę maszyn, skończył ze złotym medalem. Z fabryk, w których praktykował, ma najlepsze opinie. Jest zdolny, nawet bardzo zdolny. Dlatego sądzę, że będzie pożyteczny. Sam się zresztą o tym przekonasz. Myślałem nad tym, jakie mu stanowisko powierzyć, i postanowiłem, na jego własne życzenie, że zostanie dyrektorem technicznym.

– A cóż zrobimy z inżynierem Wajdlem?

– Cóż? Na razie pozostanie na stanowisku głównego inżyniera. To mu żadnej ujmy nie przyniesie. Przecie dyrekcja techniczna obejmie oprócz jego działu szereg innych, ale o tych szczegółach rozmówisz się już z samym Krzysztofem. Nie wątpię, że zrobisz wszystko, by mu ułatwić pracę...

– Możesz tego być pewien.

– Dziękuję ci, nigdy ani przez chwilę nie stawałem pod znakiem zapytania dwóch twoich cech charakteru: uczciwości i szlachetności. Mam tedy dalszą do ciebie prośbę. Nie chciałbym cię dotknąć, ale byłbym ci wdzięczny za umożliwienie Krzysiovi jak najmniejszego kontaktowania z Jachimowskim, Zdzisławem i z całą twoją rodziną.

– Jak chcesz...

– Nie obrażaj się. Krzyś jest trochę odludkiem. Z ludźmi i z życiem w ogóle stykał się mało. Wiesz, że był wychowany przez matkę, a Terenia zawsze unikała ludzi.

– Jednak skoro chcesz, by został dyrektorem technicznym, będzie musiał ustawicznie mieć do czynienia z wszystkimi podwładnymi.

– Właśnie proszę cię, byś go pomału i w to wprowadził, oswoił z warunkami, z otoczeniem, no i osobiście wdrożył w pracę.

– Możesz na mnie liczyć.

– Właśnie. Wiem przecie, że i tobie leży na sercu los przedsiębiorstwa, już chociażby przez pamięć na naszego świętej pamięci ojca, który wierzył, że jeszcze jego prawnuki i prawnuczki utrzymają się na tej placówce... No, a któż po nas to obejmie? Po tobie i po mnie?... Zdzisław?... Chyba sam się nie łudzisz. Zatem tylko Krzyś. I naszym obowiązkiem jest dać mu do tego przygotowanie, jeżeli nie chcemy, by fabryka wpadła w obce ręce. Wprawdzie pozostaje jeszcze twój starszy syn, ale jest to człowiek całkiem zwichnięty... Szkoda, gdy jeszcze był małym chłopcem, miałem nadzieję, że z niego tęgi chłop wyrośnie. Że na nim

oprze się z czasem cała firma... A tymczasem szczęśliwa rączka twojej żony tak go pokierowała, że nawet gimnazjum nie skończył, że zrobiła zeń wałkonია i hulakę...

– Daj spokój – smutno potrząsnął głową Wilhelm Dalcz – nie mówmy o Pawle. Wykreśliłem go z mojej pamięci i z jakichkolwiek rachub. Masz zupełną rację. Pozostaje tylko Krzysztof. Daj Boże, żeby...

Nie dokończył, gdyż zapukano do drzwi i nie czekając na pozwolenie, uchylono je, a na progu stanęła niska, szczupła staruszka w białym fartuchu.

– O, dzień dobry, panie Wilhelmie.

– Dzień dobry, Tereniu – zerwał się z galanterią i pocałował ją w rękę – wciąż wyglądasz młodo i rześko.

– Żartujesz, panie Wilhelmie. Ale przeszkodziłam wam? Chciałam tylko przypomnieć Karolowi, by wziął proszek. On zawsze zapomina.

Staruszka nalała do kubeczka wody i podała mężowi lekarstwo.

– Bądź tak dobra – powiedział chory, oddając kubek – zawiadom Krzysia, że może przyjść powitać stryja Wilhelma.

– Dobrze, złotko.

Czekali w milczeniu.

Upłynęło dobrych pięć minut, zanim usłyszeli szybkie pewne kroki i do pokoju wszedł Krzysztof. Pan Wilhelm, nie podnosząc się z miejsca, obrzucił go uważnym spojrzeniem. Przed nim stał młody człowiek średniego wzrostu, raczej szczupły, o podniesionej głowie. Smągła twarz, gładko wygolona, nieduży prosty nos, ładnie wykrojone usta, duże czarne myślące oczy i krótko przystrzyżone, w tył zaczesane włosy koloru hebanu składały się na całość poważną i ujmującą.

– Miło mi cię powitać, Krzysztofie – odezwał się wreszcie i wyciągnął rękę.

– Właściwie poznać – uśmiechnął się młody człowiek – tak się jakoś złożyło, że prawie nie widywaliśmy się ze stryjem.

Pan Wilhelm potrząsnął małą, lecz silną dłońią bratanka. Na ogół podobał mu się, tylko miękki i zanadto młodzieńczy głos nieco raził. Natomiast swobodne i naturalne zachowanie się Krzysztofa robiło dodatnie wrażenie. Przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw stryja. Nie wyglądał na swoje lata, lecz już po chwili rozmowy pan Wilhelm przekonał się, że ma do czynienia z dojrzałym i zrównoważonym mężczyzną.

Krzysztof opowiadał o belgijskich i niemieckich fabrykach metalurgicznych, w których odbywał praktykę, o rozmaitych stosowanych tam systemach administracji, o postępach naukowej organizacji pracy, o nowych metodach regulowania produkcji.

Mówił rzeczowo, bez sadzenia się na znawstwo, bez popisywania się erudycją, lecz w sposób świadczący o gruntownej znajomości przedmiotu i o własnym trzeźwym zdaniu w omawianych sprawach.

Pan Karol Dalcz z nieukrywaną radością wodził oczyma z twarzy syna na twarz brata, który zresztą nie ukrywał swego uznania dla młodego inżyniera. Już sam sposób, w jaki się doń zwracał z pytaniami, aczkolwiek miał w sobie jakby posmaczek egzaminu, świadczył, że pan Wilhelm traktuje bratanka całkiem poważnie.

Weszła znowu pani Teresa z propozycją przyrządzenia kawy, lecz pan Wilhelm podziękował.

– Jakże mój syn, panie Wilhelmie? – zapytała z maskowanym niepokojem.

– Muszę ci, Tereniu, powinszować. O ile znam się na ludziach, będzie z niego prawdziwy Dalcz.

– Jeszcze się stryj rozczaruje – zaśmiał się Krzysztof, ukazując białe i jakby drapieżne zęby – a dlaczego to stryj z moją matką tak dziwnie się tytułują?

– Widzisz, Krzysztofie, znałem twoją matkę, gdy jeszcze była w tym wieku, kiedy nie tylko mówi się pannom po imieniu, lecz i nosi się je na rękach.

– Jakże chcesz – zaśmiała się pani Teresa – pan Wilhelm był już wówczas studentem.

Pomimo tych wspomnień nastrój do końca był zimny. Przy pożegnaniu ustalono, że Krzysztof nazajutrz z rana zjawi się u pana Wilhelma i zostanie przezeń oprowadzony po fabryce. Nominację otrzyma zaraz, zaś po kilku tygodniach i po bliższym poznaniu przedsiębiorstwa przystąpi do zorganizowania swego działu.

Dyrektor Wilhelm Dalcz pojechał do domu. Zapadł już zmierzch i gdy auto dotarło do śródmieścia, w wilgotnym asfalcie odbijały się mętne refleksy oświetlonych wystaw sklepowych.

W ogromnym mieszkaniu przy Alei Ujazdowskiej panował wielki ruch i hałas. Był to piątek, dzień przyjęć pani Józefiny. Wilhelm Dalcz pośpiesznie zdjął palto i przemknął się między rozbieganą służbą przez jadalnię i boczny korytarz do swojej sypialni. Z przyległego gabinetu dolatywały głośne śmiechy i okrzyki. Przekręcił na wszelki wypadek klucz w zamku, zdjął marynarkę, nałożył stary, zniszczony szlafrok i zadzwonił. Po długim oczekiwaniu wpadła pokojówka. Kazał jej przynieść obiad. Zamiast obiadu zjawiała się jednak pani Józefina i wznosząc ręce nad swą majestatyczną postacią, wybuchnęła oburzeniem: on jej cały dom dezorganizuje, on przychodzi wtedy na obiad, kiedy mu się podoba, wprowadza chaos, odrywa służbę od jej obowiązków, jeżeli Halina dotychczas za męża nie wyszła, to wszystko przez niego, sam palcem nie ruszy, a teraz ona, zamiast bawić gości i czuwać nad porządkiem, musi tu przychodzić, dobrze, niech teraz on sam idzie, ona z miejsca się nie ruszy, dziś pierwszy raz jest ten hrabia węgierski, a ten tak zwany pan domu nawet nie raczy się pokazać, biedna ta Halina, ale ona do grobu nie zapomni wyrodnemu ojcu, zawsze udaje zmęczonego, byle tylko nie spełniać swoich świętych obowiązków...

Pan Wilhelm Dalcz przyglądał się przez chwilę żonie obojętnym wzrokiem, po czym bez słowa położył się na sofie i zamknął powieki. Pani Józefina, trzasnąwszy drzwiami wyszła z pokoju.

## Rozdział II

Do pokoju maszyn wszedł sekretarz Holder z miną zwiastującą nowinę.

– No, moje panie – powiedział zacierając ręce – z jedną z was muszę się rozstać.

W jednej chwili umilkły „Royale” i „Remingtony”, a panna Klimaszewska, która nie dalej jak wczoraj w liście samego dyrektora zrobiła dwa błędy ortograficzne, śmiertelnie zbladła. Holder jednak stanął przy stoliku panny Jarszówny i chrząknął:

– Co pani o tym sądzi, panno Marychno?

– Ależ za co? – przestraszyła się Jarszówna. – Przecie ja, panie Holder, nic nie zawiniłam?

– No, niech się pani nie boi! – uśmiechnął się. – Rozstajemy się z panią my, to znaczy sekretariat, a pani dostaje awans i hm... perspektywy!...

– Perspektywy?

– I to jakie! Zostaje pani osobistą sekretarką dyrektora Krzysztofa Dalcza. Niech pani powie Józefowi, żeby przeniósł pani maszynę do gabinetu dyrekcji technicznej.

– Dlaczego Marychna? Czy to „stary” zarządził? Czy dostanie podwyżkę? – posypały się pytania.

– Ba, żebyż „stary”. Sam pan Krzysztof powiedział: – Proszę mi wyznaczyć tę blondynkę, co siedzi przy oknie, ona mi się szalenie podoba.

– Żartuje pan – zaczerwieniła się Jarszówna – to niemożliwe!

– Serio tak powiedział?

Holder stał uśmiechnięty i rozkoszował się wrażeniem, jakie sprawił:

– No, o podobaniu się nie mówię, ale skoro panią wybrał, widocznie coś w tym jest.

– On mi się wcale nie podoba – zawołała panna Klimaszewska – taki jakiś...

– Ho, ho, bo zielone winogrona!

– I od kiedy mam tam do niego iść? Od jutra?

– Po co odkładać szczęście? – z żartobliwym patosem odpowiedział Holder – ma pani iść zaraz.

– Ależ ja nie mogę zaraz! – zerwała się Jarszówna – niech pan sam patrzy! Mam zupełnie wytarte łokcie i w ogóle to stara sukienka! I włosy mi się całkiem rozfryzowały. O mój Boże, dlaczego mi pan nie powiedział wczoraj! Ja tak nie pójdę za żadne skarby!

Gorączkowo pudrowała nosok i otrzepywała kurz z sukni. Jaskrawe rumieńce i roziskrzzone emocją niebieskie oczy wraz z nieco rozczochraną czupryną koloru lnu składały się na obraz najwyższego podniecenia. Pełne duże piersi wznosiły się pośpiesznym nierytmicznym oddechem. Bezlładnie machając grzebieniem wrywała sobie całe pasma włosów.

– Co się tak przejmujesz, Marychno – wzruszyła ramionami panna Wreczkowska i wydeła przywidłe policzki – myślisz, że on się z tobą zaraz ożeni? Czy może pośle cię do fotografii?

– Myśli, że Pana Boga za nogi złapała – dorzuciła inna.

– W ogóle ja słyszałam, że on jest już zaręczony i zostawił swoją narzeczoną za granicą. Podobno co drugi dzień do niej listy pisuje.

– No – zjadliwie nadmieniła panna Klimaszewska – teraz Marychna będzie mu listy wystukiwać na maszynie.

– Gadajcie, panie, gadajcie – zauważył sekretarz – a każda z was do nieba skakałaby, żeby była na miejscu panny Marychny.

– O, tylko nie ja.

– I nie ja.

– I nie ja.

– Mnie się on w ogóle nie podoba. Brunet i taki wyskrobek. Mężczyzna powinien mieć wzrost, bary...

– I taki zawsze poważny, jakby kij połknął.

– Sama wczoraj mówiłaś, że takich oczu jeszcze nie widziałaś – zaperzyła się panna Jarzówna.

– Phi... no, ma ładne oczy. Ale to jeszcze smarkacz. Co to za wiek dla mężczyzny dwadzieścia osiem lat.

– Dla ciebie pewno, że za mało – odcięła się Marychna – przykro mieć do czynienia z mężczyzną o sześć lat młodszym od siebie.

– Kłamiesz! Ja nie mam trzydziestu czterech lat!

– Sza, panienki – przerwał Holder – bo jeszcze „stary” wejdzie. No, panno Marychno, niech pani śpieszy, bo tam jest coś pilnego do dyktowania.

Józef zabrał maszynę, a w chwilę potem Marychna, przeżegnawszy się ukradkiem, wyszła na korytarz.

Gabinet jej nowego szefa mieścił się w końcu korytarza na pierwszym piętrze. Na wielkich czarnych drzwiach wisiała tabliczka:

„Inż. Krzysztof Wyzbor-Dalcz – Dyrektor Techniczny”.

Zapukała i usłyszaawszy krótkie, ale melodyjnym głosem rzucone „proszę”, weszła.

Siedział przy biurku, lecz wstał na jej powitanie i odkładając papierosa powiedział:

– Czekałem na panią. Jestem Dalcz.

Uścisk dłoni miał miękki, lecz mocny, a wyraz twarzy raczej surowy i tylko przygodnie uprzejmy.

– Od jak dawna pracuje pani u nas? – zapytał wskazując jej krzesło.

– Od dwóch lat, panie dyrektorze.

– Zatem jest już pani dość otrzaskana z terminologią techniczną. W każdym razie ilekroć w tym, co będę pani dyktował, będzie pani miała jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące pisowni, proszę zapytać.

– Dobrze, panie dyrektorze.

Skinał głową, co zrozumiała jako zakończenie rozmowy. Wstała i zajęła miejsce przy maszynie. Ta była ustawiona w ten sposób, że Marychna musiała siedzieć zwrócona plecami do biurka. Jednak na ścianie przed nią wisiał wielki oszklony plan fabryki i w tym właśnie szkłe widziała odbicie swojej jakże fatalnie nieuczesanej głowy, a dalej kontury biurka i siedzącego przy nim swego szefa. Właśnie przewracał jakieś papiery, rozkładał duże arkusze, segregował małe kartki, na których od czasu do czasu coś notował. To prawda, że wolała mężczyzn wyższych, ale ten był taki przystojny i tak ładnie zbudowany. Oczywiście, koleżanki z sekretariatu krytykowały go tylko przez zazdrość, że właśnie ją wybrał. Byłaby głupia, gdyby z tego miała sobie zaraz coś wyobrażać, ale jednakże... Nawet pasują do siebie, bo on jest szczupły brunet, a ona dość pełna blondynka! Przemysłowiec i stenotypistka... w wielu bardzo pięknych filmach zdarzały się takie sytuacje. Ma się rozumieć, nie będzie tak naiwna, by rozmawiać się na ten temat, ale w każdym razie to awans. W przerwie obiadowej pójdzie do kreślarza pochwalić się ojczymowi...

– Piszemy, proszę pani – rozległ się za nią głos miękki i dźwięczny – jest pani gotowa?

– Proszę, panie dyrektorze.

– Nagłówek: Organizacja dyrekcji technicznej Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki... Gotowe?

– Tak jest.

– Więc od nowego wiersza: – Z dniem pierwszym stycznia bieżącego roku wprowadza się następującą strukturę administracji...

Szybki, sprawny stukot maszyny mieszał się z płynnym wyrazistym głosem dyktującego. Marychna nie podniosła oczu znad klawiatury. Nie rozumiała ani słowa z tego, co wystukiwały jej palce, całą uwagę skupiła na tym, by nie przepuścić ani jednej litery, by nie narobić błędów. Robota musi być wykonana bez zarzutu. Dyrektor Krzysztof Dalcz miarowym krokiem chodził wzdłuż pokoju i dyktował „z głowy”. W króciutkich przerwach widziała odbicie jego postaci w szybie przed sobą: jedną rękę trzymał w kieszeni, w drugiej miał notatki, do których z rzadka zaglądał. Taki elegancki... Krzysztof... To bardzo ładne imię... Ten student, którego poznała w wagonie, nazywa się Stanisław, w ogóle co drugi chłopak to Stanisław albo Jan, albo Jurek. Pospolicie. Co innego Krzysztof... Krzyś, Krzych, a można i z drugiej połowy imienia: na przykład Toffi – tak jak cukierki!

– ...z uwzględnieniem wyżej wymienionych rubryk mają też być sporządzane codzienne raporty rozchodu magazynowego w trzech egzemplarzach, a to celem wzajemnej kontroli...

Czy też on naprawdę jest zaręczony? W każdym razie dotychczas na żadną z urzędniczek nie zwracał uwagi, a przecież jest już w fabryce od trzech tygodni. W buchalterii mówiono, że wciąż siedzi w warsztatach albo konferuje z kierownikami poszczególnych biur i działów. Ciekawa rzecz, czy teraz będzie więcej przesiadywał w gabinecie? Bo po cóż by kazał przydzielić sobie sekretarkę?

Od czasu do czasu, nie przerywając dyktowania, zatrzymywał się przy niej i nachylał się nad maszyną, by sprawdzić, co jest napisane.

Co za szczęście – myślała Marychna – że wczoraj zrobiłam manicure! Co jak co, ale swoich rąk nie potrzebuję się wstydzić. Daj Boże każdej. Jutro nałożę granatową sukienkę z białym kołnierzykiem i te jaśniejsze pończochy.

Zegar na korytarzu zaczął bić dwunastą i niemal jednocześnie odezwała się chrapliwie syrena.

– Pani je obiad w fabryce? – przerwał dyrektor.

– Nie, panie dyrektorze, w domu. Tu tylko śniadanie.

– A bardzo pani głodna?

– Cóż znowu, bynajmniej.

– No więc piszmy dalej. Zależy mi na skończeniu tego memoriału dziś jeszcze. Nie czuje się pani zmęczona?

– O, nie – skłamała Marychna i zaryzykowała mały uśmiech, lecz on w ogóle tego nie spostrzegł.

To nic – myślała w trzasku maszyny – przecie dziś tylko pierwszy dzień. Za tydzień, dwa, rozkrochmali się i nie będzie taki oficjalny.

Pisanie skończyło się około trzeciej. Wziął maszynopis i zasiadłszy przy biurku, pogrążył się w czytaniu. Zaległa cisza. Marychna nieznacznie rozcierała zmęczone palce, zerkając ku zwierchnikowi. Jaki on ma ładny owal twarzy i jaką gładką smagłą cerę...

– Proszę pani – podniósł na nią oczy – czy pani jest pewna, że „narzędziownia” pisze się przez „rz”?

– No... tak, panie dyrektorze – odpowiedziała speszona i teraz już sama nie wiedziała, czy nie należy pisać przez „ż”.

– Niech się pani nie dziwi – uśmiechnął się, najwyraźniej uśmiechnął się do niej – niech się pani nie dziwi, że jestem słaby w ortografii. Zarówno szkołę średnią, jak i politechnikę przechodziłem za granicą, a w gramatyce polskiej jestem tylko samoukiem, i to, jak pani widać, kiepskim.



Chciała coś odpowiedzieć, ale ani rusz nie przychodziło jej na myśl nic odpowiedniego. Tymczasem on skończył czytać i wziął do ręki słuchawkę telefonu wewnętrznego. Kazał się połączyć z naczelnym dyrektorem i powiedział:

– Tu mówi Krzysztof, czy stryj będzie mógł teraz mnie przyjąć?... Dobrze, zaraz przyjdę.

Bez pośpiechu złożył papiery i pobrzękując kluczami zamykał szuflady biurka.

– O której pani przychodzi do pracy? – zapytał.

– O ósmej, panie dyrektorze.

– Hm... Wolałbym, by pani przychodziła o siódmej, za to, oczywiście, już o trzeciej będzie pani wolna. Nie sprawi to pani różnicy?

– Nie, panie dyrektorze, tylko że ja mieszkam w Zielonce i... żeby na czas zdążyć, musiałabym wstawać bardzo wcześnie... o piątej...

– Ano tak – zastanowił się – trudno panią do tego zmuszać, jaką pani ma pensję?

– Dwieście dziesięć złotych.

– Więc dostanie pani podwyżkę, ale trzeba będzie zamieszkać w Warszawie. Czy chce pani?

Naturalnie, że chciała. Mieszka w Zielonce u ojczyma, a teraz przeprowadzi się do miasta i wynajmie pokój, jeżeli to jest potrzebne. Dyrektor Dalcz powiedział, że nawet konieczne, gdyż będzie jej od czasu do czasu potrzebował i w godzinach pozabiurowych, za które, oczywiście, wypłaca jej dodatkowo. Na razie pensja zostanie podwyższona do trzystu pięćdziesięciu złotych.

– Bardzo dziękuję, panie dyrektorze – zaczerwieniła się i niespodziewanie dla siebie samej dygnęła.

To go widocznie rozbawiło, gdyż uśmiechnął się, ukazując śliczne drobne i bardzo białe zęby.

– Ile pani ma lat? – zapytał.

– Dwadzieścia jeden, to jest właściwie dwudziesty drugi – zażenowała się.

– Jest pani jeszcze bardzo młoda. No, więc układ stoi?... Wydam odpowiednie polecenie panu Holderowi. Teraz jeszcze jedno. Proszę panią, by wszystko, co jej dyktuję, zatrzymane zostało w ścisłej tajemnicy. To jest trunek nieodzowny. Do widzenia pani.

Podał jej rękę i wyszedł z gabinetu. Była niezwykle podniecona. Tyle zmian! Boże, będzie miała taką dużą pensję, no i nareszcie zamieszka w Warszawie! Zaraz od jutra zacznie szukać sobie pokoju. Co też ojczym na to powie?

Gorączkowo pakowała swój woreczek i zamykała maszynę. Korciło ją, by pobiec zaraz do sekretariatu i pochwalić się koleżankom, lecz wytrzymała do gwizdka. Teraz zaś musiała śpieszyć się na pociąg. Prędko wybiegła na ulicę. Nie cierpiała tego kawałka drogi do przystanku tramwajowego. W lecie czy w zimie, zawsze było tu pełno błota, a w jesieni należało wręcz uprawiać ekwilibrystykę, by po rozrzuconych tu i ówdzie cegłach dotrzeć do ulicy Wolskiej, gdzie już były chodniki. Dziś jednak wprost nie zwróciła na to uwagi. Na przystanku zebrało się już kilkanaście osób, przeważnie z biura konstrukcyjnego i z kalkulacji. Wszyscy już wiedzieli, że została sekretarką Krzysztofa Dalcza, i wieszali jej awansu. Osobą młodego dyrektora bardzo się interesowano przede wszystkim ze względu na zmiany, jakie miał zaprowadzić w fabryce, a poza tym z racji, że wszystko, co dotyczyło rodziny pryncypałów, było jednym z najpopularniejszych tematów w rozmowach między pracownikami. Lubiano i bano się Wilhelma Dalcza, z przekazem mówiono o Zdzisławie, z szacunkiem o Karolu, Jachimowski miał opinię „cwaniaka”, a o Krzysztofie Dalczu nie wyrobiono sobie jeszcze zdania.

Ojczym Marychny Jarszówny, pan Ozierko, jako jeden z najstarszych pracowników firmy, doskonale był obznajmiony z tymi kwestiami. Toteż, gdy tylko wraz z pasierbicą ulokowali się w przedziale trzeciej klasy pociągu do Zielonki i gdy Marychna zakomunikowała mu propozycję swego szefa, oświadczył, że nic przeciw niej nie ma, gdyż Dalczowie to „rodzina solidna” i nie dadzą swemu człowiekowi zrobić krzywdy. Takie już obyczaje są od starego Franza.

Ponieważ zaś Marychna czuła się od dziś także „swoim człowiekiem” Dalczów, sama zaczęła wypytywać ojczyma o ich historię. Słyszała ją wprawdzie kilkadziesiąt razy, opowiadaną różnym przygodnym słuchaczom, lecz nigdy nie zwracała na nią szczególnej uwagi, nawet wówczas, gdy po skończeniu gimnazjum dostała posadę w fabryce. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Każda informacja, każde słowo miały swoje głębokie aktualne znaczenie.

– Stary Franz – mówił ojczym – nie miał i trzydziestki, jak do Warszawy przyjechał, ale rzemieślnik był już pierwsza klasa i, jak się okazało, głowę na karku miał. Na psach przyjechał, co mu wózek z całym dobytkiem przyciągnęły, a nie nazywał się Dalcz, tylko Daltz. Ale że to ludziom trudno tak wymówić, to i wszyscy mówili: a to zanieś zamek do naprawy do Dalcza, a niech Dalcz zreperuje zawiasy, bo to otworzył sobie skromny warsztatik na Bonifraterskiej, co to nazywano także i „pod psami”, że to niby na psach przyjechał. Ale człowiek był zacny, pracowity, a był wówczas taki zamożny młynarz na Pradze, Bauer się nazywał. Też z Niemców. Otóż Franz robił to i owo przy młynie i coś w dwa lata z córką Bauera się ożenił. Podobno w posagu dostał pięć tysięcy rubli, czy więcej. A że człowiek był oszczędny, pracowity i niegłupi, zaraz sobie niewielką kotłarnię założył, a pomału plac za Wolską rogatką kupił i zaczął budować. Trochę ze swoich, trochę z posażnych, a trochę z pożyczonych, bo był uczciwy i ludzie mu własną duszę zawierzyliby. Powodziło się nieźle. Z początku narzędzia rolnicze robił, później na Kolej Wiedeńską różne zamówienia przysły. A jak synowie szkoły pokończyli i ojcu pomagać przyszli, to już w fabryce ze dwustu robotników było.

– To znaczy, że w tej samej fabryce, gdzie my teraz pracujemy? – zapytała Marychna.

– W tej samej. Tylko że po śmierci starego Franza obaj synowie zaraz fabrykę rozszerzyli, zarzucili drobną robotę, przeszli na fabrykację maszyn. Starszy, Wilhelm, że to bardziej przyzwoity i elegancki był, z hrabianką się ożenił, z panną Korniewicką. Zbiedniała rodzina, tylko na małym folwarczku siedziała, ale zawsze, co hrabianka, to hrabianka. Tylko że mu na pomysłność nie była. Strasznie nosa darła i zaczęło się od tego, że z młodszym bratem Wilhelma, z Karolem, pokłóciła się i podobno nawet za drzwi go wyprosiła. A poszło o małżeństwo Karola.

– Naszego prezesa?

– Właśnie. Zakochał się on w jednej Gruszkowskiej, córce kupca korzennego. To hrabiance, wiadomo, nie w smak. A panienska ładna była, drobna taka, no i pan Karol, jak zaciął się, to i ożenił na złość bratowej. Stąd i zerwanie przyszło. A jak matka, tak samo i dzieci z dala się trzymali od pani Karolowej. Wilhelmowi w rok po ślubie urodził się pierwszy syn, Paweł. Ten, widać, w matkę się wdał, bo żadnych nauk nie skończył i albo hula po świecie albo w matczynym folwarku siedzi i, jak mówią, z rodzicami żadnych stosunków nie ma. Potem urodziła się córka Ludwika, ta, co jest za dyrektorem Jachimowskim, Wilhelmowi znaczy się, później Zdzisław, ten co go niedawno taczkami wywieźli, też nie udał się, a później córka Halina.

– To ta, co przyjeżdża czasami do fabryki takim zielonym samochodem i z psem – kiwnęła głową Marychna.

– Bóg ją tam wie, ale o niej też ludzie, jak to ludzie, dobrze nie gadają.

– A Krzysztof?

– Krzysztof to, jak wiesz, syn prezesa Dalcza. Opowiadali, że dlatego za granicą był kształcony, żeby tu nie spotkał się z dziećmi swego stryja, bo taka już złość między matkami była. Ale że Karol był oszczędny, a Wilhelma i żona i dzieci rujnowały, to i Krzysztofa większa część jest w fabryce i ty uważaj, żebyś mu nie naraziła się czymś, bo on ma tam najważniejszy głos. Nawet dziś słyszałem od inżyniera Lasockiego, że Krzysztof pewno po Wilhelmie naczelnym zostanie.

– Ja tam mu wcale nie myślę się narażać – żarliwie zapewniła Marychna.

– Mnie już nie wyrzucają, od chłopca w fabryce pracuję, ale ty uważaj. Mogą być wielkie zmiany, jakby Krzysztof wysadził stryja z dyrekcji.

– A dlaczego oni wszyscy nazywają się po prostu Dalczami, a ten jest Wyzbor-Dalcz?

– Bo adoptowany. Widzisz, matka Krzysztofa, z domu Gruszkowska, miała wujka, także był ze szlachty, a że był bezdzietny, więc wielkie miał zmartwienie, że na nim ród się kończy. On właśnie powiedział pani Karolowej: jak syn się wam urodzi, to go adoptuję, niech i moje nazwisko nosi, a cały mój majątek jemu zapiszę. I testament taki zrobił. Otóż dlatego ten i nazywa się Wyzbor-Dalcz.

Po przyjeździe do Zielonki Marychna zaraz zakrzętnęła się przy pakowaniu swoich rzeczy. Wprawdzie trochę było jej żal zostawiać ojczyzna, ale ponieważ i tak były w domu dwie jego własne córki, o wygody starego nie potrzebowała się martwić.

Nazajutrz o piątej rano już była na nogach, a o siódmej w fabryce. Bardzo się cieszyła, że zdążyła przyjść do gabinetu, zanim jeszcze zjawił się jej szef. Skorzystała z okazji, by na chwilę wpaść do sekretariatu i pochwalić się zmianami, jakie mają zajść w jej życiu. Panna Klimaszewska zaraz zaproponowała jej, by zamieszkały razem.

– Eee, kiedy ty tak daleko mieszkasz – wymijająco odpowiedziała Marychna.

– No, to mogę się przeprowadzić. Znajdziemy pokój gdzieś bliżej.

– Daj jej spokój – wtrąciła panna Proszyńska – przecie widzisz, że Marychna chce mieszkać sama.

– Aha!

– Inaczej po cóż by przeprowadzała się z Zielonki – złośliwie dorzuciła inna.

– Głupie jesteście – obrazila się Jarszówna i wybiegła na korytarz.

Właśnie zdążyła wejść do gabinetu szefa, gdy i on się zjawił. Wszedł swoim tak charakterystycznym, lekkim, elastycznym krokiem i przywitał ją wesołą uwagą:

– Jak to miło z pani strony, że już dziś przybyła pani o siódmej.

– Zastosowałam się do życzenia pana dyrektora...

– Dziękuję pani. A pokój już jest?

– Jeszcze nie.

– Ma pani może w mieście krewnych, u których mogłaby pani zamieszkać?

– Nie, panie dyrektorze. Wynajmę pokój.

– Tym lepiej – powiedział.

Nie zrozumiała, dlaczego ma to być lepiej, i zapytała:

– Jak to lepiej?

Krzysztof Dalcz roześmiał się:

– No... powiedzmy, będzie się pani czuła swobodniejsza...

– Ach tak...

– Ma pani zapewne jakiegoś miłego narzeczonego, będzie mógł panią odwiedzać – powiedział po chwili wahania.

Policzki Marychny zaróżowiły się gwałtownym rumieńcem, a serce zaczęło bić mocno i szybko.

Przecie to już wcale nie było dwuznaczne!

Dalcz wyjął z kieszeni dużą srebrną papierośnicę i zapalił.

– Czy zadowolona jest pani z nowej pracy? – zapytał, stojąc wciąż przy niej i udając, że nie spostrzega jej zmieszania.

– Bardzo – powiedziała z mocnym akcentem szczeroci.

Chciałaby teraz zapewnić go, że jest zachwycona, że będzie starała się, jak nikt, żeby tylko był z niej zadowolony, że robi wszystko, co leży w jej umiejętnościach, by pozyskać jego życzliwość...

Myśli Dalcza widocznie zbliżoną szły drogą, gdyż powiedział:

– Mam nadzieję, że będziemy z siebie zadowoleni. Prosiłbym panią, by miała do mnie zaufanie i by zbytnio nie dzieliła się z przyjaciółkami tym, co robimy i o czym ze sobą mówimy.

- Ależ, panie dyrektorze, to jasne!
- Zatem doskonale.
- Zresztą ja nie mam przyjaciółek – dorzuciła.

Zaśmiała się jakoś dziwnie:

– Jesteśmy zatem oboje w podobnym położeniu: ja też nie mam przyjaciół... Tak... No, ale zabieramy się do roboty. Zasiadł do biurka, przez chwilę wertował notatki i zaczął dyktować. Jeżeli wczoraj Marychna nie rozumiała tego, co pisała, to dziś była tak podniecona wyobraźnią, że sama sobie dziwiła się, jak może pisać, nie słysząc poszczególnych wyrazów, a tylko melodię tego świeżego młodzieńczego głosu. Kilkakrotnie przerywano im pracę. Wchodził woźny z jakimiś papierami, inżynier Wajdel i inni. Marychna spostrzegła, że z nimi rozmawiał inaczej niż z nią. Wprawdzie głos był ten sam, ale ton suchy, szorstki, zdania urywane. Obserwacja ta ucieszyła ją niezmiernie. Bała się puszczać zbyt daleko wodze fantastycznym marzeniom, ale cóż mogła poradzić na to, miała tylko dwadzieścia jeden lat i marzenia dość nieposłuszne.

Dyktowanie trwało do dwunastej.

– No, teraz niech pani każe sobie dać herbatę – przerwał Dalcz – i życzę pani dobrego apetytu. Ja też pójdę na śniadanie, później zaś zabawię trochę na warsztacie. Pani może zająć się przygotowaniem trzech okólników według tych oto szematów, wszakże z uwzględnieniem zmian, porobionych przeze mnie ołówkiem na marginesie.

Skinął jej głową i wyszedł.

Z jaką radością Marychna zabierała się teraz do pracy, z jaką dbałością wykonywała wszystkie jego polecenia. Fabryka przestała być miejscem codziennej szarej pańszczyzny, a stała się treścią dnia. Wolne godziny, spędzone poza biurem, stanowiły tylko jakby uzupełnienie doby, jakby czas pozostawiony na to, by mogła przygotować się do tej chwili, kiedy on wejdzie i obrzuci ją miłym, ciepłym spojrzeniem swoich przepięknych oczu. A był taki uprzejmy i taki uważny. Zawsze spostrzegał każdy nowy szczegół w jej ubraniu, czasem nawet dawał jej rady: – najlepiej pani w zielonym, albo: niech pani spróbuje czesać się trochę inaczej, bardziej gładko, mam wrażenie, że będzie to w pani typie.

Marychnie aż dziwno było, że mężczyzna, i do tego jej zwierzchnik, taki poważny człowiek, jest dla niej taki uważny, życzliwy i interesujący się nią całkiem widocznie. Świadczyło to o jego naprawdę wielkopańskim wychowaniu i o dużej delikatności. Dotychczasowe doświadczenie Marychny w obcowaniu z mężczyznami, w ogóle niewielkie, nie wychodziło poza jej sferę, poza kilkunastu znajomych urzędników, studentów czy młodych oficerów. Nie kochała się nigdy. Ten i ów podobał się jej czasami, lecz bliższy kontakt z nimi zamykały podświadomie jej marzenia o wielkiej miłości do jakiegoś niezwykłego człowieka, egzotycznego maharadży, sławnego lotnika, gwiazdora filmowego czy zwycięzcy olimpiady. Oczywiście dyrektor Krzysztof Dalcz nie był żadną z tych postaci, był czymś znacznie mniejszym, ale i czymś znacznie większym. Dlaczego? – sama nie wiedziała. Nie starała się zresztą tego zgłębić. Zbyt pochłaniało ją przeżywanie rzeczywistości i wznoszenie nad tą rzeczywistością fantastycznych marzeń o jutrze.

Teraźniejszość stanowiła już jakby próg do niej. Marychna wynajęła nieduży, ale bardzo ładny pokój przy ulicy Leszno. Dojazd stąd do fabryki trwał niespełna kwadrans, wstawała zatem z rana tak, jak dawniej, o szóstej, a o trzeciej była już wolna. Ten rozkład dnia wpłynął też na rozluźnienie stosunków z kolegami. Nie spotykała ich w tramwaju, a zastosowując się do prośby zwierzchnika, nie starała się też widywać ich w wolnej południowej godzinie. Z początku trochę irytowały ją uwagi dawnych przyjaciółek na temat jej rzekomego „zadzierania nosa”, z biegiem czasu przestała na nie reagować, tym bardziej że ostatecznie miała prawo uważać się za kogoś nieco wyższego w hierarchii fabrycznej od nich. Sprawiała to nie tylko większa pensja, lecz i sposób, w jaki traktował ją dyrektor Krzysztof Dalcz.

Nie mogła tego nie zauważyć, że ilekroć do gabinetu wchodził ktokolwiek, Dalcz, zwracając się do niej, był wyjątkowo uprzejmy, do przesady grzeczny, demonstracyjnie miły, przy jednoczesnym ściśle oficjalnym ustosunkowaniu się do przybyłego. Kontrast ten sprawiał Marychnie nie dającą się określić radość. Cieszyłaby się nim może mniej, gdyby wiedziała, jaki efekt wywołał w licznych biurach Zakładów. Dla niej ten efekt wyraził się tylko w tym, że teraz wszyscy, nie wyłączając inżynierów i kierowników biur, witali ją z większym szacunkiem, wstawali z krzesła, gdy z nią rozmawiali, kłaniali się z daleka i nie pozwalali sobie przy niej na żarciki.

Teraz już dość często z polecenia zwierzchnika załatwiała różne sprawy w biurach i w kantorach warsztatowych. Czasami nawet wysyłana była do miasta, by kupić jakieś książki techniczne lub wypisać jakieś dane z wielkich encyklopedyj w bibliotece na Koszykowej. Ilekroć była rzecz pilna, pan Krzysztof kazał jej jechać własnym samochodem. Zaczynały się już pierwsze przymrozki i jazda otwartym wozem nie sprawiałaby zbyt wielkiej rozkoszy, gdyby nie fakt, że to był jego wóz, no i że z okien buchalterii widać było doskonale, jak wsiadała i jak szofer owijał jej nogi dyrektorskim pledem. A cóż to dopiero był za jubel, gdy z okien tych zobaczono, jak wsiadali oboje: ona i pan Krzysztof Dalcz!

Zdarzyło się to przy takiej sposobności: o drugiej skończyła rozkładanie do segregatorów raportów warsztatowych, gdy właśnie zadzwonił telefon. Mówiła matka pana Krzysztofa Marychna, która teraz zawsze załatwiała jego telefony, dowiedziała się, że pan Karol Dalcz gorzej się czuje i prosi syna, by pojechał po lekarza lub posłał po nią samochód Marychna. Natychmiast zadzwoniła do narzędziowni, gdzie jak wiedziała, musiał teraz być pan Krzysztof. Przyszedł natychmiast i powiedział:

– No, skoro pani już skończyła z raportami, odwiozę przy sposobności panią do domu. Gdzie pani mieszka?

– Na Lesznie, proszę pana, ale po co pan będzie się fatygował...

– O? A czy nie myśli pani, że mi to sprawi przyjemność? – spojrzał na nią znacząco.

Zarumieniła się i spuściła oczy. Po chwili siedziała już w samochodzie obok niego. Szofer został, gdyż pan Krzysztof sam chciał prowadzić wóz. Prowadził spokojnie i lekko z tą delikatnością, która cechowała całe jego postępowanie w stosunku do niej. A przecież wiedziała, że umie być szorstki, ba, nawet brutalny. Nie tak dawno, gdy szukała go w hartowni, słyszała na własne uszy, jak „sztorcował” inżyniera Wońkowskiego. Nawymyślał mu wówczas od cholery i powiedział, że taka robota jest do... Tu użył takiego słowa, jakiego nigdy by się po nim nie spodziewała. Po prostu nie pasowało do niego. W ustach innych brzmiałoby także ordynarnie, ale nie raziłoby tak bardzo, jak w jego, takich ładnych i tak subtelnie zarysowanych. Zresztą Marychna nie umiała tego sobie wytłumaczyć, ale zdawało się jej, że to prawie świętokradztwo, chociaż od paru osób słyszała, że pan Krzysztof „nie patyczkuje się i ruga na całego”. Może to jego poza, żeby więcej postrachu wzbudzać w podwładnych, a może po prostu zły nawyk. Wolała o tym w ogóle nie pamiętać, a przychodziło jej to tym łatwiej, że wiedząc o jej obecności, nigdy tego nie robił.

Samochód zatrzymał się przed jej domem. Otworzył drzwiczki i pomógł jej wysiąść.

– Bardzo, bardzo dziękuję panu dyrektorowi – wyciągnęła doń rękę.

– To ja pani dziękuję – powiedział z uśmiechem, przytrzymał chwilę jej rękę, odsunął rękawiczkę i pocałował tuż koło przegubu.

Wpadła do domu jak nieprzytomna. Omal nie rzuciła się na szyję panu Wieczorkowi, ojcu jej gospodyni, gdy ten jej drzwi otworzył. Ponieważ obiad dawano o wpół do czwartej, miała dość czasu na rozpamiętywanie tego ważnego zdarzenia: pocałował ją w rękę!

Od czasu gdy została jego sekretarką, minęło zaledwie trzy tygodnie, a już wiedziała, że się to byle czym nie skończy. Jeżeli tedy tak starannie upiększała i porządkowała swój pokój, to nie bez myśli, że przecież może się zdarzyć, że do niej kiedy wstąpi. Bez żadnych zamiarów, ale tak sobie... Właściwie to nonsens, a jednak...

I zdarzyło się, a zdarzyło się całkiem niespodziewanie.

Marychna zawsze dość ciężko przechodziła zwykłą słabość. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie, brała zwykle zwolnienie na te dwa dni. Teraz jednak postanowiła nie przerywać pracy. Po pierwsze tęskno byłoby jej za... fabryką, a po wtóre, obawiała się, by pan Krzysztof na czas jej nieobecności nie wziął którejś innej, na przykład takiej Klimaszewskiej, co mizdrzy się do każdego mężczyzny.

Dlatego poszła. Wyglądała jednak tak blado i tak fatalnie, że on sam to zauważył i kazał jej wrócić do domu, a nazajutrz broń Boże nie przychodzić, bo zresztą i roboty żadnej specjalnie nie będzie. Zaległość zaś dwudniowa łatwo się da odrobić. Ma zresztą teraz całe swoje biuro i świat się nie zawali, jeżeli ona przez dwa dni odpocznie. Był przy tym tak delikatny, że nie wypytywał, co jej jest. Widocznie domyślał się. Cóż, nic dziwnego, pewno niejedną miał już kochankę (tu serce Marychny ścisnęło się), niejedną, i zna się na słabościach kobiecych.

Nazajutrz tedy Marychna nie poszła do fabryki. Leżała w łóżku i haftowała cyklameny na laufrze, którego przeznaczeniem miało być upięksenienie stolika przed lustrem. Była może piąta, a może kwadrans po, gdy w przedpokoju rozległ się długi dzwonek. Pewno któraś przyjaciółka gospodyni, Marychna słyszała jej kroki, gdy szła otworzyć drzwi, brzęk łańcucha i nagle pukanie do jej pokoju. Więc do niej? Któż to może być?

Weszła gospodyni i powiedziała, że przyszedł jakiś pan i pyta, czy może go panna Jarszówna przyjąć?

– Jaki pan? Przecież leżę w łóżku.

– Taki brunet, elegancki, mówi, że wie o pani chorobie i właśnie przyszedł odwiedzić.

– Boże drogi! – Marychnie zapało oddech – czyżby... Moja pani! Ja sama nie wiem... No, niech pani chyba poprosi... Zaraz, czy ja nie jestem rozczochna?

– Nie, nie, i koszulka ładna, jak się patrzy, śmiało może pani go przyjąć.

Z tymi słowami gospodyni wybiegła, a w sekundę potem do pokoju wszedł Krzysztof Dalcz. Był nie w codziennym grubym szarym ubraniu, lecz w czarnym wizytowym, w którym wyglądał jeszcze ładniej i jeszcze subtelniej. W ręku trzymał dużą paczkę.

– Dzień dobry pani, jakże się pani czuje – powiedział tak swobodnie, jakby w jego wizycie nie było nic nadzwyczajnego.

– Och, panie dyrektorze – wyszeptwała z trudem.

– Uważałem za swój miły obowiązek odwiedzić panią. No, nie przywita się pani ze mną?

Wyciągnęła rękę, która wyraźnie drżała. Pochylił się i musnął ją bardzo gorącymi ustami, przytrzymując w swojej dłoni.

– Przyniosłem na pociechę czekoladki – powiedział, umieszczając pudło na zastawionym drobiazgami stoliku przy łóżku i przysuwając sobie krzesło.

– Pan dyrektor... doprawdy... ja strasznie dziękuję...

– Pozwoli pani rozpakować? Widzi pani, że ja sam jestem łakomy, i myślałem, że zechce mnie pani poczęstować.

– O, ja sama – zerwała się, lecz nagły ruch wywołał widocznie silny ból, gdyż opadła na poduszkę i pobladła z wyrazem cierpienia na twarzy.

Dalcz, nie mówiąc ani słowa, wstał, nalał do szklanki odrobinę wody, wyjął z kieszeni kamizelki małe srebrne pudełeczko i podał jej białą pastylkę:

– Niech pani to zażyje – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu – to uspokaja wszelkie bóle.

Marychna połknęła lekarstwo.

– Gorzkie – uśmiechnęła się.

– Za kwadrans ból minie – zapewnił chowając pudełko do kieszeni.

Teraz przypomniała sobie, że już je widziała u niego w fabryce. Pewnego razu, po powrocie z warsztatów, zażył taką pastylkę, wyjaśniając, że ma częste migreny i że tylko to mu pomaga. Rzeczywiście, wyglądał wówczas bardzo blado i miał sine cienie pod swoimi pięknymi oczami.

– Pan dyrektor taki dla mnie dobry – westchnęła.

Milczał chwilę i jakby z namysłem powiedział, ciągnąc słowa:

– Przesadza pani... Zresztą chyba trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo można być dobrym...

I nagle, jakby dla zmienienia tematu rozmowy, zaczął innym tonem:

– Dziś musiałem wraz ze stryjem Wilhelmem reprezentować fabrykę na pogrzebie prezesa Genwajna. Pogrzeb trwał przeszło dwie godziny i nieco przemarzłem...

– Czy to ten Genwajn?... – zapytała Marychna.

– Tak. Z fabryki Scherr i Genwajn... Niegdyś kolega szkolny stryja Wilhelma. Zastrzelił się. Czytała pewno pani w dziennikach.

Marychna nie czytywała w ogóle dzienników. Dawniej, gdy jeszcze pracowała w sekretariacie i mieszkała w Zielonce, o wszystkich ważniejszych zdarzeniach dowiadywała się bo od kolegów, albo od ojczyma, który przy każdej takiej sposobności opowiadał o karierze i kolicacjach omawianej osoby. To była jego pasja. Toteż dzięki niej Marychna dobrze wiedziała, kto to jest Genwajn. Jeżeli ojczym o kim mówił z dodatkiem słowa „ten” – oznaczało to, że mówi się o znanym i bogatym człowieku.

– Zastrzelił się? Przecież to był już stary człowiek – zauważyła.

– Stary. Starzy też miewają powody do samobójstwa. Podobno firma jego stała na progu bankructwa.

– Jednak, panie dyrektorze, częściej się słyszy o samobójstwach ludzi młodych. Przeważnie z miłości...

– O, nie mówmy o tym. Oboje jesteśmy młodzi – powiedział z uśmiechem – i wcale nie myślimy o... samobójstwie. No, nie lepiej pani?

– Troszkę.

– A bardzo pani niezadowolona, że przyszedłem jej dokuczać?

– Panie dyrektorze – zawołała z taką szczerością i wyrzutu w głosie, że aż sama spostrzegła się, że to nie wypada.

– Ładnie tu u pani – powiedział rozglądając się – znać, że ma pani zamiłowania estetyczne. Cóż to pani haftowała?

– To laufer na stolik.

Wziął robotę do ręki i uważnie jej się przyglądał:

– Cyklameny. Robi to pani z dużą wprawą. Piękny haft i temat szczęśliwie pomyślany. Czy pani sama sobie komponuje te rzeczy?

– Sama. O, jeżeli pan dyrektor łaskaw, proszę zobaczyć tam, ta poduszka z paprocią, to też sama sobie wymyśliłam.

Wstał i uważnie przyjrzał się poduszce.

– Ciekawa kompozycja – powiedział – ma pani talent w ręku.

– Ale ja jestem gapa – zaśmiała się – nudzę pana dyrektora babskimi fatałaszkami. Bardzo przepraszam! Pan na pewno pomyśli, że jestem okropnie niemądra!

– Bynajmniej, jest pani naturalna, a to duża zaleta. No, może teraz zjemy sobie czekoladkę?

Sam rozpakował pudełko i podał jej. Rozmowa przeszła na sprawę dobroci poszczególnych wyrobów cukierniczych, przy czym Marychna zauważyła, że pan Krzysztof istotnie lubi czekoladę. Jadł dużo i ze smakiem. Nieraz słyszała, że mężczyźni lubiący słodkie odznaczają się dobrocią charakteru. Czyż on nie był bardzo dobry? Przynajmniej dla niej? Jakiż dyrektor chciałby odwiedzić swoją sekretarkę podczas choroby? Żeby był stary i brzydki, no to zrozumiałe, ale taki jak on, na niego pewno setkami kobiety lecą. A jednak ona mu się podoba. Na pewno podoba. Po cóż by przychodził?...

Marychna wprawdzie miała dość duże powodzenie u mężczyzn. Na ulicy, w tramwaju czy w pociągu oglądali się za nią i robili do niej słodkie oczy. W nielicznym kółku znajomych

nadskakiwał jej ten i ów. Raz nawet jeden student medyk wycałował ją w kącie. Nie opierała się zbyt, gdyż chciała spróbować, jak to smakuje, ale nie smakowało wcale. I powiedział jej wówczas, że nie jest rozbudzona. Idiota! Innym znowu razem narzeczony Zosi, jej przyrodniej siostry, po pijanemu zaczął Marychnę ścisnąć i całować, ale potem został jej tylko nie dający się wyrazić wstręt. Miał usta sine i lepkie. Brr... Jakież piękne usta ma Krzysztof Dalcz... Muszą być takie soczyste, jak się to czyta w powieściach...

Rozglądał się po pokoju i powiedział:

– Nie ma pani tu żadnych fotografii.

– Nie mam, bo i czyje mam mieć? Ojczym się nie fotografuje, a więcej nikogo nie mam.

– Jak to, i nigdy nie kochała się pani? Nigdy w pani nikt się nie kochał, kto by zostawił na pamiątkę swoją podobiznę z czułym napisem?

– Nigdy – potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

– Nie wiem... Może jestem... nierozbudzona...

Wybuchnął długim, nawet trochę nieprzyjemnym śmiechem. Widocznie powiedziała coś bardzo głupiego. Była na siebie wściekła. Głupia gęś! Co on teraz sobie o niej myśli! Mój Boże, że też jej wyrwało się coś tak niedorzecznego!

Śmiał się wciąż, a jej pod powiekami zaszklily się łzy. Żeby mogła teraz zapaść się pod ziemię! Wstydziała się wprost spojrzeć na niego, wstydziała się, że zauważył jej łzy. Zamknęła oczy i odwróciła głowę.

Przestał się śmiać i nic nie mówił. Jakież on bezlitosny, jak znęca się nad nią. Pewno patrzy na jej policzki, po których płyną te nieszczęsne łzy, i uśmiecha się ironicznie... Co za tortura...

Nagle poczuła na twarzy łagodny pieścizotliwy dotyk jego dłoni, miękkiej jak aksamit, i aż oddech zaparło jej w piersi. Dłoń sunęła po mokrych policzkach taką ciepłą serdeczną pieścizotą, odgarnęła włosy z czoła, głaskała spokojnymi, równomiernymi ruchami głowę i znowu policzki, i oto z drugiej strony twarzy poczuła drugą jego rękę i nagle na ustach lekki, ledwo odczuwalny pocałunek, potem mocniejszy, jeszcze bardziej mocny, aż rozchylający jej nieruchome wargi... Spadały na nią powoli, gorące, przenikliwe, niewypowiedziane dziwne... Leżała bez ruchu i tylko serce tłukło się nieprzytomnie. Nie wiedziała dlaczego, ale w tych pocałunkach było coś bardzo grzesznego, coś bardzo rozpustnego, czego nie umiała sobie przedstawić. Przecież nie uważała siebie za świętoszkę, od dawna marzyła o jego ustach, ale teraz poza rozkoszą, którą sprawiły te pocałunki, poza dreszczem, który przenikł ją od dotyku tych gorących warg, było jeszcze coś, co stało na pograniczu między pragnieniem i odrazą... Chciała, by trwało to jak najdłużej i ogarniał ją przemożny wstyd, nie przed nim, którego tak pożądała, lecz przed czymś, co można było porównać tylko do wstrętu, jaki wywołuje widok kalectwa.

A on całował wolno, z przerwami, jakby po każdym pocałunku rozpamiętywał i badał jego smak... Pomału jego ręka zsunęła się po szyi, po ramieniu, aż do piersi i gładkie długie palce pokryły jej wypukłość taką męczącą, taką rozkoszną pieścizotą...

Marychna podniosła powieki i ujrzała nad sobą bladą, ściągniętą twarz, rozdęte subtelne nozdrza i ogromne czarne oczy, w których paliła się ciekawość, tak, ciekawość, niezrozumiała, przerażająca ciekawość...

Krzyknęła cicho, szarpnęła się i zakryła twarz rękami.

On wyprostował się, wstał i odszedł do okna. Po dłuższej dopiero chwili odważyła się spojrzeć ku niemu. Stał tyłem, wpatrzony w czarną szybę, z głową wysoko podniesioną i z rękami w kieszeniach. W pokoiku panowała zupełna cisza, tylko z trzeciego piętra dolatywał odległy, przytłumiony, spokojny pogwar fortepianu, powtarzającego gamy.

Co teraz będzie – myślała Marychna – czy powie jej, że ją kocha, czy ją przeprosi za chwilę zapomnienia? Mężczyźni z dobrego świata miewają chwile zapomnienia, jak to wiedziała z filmów, i zawsze później przepraszają... Jak on dziwnie na nią patrzył... A może ob-



raził się za to, że mu się wyrwała? Rzeczywiście jest głupia, bo tak wyczekiwała takiego momentu, a gdy nadszedł, zachowała się jak gęś... Gdyby nie wstyd, zawołałaby go teraz najczulszymi słowami... Mój cudny, mój śliczny, mój kochany...

– Na imię ma pani Marychna – odezwał się nie odwracając głowy – takie miękkie, takie kobiece imię. Pani jest bardzo kobieca...

– Nie gniewa się pan na mnie? – wyszeptła cichutko.

Zbliżył się do łóżka i miał bardzo smutne oczy.

– Panie dyrektorze, ja tak nie chciałabym, żeby się pan na mnie gniewał. Przepraszam, bardzo przepraszam – wyciągnęła do niego ręce.

Wziął je, pocałował każdą i złożył w swoich niewiele większych, a takich pięknych, jakich jeszcze nigdy u nikogo nie widziała.

– Lubi mnie pani chociaż trochę? – zapytał z bladym uśmiechem.

– Ooo! – zawołała i całą postacią podała się ku niemu.

Otoczył jej plecy ramieniem, a ona rzuciła mu ręce na szyję.

Przez cieniutką koszulkę czuła na skórze mocny, a łagodny jego uścisk, na ustach, na oczach, na policzkach znowu te same pocałunki, dziwne, oszołamiające, a przecież mające w sobie coś, czego nie mogła nazwać odrazą, a co jednak opanowywała z trudem. Jej usta błędziły po jego twarzy gładko wygolonej, jak atlas miękkiej... po jego wargach mocnych, jędrnych i gorących...

Nagle cofnął się i stanął wyprostowany, wbijając w nią wzrok płonący i nieznośnie ciekawy. Oboje dyszeli głęboko, przyśpieszonym rytmem.

– Panno Marychno – powiedział – nie warto, nie trzeba mnie lubić. Nie zasługuję na to. Proszę pamiętać, że powiedziałem to pani. Może... może na nic, poza współczuciem, nie zasługuję... Proszę pamiętać!

W jego głosie zabrzmiało coś jakby groźba i taki bezbrzeżny smutek, że Marychnie ścisnęło się serce:

– Ja pana kocham – szepnęła zamykając oczy – ja pana bardzo kocham...

– Co pani powiedziała? – zapytał jakby z przestrawieniem.

– Czyż pan nie wie, że ja pana kocham! Czyż pan może tego nie widzieć!

Chwycił ją za przegub i potrząsając nerwowo jej ręką, pytał przez zaciśnięte zęby:

– Kocha mnie pani? Kocha?... Nonsens! To niemożliwe! I pragnie mnie pani?... Co? Pożąda mnie pani? Chciałaby należeć do mnie? No, proszę, niechże pani odpowiada!

Milczała, drżąc na całym ciele. Przeraził ją jego ton, jego głos wysoki i świszczący, jego uniesienie.

Otrzeźwiło go jej milczenie. Przetarł dłonią czoło i powiedział już całkiem zwyczajnie:

– Niech pani mi daruje. Jestem dziś tak wyczerpany nerwowo... Widzi pani, pani jest jeszcze bardzo młoda, a trzeba mieć trochę wyrozumiałości dla ludzi... Nie należy wszystkiego brać dosłownie... Nie należy patrzeć na wszystko zbyt prosto... Różne przeżycia zostawiają czasem bolesne bruzdy w człowieku... Proszę nie żywić do mnie urazy, panno Marychno, czy dobrze?...

– Nie mam do pana żadnej urazy – zapewniła zarliwie i pomyślała, że kocha go jeszcze więcej, niż jej się zdawało.

– Więc zostajemy nadal dobrymi przyjaciółmi?

– O tak!

– Bardzo się cieszę. I niech pani zapomni o tych przykrych rzeczach. Dobrze? Bardzo proszę. No i czas na mnie. Strasznie długo nudziłem panią. Do widzenia, panno. Marychno. Jeżeli jutro będzie się pani czuła zupełnie dobrze, miło mi będzie zobaczyć ją w fabryce. Do widzenia.

Pocałował ją w obie ręce i jeszcze od drzwi rzucił półgłosem.

– Proszę zapamiętać o wszystkim przykrym...

Marychna nie zapomiała. Nie mogła zapomnieć. Najdziwaczniejsze domysły nurtowały ją przez szereg następnych dni. Może on jest potajemnie żonaty, a może ma narzeczoną, dla-czegóż by mówił, że zasługuje tylko na współczucie, a niewart jest miłości?... Może porzucił gdzieś za granicą swoją żonę z dziećmi... A może cierpi na jakąś straszną chorobę?...

W każdym razie zamykał w sobie dręczącą tajemnicę, o której nikt nie wiedział, której nikt się nawet nie domyślał, a której rąbek przed nią tylko uchylił. Przed nią, bo i on do niej przecie coś czuje. Marychna nie łudziła się, że to jest z jego strony miłość, ale nie mogła wątpić, że jest tam serdeczna przyjaźń i sympatia. Sam powiedział, że trzeba mieć na świecie kogoś, dla kogo jest się dobrym, i nie ulegało kwestii, że tym kimś stała się dlań Marychna.

Z całego jego zachowania się wyraźnie to przeglądało. Teraz już przy innych nazywał ją „panną Marychną” i całował w rękę. Bardzo często odwoził ją do domu autem, kilka razy zabrał ją do cukierni na ciastka, a raz nawet do teatru i później na kolację do szynkownego lokalu.

W fabryce mówiono już o nich tak głośno, że wreszcie musiało to dotrzeć i do uszu Marychny, a że dotarło w formie tak oburzającej i obraźliwej, zawdzięczała to własnemu roztrągnięciu.

Mianowicie Biuro Kalkulacji często zaniedbywało dołączenia do biuletynów dziennych odpisów raportów z poszczególnych działów. Otóż pewnego dnia, pobieżnie przeglądając nadesłane papiery, Marychna nie zauważyła ich i poszła do szefa kalkulacji inżyniera Belnikowicza z pretensją o hamowanie jej pracy. Belnikowicz sprawdził rzecz i okazało się, że odpisy zostały przesłane. A że był to człowiek porywczy i złoćciowiec, zemścił się na Marychnie, mówiąc:

– Pani zanadto zajęta jest osobą swego szefa i dlatego przegapia robotę.

– Jak pan śmie! – wybuchnęła Marychna.

– Co mam śmieć – wzruszył ramionami. – To pani się zapomina. Tu jest pani tylko urzędniczką, a mnie nie obowiązują żadne specjalne względy wobec każdej urzędniczki, która zostanie kochanką pana Dalcza.

Marychna rozplakała się i długo nie mogła się opanować. W takim stanie zastał ją też pan Krzysztof. Z początku nie chciała się przyznać do krzywdy, jaka ją spotkała, lecz w końcu opowiedziała mu wszystko. Wysłuchał spokojnie i bez słowa wyszedł. Myślała, że poszedł do Belnikowicza, i drżała z emocji. Okazało się jednak, że poszedł do pana Wilhelma Dalcza, z którym – jak zapewniał Holder – odbył burzliwą rozmowę. W wyniku tej rozmowy jeszcze przed upływem godziny inżynier Belnikowicz został zwolniony z fabryki.

Wiadomość o tym szybko się rozeszła i następstwem jej było, że odtąd jeszcze niżej kłaniano się pannie Jarszównie i jeszcze więcej mówiono o jej romansie z dyrektorem technicznym. Zdarzyły się nawet nad wyraz przykre dla Marychny wypadki, że różni pracownicy zwracali się do niej z prośbą o protekcję. Oczywiście, nigdy nawet nie wspominała o tym panu Krzysztofowi. Zresztą podczas pracy widywali się teraz mało, a mówili wyłącznie o kwestiach fabrycznych. Poza biurem zaś nigdy nie było w ich rozmowach nic, co by dotyczyło fabryki. I same te rozmowy były dziwne. Właściwie polegały na tym, że on wypytywał ją o różne rzeczy, o jej młodość szkolną, o stosunki rodzinne, o wrażenia z nielicznych przeczytanych książek i licznych widzianych filmów. O sobie nigdy nie mówił, a sposób, w jaki przerwywał rozmowę, ilekroć zaczynała pytać, onieśmielał ją do tego stopnia, że już do pytań nie wracała.

A przecież z biegiem dni, im dłużej go znała, wydawał się jej coraz bardziej tajemniczy, zamknięty w sobie i nieszczęśliwy, a tym samym interesujący. Pewnej niedzieli pojechała do Zielonki. Było to w dwa dni po owym skandalu z Belnikowiczem i oczywiście musiała ojczymowi opowiedzieć szczegóły awantury. Na jej żale pan Ozierko pokiwał głową:

– Cóż chcesz? Ja tam wierzę ci, że między wami nic nie było, ale każdy inny na pewno pomyśli, że jesteś jego kochanką. Po cóż by przy tobie skakał? Jesteś młoda, ładna, on kawaler... Wszystkie pozory przeciw tobie.

– Ludzie są wstrętni i po samych sobie sądzą.

– A cóż? Inna rzecz, gdyby to był chłopak, co by się mógł z tobą ożenić – westchnął pan Ozierko – wówczas gadaliby, że narzeczony...

– A dlaczego nie mógłby naprawdę być moim narzeczonym! – zbuntowała się Marychna.

– Dlaczego? Żartujesz chyba? Toż to pan całą gębą. Burżuj. Milioner.

– I milionerzy się żenia – bez przekonania powiedziała Marychna.

– Ale z kim? Cóż ty sobie myślisz, że on takich dziewcząt, jak ty, mało miał? Ot, pobawi się, pobawi się i rzuci. Dlatego dobrze robisz, że do niczego takiego nie dopuszczasz. Ożeniłby się! Wielka dla niego partia. Twój ojciec był tylko ślusarzem, a ja kreślarem w jego fabryce. Za niskie progi. I głowy sobie tym nie nabijaj, bo byłabyś głupia i na śmiech ludzki wystawiona. Zaleca się, niech się zaleca, a ty bądź dalej rozsądna.

Jednego tylko nie powiedziała Marychna ojczymowi: – że już jej ten rozsądek dokuczył. A dokuczył tym bardziej, że skoro i tak wszyscy podejrzewają, to niech przynajmniej ona wie, za co cierpi. Niech się już stanie.

Tymczasem – nie stawało się. Krzysztof Dalcz wprawdzie spędzał z Marychną wiele czasu, nawet często ją odwiedzał, ale do pocałunków przychodziło rzadko, zaś ani o krok dalej on się nie posuwał. Marychna nieraz opracowywała sobie cały plan strategiczny, by go ośmielić, gdy jednak przychodziło co do czego, samej brakło śmiałości, gdyż on stawał się nagle ponury i rozdrażniony, czasami nieprzyjemnie ironiczny.

Pewnego razu na niejaką zmianę sytuacji wpłynął alkohol. Byli w kinie, a potem na kolacji. Krzysztof, który nigdy nie pił, tym razem sam zaproponował koniak, a później wino. Po kilku kieliszkach Marychnie zaczęło się kręcić w głowie i chociaż widziała, że on omija kolejkę, nie oponowała przeciw napełnianiu swego kieliszka. Gdy odwoził ją do domu, była mocno podchmielona, on, chociaż pił mniej, również miał trochę w czubie, jak zauważyła – dość że wbrew swemu zwyczajowi nie pożegnał jej w bramie, lecz wszedł na górę. W mieszkaniu już wszyscy spali. Ciepło pokoiku Marychny ogarnęło ich atmosferą intymną i podniecającą.

– Chce mi się całować i spać i sama nie wiem, czego bardziej – przytuliła się doń Marychna.

Bez słowa obsypał ją pocałunkami.

– Panie Krzysztofie – szeptała – Krzysiu mój jedyny mój najdroższy, czy nie gniewasz się na mnie, że tak do pana mówię... Ja tak cię strasznie kocham... Twoje usta są takie gorące... Mój ty najśliczniejszy... Ty mnie wcale nie chcesz... Ty mnie nie lubisz. Czemu mnie nie chcesz?... Powiedz Krzysiu, mój złoty... Czemu ty jesteś taki dziwny i taki inny niż wszyscy mężczyźni? Powiedz?... Całujesz mnie, a odnoszę wrażenie, jakbyś się mną brzydził...

– Cicho, cicho, mały głuptasku – całował ją zdyszany.

– Ale nie gniewa się pan na mnie? Ja doprawdy nie wiem, co mówię, tak mi się kręci w głowie... O mój Boże... Krzysiu, Krzysieńku... Upiłam się, po coś mi pozwolił pić... Kochany... Taka jestem senna...

– Chodź, ułożę cię do snu – powiedział przez zaciśnięte zęby i pociągnął ją do łóżka.

Nie opierała mu się, gdy zdejmował z niej sukienkę, pantofelki, gdy drżącymi rękoma odpiął pas od podwiązek i zsuwał pończochy, głaszcząc jej skórę swoimi gorącymi mi gładkimi jak atlas rękami...

Miała oczy zamknięte, a w głowie wir, szalony kołowrót i szum. Nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje, nie była też pewna tego, że to nie sen, że leży naga w objęciach Krzysztofa, że jego usta i dłonie okrywają ją całą gorącą chciwą pieśczęcią. Niemal nieświadomie wyciągnęła ręce i napotkawszy szorstki materiał jego ubrania, uprzytomniła

sobie, że tak pragnęłyby przytulić się doń i że na przeszkodzie stoją te guziki kamizelki. Od-  
ruchowo zaczęła je odpinać, lecz już po chwili jego ręce zacisnęły jej palce mocno, obez-  
władniająco.

– Nie, nie – usłyszała – już czas spać, kochanie...

Później czuła, jak ją starannie otulał kołdrą, jak lekkim pocałunkiem musnął jej usta, zda-  
wało się jej, że skrzyknęły drzwi, i usnęła...

A nazajutrz znów było tak samo, jak zawsze. Ze zwykłym serdecznym uśmiechem wszedł  
do swego gabinetu, pocałował ją w rękę, zapytał, czy nie boli ją głowa, i zaczął dyktować.

Wieczorem, co już od dawna było ułożone, mieli iść na premierę do jednego z teatrów.  
Marychna nie tyle cieszyła się z pójścia na przedstawienie, ile z nowej sukienki, wyjątkowo  
ładnej, a zrobionej według rysunku Krzysztofa. Miała ją właśnie pierwszy raz włożyć.

O siódmej była gotowa i czekała na niego. Przyszedł wkrótce, lecz był w fabrycznym  
ubraniu, w którym, oczywiście, nie mógł iść do teatru. Wytłumaczył się tym, że ma dziś mi-  
grenę i że w ogóle fatalnie się czuje. Pójdą innym razem. Potem z wielkim zainteresowaniem  
oglądał ją w nowej sukni i orzekł, że jest zachwycająca, tylko koniecznie trzeba trochę, tak na  
półtora centymetra, wypuścić plisę w pasie. Poza tym zauważył, że naszyjnik ze sztrasów nie  
bardzo pasuje i że widział w pewnym sklepie coś, co będzie odpowiedniejsze.

– Widzisz, Marychno, że to może i lepiej odłożyć ten teatr. Zresztą przypomniałem sobie,  
że widziałem już tę sztukę w Berlinie. Jest to bardzo smutna rzecz. Jeżeli chcesz, mogę ci  
opowiedzieć?

– Jeżeli smutna, to po co? Wcale mi nie zależy na teatrze, byle pan... byłeś ty był ze mną.

– Właśnie, posiedzimy sobie i pogadamy. Hm... jednak opowiem ci tę sztukę...

– Czy jest zajmująca?

– Bardzo, chociaż powtarzam, że smutna. Otóż był sobie taki młody przystojny chłopak.  
Nazywał się Kurt. I była młoda ładna dziewczyna, nazywała się Emma. Kochali się, pobrali  
się, lecz w miesiąc po ich ślubie wybuchła wojna i Kurt poszedł na front...

– To bardzo smutne – westchnęła Marychna.

– Stało się jeszcze gorzej. Kurt został ranny i po długiej kuracji wrócił do domu jako in-  
walida... Wybuch szrapnela okaleczył go na całe życie... w ten sposób, że Kurt... przestał być  
mężczyzną... Rozumiesz?... Po dawnemu był ładnym dzielnym chłopcem, po dawnemu gorąco  
kochał Emmę, po dawnemu pragnął jej pieszczot, ale nie był mężczyzną.. Rozumiesz?...

– Rozumiem – szepnęła Marychna.

– Kurt był trzeźwym chłopcem i doszedł do przekonania że Emma nie może go więcej ko-  
chać, że on powinien usunąć się z jej drogi, że on jest dla niej ciężarem, że Emma go zniena-  
widzi, że ma do niego wstręt...

– Ale ona chyba nie była taka podła! – wybuchnęła Marychna.

Krzysztof zbladł i zapytał drżącym głosem:

– Myślisz, że powinna go była nadal kochać?

– Ależ naturalnie!

– I że mogła go kochać?

– Dlaczegoż by nie? Naturalnie! Czyż miłość polega tylko na tych rzeczach? Byłaby bez-  
wstydną, nędzną, podła... Czy... czy ona?

Krzysztof odwrócił głowę i powiedział cicho:

– Ona tak samo myślała jak ty, Marychno... Ale on nie umiał w to uwierzyć i popełnił sa-  
mobójstwo.

Marychna siedziała blada i cała drżąca, jej palce kurczowo się zaciskały, wreszcie nie wy-  
trzymała i zerwawszy się zaczęła powtarzać raz po raz:

– Głupiec, głupiec, okrutnik, głupiec!...

On siedział milcząco i gryzł wargi. Od górnej lampy światło padało na jego nieco podnie-  
sioną twarz i na półprzymknięte powieki, z których długie piękne rzęsy rzucały cienie na sma-

głe o nieprawdopodobnej karnacji policzki... Marychna oparła się plecami o drzwi i patrzyła wewnątrz jak urzeczona, starając się przeniknąć jego myśli.

Wiedziała, że był w wojsku, pokazywał jej nawet swoją książeczkę wojskową, ale odbywał służbę podczas pokoju, zresztą pamiętała dobrze, że wypisana tam była kategoria „A”, zatem... zatem nie był kaleką... Więc dlaczego właśnie dziś i właśnie po wczorajszym opowiedział jej to, dlaczego opowiadał w taki dziwny sposób? Dlaczego od tak dawna mówił o tej premierze, a teraz nie chciał na nią iść? Co to wszystko może znaczyć?...

Nie, dłużej jego milczenia nie zniesie, to jest ponad jej siły:

– Krzychu... – zaczęła i urwała, gdyż on nagle wstał.

– Muszę już iść – powiedział.

– Krzychu!

Spojrzał na nią jakby w roztargnieniu i wzruszył ramionami:

– Wiem, chcesz mnie zapytać, czy ta historia ma jakikolwiek związek z nami... ze mną?...

Zupełnie nie. Słyszysz?... Absolutnie nie...

– Więc dlaczego?...

– Nie pytaj, Marychno. Chciałem tylko poznać twoje zdanie z... innych powodów. Jeżeli lubisz mnie, jeżeli mnie chociaż odrobinę kochasz... nie wracaj do tego tematu. Przyjdzie czas, że sam powiem ci wszystko... Dobrze, kochanie?

Miękko otoczył ją ramieniem i leciuchno pocałował w oczy.

– Dobrze, Krzychu, dobrze – tuliła się do niego ufnie.

Postanowiła sobie nawet nie myśleć o tym, jednak niemal przez całą noc nie mogła zmrzyć oka.

Z rana w tramwaju spotkała, jak zwykle, kilka osób z personelu technicznego, trzymających się zawsze od niej z daleka, i młodego chemika fabrycznego, inżyniera Ottmana, który, według plotek krążących po biurach, miał się w niej podkochiwać. Marychna nigdy jego smętnawych zalotów nie brała poważnie, na nadszokiwanie odpowiadała nieszkodliwą kokieterią, lubiła go jednak przede wszystkim za to, że Ottman nigdy nie omijał sposobności, by z nią porozmawiać i powiedzieć jej kilka miłych komplementów. On jeden bodaj w całej fabryce nie zmienił do niej stosunku od czasu, gdy została sekretarką Krzysztofa, i po dawnemu uśmiechał się do niej swymi bardzo niebieskimi oczami.

Stali na pomoście i opowiadał jej właśnie z przejęciem o jakimś fenomenalnym aparacie do doświadczeń, nabytym świeżo do laboratorium fabrycznego, gdy do tramwaju wskoczył sekretarz Holder.

– O, pan już do pracy – zdziwiła się Marychna – cóż tak wcześniej?

Holder był nienaturalnie podniecony:

– Jak to – powiedział nie witając się – to państwo nic nie wiecie?

– Bo co się stało? – pogodnie zapytał Ottman.

– Dyrektor Wilhelm Dalcz nie żyje!

– Jezus, Maria! Umarł?...

Holder obejrzał się, twarz mu się skrzywiła i zrobił niewyraźny ruch ręką:

– Podobno... naturalną śmiercią...

### Rozdział III

Od poczty w Kazeniszkach do jakutowskiego dworu nie było więcej ponad cztery kilometry, ale zamieć zrobiła się taka, że stary Marciejonek, chociaż znał tu każde drzewo przydrożne i każdy kamień, nadłożył jeszcze dobrych dwa, zanim przez tumany śniegu dostrzegł pierwsze światła.

Zresztą we dworze tylko dwa okna były oświetlone, i to słabo, bo większą część szyb pozaklejano gazetami. Drzwi frontowego podjazdu od lat były nieczynne i zabite deskami, od kuchennej zaś sionki śnieg zawalił furtkę powyżej pasa tak, że posłaniec z trudem, klnąc i sapiąc, dotarł wreszcie do klamki. Drzwi nie były zamknięte. W sionce, gdzie wycie wiatru nie było już tak głośnie, dosłyszał dźwięki harmonii, na której ktoś w głębi domu wygrywał trepaka.

Marciejonek wszedł do ciemnej kuchni, nie śpiesząc się odwiązał basztyk, linę, którą miał ściągnięty kozuch, otrząsnął się i wydobywszy z zanadru telegram, zastukał do drzwi, a nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju, który dawniej, jeszcze za życia starych państwa Korniewickich, był kredensem. Na podłodze leżało kilka połamanych krzeseł, jakieś rozbite garnki i butelki. Potykając się dotarł do jadalni, zawalonej słomą i również ogołoconej od dawna z mebli. Zapach kiszzonej kapusty mieszał się tu ze stęchłym piwnicznym powietrzem.

Z sąsiedniego pokoju dolatywały zmieszane piskliwe głosy.

– Tfu – splunął Marciejonek – wstydu przed ludźmi nie ma.

Bezceremonialnie zastukał pięścią do drzwi. Chrapliwe dźwięki harmonii i piski umilkły nagle, natomiast rozległ się poirytowany głos:

– Kogo tam diabli przynieśli?

– Telegram.

– Co?

– Mówię: Telegram.

– No więc włącz, cymbale jeden!

Marciejonek, ociągając się, uchylił drzwi i powiedział:

– Ja tam nie mam po co wchodzić i na takie rzeczy i patrzeć, żeby grzech na stare plecy brać.

W odpowiedzi usłyszał piskliwy śmiech i kilka głośnych przekleństw. Przez szparę ujrzał nieduży pokój oświetlony kopnącą naftową lampą, stół, gęsto zastawiony butelkami, i siedzące przy nim obie Paraszówny, te „bezwstydne dziwki”, o których sam proboszcz powiedział z ambony, że są zakałą całej okolicy i sieją zgorszenie. Z pokoju bił gorący zaduch piwa, wódki i cebuli.

– Idź, Wańka, i odbierz telegram – odezwał się z kąta gruby głos.

Po podłodze zastukały leniwie ciężkie buty i przed Marciejonkiem stanął Wańka, piętnastoletni wyrostek, ze swoją harmonią, przewieszoną na rzemieniu przez ramię. Oczy miał czerwone jak królik, twarz spoconą i błyszczącą.

– Dawajcie – zatoczył się wyciągając rękę.

- Należy się złotówka – burknął Marciejonek i podał mu depeszę.
- Przeczytaj – warknął głos z kąta.

Chłopiec bezceremonialnie zsunął ze stołu kilka pustych butelek, rozłożył depeszę, zamyslił się i widocznie doszedłszy do przekonania, że harmonia będzie mu przeszkadzała w czytaniu, odstawił ją na okno. Chodząc człapał ogromnymi buciskami, których cholewy sięgały mu prawie do połowy chudych ud.

- No, prędzej – zirytował się głos w kącie.

– Już, panoczku, już... „Jaśnie wielmożny pan Paweł Dalcz. Przyjeżdżaj natychmiast... Ojciec zmarł tragicznie...” Napisano „tragicznie”... co to znaczy?...

- Czytaj – huknął głos mężczyzny i jednocześnie zatrzeszczały sprężyny łóżka.

– „...Grozi ruina... Wszyscy potraciliśmy głowy... W tobie ratunek... Matka”. To i wszystko, panoczku.

– To niby czyj ojciec? – zapytała jedna z Paraszaków, ściągając na plecach rozchełstaną bluzkę.

- O, głupia! Toż jego. Pawła – wzruszyła ramionami druga.

- Złotówka się należy – gniewliwie przypomniał się Marciejonek.

Tymczasem z posłania wstał sam gospodarz. Był tylko w koszuli i w kalesonach, wielki, barczysty, szedł z pochyloną głową, chwiejąc się i zataczając. Gdy głowa jego znalazła się w kręgu lampy, Marciejonek zobaczył porośniętą, od wielu dni niegoloną twarz, zmierzwiłone włosy i brudne ręce, w których trząsał się arkusik depeszy. Koszula też była brudna i w wielu miejscach podarta.

Podniósł głowę i usiłował skupić myśli. Jego brwi wykonały kilka ruchów.

– Wańka! – zawołał – biegaj do Lejby i powiedz, żeby pożyczył konia. Jeżeli nie zechce dać tobie, to niech sam mnie zawiezie na stację... Czekać... i żeby wziął dla mnie pięćdziesiąt złotych.

- On nie da – z rezygnacją zauważył Wańka.

– Musi dać! Powiedz mu, że mój ojciec zmarł i zostawił mi wielki spadek. Tak. I powiedz, że zgadzam się na ten ogród. Nawet i na trzy lata, jak on sam chce, byle dał pieniądze i byle pożyczył konia. Rozumiesz?

- Nie da...

– Nie twoja rzecz, ty parszywe szczenię! Marsz, a jak nie da, to tobie wszystkie zęby wybiję! No, jazda!

Wańka, nie śpiesząc się, naciągnął polatany kozuch, nasunął na oczy czapkę i wyszedł.

- Złotówka się należy – chrząknął Marciejonek.

- Jaka złotówka? – przeciągnął się Paweł Dalcz.

- Za telegram.

- Będę ci winien.

- Niech pan da, ja jestem biedny człowiek. Taka zawieja, błdziłem...

- Dałbym ci, ale nie mam – zastanowił się – zresztą czekaj, przyda ci się to?

Zdjął ze ściany skórzaną torbę myśliwską i podał staremu.

- Pewno, że się przyda, dziękuję panu.

– O, jaki mądry! – zerwała się młodsza z dziewcząt – oddaj to! To warte z dziesięć złotych. Paweł, nie dawaj tego jemu!

- Odczep się, ty szantrapo – odepchnął ją Marciejonek.

– Nie twoja rzecz – krzyknął Dalcz – idź, przynieś mi wody. Muszę się umyć i ogolić. A ty, Saszka, poszukaj w szafie, czy nie znajdzie się jaka koszula, i te buciki trzeba oczyścić.

Posłaniec wyszedł, a dziewczęta w milczeniu zabrały się do spełniania poleceń. Paweł tymczasem robił przegląd garderoby. Jedyne ubranie, jakie mógł włożyć, było poplamione i nie miało guzików. Ten łajdak Wańka pewnie poobcinał. Ostatecznie można sobie poradzić agrafkami, i tak pod futrem nie będzie widać... Nagle przypomniał sobie, że wczoraj posłał

Lejbie futro do zamiany na kozuch, zostawała tylko burka, bo przecie do Warszawy w kozuchu jechać niepodobna. I burka zresztą, stanowczo za lekka na taki mróz, wyglądała fatalnie. Na prawym rękawie widniała wielka dziura, którą wypalił sobie papierosem, gdy się upił w miasteczku...

– Sasza! – krzyknął – zobacz no tu, czy nie dałoby się jakoś załatać?

Po dłuższych oględzinach Sasza orzekła, że nie ma czym, bo „wypustów takich dużych nie najdziesz”.

Wreszcie jako tako garderoba została skompletowana. Umył się zimną jak lód wodą i to go nieco wytrzeźwiło, przynajmniej o tyle, że mógł się ogolić bez obawy pozacinięcia się. Pociąg z Wormiszek odchodził o pierwszej w nocy, teraz zaś, jak zapewniała starsza Paraskówna, nie mogło być więcej, jak jedenasta. Zegarka już od dawna w domu nie było ani na lekarstwo.

Jeżeli Lejba się nie zgodzi, sam pójdę do niego – myślał Paweł – muszę być jutro w Warszawie.

Jednakże nadspodziewanie Lejba się zgodził. Usłyszeli brzęk dzwonka jego sanek, a po chwili on sam zjawił się wraz z Wańką.

– No, Lejba – przywitał go Paweł – przywiozłeś pięćdziesiąt złotych?

– Po co wielmożnemu panu pięćdziesiąt? Bilet do Warszawy kosztuje tylko dwadzieścia siedem.

– Cóż ty sobie myślisz, że ja trzecią klasą pojedę?

– Jak kto nie ma nawet na trzecią... – zaśmiał się Żyd pojednawczo – a czyż to wielmożny pan nie jeździł trzecią?

– Tak, ale teraz to co innego. Nie mówił ci Wańka? Spadek wielki otrzymałem.

– Daj Boże, na zdrowie... To tatunio umarł?

– Umarł. Całą fabrykę mnie zostawił. Rozumiesz? Wiesz, co to za firma „Bracia Dalcz i Spółka”?... Miliony...

– Co nie mam wiedzieć? Pewnie, że wiem. Wielmożnemu panu na parę lat starczy.

Paweł zaśmiał się:

– Myślisz, że nie na dłużej? Głupi jesteś.

– Daj Boże do śmierci.

– No, dawaj te pięćdziesiąt złotych, już chyba czas jechać.

Żyd sięgnął do kieszeni i położył na stole sześć pięciozłotowych monet.

– Przecie to tylko trzydzieści – udał zdziwienie Paweł.

– Więcej nie mogę, nie mam – cofnął się Lejba i zapiął kozuch.

Paweł Dalcz chciał coś powiedzieć, lecz machnął ręką i zgarnął pieniądze do kieszeni. Nałożył burkę, poklepał dziewczęta po policzkach, Wańce zapowiedział, że wszystkiego pilnował, i wyszedł do sanek.

Stara jasnokoścista szkapa z trudem ruszyła „rozwalenki”, niskie sanie, załane słomą, do połowy już przysypane śniegiem. Zadymka wzmogła się jeszcze bardziej, a mróz tężał. Toteż gdy dowlekli się na stację, Paweł był na kość zmarznięty, a że w nieopalonym budynku stacyjnym trudno się było rozgrzać, ucieszył się, gdy wkrótce nadszedł pociąg. W wagonie trzeciej klasy brudno było i ciasno, ale za to panowało tu rozkoszne ciepło.

Paweł z trudem znalazł siedzące miejsce między jakimś chłopem, z twarzą owiniętą czerwona kraciatą chustką, a młodą i ładną Żydóweczką. Wcisnął się, wpakował ręce do rękawów i pogрузił się w rozważanie sytuacji. Przypomniawszy sobie słowa depezy: – ojciec zmarł tragicznie... Oczywiście, albo zabili go robotnicy, albo sam popełnił samobójstwo... Raczej to, bo łączyłoby się z następnym zdaniem o grożącej ruinie... Ale po co matka w ogóle jego wzywała?... W jakim celu? Przecie nie po to, by asystował przy pogrzebie...

Pawła nigdy nie łączyła z ojcem przyjaźń. Od lat nie utrzymywali ze sobą żadnych stosunków. Od czasu gdy ojciec wypłacił mu jego część, w ogóle nie widzieli się. Paweł wyjechał do Paryża i siedział tam póty, aż stracił wszystko. Gdyby nie matka, która oddała mu swój



folwarczek, po prostu zdechłby z głodu, zresztą i tak życie, jakie prowadził, nie za daleko odbiegało od zdychania, a w każdym razie od wegetacji.

Kiedyś, było to przed piętnastu laty, Paweł wprawdzie próbował współpracy z ojcem, lecz zrezygnował szybko, nie mogąc znieść tego, co na gorąco nazywał zazdrością o władzę, a teraz arbitralnością i skrupulantwem. Skończyło się wówczas wielką burzą, w której z obu stron spiętrzone były wyrzuty i oskarżenia, że starczyło ich, by między ojcem a synem wzniesić barykadę nie do przebycia. Jako dwudziestodwuletni młodzieniec Paweł wyjechał natychmiast do Paryża z nienawiścią w sercu i z zawziętym postanowieniem zwycięstwa.

Jego młodą pierś wręcz rozsadał nadmiar inicjatywy, pomysłowości, energii. Wierzył, że zdobędzie świat, więcej, pewien był tego. Niemal natychmiast po przybyciu do Francji zorganizował wielki dom pośrednictwa, oparty na nieuprawianej jeszcze wówczas sprzedaży ratowej. Włożył w to cały kapitał, którym go rodzina spłaciła z udziału w fabryce. Było to jednak zbyt mało, a w porę nie zdołał zdobyć potrzebnych kredytów. Z bankructwa zdołał uratować kilkanaście zaledwie tysięcy, no i całą żywotność swego zmysłu do interesów. Przerzucał się z jednego pomysłu na drugi, usiłował zdobyć współników dla swoich rozległych planów. Ci podziwiali go, kręcili głowami i woleli nie ryzykować.

W ciągu trzech lat stracił wszystko. Najpierw ogarniała go rozpacz, później popadł w zupełną apatię, przez rok prawie nie wstając z łóżka i żyjąc na koszt przygodnej kochanki, której nawet imienia teraz przypomnieć sobie nie umiał. Zerwał wszelki kontakt z domem. Na listy matki przestał odpowiadać, a z rodzeństwem nigdy go nic nie łączyło. Kilka razy wzbierało w nim znowu pragnienie czynnego, mocnego życia. Wówczas zrywał się, zabierał się do realizacji wielkich interesów, olbrzymich projektów, które nigdy nie dochodziły do skutku. Paweł tłumaczył to pechem, inni po prostu fantastycznością zamierzeń.

O tym długim okresie życia Pawła nic nie wiedzano w Warszawie. Przed czterema laty matka odnalazła go pijanego do nieprzytomności w nędznym hoteliku portowym w Marsylii. Wówczas to zgodził się wrócić do kraju pod warunkiem, że mu matka odda swój posazny folwarczek. Jakże wiele sobie obiecywał po tym niewielkim skrawku ziemi, który miał się stać odskocznią wspaniałych planów, gruntem pod fantastyczne gmachy nienasyconych ambicji, a pod naciskiem szarej, potwornie leniwej rzeki codzienności zmienił się w barłóg zaszczutego zwierzęcia, w ostatni – zdawało się – etap wegetacji „byłego człowieka”...

I nagle ta depesza... Tragiczna śmierć... Grożąca ruina... Wzywają go... Miarowy rytm rozpedzonych kół... Wagon drży od pośpiechu... Więc jest jeszcze do czego się śpieszyć! Więc jeszcze nieprzebrana ostatnia stawka! Więc jeszcze raz zanurzy ramiona w gąszczu życia!... Czy warto?...

– Warto, warto, warto, warto – odpowiedziały rozpedzone koła.

Poczuł w piersi palący żar i sprężył ręce, aż zatrzeszczały stawy. Nie mógł wysiedzieć na miejscu. Wstał i wyszedł na korytarz. Za oknami szalała śnieżycy. Tor będzie zasypany i po ciąg utknie... Nie! Nie!... Nie namyślając się otworzył okno i wychylił głowę. W twarz rozgrzaną uderzył mroźny wicher, głowę otoczył wir drobnych płatków śniegu. Pociąg właśnie wyginał się łukiem zakrętu, z lokomotywy rwał nabrzmiąły łuną iskier pióropusz dymu... Nie, nic go nie zatrzyma, nic nie zwolni tego pośpiechu! Zwycięsko zaryczał gwizd parowozu i Paweł zawtórował mu dzikim, nierozumnym krzykiem... Krzyczał w noc i pustkę, krzyczał siłą całych szerokich płuc, aż mu żyły na skroniach nabrzmiąły, aż palce kurczowo wpiły się we framugę okna...

Jego powrót do przedziału obudził Żydóweczkę.

– Czy to były Suwałki? – zapytała przecierając zaspane oczy.

– Nie.

– A pan cały mokry – zauważyła – wychodził pan na jakąś stację?

– Nie, otwierałem okno.

Ziewnęła szeroko, poprawiła kapelusik i zapytała:

– Pan pewno do Warszawy?  
 – Tak, a panienka?  
 – Ja też do Warszawy.  
 Przyjrzał się jej: była ładniutka i jeszcze bardzo młoda.  
 – Pewno do rodziny? – zapytał.  
 – Nie, szukać zarobku. W Warszawie podobno łatwiej. A pan za interesami?  
 – Dlaczego myśli panienka, że za interesami? Może też dla zarobku – powiedział żartobliwie.  
 – Tacy nie potrzebują zarobku – obrzuciła go badawczym spojrzeniem.  
 – Jeżeli mają.  
 – Tacy nie mają zarobku i nie potrzebują. Oni mają dochody – zawyrokowała.  
 Paweł roześmiał się:  
 – Z czego panienka wnioskuje, czy z tej starej i dziurawej burki, czy z tego, że jadę trzecią klasą?  
 – Czy ja wiem? – wzruszyła ramionami – może pan przez oszczędność... Może przez ostrożność. Nie wygląda pan na takiego, co by musiał.  
 – Za wysoko mnie panienka taksuje. Więc na kogo ja wyglądam?  
 – Skąd ja mogę wiedzieć? Może ziemianin, a może kupiec, a może ktoś bardzo ważny?...  
 Ale prawdziwego pana to zawsze można poznać, choćby i nie wiem jak się ubrać.  
 – Myli się panienka – pokiwał głową i umilkł.  
 Przypomniał sobie, ile razy w życiu spotykały go niepowodzenia z tej jedynie racji, że brakowało mu odpowiedniego ekwipunku. Wiedział, że będąc w dobrej formie miał powierchowność wzbudzającą zaufanie, lecz by to zaufanie utrzymać, konieczna jest oprawa. Wyjeżdżając nie pomyślał o tym, jak pokaże się w domu rodziców w takim stanie? Nie chodziło mu o matkę, która widziała go w jeszcze gorszym i o której zdanie nie dbał. Ale inni, całe to tak obce i prawie nieznanym rodzeństwo? Ten jakiś Jachimowski? Matka w swoim głupim snobizmie oczywiście ani wspomniała im nigdy o jego degrengoladzie i o tak zwanym upadku. Im nie może się pokazać tak obdarty.  
 Wprawdzie nie przygotowywał sobie z góry żadnych planów, wiedział jednak, że powinien wyrzucić dodatnie wrażenie. Po dłuższym namyśle przyszedł do wniosku, że najlepiej będzie zajechać do jakiegoś małego hoteliku i tam wytelefonować matkę. Ruina, nie ruina, ale przecież kilkaset złotych na ubranie i palto dla niego znajdzie. Zresztą od czego kredyt.  
 Pociąg przyszedł do Warszawy o ósmej z minutami. Paweł wypił na dworcu szklanekę kawy i ruszył pieszo przez Pragę. W jakimś sklepiku mleczarskim zwrócił jego uwagę wywieszony w oknie napis: „Telefon czynny”. Zmienił zamiar i wszedł. W katalogu z łatwością odszukał numer i zadzwonił. Odezwał się służący, który powiedział, że jaśnie pani chora i do aparatu nie podchodzi.  
 – Proszę powiedzieć pani, że dzwoni syn.  
 – Syn?... To pan Zdzisław? Jakoś głosu nie poznję... – ociągał się lokaj.  
 – Nie Zdzisław, cymbale, a Paweł.  
 – Bardzo przepraszam, ale to chyba pomyłka. Tu jest mieszkanie państwa Dalczów.  
 – Powiedz pani, że dzwoni pan Paweł. Czy długo mam jeszcze z tobą rozmawiać? – zawołał już poirytowanym głosem.  
 Służba tu nawet nie wie o moim istnieniu – pomyśl z jakąś złośliwą satysfakcją.  
 W tejże chwili usłyszał w telefonie głos matki: wybuchła potokiem egzaltowanej radości. Jaki on dobry, że przyjechał, jaki kochany, że nie zostawia ich w nieszczęściu. Co ona biedna zrobiłaby bez niego!  
 – Mamo – przerwał sucho – po pierwsze mów po angielsku czy po francusku. Po drugie jestem bez grosza i nie mam możliwego ubrania. Przyjść do ciebie nie mogę, bo nie chcę w tym stanie prezentować się całej tej twojej rodzinie ani służbie...

– Ależ ja jestem w domu sama, a służbę mogę wyprawić. Osobiście otworzę ci drzwi, tylko zaraz, błagam cię, przyjeżdżaj.

– Jak to sama? Przecie musi tam być tłok. Ciało chyba jeszcze jest w domu?

– Nie, na szczęście nie. Umarłabym ze strachu, przecie wiesz, jak bardzo trupów się boję. Zabrali do prosektorium. Co za kompromitacja! Co za skandal! Nigdy mu tego nie daruję. Żeby człowiek w jego wieku mógł popełnić podobny nietakt i popełnić samobójstwo, i to w taki wstrętny sposób!...

– Ach, więc to samobójstwo?

– Tak, wyobraź sobie, powiesił się. Wyglądał strasznie!

– Zaraz przyjadę – powiedział Paweł i położył słuchawkę.

Drzwi otworzyła sama pani Józefina i rzuciła mu się na szyję. Odsunął ją dość łagodnie, ale stanowczo:

– Przede wszystkim usiądźmy gdzieś i pomówmy o ubraniu dla mnie. Widzisz, jak wyglądam.

– Jezus, Maria!... Trzeba zaraz do krawca, a tymczasem może byś się ubrał w któryś garnitur ojca, naturalnie jeżeli się nie brzydzisz, bo ja mam wręcz organiczny wstręt do wszystkich przedmiotów należących do zmarłych...

– Ja nie mam wstrętu i nie mam czasu na niepotrzebną paplaninę. Gdzie jest pokój ojca?

Zaprowadziła go do narożnego pokoju, lecz sama nie chciała wejść. – Tu się powiesił, na tym haku... Okropne... – ścisnęła syna za ramię.

– A ubrania są w tej szafie? – zapytał obojętnie.

– Tak. I może byś się wykapał? Sama przygotuję ci łazienkę.

Paweł skinął głową i podczas gdy pani Józefina zajęła się kąpielą, wybrał sobie czarne wizytowe ubranie. Był tęższy od ojca, lecz jednakowy wzrost sprawiał to, że garnitur leżał prawie bez zarzutu. Stare ubranie zwinął w tłomok i zamknął w jednej z szuflad na klucz. Bez ceremonii wyjął czystą bieliznę i kołnierzyk. W niespełną godzinę wszedł do buduaru, gdzie oczekiwała go matka, wyświeżony i ubrany.

Pani Józefina wybuchła serią zachwytów nad jego wyglądem. Stał przed lustrem i stwierdził, że istotnie jego powierzchowność niewiele pozostawia do życzenia. Wprawdzie tryb życia, jaki prowadził, nie pozostał bez śladu w jego rysach, wprawdzie zmarszczki koło szarych wyrazistych oczu i koło wąskich stanowczych ust układały się w nieuchwytny grymas szyderstwa, a gęste blond włosy mocno były przysypane siwizną, całość jednak wraz z wyprostowaną i sprężystą w ruchach postacią przedstawiała się poważnie, świeżo i energicznie.

– No, w porządku – usiadł i zapalił papierosa – teraz słucham.

Zaczęła opowiadać. Wszystko stało się tak niespodziewanie. Ojciec wrócił z fabryki o normalnej godzinie, zjadł obiad i zamknął się w swoim pokoju. Właśnie miała gości, więc zarówno ona, jak i Halina, nie mogły znaleźć czasu, by się ojcem zająć, zresztą któż by przypuszczał! Dopiero około pierwszej, gdy już wszyscy się rozeszli, służący zameldował jej, że stukał na próżno do pokoju pana i ma obawę, czy pan nie zasnął, gdyż wcale nie odpowiada. Wówczas otworzyli drzwi od gabinetu i znaleźli go wiszącego na sznurze od szlafroka. Natychmiast wezwali pogotowie, lecz lekarz mógł już tylko stwierdzić śmierć. Skandalu nie udało się ukryć, bo i służba widziała, i lekarz zawiadomił policję.

– Nie zostawił żadnego listu?

– Owszem. Zostawił na biurku pakiet zalakowany, adresowany do Karola. Na szczęście zdążyłam schować to przed przyjściem policji.

– Oczywiście nie odesłała mama tego stryjowi?

– Broń Boże! Któż może wiedzieć, co ten szaleniec tam napisał? Może testament, może nas wszystkich wydziedzicza na rzecz tego Krzysztofa? Mój drogi, człowiek popełniający samobójstwo w tym wieku i w takich warunkach musi być niespełna umysłu, bo tylko wyobraź sobie...

– Gdzie jest ten pakiet?... – przerwał Paweł.

– Mam go tu, w biurku – zerwała się pani Józefina – nikomu o nim nie wspominałam, bo byłam pewna, że przyjedziesz ty, mój najdroższy synku, i najlepiej będziesz wiedział, jak wszystko załatwić. Zdziś, sam wiesz, jest do niczego, a Hala pocziwa dziewczyna, ale o interesach pojęcia nie ma. Ludka zaś i jej mąż... nigdy do niego nie miałam zaufania. Zresztą oni wszyscy głowy potracili...

– Czy oni wiedzą, że mama po mnie depeszowała?

– Broń Boże.

– Zaraz, mamu, tylko dobrze nad tym się zastanów: – czy oni, no i stryj, mogą przypuszczać, że ja byłem gdzieś za granicą?

– No, nie wiem – zawahała się – sędzę, że w ogóle nic o tobie nie wiedzą. Nie interesowali się tobą wcale.

Paweł wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wodziła za nim oczami, starając się ze ściągniętych brwi wyczytać, jeżeli nie jego myśli, to przynajmniej wróżbę dla siebie i dla nich wszystkich. Ona jedna wierzyła wciąż w niego, a przecie sam fakt samobójstwa Wilhelma dość chyba wymownie świadczył, że są zrujnowani, że czeka ich nędza, może głód, a w każdym razie utrata pozycji towarzyskiej i społecznej. I jeżeli skąd można było oczekiwać ratunku, to tylko od Pawła.

– Słuchaj, mamu – zatrzymał się przed nią – przede wszystkim mój przyjazd był dla ciebie niespodzianką. Rozumiesz?... Nic o niczym nie wiedziałaś. Przypominasz sobie tylko, że w ostatnich czasach ojciec korespondował ze mną w jakiejś ważnej sprawie. Wysyłał listy do mnie za granicę. Rozumiesz?

– Jak to? – zdziwiła się pani Józefina.

– Postaraj się być pojętniejsza – powiedział z ironicznym naciskiem.

– Ach, rozumiem – ucieszyła się – mam im tak mówić!

– Właśnie. Możesz sobie nawet przypomnieć, że ojciec ostatnio był zdenerwowany tym, że nie przysyłał jakiegoś przedstawiciela, na którego on czeka. Rozumiesz?

– Tak, tak, ale po co to wszystko?

Paweł wzruszył ramionami:

– Po to, żeś chciała, zdaje się, bym spróbował cię ratować. Otóż... daj ten pakiet.

Otworzyła biureczko i podała mu dużą olakowaną kopertę. Obejrzał pieczęcie, były nienaruszone.

– Wcale nie zagłądałaś nawet? – zdziwił się.

– Po prostu bałam się.

– Hm... To dobrze. Nie wspominaj nikomu o istnieniu tej koperty. To jest konieczne. A teraz postaraj się, by mi nikt nie przeszkadzał. Muszę to przestudiować.

Kiwnął jej głową, wszedł do pokoju zmarłego i zamknął, za sobą drzwi, przez które dobiegło go jeszcze pytanie matki:

– Czy w dalszym ciągu twój przyjazd ma pozostać tajemnicą?

– Nie. Wolałbym nawet, byś zawiadomiła o nim swoje kochane dzieci.

Usiadł i rozciął brzeg koperty. Wewnątrz pełno było papierów zapisanych masą cyfr i notat, a na samym wierzchu leżał list, zaczynający się od słów „Kochany Karolu”. Paweł zaczął czytać:

„Zdaję sobie sprawę, że moje samobójstwo będzie szkodliwe dla opinii firmy. Na pewno i Ty sam pomyślisz, że zdołałem ukryć przed tobą zbliżające się bankructwo, że popełniłem jakieś nadużycia, których nie zdołałem na czas wyrównać, i że nie pozostało mi nic innego, jak rozstać się z życiem. Otóż tak nie jest. Wszystko pozostawiam w zupełnym porządku, fabryce żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Dla twojej orientacji załączam tu dokładne i wyczerpujące sprawozdanie o stanie interesów. Przyda się ono Krzysztofowi przy objęciu przezeń stanowiska naczelnego dyrektora. Dla niego też podaję osobno rodzaj instrukcji i moje opinie o niektórych pracownikach.

Jak widzisz, schodzę ze sceny w zupełnie uczciwy sposób. Po kilku tygodniach nasz świat handlowy i bankowy zorientuje się, że firmie nic nie grozi i że moje samobójstwo nie stoi w żadnym związku z jej sytuacją materialną. Nie zostawiam żadnych listów do Józefiny, do swoich dzieci czy do policji, bo przed nikim nie chcę i nie mam obowiązku tłumaczyć się ze swego kroku. Tobie jednak, Karolu, winienem wyjaśnienie.

Z zamiarem tym nosiłem się od dawna. Od dawna przekonałem się, że właściwie nic mnie z życiem, jakie prowadzę, nie łączy, nic nie wiąże. Przez jakiś czas chciałem pojmować je jako obowiązek względem mojej rodziny. Zbyt długo wszakże nie mogłem mieć tego złudzenia. Jestem im niepotrzebny, obcy, idealnie obojętny, z wyjątkiem tych wypadków, kiedy staję im na drodze swoją niedorzeczną przedwojenną etyką i swoim anachronicznym charakterem. Wówczas mnie nienawidzą tak, jak i ja ich nienawidzę, rozumiejąc, że przecież to oni mają rację, oni płyną z nurtem, a ja daleko zostałem poza naszymi czasami, poza dzisiejszym życiem. Próbowałem mu nadażyć i wówczas stawałem się sobie samemu wstrętny, zabłąkany, bezsilny. Nie potrafię dotrzymać tempa i nie potrafię pogodzić się z treścią dzisiejszego świata. Uważałem zawsze życie za teren polaryzacji wysiłków i dążeń ku pewnym celom. Dla współczesnego człowieka życie stało się celem samym w sobie. Miejsce idei i zasad zajęły idee i zasady «stosowane», jak jest «sztuka stosowana». Dogmaty, na których opierały się dawne pokolenia, zostały wyrzucone na strych, a nowych nie stworzono, bo byłyby tylko zawadą.

Nie umiem w tym wytrzymać dłużej. Współczesne życie nie daje mi swoich soków, które zresztą są dla mnie trucizną. Odpadam tedy od pnia, jak stara gałąź, skazana na zagładę w klimacie nowej epoki. Nie jestem pierwszy ni ostatni. Z naszego pokolenia w tenże sposób odeszło już wielu. Holtzer, Berengowski, Sornitowicz, Wajsblum... Janusz Genwajn był dwunasty. Czas i na mnie.

Miałem jeszcze jeden obowiązek: – obowiązek wobec pamięci naszego ojca i założonej przezeń firmy. Ten spełniłem. Po mojej śmierci poleć Krzysztofowi otworzyć kasę ogniotrwałą, stojącą w moim gabinecie fabrycznym. Są tam akty dotyczące pożyczki dwustu tysięcy dolarów, zaciągniętej przeze mnie bez Twojej wiedzy w banku «Lloyd and Bower» w Manchesterze. Termin ostatni płatności wypada za dwa miesiące. Otóż załączam tu pokwitowania za całą sumę. Spłaciłem wszystko do grosza. Zużyłem na to wszystko, co posiadałem, i wszystko, co stanowiło udział moich dzieci w firmie. Nie mam z tego powodu żadnych skrupułów. Wiem, że nie odbierzesz im utrzymania, jakie mają. Pensja Zdzisława powinna wystarczyć na to. Poza tym Józefina posiada kawałek ziemi na Kresach. Jeżeli chcesz, zajmij się nimi bliżej. Ja Ciebie jednak o to nie proszę. Żegnaj, Karolu, i wiedz, że odchodzę bez żalu.

*Twój brat Wilhelm*”

Paweł przeciągnął się i wyprostował. Na jego twarzy zjawił się uśmiech. Oto miał, czego szukał, oto trzyma w ręku ratowniczą linę, która wydobędzie go z dna. Pod czaszką zakłębiły się myśli. Biegły każda jakby z innej strony, chaotyczne, chwiejne, nieuchwytnie, lecz z błyskawiczną szybkością splatające się w mocne węzły sieci, w logiczną strukturę planu.

Nie widział go jeszcze w całej rozciągłości, lecz orientując się w doraźnej pozycji własnej z nieomylną pewnością, czuł, wyczuwał wielką perspektywę wspaniałej gry, do której przystępuje z nie byle jaką stawką i w pełni nienasyconej woli wygranej.

Z początku drgały mu nieco ręce, gdy przerzucał papiery i notatki. Gdy jednak odnalazł plik pokwitowań banku „Lloyd and Bower”, uspokoił się zupełnie. Już całkiem na zimno przestudiował resztę materiału, sporządzonego istotnie z taką przejrzystością, że bez żadnego trudu zapoznał się z materialną sytuacją Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, z faktem, że jedynym właścicielem pozostał teraz młodszy z braci Dalczów, jego stryj Karol, no i jego spadkobierca, Krzysztof.

O stryju wiedział Paweł, że jest sparaliżowany i nie opuszcza łóżka, o Krzysztofie nic, poza faktem dziedziczenia przez niego dużych kapitałów, zapisanych przez nieboszczyka Wybora. Młodszy od siebie o lat dziesięć czy jedenaście brata stryjecznego widział zaledwie dwa czy też trzy razy w życiu, gdy tamten był jeszcze małym chłopcem.

Poza tym wchodziła w grę rodzina. Z matką, oczywiście, wcale nie potrzebuje się liczyć. Ta kobieta zastępuje się ślepo do jego życzeń. Halina nie orientuje się w niczym. Zdzisław jest głupcem. Pozostaje Ludwika i jej mąż, doktor Jachimowski, no i kuzyn Jachimowskiego, znany przemysłowiec naftowy, Waclaw Gant. O Gancie wiedział Paweł, że siedzi w Drohobyczu i pilnuje swoich większych interesów, a administrowanie udziałami w fabryce Dalczów powierzył Jachimowskiemu. Z tym Paweł również mało się stykał. Był zaledwie wyrostkiem, gdy Jachimowski starał się o rękę Ludwiki, i pamiętał, że do małżeństwa doszło wbrew woli matki, która krzywiła się na pochodzenie i maniery galicyjskiego doktora, lecz nie umiała przezwyciężyć uporu córki. Jachimowski wówczas uchodził za człowieka sprytnego, obrotowego i mającego nos do interesów. Żeniąc się wniósł do firmy swój nieduży kapitał i wprowadził Ganta. Natomiast posagowe udziały Ludwiki pozostały nadal w zarządzie teścia, no i teraz równały się okrągłemu zeru.

Paweł starannie złożył wszystkie papiery i wsunął je do kieszeni. Zabrał się teraz do przeglądu szuflad biurka, lecz nic godnego uwagi tam nie znalazł. Właśnie otwierał ostatnią, gdy zapukała pani Józefina:

- Przepraszam cię, Pawełku, ale może byś zjadł śniadanie?
- Z przyjemnością – odpowiedział wesoło – jestem porządnie głodny.
- To chodź. Telefonowałam do fabryki i sprowadziłam Zdzisia. Będziecie się mogli narodzić, bo ja już zupełnie straciłam głowę.
- Cóż Zdzisław? – krzywo uśmiechnął się Paweł – bardzo był zachwycony moim przyjazdem?
- Dziwił się – wymijająco odpowiedziała pani Józefina.
- Tak?... Zdziwi się jeszcze bardziej, ja to matce gwarantuję. Ale mama, oczywiście, powiedziała mu, że przyjeżdżam z zagranicy? – zaniepokoił się.
- Naturalnie. Przecie wyraźnie mnie o to prosiłeś.
- I że byłem w ostatnich czasach w korespondencji z ojcem?...
- Tak, i to go wprawilo w największe zdumienie.
- Wybornie. Zatem gdzież to śniadanie?

W jadalni czekał Zdzisław, chodząc nerwowymi krokami dookoła stołu. Powierzchność jego świadczyła o przygnębieniu i niepokoju. Wchodzącego brata powitał spojrzeniem, jakim się patrzy na intruza, od którego należy w dodatku oczekiwać nieuzasadnionych pretensyj, na marnotrawnego brata, który w najcięższym momencie zjawia się jako nowy ciężar.

Paweł doskonale to odczuł i dlatego, nie postąpiwszy ani kroku naprzód, z wręcz protekcyjnym gestem wyciągnął rękę i powiedział tonem niemal łaskawym:

- Jak się masz, Zdzisławie.
- Nieco tym zaskoczony, Zdzisław zbliżył się niepewnie i uściśnął dłoń brata, bąknąwszy:
  - Przyjechałeś?...
  - Niestety, o dwa dni za późno. Nie przypuszczałem, że ojciec popęlni ten krok, zanim nie zostaną wyzyskane wszystkie szanse ratunku.
  - Przepraszam cię, jakiego ratunku?
  - Jakiego? – Paweł obrzucił go lekceważącym spojrzeniem – więc nawet nie zadaliście tu sobie trudu, by dowiedzieć się, że ojciec stracił cały swój i wasz majątek?
  - Boże! To niemożliwe! – chwycił się za głowę Zdzisław – zresztą skąd ty o tym wiesz! Skąd w ogóle możesz wiedzieć! Ojciec mógł popełnić samobójstwo z każdego innego powodu!...
  - Oczywiście – uciał Paweł – na przykład miłość bez wzajemności. Mamo, każ podawać to śniadanie, bo doprawdy nie mam czasu. Muszę być w paru bankach i u stryja. Pani Józefina nacisnęła guzik dzwonka, a Zdzisław chwycił brata za łokieć: – Matka mówiła, że ojciec pisał

do ciebie za granicę. No, przestańże być wreszcie z łaski swojej Pitią delficką! O co, u ciężkiego diabła, chodzi?! Ojciec grał na giełdzie czy co, bo już nic nie rozumiem?!

– Przede wszystkim uspokój się i jeżeli ci to różnicy nie robi, przestań gnieść mój łokieć. Z tego, co mówisz, widzę, że ojciec nie zostawił żadnego wyjaśnienia, a wy sami nie interesowaliście się stanem waszych interesów.

– Ależ, Pawle! Nie znalazłeś ojca czy co – załamał ręce Zdzisław – przecie ten despota nikomu nie pozwalał na kontrolę tego, co robi. Wszystko do ostatniej chwili tak zazdrośnie trzymał w ręku, że nikt, nawet stryj, nie wie, co się stało!

– Mówiłeś ze stryjem? – obojętnie zapytał Paweł.

– Mówiłem z tym jego Blumkiewiczem. Tam jest prawie panika.

– No, tam do paniki nie ma powodów.

– Czy przez to chcesz powiedzieć, że tu jest?...

Paweł spokojnie nałożył sobie szynki na talerz i spod oka spojrzął na brata:

– To zależy. Nie będę wszystkim poszczególnie opowiadał całej sprawy. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Osobiście widzę jeszcze możliwość uratowania, jeżeli nie wszystkiego, to pewnej części waszego majątku. Przedstawię to sam, gdy się zbierzecie razem. Porozum się, proszę z Halinką i z Ludwiką, by tu przyszły. Chciałbym też, by był obecny Jachimowski. On jeden, zdaje się, ma głowę w porządku. Musimy się naradzić.

– Ludka jest cierpiąca i nie wychodzi z domu – zauważyła pani Józefina – chyba zbierzemy się u nich?

– To obojętne, byle nie tracić czasu.

– Tak, tak – potwierdził Zdzisław i wybiegł z pokoju, by telefonować.

– Czy i ja będę wam potrzebna? – zapytała pani Józefina.

– Naturalnie. Niech mama nawet wcześniej pojedzie do Jachimowskich i powtórzy im to, o co mamę prosiłem o moim pobycie za granicą, ściślej w Londynie, i korespondencji z ojcem.

– Pawełku kochany, czy naprawdę da się coś uratować z tej katastrofy?

– Jeżeli oni zechcą zastosować się do moich wskazówek, to możesz być spokojna.

W godzinę później jechał taksówką na Kolonię Staszica, gdzie jego szwagier Jachimowski miał swoją willę. W hallu wyszedł na jego spotkanie chłopiec w sportowym ubraniu, mogący liczyć nie więcej niż lat szesnaście, lecz pozujący na dorosłego mężczyznę.

– Pan Paweł Dalczyk? – zapytał – wuj pozwoli, że się przedstawię, Jan Jachimowski.

– Duży z ciebie chłopak – zdawkowo powiedział Paweł i poklepał go po ramieniu.

– Mama zaraz zejdzie. Babcia też jest u mamy, a tatuś telefonował, że zaraz przyjedzie razem z wujem Zdzisławem. Proszę, może wuj zapali papierosa? – wskazał mu fotel i podsunął mosiężne pudełko z papierosami – wuj mieszka stale w Londynie?

– Nie. Mieszkam tam, gdzie mnie zatrzymują interesy. Ostatnio w Londynie.

– Nita w lecie wybierała się do Anglii. Na pewno będzie wuja zanudzała wypytywaniem.

– Nita? To twoja siostra?

– No tak – ze zdziwieniem potwierdził Janek.

– Mogłem zapomnieć – z uśmiechem usprawiedliwił się Paweł – gdy ją widziałem, uczyła się dopiero chodzić. Ma już chyba siedemnaście lat?

– Osiemnaście i nie tylko chodzi, lecz jest najlepszą lekkoatletką w biegach długodystansowych – odpowiedział nie bez przechwałki.

Na schodach ukazała się pokojówka:

– Pani prosi pana na górę.

W niedużym saloniku zastał matkę i siostrę, która nie wstając podała mu rękę i wytłumaczyła się zbolalym głosem:

– Wybacz, Pawle, ale jestem cierpiąca. Jak ty jeszcze świetnie wyglądasz! Aż tryska z ciebie zdrowie.

– Ale strasznie posiwiiał – powiedziała pani Józefina.

– Gorączkowa praca na Zachodzie, interesy, giełda, wszystko, co może człowieka przyprowadzić o siwiznę – pokiwał głową i usiadł naprzeciw siostry.

– Daruj, Pawle, ale myślałam, że nie zajmujesz się żadnymi poważnymi sprawami. Do nas tu dochodziły z rzadka słuchy, że w ogóle nic nie robisz i że ci się źle powodzi.

– Masz rację. Przez kilka lat powodziło mi się nieszczerólnie. A widzisz, Ludko, ludzie są tacy, że z czyichś niepowodzeń zawsze są gotowi robić im zarzuty, tak same zresztą, jak z sukcesów zasługi. Dlatego tylko – zaśmiał się – nie popadam teraz w zarozumiałość, gdy mię darzą zaufaniem i w każdym najniewinniejszym słowie dopatrują się mojej wielkiej mądrości.

Zapałił papierosa i założywszy nogę na nogę, dodał:

– Gdy dociągnę do miliona, uznają mnie za wyrocznie, gdybym zaś stracił wszystko, nazwą mnie niezdara.

Zaległo milczenie i pani Ludwika przyglądała się mi z ciekawością:

– Więc teraz powodzi ci się dobrze? – zapytała.

– Komu się teraz dobrze wiedzie – wzruszył ramiona mi – jestem i tak wdzięczny losowi, że udało mi się uniknąć tych strat, jakie spotkały większych ode mnie i bardziej doświadczonych bawelnarzy. No, kiedyż oni przyjdą? – spojrzał na zegarek, który zabrał z szuflady ojca.

– Tu, widzę, ludzie jeszcze nie nauczyli się cenić czasu.

– Zaraz będą – zaniepokoiła się pani Ludwika – może pozwolisz herbaty?

– Prosiłbym o kawę.

Zanim przyniesiono kawę, przyszli Jachimowski i Zdzisław. Jachimowski zmieszanie i niepokój maskował uprzejmością. Zdzisław był ponury. Wraz z kawą zjawiała się Halina. Wpadła na górę w futrze i w botach. Ona najserdeczniej powitała brata, chociaż on przywitał się z nią obojętnie, a nawet demonstracyjnie obtarł policzek, na którym jej pocałunek zostawił czerwoną plamę.

– Chwileczkę – trzepała Halina, oddając zwierzchnią garderobę służącej i poprawiając suknię przed lustrem – zaraz wam służę. Pawełku! wyglądasz imponująco. Wiesz, że to obrzydliwie z twojej strony przez tyle lat nie pokazać się nam... Już służę, tylko muszę jeszcze zatelefonować do krawcowej, bo mi tej nieszczęsnej żałoby na czas nie skończy. Wiesz, mam, zdecydowałam się na koronki. Przepraszam was...

– Halino – stanowczym głosem odezwał się Paweł – krawcowa może poczekać, a ja nie. Proszę cię, usiądź. Mam dokładnie dwadzieścia trzy minuty czasu.

– Zaraz – zerwał się Jachimowski – pozamykam drzwi.

Paweł chrząknął i podsunął swój fotel. Widział, że intuicja go nie zawiodła. Z min wszystkich obecnych przeziarało oczekiwanie wiadomości ważnych, groźnych, decydujących, których on jedynie mógł udzielić, a które zaważą na ich losie o tyle i w tym stopniu, w jakim jemu się spodoba. Czuł, że zapanował nad ich wyobraźnią, że zatem ma gotowy grunt do opanowania sytuacji.

Zaczął mówić. Krótkie, suche zdania przedstawiały stan rzeczy. Ojciec przed dwoma laty potajemnie zaciągnął w imieniu firmy pożyczkę w „Lloyd and Bower Banku” w Manchesterze w kwocie dwustu tysięcy dolarów. Nie miał do tego prawa. Transakcja też nie została przeprowadzona przez księgi. Ojciec sam osobiście przeprowadzał korespondencję i pertraktacje. Wszystkie akty dotyczące tej sprawy, przynajmniej według tego, co ojciec pisał do Pawła, znajdują się w kasie ogniotrwałej w gabinecie fabrycznym ojca.

– Niesłychane! – wybuchnął Jachimowski.

– Kto ma klucze od tej kasy? – zapytał Paweł.

– Są u mnie – uspokoila go pani Józefina.

– To całe wasze szczęście – blado uśmiechnął się Paweł – otóż, jak się domyślicie, ojciec nie miał czym spłacić pożyczki, a termin się zbliżał. Zastawił udziały swoje, mamy, Zdzisława, Ludki i Haliny, by próbować szczęścia w spekulacjach giełdowych w Paryżu i Londynie.



Nie miał w tym względzie żadnego doświadczenia, trafił do rąk nieuczciwych maklerów i przegrał. Wówczas sprzedał wasze udziały pod warunkiem, że fakt sprzedaży pozostanie tajemnicą do połowy lutego, to jest do dnia posiedzenia Zarządu.

– Ależ to zwykła kradzież! – zerwał się Zdzisław – to kryminał!

– Nie przerywaj mi, proszę – chłodno odezwał się Paweł – otóż uzyskaną z tej powtórnej transakcji sumkę ojciec ponownie rzucił na giełdę i znowu stracił co do grosza. Ponieważ znajduję się w stosunkach z bankiem „Lloyd and Bower”, jak i większość bawelnarzy, przypadkowo dowiedziałem się, że obawiają się tam niedotrzymania terminu pożyczki, zaciągniętej przez firmę warszawską o takimż nazwisku jak moje. Oczywiście natychmiast wiedziałem, o co chodzi. Wywiadownia handlowa dała znać bankowi, że pożyczka nie figuruje w księgach firmy, że zatem Wilhelm Dalcz popełnił nadużycie, że dalej prowadzi nieszczęśliwe spekulacje giełdowe i że stoi na progu ruiny, wobec czego bank zamierzał złożyć u prokuratora warszawskiego doniesienie.

– Straszne! – złożyła ręce pani Józefina, która tak była przejęta słowami syna, że wprost wyszła jej z pamięci świadomość dzisiejszego ranka.

– Wówczas – ciągnął Paweł – podjąłem się pośrednictwa. Na szczęście, jak już powiedziałem, właśnie z tym bankiem łączyły mnie stosunki, a co za tym idzie, miano tam do mnie tyle zaufania, popartego zresztą moim rachunkiem bieżącym, że na to się zgodzono. Dalibóg – Paweł uśmiechnął się ironicznie – nie poczuwałem się do żadnego długu wdzięczności ani wobec ojca, ani wobec was, moi kochani... Nie dajcie mi nigdy do tego jakichkolwiek powodów... Hm...

Powiódł wzrokiem po zaszepionych twarzach.

– No, ale mniejsza o to. Napisałem do ojca. W odpowiedzi otrzymałem błagalny list – Paweł zrobił gest, jakby chciał ten list z kieszeni wydobyć – lecz – ciągnął dalej – rzecz szła opornie. Zdołałem wreszcie uzyskać zaniechanie drogi karnej. Ojciec przysłał mi szczegółowe dane dotyczące sytuacji firmy. Otóż ta jest zupełnie zadowolająca, co zaraz wam przedstawię.

Teraz istotnie wydobył z kieszeni plik arkusików, zapisanych znajomym dla wszystkich obecnych pismem pana Wilhelma. Zaczął odczytywać niektóre pozycje i komentarze, po czym, chowając papiery, dodał:

– Jak widzicie, firma pożyczkę spłacić może i stoi dobrze. Niestety, nic w niej nie pozostało waszego. Wszystko należy do stryja Karola i do Krzysztofa, nie licząc, oczywiście, udziałów Ganta i Jachimowskiego, które pozostały nienaruszone.

Zaległa cisza.

– Jesteśmy nędzarzami – cicho odezwał się Zdzisław i odwrócił głowę, by ukryć łzy.

– I... i nie ma żadnego ratunku? – drżącym głosem zapytała Halina.

Paweł przez chwilę gryzł wargi w głębokim namyśle.

– Ojciec wiele zepsuł przez swoje samobójstwo – powiedział – ratunek jeszcze był możliwy. Doniosłem mianowicie ojcu, że bank skłania się do poglądu, że będzie mógł pod pewnymi warunkami prolongować pożyczkę. Ostateczną odpowiedź miałem przywieźć sam przed dwoma dniami. Niestety, moje własne interesy zatrzymały mnie po drodze w Hamburgu o dwa dni dłużej. A nerwy ojca nie wytrzymały. Stało się...

– I kiedy należy oczekiwać skandalu? – zapytał Jachimowski.

– Jakiego skandalu?

– No przecież bank, dowiedziawszy się o samobójstwie...

– Ach, to chyba da się jakoś załatwić. Depeszowałem już do Manchesteru, a tu będę musiał porozumieć się ze stryjem. Sądzę, że obejdzie się bez skandalu.

– Ale cóż nam z tego! – rozpaczliwie jęknął Zdzisław.

– To zależy – powściągliwie zaznaczył Paweł.

– Więc mówże na litość boską, bo ja tu nic nie widzę!

- Macie jedną przewagę nad stryjem i nad Krzysztofem.
- Jaką przewagę?
- Tę, że wy wiecie, a oni nie.

Zapanowała cisza.

– Nie rozumiem cię, Pawle – spokojnie odezwała się Ludwika – co może nam przyjść z tego, że wiemy o tym wcześniej?

– Oczywiście – podchwycił jej mąż – przecie otworzą kasę pancerną w gabinecie, przecie ten bank się odezwie, no i pan Karol będzie równie dobrze o wszystkim poinformowany, jak i my.

– Właśnie powinniście się postarać, by nie dowiedział się, by zostawiono wam jak najwięcej czasu do szukania ratunku.

– Jeżeli szukanie to coś pomoże.

– Ha, jeżeli wolicie z góry zrezygnować...

– Ale nie widzę sposobu w ogóle utrzymania rzeczy w tajemnicy – powiedziała Ludwika.

– Jest jeden sposób, tylko jeden – zrobił pauzę Paweł – mianowicie objęcie w firmie stanowiska naczelnego dyrektora.

Ponieważ wszyscy milczeli, a w tym milczeniu było jakieś rozczarowanie. Paweł ciągnął:

– Gdy jeden z was na krótki chociażby czas obejmie to stanowisko, w jego ręku znajdą się wszelkie sprawy, którym różnie będzie mógł pokierować. Ze swej strony mogę obiecać, że przyczynię się do wszczęcia kwestii zwrotu pożyczki w taki sposób, że nie zostaniecie na lodzie.

– Tak... Widzę tu niejaki możliwości – pokiwał głową Jachimowski – i bardzo ci jesteśmy wdzięczni za twoją dobroć, ale, niestety, koncepcja jest nierealna.

– Dlaczego?

– Żadnemu z nas pan Karol nie odda naczelnej dyrekcji.

– Czy już ktoś ją objął?

– Nie. Ma objąć Krzysztof. Na razie panuje chaos i bezkrólewie.

Paweł uśmiechnął się:

– Są zawsze dwie drogi do otrzymania władzy: droga prawa i droga... uzurpacji.

– Jak to uzurpacji?

Zaczął im tłumaczyć. Sami mówią, że trwa jeszcze chaos i dezorientacja. Od dziesiątków lat wszyscy przywykli do władzy Wilhelma Dalcza i okaże się rzeczą naturalną, że po jego nagłej śmierci którejś z jego dzieci władzę tę odziedziczy przynajmniej na czas uporządkowania spraw, pozostawionych w nieładzie i w zagmatwaniu przez ojca. Można tu nawet posługiwać się górnolotnymi i patetycznymi słowami, jak rehabilitacja pamięci zmarłego, moralny obowiązek dzieci w uporządkowaniu jego pewnych zaniedbań. Stryj Karol nie będzie mógł tak przy otwartej jeszcze trumnie odmówić słuszności tym argumentom, zwłaszcza gdy objęcie władzy zostanie już dokonane i bez skandalu niepodobna będzie nowego dyrektora, a bądź co bądź członka rodziny, usunąć.

– Przemyślałem to nawet w drobnych szczegółach – z jakąś surowością w głosie mówił Paweł – przewiduję, że wszystko może przybrać stan pożądany. Tylko jeden warunek nieodzowny: ten z was dwóch powinien zostać naczelnym dyrektorem, który cieszy się większą powagą, większym szacunkiem, którego vox populi, opinia wszystkich pracowników uzna za uprawnionego do objęcia tego stanowiska. Darujcie, ale przez tyle lat nie widziałem was obu, że nie orientuję się, który z was mocniejszą ma rękę, większy mir u pracowników, większy głos u stryja i lepszą znajomość spraw fabrycznych. Powtarzam: musicie się zdecydować zaraz, bo tu nawet godzina odgrywa rolę. Z tym z was, którego desygnujecie, omówię rzecz szczegółowo i zapewniam, że z bliska wyglądać ona będzie łatwiej, niż się teraz wydaje. Naturalnie, jeżeli nie zamierzacie ratować swego majątku, to szkoda zachodu. Ze swej strony widzę wręcz obowiązek wasz wzięcia biegu rzeczy w cugle, a i mnie na tym zależy, gdyż wówczas nie zostanę skompromitowany wobec manchesterskiego banku, no i otrzymam swoją prowizję. Radźcie zatem, byle szybko.

Wstał i odszedł w drugi kąt pokoju. Tu na stoliku rozłożył papiery, wyjął ołówek i zdawał się całkowicie pogrążony w pracy. Po chwilowej ciszy wśród zebranej rodziny zapanował gwar.

Paweł uważnie nasłuchiwał i żadne słowo nie uszło jego ucha. Był zadowolony z siebie. Pierwszy wielki atak przeprowadził z zimną krwią i z niezbędną ostrożnością. Oczywiście, miał ich teraz w ręku. Nie wątpił, że rezultatem tej bezradnej narady będzie to, co przewidział z całą ścisłością.

Ani Zdzisław, ani Jachimowski nie zdobędą się na przyjęcie na siebie wyznaczonej roli. Żaden z nich nie ma dość odwagi i dostatecznej dozy ryzyka w sobie. Są słabi i tchórzliwi. Pogardzał nimi, lecz nie mógł ich lekceważyć, przynajmniej póty, póki nie przestali być szczeblem, którego niepodobna było ominąć.

– No, moi drodzy! – zawołał – na mnie już czas. Cóżście postanowili?

Zapanowała cisza.

– Widzisz, kochany Pawle – odezwał się Jachimowski – mamy trudne zadanie...

Zaczął wyłuszczać przeszkody, jakie stoją im obu na drodze do objęcia dyrekcji. Zdzisława niedawno wywieziono w taczkach, zresztą on nie zna się na całokształcie interesów fabrycznych, Jachimowskiego zaś nienawidzi pan Karol, ma sporo wrogów w administracji, zresztą dokucza mu katar kiszek...

– Więc rezygnujecie?!...

– Hm... właśnie mówiliśmy... czy nie najlepiej byłoby, gdybyś ty, kochany Pawle, zważywszy, że...

Przerwał, gdyż Paweł Dalcz zachnął się, a jego rysy wyrażały zdumienie i jakby obrazę.

– O co państwu chodzi? – zapytał prawie drwiącym tonem.

Jachimowski chrząkając, zacierając ręce, jękając się i raz po raz zwracając się do żony, jakby szukał jej pomocy, zaczął wyjaśniać, że właściwie byłoby to jedyne i najlepsze wyjście z sytuacji, że Paweł najbardziej nadawałby się na objęcie tego stanowiska, że przecie zna dobrze stan rzeczy, że zresztą w jego ręku znajduje się sprawa pożyczki... No, a z drugiej strony, co to mu szkodzi? Inna rzecz on, Jachimowski, którego tu wszyscy znają, który ma w Warszawie różne interesy. Gdyby doszło do skandalu, straciłby opinię, podczas gdy Paweł może gwizdać na wszystko, bo jego sprawy nie zawadzają o Polskę, koncentrują się za granicą...

– Bardzo się mylisz – przerwał Paweł – dużo bawelny sprzedają do Łodzi. Poza tym przeprowadzenie tego planu wymagałoby pozostania w kraju na kilka miesięcy, a ja po prostu nie mam czasu. Zresztą uważam, że i tak zrobiłem dla was więcej, niż nakazywałyby mi tak zwany dług wdzięczności. Z jakiej racji miałbym ponosić tyle pracy, ryzyka i wysiłku? Chyba sami rozumiecie, że do poświęceń z powodu uczuć rodzinnych nie jestem zbytnio obowiązany?...

Lecz Jachimowski nie ustępował. Z pomocą przyszła mu Ludwika, nawet Zdzisław wy dobył z siebie kilka argumentów: pensję dyrektorską i tantiemę. Paweł bronił się coraz słabiej, gdy zaś Halina zarzuciła mu ręce na szyję, a pani Józefina całkiem na serio rozplakała się – ustąpił.

Ileż trudu kosztowało go, by teraz nie roześmiać się im w nos i nie powiedzieć, że oto zrobił z nimi, co chciał, że tak łatwo wystrychnął ich na dudków, że oto on, „zakąła rodziny” i „zmarnowany człowiek spoza nawiasu towarzyskiego” – jak kiedyś sami o nim mówili – uważany jest za ich opatrzność, niemal za zbawcę.

Zdawał sobie dokładnie sprawę z wagi odniesionego zwycięstwa, z tej generalnej próby własnych sił i z konsekwencji, jakie nastąpić muszą po tym wspaniałym sukcesie, lecz o ileż większą sprawiało mu radość samo wygranie dobrze przygotowanej partii, partii przeciw ludziom, którzy przecie do niedawna patrzyli na niego z góry.

– Zdaje się – powiedział – że popełniłem duży błąd, ale słowo się rzekło. Zatem nie będziemy już trudzić pań, a was, panowie, poproszę na godzinę szóstą do mieszkania matki. Musimy omówić szczegóły.

– Nie jestem już potrzebna? – zerwała się wesoło Halina – to świetnie. Muszę telefonować do krawcowej.

– Do widzenia – pocałował Paweł rękę matki – o której mama każe być na obiedzie? Mnie najwygodniej byłoby o trzeciej. Mam teraz konferencje w dwóch bankach. Do widzenia.

Nie czekając odpowiedzi, pożegnał się z wszystkimi i wyszedł. W istocie musiał sprawić sobie garderobę. Paradowanie w przyciasnych ubraniach ojca i w jego futrze byłoby ryzykiem niepotrzebnym. Wziął taksówkę i kazał się zawieźć do jednego z najlepszych krawców, później do wielkiego sklepu kuśnierskiego. Stąd polecił odesłać sobie wspaniałe futro za cztery tysiące złotych. Wybrał najdroższe i najokazalsze, umówiwszy się, że odnoszącemu wręczy czek.

Wychodząc od kuśnierza zbadał zawartość kieszeni. Z pieniędzy wziętych od matki zostało jeszcze około trzystu złotych. Wstąpił do jubilera i kupił złoty pierścień z imponującym rozmiarami fałszywym brylantem.

O trzeciej był już w domu. Matka czekała nań z obiadem. Dwa niezajęte krzesła przy stole świadczyły o nieobecności Haliny i Zdzisława.

– Czy mama ma w jakim banku pieniądze? – zapytał rozkładając serwetkę.

– Owszem. Nie wiem dokładnie ile, ale musi tam jeszcze być ze dwa tysiące.

– To dobrze. Poproszę mamę, by wypisała mi czek na okaziciela na cztery tysiące złotych.

– Ależ tam na pewno nie ma czterech – przestraszyła się pani Józefina – a poza tym to... to wszystko, co mi zostało...

– To już moja rzecz, mamó, nie obawiaj się. A na czeku postaw datę o dwa tygodnie później. Do tego czasu znajdzie się pokrycie. No, cóż tam mówiło moje kochane rodzeństwo?

– Ach, wyobraź sobie, byłam oburzona. Ludwika wystąpiła z podejrzeniami.

– Więc jednak – zmarszczył brwi Paweł.

– Ona jest taka oschła, taka obrzydliwie merkantylna. Najpierw zaczęła powątpiewać o twoich interesach bawełnianych...

– No, tu miała nieco racji – zaśmiał się Paweł.

– Jak to? – nie zorientowała się pani Józefina.

– Mniejsza o to. Niech mama mówi dalej.

– Później radziła mężowi sprawdzić, czy cała historia o pożyczce nie jest twoim wymysłem!

– A cóż na to Jachimowski?

– Wyśmiał ją. Powiedział, że nie jest naiwnym dzieckiem, że na ludziach się, dzięki Bogu, zna i że dziwi się temu, że ciebie nie doceniali. No widzisz, mój kochany synku!

Patrzyła nań z rozczuleniem.

– I więcej nic nie mówił?

– Więcej?... Aha! Mówił, że nic łatwiejszego, jak sprawdzić twoje wiadomości. Jeżeli w kasie pancерnej znajdują się akty tej pożyczki – rzecz będzie jasna. Co zaś dotyczy udziałów, dowiadywał się u rejenta Skorkiewicza.

– Jednak?...

– Rejent odmówił jakichkolwiek informacji, ale ze sposobu, w jaki z nim rozmawiał, łatwo było można wywnioskować, że rzeczywiście ten stary szaleniec stracił wszystko.

– A cóż mój braciszek?

– Zdziś jest dobrej myśli i powiada, że do całej katastrofy na pewno by nie doszło, gdybyś ty wcześniej przyjechał i wejrzał w gospodarke ojca. Nie masz pojęcia, co ten stary szaleniec wyprawiał. Po prostu dezorganizował mi cały dom...

Ocierając od czasu do czasu oczy, pani Józefina opowiadała o ostatnich latach swego pożycia z panem Wilhelmem, odludkiem, dziwakiem, wiecznie milczącym...

Paweł nie słuchał.

Monotonny głos matki nawet mu nie przeszkadzał w jego myślach. Treningu w tym względzie, jakże pożytecznego, nabrał podczas tych długich miesięcy, kiedy w zupełnej apatii leżał nieruchomo w łóżku i wprost nie zauważał, że do niego mówiono, że zaklinano najczul-

szymi słowami, że obsypywano obelgami. Liczył wówczas kwadraciki na tapetach, mnożył je, dzielił i tonął w doskonałej bezmyślności. Wtedy właśnie nauczył się sztuki całkowitego wydzielenia się z otaczającej rzeczywistości i teraz równie dobrze, jak na paryskim poddaszu kwadraciki, jak w swoim folwarku muchy na suficie, mógł liczyć szansę szeroko zakrojonego planu, mnożyć ewentualności, przewidywaniami zapobiegać faktom, precyzyjnie analizować atuty przeciwników.

Zasiadł oto przy stole wielkiej gry. Zasiadł z niczym. Tak zdawałoby się tamtym, gdyby umieli zajrzeć w jego karty, gdyby mogli sprawdzić pustkę jego kieszeni.

Głupcy! Przychodził przecie z nagromadzonym latami pragnieniem wygranej, z potężnym kapitałem woli zwycięstwa, z kolosalnym zapasem niewyżytej energii, z umysłem równie chłodnym, jak żądza gry była w nim płomienna. Przychodził nieobciążony już żadnymi skrupułami, wolny od wszelkich serwitutów moralnych, przychodził ze skarbem stokroć większym niż ten cień dwustu tysięcy dolarów, który wpadł mu w rękę, jak pierwsza szczęśliwa karta...

Po obiedzie zamknął się znowu w pokoju ojca i aż do przyjścia brata i szwagra studiował papiery zmarłego.

Nazajutrz z rana miał być pogrzeb. Umówili się też w ten sposób, że wprost z cmentarza pojedą do fabryki i tam Jachimowski oraz Zdzisław sprowadzą do gabinetu ojca wszystkich kierowników biur i inżynierów, którym przedstawią Pawła, jako tymczasowego następcę nieboszczyka naczelnego dyrektora. Stryj Karol zostanie postawiony wobec faktu dokonanego. Niewątpliwie dowie się o uzurpacji natychmiast, lecz, przykuty do łóżka i zdeorientowany samobójstwem brata, nie przedsięwzięmie od razu kroków wrogich. Zresztą tegoż popołudnia Paweł odwiedzi go i resztę już on bierze na siebie.

Pozostała kwestia ustosunkowania się do tych zdarzeń Krzysztofa.

– Jaki to jest człowiek i czego po nim można się spodziewać? – zapytał Paweł.

– Smarkacz – wruszył ramionami Zdzisław.

– Żółtodziób?

– No, tak nie można powiedzieć – zastrzegł się Jachimowski – znam go bardzo mało. Jest jednak pewne, że jako inżynier nie należy do przeciętnych. Wprowadził sporo pożytecznych innowacji. Na przykład w obliczeniach akordu przy obrabiarkach...

– Nie o to mi chodzi – przerwał Paweł – jaki człowiek? Mól, snob, zarozumialec, spryciarz czy fujara?

– Mało się udziela – rozłożył ręce Jachimowski – zresztą do administracji nigdy się nie wtrącał. No i nic dziwnego. Jest w fabryce dopiero od dwóch miesięcy. Robi wrażenie skrytego, zamkniętego w sobie. Nie pije, nie hula, zdaje się, że nigdzie nie bywa.

– A robotnicy lubią go?

– Raczej nie. On w ogóle jest jakiś dziwny.

– W jakim znaczeniu?

– Czy ja wiem. Trudno określić. Na przykład robi wrażenie mamusinego synka, takiego grzecznutkiego, rozumiesz, wylizanego, dobrze wychowanego i skromnego, a ma pasję używania najordynarniejszych słów i wymyślania od takich synów na przykład. Przy tym ma głos taki cichy... Nie lubię go.

– To niewiele – skrzywił się Paweł – a nic nie wiecie o jego prywatnym życiu?

– Jakże! – zawołał Zdzisław – Jarszówna!

– Co za Jarszówna?

– Ma kochankę. To nawet skandal, rzecz prawie jawna.

– Pomału. Więc nazywa się Jarszówna i co to za typ?

– Stenotypistka. Pracowała u nas od dawna w sekretariacie. Wziął ją na swoją sekretarkę, no i żyje z nią. Nawet ładna dziewczyna.

– A skąd wiecie, że jest jego kochanką?

– To powszechnie wiadomo. Zresztą on wcale się z tym nie ukrywa. Odwozi ją do domu swoim autem.

– Widzieli ich razem w kinie – dorzucił Jachimowski.

– A przez kogo, jeżeli nie przez nią, wylał ojciec szefa kalkulacji? Ten bąknął jej coś ojej najdroższym i w godzinę nie było go już w fabryce. To pewne. Nawet wywołuje oburzenie, bo wcale się nie ukrywa ze swymi amatorami. Traktuje ją demonstracyjnie jak wielką damę.

– Więc sentymentalny i „damski kawaler”?... No dobrze. Jutro oczywiście spotkam go na pogrzebie. Wówczas postaram się poznać go lepiej.

– Czy z jego strony spodziewasz się największych trudności?

– Sądzę – odpowiedział krótko Paweł.

Jednak nie stało się tak, jak przypuszczał.

Na pogrzebie wprawdzie Krzysztof był obecny, lecz przez cały czas towarzyszył swojej matce. Ponieważ zaś Paweł prowadził pod rękę swoją, a obie bratowe nie witały się ze sobą, Paweł znalazł tylko krótki moment, w którym podszedł do stryjenki i do Krzysztofa, by się przywitać. Stryjenka była zapłakana i milcząca, Krzysztof zaś zamienił z nim tylko kilka słów zdawkowej uprzejmości, z których oczywiście nic wywnioskować nie było można.

Jednak Paweł zdążył przyjrzeć się stryjecznemu bratu. I na nim ten poważny młodzieniec, niewyglądający na swoje lata, sprawił raczej przykre wrażenie. Gdy podczas mów pogrzebowych stali tak naprzeciw siebie po obu stronach otwartego grobu rodziny Dalczów, Paweł wbił wzrok w oczy swego przeciwnika i starał się z nich wyczytać, jakie w nim tkwią siły, jaki spryt, jaka inteligencja?

Krzysztof nie mógł widocznie znieść tego spojrzenia, gdyż odwrócił głowę, a nawet jakby się zaczerwienił.

Czyżby już coś przypuszczał?... – pomyślał Paweł.

Wprost z cmentarza Paweł, Jachimowski i Zdzisław pojechali do fabryki.

Warsztaty były w pełnym ruchu, ale w biurach pozostało zaledwie kilka osób: wszyscy urzędnicy i inżynierowie brali udział w pogrzebie i nie zdążyli jeszcze wrócić tramwajami.

Jachimowski kazał woźnemu otworzyć gabinet nieboszczyka. Weszli.

Panował tu wzorowy porządek. Wszystkie przedmioty na biurku pozostały na tym miejscu, na jakim umieściła je pedantyczna dłoń pana Wilhelma.

W kącie stała niewielka kasa ogniotrwała. Paweł wyjął z kieszeni klucze i otworzył ją.

Wewnątrz, systematycznie poukładane, leżały grube teczki. Nie było ich wiele i trzecia z kolei okazała się tą, której szukali.

Paweł położył ją na biurku i zajmwszy fotel ojca, wskazał szwagrowi i bratu miejsce takim głosem, jakby już był ich zwierzchnikiem. Oni jednak nie zwrócili na to uwagi. Zbyt przejęci byli zawartością teczki i Jachimowski nawet sięgnął po nią.

– Za pozwoleniem – bezceremonialnie odsunął jego rękę Paweł – nie mamy powodu wyrywać sobie papierów z rąk.

Wyjął pierwszy arkusz i rzuciwszy nań okiem przekonał się, że jest to umowa pożyczkowa. Uważnie przeglądał każdy arkusz, zanim podał Jachimowskiemu. Obawiał się, że i tu mogą być jakieś ślady dokonanych już spłat. Na szczęście poza kilku listami, mówiącymi ogólnikowo o warunkach regulowania rat, w teczce nie znajdowało się nic, co by zdradzało tajemnicę pośmiertnej koperty ojca.

– Rzecz nie ulega żadnej wątpliwości – westchnął Jachimowski, odkładając ostatni papier.

– A w czyich rękach są udziały? – zapytał Zdzisław.

Paweł uśmiechnął się z takim wyrazem twarzy, jakby to dobrze wiedział:

– Na to mamy czas – rzucił od niechcienia.

W istocie obiecywał sobie wiele po pozostałych w kasie teczkach. Jeżeli zaś tam nie znajdzie wskazówek, pozostanie jeszcze zwrócić się do którejś z wywiadowni handlowych. W każdym razie wiedział, że odszukanie nabywców jest możliwe.

Z kolei Jachimowski i Zdzisław przystąpili do dalszego punktu ułożonego planu. W przyległej do gabinetu sali posiedzeń rozlegały się przyciszone rozmowy, a później w miarę przybywania ludzi, głośny gwar: szefowie działów zbierali się na audiencję.

Paweł zamknął kasę i stanął tuż przy drzwiach, starając się z ogólnego hałasu wyłowić poszczególne słowa, jakie zilustrowałyby mu nastrój zebranych, przed którymi zaraz stanie i których musi zdobyć. Widzieli go już na pogrzebie ponurego, skupionego... Teraz należy przedstawić się im jako człowiek czynu... Tak, tak... Zresztą zobaczy, wyczuje temperaturę i do tego zastosuje swoje słowa i sposób zachowania się.

– Już są – wpadł drzwiami od korytarza Zdzisław – mam treść, do licha, przecie to zamach stanu! Co za szczęście, że Krzysztof pojechał do domu!

– Otwórz te drzwi – spokojnie powiedział Paweł.

Zdzisław przekręcił klucz w zamku i szeroko otworzył drzwi niemal lokajskim ruchem. W sali momentalnie zaległa cisza. Paweł wyczekał dobrą chwilę i wszedł energicznym krokiem z głową wysoko podniesioną. Za nim wsunął się Zdzisław i ulokował się tuż obok Jachimowskiego za plecami brata. Stali tak przed zebranymi jak wódz i jego adiutanci przed frontem. Tak właśnie było ułożone.

– Panowie – zaczął Paweł – większość z was nie zna mnie. Jestem Paweł Dalcz. Prosiłem was tu, panowie, by przede wszystkim w imieniu rodziny i firmy złożyć wam serdeczne podziękowanie za cześć oddaną pamięci zmarłego i za wyrazy współczucia, którymi pragnęliście przynieść ulgę naszemu cierpieniu. Cenimy je i oceniamy tak wysoko, jak wysoko oceniał mój zmarły ojciec przyjaźń panów i przywiązanie ich do naszego warsztatu pracy. Warsztat ten ma swoje tradycje uświęcone przez wieloletnie kierownictwo zmarłego. Polegały one zawsze na uczciwym, serdecznym i szczerym stosunku wzajemnym. Wezwany przez ojca niestety nie zdążyłem przybyć w porę z zagranicy, by z jego własnych ust usłyszeć testament jego woli. W każdym razie zapewniam panów, że wykonany zostanie ściśle. W tym względzie gwarantuję panom pełnię mego zaufania i proszę was o takież w stosunku do mnie. Nie na długo obejmuję kierownictwo Zakładów. Moje osobiste interesy odwołują mnie z powrotem do Anglii. Zgodnie jednak z życzeniem zmarłego zajmuję jego miejsce, by uporządkować niektóre sprawy, jakich świętej pamięci mój ojciec ze względu na swój wiek i na fatalny stan nerwowy nie zdążył uregulować. Do tych należy między innymi sprawa zaległych premij i gratyfikacyj. Zaległość ta nie wpływała z winy firmy, lecz z racji całkiem prywatnych interesów mego ojca, co podkreślam na jego wyraźne żądanie. Otóż wszystkie te zaległości zostaną wypłacone w ciągu sześciu tygodni. Panowie! W związku z tragiczną śmiercią mego ojca rozeszła się po mieście pogłoska o rzekomo zachwianych finansach firmy i o rzekomej ruinie rodziny mego ojca. Pogłoska ta jest z gruntu fałszywa, a wielce krzywdząca. Zapewniam panów moim słowem, że nie posiada ona żadnych, bodaj najmniejszych podstaw. Wprost przeciwnie, przygotowane są plany dalszej rozbudowy i rozszerzenia Zakładów, o czym wkrótce już będę z panami mówił. Na razie proszę ich o stanowcze dementowanie kłamliwych plotek, co leży we wspólnym interesie naszym. Wprawdzie zmarły przechodził w ostatnich czasach niejakie trudności płatnicze, lecz te już przestały istnieć, a przyczyną jego tragicznej śmierci nie były. Oto, panowie, wszystko, co miałem do powiedzenia. Na zakończenie jeszcze raz serdecznie was proszę, jako w większości starych i wypróbowanych współpracowników naszego warsztatu, o ułatwienie mego zadania szczerym i ufnym stosunkiem do mnie, co mi będzie najcenniejszą nagrodą za moje wysiłki.

Skłonił głowę i wyciągnął dłoń do najbliższej stojącego inżyniera Kamińskiego, do sekretarza Holdera, do drugiego, trzeciego, czwartego... Po kolei ścisnął mocno ich ręce, a oni, z szacunkiem odwzajemniając uścisk, wymieniali swoje nazwiska. Przy niektórych, jakie zapamiętał z notatek ojca, odzywał się kilku ciepłymi słowami, świadczącymi, że wie od zmarłego, czym się wyróżniają i jakie mają zasługi dla firmy.

Ze sposobu, w jaki nań patrzyli i w jaki podawali mu rękę, łatwo mógł wywnioskować, że jego przemówienie trafiło im do przekonania, że przyjęli je życzliwie, słowem, że wywarł dodatnie, może więcej niż dodatnie wrażenie.

Już podczas pierwszych słów swej improwizowanej mowy zauważył uchYLENIE SIĘ DRZWI I dostrzegł nieśmiało wsuwającego się Blumkiewicza, totumfackiego pana Karola.

Oczywiście przyszedł tu na przeszeptanie; nie należało mu pozwolić odejść, zanim w odpowiedni sposób nie urobi się jego relacji. Właśnie teraz uważnie obserwujący go Paweł spostrzegł za plecami innej manewry Blumkiewicza, próbującego dotrzeć niepostrzeżenie do drzwi. Paweł zrobił w bok trzy kroki i zaszedł mu drogę:

– A, pan Blumkiewicz – powiedział swobodnie – witam pana. Zechce pan chwilę zaczekać. Mam z panem do pomówienia.

– Najmocniej przepraszam – skurczył się Blumkiewicz – wszedłem tu naprawdę przypadkowo, no i zostałem, bo nie chciałem swoim wyjściem przerywać pańskiej mowy... pańskiej pięknej mowy... Ale teraz śpieszę się bardzo, pan prezes mnie oczekuje...

– Bardzo mi było przyjemnie, a co do pośpiechu, nie zatrzymam pana, panie Blumkiewicz, na długo. Proszę – bezapelacyjnym gestem wskazał mu drzwi gabinetu – pan wejdzie.

W ciągu minuty pożegnał się z resztą zebranych, a gdy został w sali sam z bratem i z Jachimowskim, zapytał:

– No i co?

– Nieporównanie! – szepnął Zdzisław.

– Aleś ich wziął – cicho zaśmiał się Jachimowski.

– Nie wyglądało to na bezprawie?

– Cóż znówu. Gadałeś tak, jakbyś był niewątpliwym właścicielem fabryki.

– Tylko, psiakrew, ten Blumkiewicz! – zaklął Zdzisław.

– Co za niedopatrzanie. Wszędzie potrafi się wcisnąć, ale Józefa zwymyślam jak psa, że go wpuścił – irytował się Jachimowski.

– Nic nie szkodzi – wzruszył ramionami Paweł – pogadam z nim. Bądźcie wieczorem u matki. Do widzenia.

Paweł wiedział, że Blumkiewicz jest twardą i sprytną sztuką. Toteż bynajmniej nie lekceważył rozmowy z nim. Miał początkowo inne plany, inaczej zamierzał zabrać się do stryja Karola, teraz jednak, skoro jego szpicel słyszał na własne uszy tę „mowę tronową”, należało zmienić taktykę.

Toteż wszedł do gabinetu z miną posępną i ze skulonymi ramionami. Blumkiewicz wstał z krzesła i dość bezczelnym wzrokiem przyglądał mu się badawczo.

– Jest pan zdziwiony, panie Blumkiewicz? – rzucił Paweł ze smutnym uśmiechem.

– Zdziwiony... nie... Nie spodziewałem się, że pan prezes mianuje pana naczelnym dyrektorem...

– Nie wiedział pan w ogóle, że przyjechałem?

– O, o tym nietrudno wiedzieć. Gdy tylko pan Zdzisław coś wie, to zaraz wiedzą i inni... Nawet tacy, przed którym ma być zachowana tajemnica.

Paweł zaśmiał się krótko:

– Ma pan rację. Mój braciszek nie odznacza się wstrzemięźliwością języka. Ale tu nie było żadnej tajemnicy.

– Jednak pan prezes...

– Tak. Nie zawiadamiałem stryja Karola wczoraj, gdy byłem zmęczony po długiej podróży. Dziś jednak muszę się z nim widzieć i wytłumaczyć ten rodzaj samowoli, jakiej musiałem się dopuścić.

– Rodzaj?! – ironicznie zapytał Blumkiewicz.

Paweł udał, że tego nie słyszy. Oparł głowę na rękę i przetaił czoło:



– Bóg jeden widzi, jak mnie to męczy... No, ale, panie Blumkiewicz, trudno. Kto raz zgodził się wziąć jakiś ciężar na swoje barki, ten już musi donieść go do końca. Powiedział pan, że mowa moja była piękna... Cha... Cha. Niestety, rzeczy nie tylko nie wyglądają tak pięknie...

– Co pan przez to chce powiedzieć? – ostrożnie zapytał Blumkiewicz.

– To, panie Blumkiewicz, że mój ojciec popełnił pewien... błąd.

– Jak to błąd?

– Omyłkę rachunkową...

– Jaką omyłkę?

– Taką sobie... Na dwieście tysięcy dolarów.

Blumkiewicz otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Paweł nie śpiesząc się wstał, otworzył ogniotrwałą szafę i wyjął teczkę. Przejrzał ją i mruknął:

– Nie, nie ta.

– Każdemu wolno we własnych rachunkach zrobić pomyłkę – zahaczająco odezwał się Blumkiewicz.

– Cała bieda w tym, że nie we własnych, a w fabrycznych – z naciskiem podkreślił Paweł i obejrawszy jeszcze kilka teczek, dodał jakby do siebie – gdzież u licha jest ta sprawa?... Przecie ojciec wyraźnie mi pisał, że znajduje się w kasie ogniotrwałej w gabinecie... Aha! Jest...

– Błąd na taką sumę w cudzych rachunkach, to kryminał – zasyczał Blumkiewicz.

Paweł wyprostował się i zmierzył go groźnym spojrzeniem.

– Jak pan śmiesz! Zapominasz, panie Blumkiewicz, że mówisz do Dalca o jego ojcu!

– Ja nic... ja nie mówię!...

– Milczeć – uderzył trzymaną teczką w stół – zapominasz, że jesteś naszym sługą!

Jego potężny głos nappełnił pokój i odbił się echem w korytarzu. Blumkiewicz skurczył się i zbladł.

– Chodź pan tu – rozkazującym tonem powiedział Paweł i położył mu przed nosem teczkę – znalazłem. Oto jest. Czytaj pan.

Blumkiewicz, stojąc pochylony nad biurkiem i nie mając odwagi usiąść, drżącymi palcami przewracał kartki.

Paweł przyglądał mu się z góry – z nikłym uśmiechem na ustach, gdy jednak Blumkiewicz skończył i podniósł spoconą twarz, spotkał surowe spojrzenie szarych oczu Pawła.

– Co to będzie... co to będzie... – zabelkotał – pan prezes tego nie przeżyje.

– Właśnie dlatego pana zatrzymałem. Obawiałem się o stan serca stryja. A przecie muszę mu o wszystkim powiedzieć. Nie umiem rozmawiać z chorymi. Mogłoby być nieszczęście. Otóż, panie Blumkiewicz, musisz pan jakoś ostrożnie uprzedzić mego stryja. Przygotować. Kiedy już będzie można, zatelefonujesz pan do mnie. Będę czekał.

– Kiedy z sercem pana prezesa nie jest tak źle – zdziwił się Blumkiewicz.

– Dzięki Bogu. Nie wiedziałem, ale to tym lepiej. Otóż powiedz pan z góry, że stryj ani fabryka żadnych strat z tego powodu nie poniosą. Ja to... biorę na siebie.

– Dwieście tysięcy dolarów?... – w głosie totumfackiego zabrzmiało wprawdzie niedowierzanie, lecz już bez poprzedniej nutki ironii.

– Tak – gryząc wargi odpowiedział Paweł – biorę na siebie, ale jak pan widziałeś, termin jest piekielnie krótki..

– Za dwa miesiące.

– Właśnie. A ja w tym czasie nie będę rozporządzał aż taką gotówką. Muszę się ułożyć z bankiem. Na życzenie ojca występowałem u nich jako plenipotent Zakładów i teraz, dla uniknięcia skandalu, muszę przez te dwa miesiące być chociażby tylko tytularnym dyrektorem... Zresztą to już osobiście stryjowi wyjaśnię. Pan sobie mogłeś myśleć chociażby, że to jest uzurpacja, ale mnie jest obojętne, co sobie myśli pan Blumkiewicz, co myśli trzy tuziny pa-

nów Blumkiewiczów! Rozumiesz pan! Tu chodzi o honor rodziny! O pamięć mego ojca! I daję panu słowo, że na tej pamięci plamki nie pozwolę zostawić, chociażby za cenę wszystkiego co posiadam!

Uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły metalowe przedmioty.

– Ja nic nie mówiłem przecież – bezradnie tłumaczył się Blumkiewicz.

– Tak... tak... – przetarł skronie Paweł – jestem zdenerwowany... tyle naraz, tyle naraz... Niech pan nie ma do mnie żalu, panie Blumkiewicz, ja przecie wiem, że pan jest starym i dobrym naszym przyjacielem, że ojciec cenił pana wysoko... A i pan dla niego żywił serdeczne uczucia...

– O... rzadki był człowiek... Niech tam spoczywa w spokoju – dorzucił spojrzawszy na teczkę.

– Przepraszam pana, że się uniosłem – wyciągnął do niego rękę Paweł i mocno potrzęsnał jego dłonią.

Widział, że totumfacki stryja jest do reszty zdezorientowany, zaskoczony i zdetonowany. Teraz biegnie z językiem do stryja, lecz język został nakręcony tak, jak nigdy jeszcze u nikogo.

Paweł chodził po pokoju i śmiał się do siebie.

Najlepszy sposób na wygi tego typu – myślał – jest przedstawienie się im w sposób niezrozumiały dla nich, odslonięcie przed nimi maszynerii naszej psychiki, skomplikowanej, dziwacznej maszynerii, w jakiej nie umieją się rozeznać, a którą muszą w prostocie ducha uważać za specyfik kategorii ludzi wyższych.

W oczekiwaniu na telefon Paweł zrewidował pozostałe papiery ojca. Nie mylił się: znalazł w nich dość wyraźny ślad sprzedaży udziałów. Prowadził on przez jeden z banków warszawskich do kancelarii notariusza i dalej do jakiegoś Tolewskiego. Ten albo sam był nabywcą, albo pośredniczył tylko w transakcji. W każdym razie można będzie go odszukać i dotrzeć do faktycznych nabywców.

W jakim celu – Paweł jeszcze nie zdawał sobie dokładnie sprawy. Właściwie celem było wykupienie udziałów, lecz jedynym majątkiem Pawła, nie licząc kilkunastu złotych, było wspaniałe futro i pierścionek z fałszywym brylantem.

Przyglądał mu się właśnie z uśmiechem, gdy zadzwonił telefon: – Blumkiewicz oznajmił, że pan prezes czeka.

W dziesięć minut później Paweł stanął na progu pokoju stryja. Przypuszczał, że zastanie tu Krzysztofa, pan Karol jednak był sam, gdyż nawet Blumkiewicz, wprowadziwszy gościa, natychmiast wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Zbliź się – odezwał się chory.

W półmroku jego pergaminowa twarz z zamkniętymi powiekami i z siecią nieruchomych zmarszczek zdawała się martwą.

– Witam stryja – powiedział Paweł spokojnie, stając przy łóżku, i nie doczekawszy się odpowiedzi, swobodnie zajął fotel.

– Kim jesteś? – zapytał pan Karol po długim milczeniu.

Paweł nie zrozumiał pytania:

– Jestem Paweł, bratanek stryja.

– Pytam, czym się zajmujesz, z czego żyjesz?

– Z bawełny. Prowadzę handel bawełną.

– I mieszkasz w Anglii?

– Tak, w Londynie.

– Mówiono mi, że dorobiłeś się jakiegoś majątku?.. Nic o tobie nie wiedziałem...

– Nie dziwię się. Tu już mnie pochowano za życia. Służba w domu mojej matki, gdy zacząłem zameldować siebie jako jej syna, nie chciała mnie wpuścić. Podejrzewali mnie widocznie o mistyfikację, gdyż nigdy ani słowa nie słyszeli o istnieniu Pawła Dalcza. Wykreśliście mnie z liczby żyjących.

Pan Karol podniósł powieki i obrzucił go baczny spojrzeniem.

– Sam się wykreśliłeś – powiedział zimno.

– Nie będę się o to ze stryjem spierał. Tak czy owak, zostałem przez was uznany za wyrzutka, za zakalę rodziny i darmozjada... I zaszczytna ta opinia otaczała tu moją pamięć, póki nie dowiedziano się, że mam pieniądze, że mam stosunki, że mogę się na coś przydać. Niech stryja nie dziwi moja gorycz. Zbyt długo mnie nią karmiono... Zresztą już nie mam żalu do ojca. On nie mniej cierpiał ode mnie, a wiem, jak mu było ciężko pierwszemu wyciągnąć do mnie rękę... Zwłaszcza wyciągnąć ją po ratunek...

Pan Karol wpił się wzrokiem w jego oczy.

– Niech spoczywa w spokoju – powiedział poważnie Paweł, nie spuszczać żrenic.

– Czemuż nie przyszedł do mnie? – syknął chory.

– O ile wiem z jego listów, stosunki, jakie łączyły ojca ze stryjem, nie były zbyt ciepłe. Były o tyle dalekie, że w chwili utraty nadziei bliżej mu było na cmentarz niż do stryja.

Na twarzy chorego ukazały się czerwone wypieki:

– Jak śmiesz robić mi z tego zarzut! – zacharczał – jak śmiesz!

– Myli się stryj, wcale nie robię mu z tego zarzutu. Jediną winę ponoszą słabe nerwy ojca i jego zupełna samotność we własnym domu... Jestem w nim teraz drugi dopiero dzień, a i to wystarczyło, by zrozumieć tragedię takiego człowieka, jak ojciec, w tym środowisku głupoty, próżności, snobizmu i sobkostwa...

– Masz rację, ta kobieta go zgubiła, ten potwór bezduszny – zakaszlał w pasji chory – ten zły duch jego domu... Ona was tak wychowała, ona zatruła mu życie, ona rozdzieliła nas, najlepszych, najbardziej kochających się braci! Ona mi zabrała brata! To jej podłość zacisnęła mu stryczek na gardle! To przez nią ten najszlachetniejszy człowiek doprowadzony został do oszustwa. Taka hańba, taka hańba! O Boże! O sprawiedliwy Boże! Ukarz ją strasznie za jego śmierć, za moją krzywdę, za mój wstyd! Ukarz ją strasznie... ukarz... ukarz...

Głos chorego przeszedł w rżenie, po jego białej twarzy spływały gęste łzy.

Paweł wyjął chusteczkę, przyłożył ją do oczu i spoza niej uważnie przyglądał się stryjowi. Zawsze miał go za człowieka zimnego, wyrachowanego, nawet skąpego, a już zupełnie niezdolnego do wszelkich uczuć i namiętności. Nowy rys, odkryty obecnie w jego charakterze, nakazywał ponowną zmianę taktyki. Cóż będzie, jeżeli stryj oświadczy gotowość pokrycia długu z własnej kieszeni?... To pokrzyżowałoby wszystkie plany. Myśl Pawła pracowała jednak szybko i sprawnie. Wiedział, że rozgrywa teraz najważniejszą grę, i wiedział, że jej przegrać nie wolno.

Pan Karol z wolna uspokajał się i zapytał:

– Kiedy ojciec zwracał się do ciebie?

– Zbyt późno, niestety. Przed miesiącem. Gdyby...

– Jakże cię odnalazł? – przerwał chory.

– Sprzedaję sporo bawełny do Łodzi, a wpłaty kierowane są na mój rachunek w tym właśnie banku „Lloyd and Bower”, w którym ojciec zaciągnął tę nieszczęsną pożyczkę. Dowiedział się o mnie tedy z przypadku albo też od kogoś z przemysłowców łódzkich. Dość że napisał do mnie rozpaczliwy list z prośbą o pośrednictwo.

– A ty?...

– Oczywiście obiecałem zrobić, co mogłem. Wywiązała się korespondencja i bank wreszcie zgodził się na pewne ustępstwa. Zanim jednak zdążyłem to ojcu donieść ten otrzymał list, wysłany z banku przed samą konferencją ze mną, a grożący oddaniem sprawy do prokuratora.

– Dlaczego do prokuratora?

– Bo te dwieście tysięcy dolarów zaciągnięte byłyby w imieniu firmy, a w jej księgowości nie było o tym żadnej wzmianki.

– No tak – zniecierpliwił się chory – ale skąd oni o tym wiedzieli?

– Pierwszy termin minął. Zwrócili się do jakiejś wywiadowni handlowej i ta ich szczegółowo poinformowała.

– Zatem w naszej buchalterii jest jakiś szpieg!

– Na pewno.

– I cóż dalej?

– Ojciec po przeczytaniu listu powiesił się – rozłożył ręce Paweł. Zaległo milczenie. Pan Karol żuł wargi, nie spuszczać wzroku z bratanka:

– Czy przyniosłeś ze sobą akty tej pożyczki?

– Ma się rozumieć. Nie byłoby celu ukrywania ich dłużej przed stryjem. Wstał i wziąwszy teczkę z sąsiedniego stołu, wydobyl z niej plik papierów.

– Stryj zechce zaraz to przejrzeć?

– Zaraz. Zapal górne światło. Kontakt jest przy drzwiach.

Paweł wykonał polecenie i siadając z powrotem przed łóżkiem, ofiarował się:

– Może stryjowi przeczytać?

– Nie. Sam przeczytam. Podaj mi tylko okulary.

Duże arkusze niewygodnie się trzyma jedną ręką, pomimo to pan Karol nie przerywał czytania, chociaż go widocznie męczyło. Od czasu do czasu zdejmował okulary, przecierał oczy i bez słowa dalej czytał.

Paweł przyglądał się mu spod oka, a gdy wreszcie chory skończył, zapytał:

– Cóż stryj o tym sądzi? – Co sądzę? Sądzę, że spadkobiercy Wilhelma, to jest wy, powinni zapłacić dług ojca.

Powiedział to takim tonem, jakby się tego wcale nie spodziewał.

– Ma stryj rację – chłodno odpowiedział Paweł.

– Co przez to rozumiesz?

– To samo, co i stryj: dług powinny zapłacić dzieci zmarłego.

– Gadasz głupstwa – wykrzywił się chory – po pierwsze wszystkie ich udziały nie starczą na to, a po drugie termin za dwa miesiące. W tym czasie niepodobna sprzedać udziałów inaczej, jak za psie pieniądze. Zresztą na pewno nie zechcą. Znam ich dość dobrze.

– Za pozwoleniem – zmarszczył Paweł brwi – stryj mnie nie zna zbyt dobrze, skoro sądzi, że będę znosił tego rodzaju odezwanie się, jak „gadasz głupstwa”. Wiek stryja nakazuje mi dla niego szacunek, ale i ja nie jestem smarkaczem i proszę stryja o unikanie podobnych słów. Na moje „głupie gadanie” wielki bank mógł zawierzyć dwieście tysięcy dolarów, na takie „gadanie” przeprowadzam większe interesy, niż się stryjowi zdaje, i to mi daje prawo żądania, by miało ono pewien respekt.

– To nic nie ma do rzeczy – nie bez zmieszania powiedział chory.

– Ma o tyle, że ja w takim tonie nie będę z nikim, nawet ze stryjem pertraktował. A tu chodzi przecie o grubą sumę, którą stryj musiałby zapłacić, gdyż nie myli się stryj, że moje rođenje ani myśli płacić bez procesu, a proces ze względów formalnych może być wygrany.

– Zatem w ogóle nie ma o czym mówić.

– Otóż jest! Dlatego przyjechałem, dlatego przyszedłem do stryja. Ja zmuszę ich do zapłacenia przynajmniej połowy długu, a resztę sam zapłacę. Stryja nie będzie honor mego ojca kosztował ani jednego grosza.

– Jakże ich zmusisz? – niedowierzająco bąknął pan Karol.

– Jak zmuszę, to już moja sprawa. Nie chcę bynajmniej robić z tego przed stryjem tajemnicy, tylko nie uważam tego za istotną kwestię. Przede wszystkim muszę stryjowi wytłumaczyć się z mego postępowania, które może wyglądać na nadużycie. Otóż najpierw zaznaczam, że nie zależy mnie wcale na faktycznym dyrektorstwie. Potrzebna mi jest tylko strona nominalna. Poza tym nie zamierzam wcale zbyt długo zajmować tego stanowiska.

– I ja tak sądzę – zimno powiedział chory – twoje urzędowanie zaczęło się dzisiaj i dzisiaj się skończyło. Jednak myślę, że wypadaloby ci być tak uprzejmym i łaskawie wyjaśnić motywy twego postępowania, które byłoby nadużyciem, gdyby nie przypominało operetki.

– Wesole usposobienie – odpowiedział Paweł – jak widzę, nie opuszcza stryja. Ja jednak mam powody, by w tragedii mego rodzzonego ojca nie doszukiwać się operetki.

– Nie przekreślaj moich intencji. Mówiłem o tej szopce intronizacyjnej!  
– Zaraz, stryju, czy stryj uważa, że moje przemówienie do kierowników było szopką? Może zaszkodziło firmie?

– Nie słyszałem go.

– Stryj miał relację. Więc?...

– Jakim prawem to zrobiłeś?... Mniejsza o sens tego przemówienia. Było to bezprzykładne wdzieranie się w moje prawa! A w dodatku skompromitowałeś się, gdyż chyba ani na chwilę nie mogłeś przypuszczać, że ja zatwierdzę ten operetkowy zamach stanu! Postąpiłeś nie tylko awanturkowo, lecz niemądrze i lekkomyślnie!

Paweł nic nie odpowiedział i tylko patrzył na drgające zmarszczki twarzy pana Karola.

– Milczysz?...

– Niech stryj spojrzy na mnie – spokojnie odezwał się Paweł – czy wyglądam na człowieka lekkomyślnego?... Czy wyglądam na człowieka, który pozwoliłby sobie na objęcie dyrekcji bez pewności, że to objęcie będzie zatwierdzone?... Czy u licha robię wrażenie smarkacza czy wariata?!...

– Więc jakim prawem?! Jak mogłeś, jeżeli nawet masz jakieś ważne powody, zrobić to bez uprzedniego uzyskania mojej zgody?... Nie wyobrażam sobie, bym ci jej udzielił, ale przypuścimy, że tak, że w chwili zamroczenia umysłu przystałbym na powierzenie kierownictwa fabryki człowiekowi młodemu, niedoświadczonemu, nie mającemu dobrej opinii z dawnych przynajmniej czasów, a w dodatku zupełnie nieobznajmionemu z firmą i jej skomplikowanymi sprawami! Ale dlaczego...

– Przepraszam stryja. Właśnie o tym chciałem mówić. Proszę tylko zechcieć mnie wysłuchać. Zacznę właśnie od tych skomplikowanych spraw firmy, od spraw, z którymi jestem na szczęście tej firmy znacznie lepiej obeznany niż ktokolwiek, nie wyłączając osoby stryja.

– Mów.

I Paweł zaczął mówić. Jakże teraz wdzięczny był w duchu swemu ojcu za jego despotyzm, za zazdrosne strzeżenie władzy, za chciwe koncentrowanie w ręku wszelkich danych dotyczących kierownictwa Zakładów. Za to samo kiedyś go znienawidził, a dziś dzięki temu trzymał w swej dłoni potężny atut. Dobrze pamiętał każde słowo z pośmiertnego memoriału ojca i każdego z nich umiał odpowiednio użyć, a opatrując wiadomości logicznymi komentarzami wywarł na słuchaczu spodziewane wrażenie.

Ponieważ zaś pan Karol nie odezwał się wcale, Paweł przeszedł do omówienia kwestii długu w manchesterskim banku. Ułożył się z tym bankiem tak, że będzie mógł dokonać spłat w ratach. Pierwszą ratę w kwocie dwudziestu tysięcy dolarów polecił ściągnąć ze swego rachunku z dniem swego przyjazdu do Warszawy. Jutro, najdalej pojutrze nadejdzie pokwitowanie, które stryjowi przedstawi. Nie zamierza jednak spłacać wszystkiego z własnej kieszeni. Wpływ zaś na rodzeństwo może mieć jedynie w wypadku utrzymania się przez pewien czas na stanowisku dyrektora, i to wówczas jedynie, jeżeli uzyska na to całkowitą zgodę stryja. Stanowisko to jednak jest mu niezbędne i z tego powodu, że bank inaczej nie zgodzi się na utrzymanie polubownego układu i zażąda przez swego adwokata natychmiastowej spłaty całości długu. Ponieważ zaś Zakłady absolutnie nie są w stanie wypłacić takiej sumy w przeciągu dwóch miesięcy, a o zaciągnięciu takiej pożyczki teraz, po samobójstwie ojca, byłoby niemożliwe nawet marzyć, trzeba zastosować się do warunków banku. Bank w przeciwnym razie zażąda zabezpieczenia długu na majątku firmy, a wówczas wyjdzie na jaw nadużycie ojca. Doprowadzi to do skandalu i nie tylko kompromitacji, lecz także do podjęcia kredytu, a zatem do zachwiania przedsiębiorstwa. Zatem nie pozostaje nic innego, jak dać bankowi jedyną gwarancję, jaką on gotów jest uznać, to jest gwarancję opartą na osobistym zaufaniu do Pawła.

Mówił spokojnie, rzeczowo, rozwijał perspektywy dalszego ułożenia się stosunków. Zapewnił, że nawet nie mógłby ze względu na swoje własne interesy siedzieć w kraju dłużej niż

dwa, najwyżej trzy miesiące, że zgodnie z życzeniem zmarłego nie podejmie żadnych kroków samodzielnych bez ścisłego porozumienia ze stryjem, że faktyczną władzę chętnie przekaze Krzysztofowi lub komukolwiek, kogo stryj wyznaczy. Prosiłby tylko, by tym kimś nie był Jachimowski, któremu niepodobna zaufać.

Swoje prawie półgodzinne referowanie sprawy uznał za tak przekonujące, że nie spodziewał się już zastrzeżeń stryja. Stary człowiek należał jednak do twardych sztuk. Zanim zgodził się z bratankiem, badał go całym szeregiem pytań, upewniał się co do już powiedzianych rzeczy i wreszcie swoją zgodę obwarował wieloma warunkami. Głównym i zasadniczym był ten, że Pawłowi nie wolno było wydać jakiegokolwiek zarządzenia, jakiegokolwiek dyspozycji, czy przedsięwzięć cokolwiek w fabryce bez zgody Krzysztofa. Nadto Paweł zobowiązał się przedstawić stryjowi do trzech tygodni pisemną zgodę swego rodzeństwa na pokrycie połowy długu.

– Przyznam ci się – powiedział pan Karol na zakończenie – że sprawiłeś mi dość dużą niespodziankę. Gorzej cię sądziłem, niż na to zasługiwałeś. Widocznie mniej uległeś wpływom i wychowaniu twojej matki niż reszta jej dzieci. Nie umiem darować ci tylko tego, że w samowolny sposób, bez uprzedniego porozumienia ze mną postąpiłeś tak sobie.

– Nikt o tym nie wie, stryju, oprócz ciebie i Blumkiewicza. Przyznaję zresztą, że w ten sposób chciałem stryja postawić przed faktem dokonanym. Chodziło mi o osiągnięcie celu, a nie o uznanie stryja. Ludzie chętniej godzą się z czymś, co już istnieje. A ja nie przypuszczałem, że stryj jest tak trzeźwym i uczciwym człowiekiem, że jednak żywi uczucia braterskie dla mego nieboszczyka ojca. Niech mi stryj tych wątpliwości za złe nie bierze, ale prawie nie znaliśmy się.

– Nie mnie z tego możesz robić zarzut – z naciskiem powiedział pan Karol.

– Wiem to dobrze, stryju, lecz teraz mam nadzieję, że przez ten krótki czas współpracy, jaki nas czeka, zdołam pozyskać tyle twego szacunku i sympatii, ile już dzisiaj po tej rozmowie ja żywię dla ciebie.

Na pożegnanie pan Karol wyciągnął do bratanka zdrową rękę:

– Jutro porozumiesz się z Krzysztofem. Do widzenia.

– Nie wątpię, stryju, że będzie to naprawdę porozumienie.

Paweł wyszedł i pojechał na Ujazdowską. Wizyta u stryja zakończona została pełnym sukcesem. Nie tylko uzyskał aprobatę swej dyrektury, nie tylko zdołał zdobyć zaufanie i wiarę, lecz doprowadził do wytworzenia atmosfery nad wyraz dla siebie korzystnej.

Pierwsza partia została rozegrana.

## Rozdział IV

– Gdzie jest gabinet dyrektora Krzysztofa Dalcza? – zapytał z rana woźnego.

– Ostatnie drzwi, panie dyrektorze.

Zapukał mocno i nie czekając na odpowiedź wszedł. Przy maszynie siedziała ładna blondynka i z namaszczeniem jadła śniadanie. Jej różowa buzia pełna była bułki.

– Nie ma dyrektora? – zapytał.

Starła się przelknąć czym prędzej i w tym wysiłku brały udział jej brwi, robiąc kilka tak komicznych ruchów, że Paweł się roześmiał.

– Niech pani się nie śpieszy, to niebezpieczne.

Zmierzyła go karcącym wzrokiem:

– Pan dyrektor jest na warsztacie. Czego pan sobie życzy?

– Przede wszystkim chciałem się pani przedstawić, bo jeszcze się nie znamy.

Wyciągnął rękę i powiedział:

– Jestem Dalcz, a na imię mi Paweł.

Dziewczyna zerwała się z miejsca czerwona aż po białka oczu:

– O, pan wybaczy, panie dyrektorze, bardzo przepraszam, ale nie wiedziałam, że to pan.

– Niechże pani sobie nie przeszkadza – zatrzymał jej rękę, starając się zsunąć napoczętą bułkę do szuflady – czy mój stryjeczny brat prędko wróci?

– Lada chwila, panie dyrektorze.

– Jeżeli pani pozwoli, zaczekam tu na niego.

– Ależ proszę – zażenowała się, zaskoczona jego uprzejmością.

– Pod tym wszakże warunkiem, że pani będzie dalej spożywała swoje śniadanie.

Zaśmiała się:

– Mam na to czas później.

Usiadł i dość bezceremonialnie przyglądał się jej. Wiedział, że jest kochanką Krzysztofa, i przyszło mu na myśl, że może mu się przydać, chociażby do wysondowania opinii stryjecznego brata o nim. Dlatego został.

– Nie dziwię się pani, że nie domyśliła się, kim jestem. Nie mam wiele podobieństwa do innych Dalczów.

– O tak – powiedziała ze specjalną intonacją.

– Czy wykrzyknik pani – zaśmiał się – mam uważać za wyraz uznania, czy też za współczucie?

– Pan dyrektor żartuje – spuściła oczy.

– A pani nie jest do tego przyzwyczajona przez innych Dalczów?... Mój brat stryjeczny jest, zdaje się, bardzo poważny i wszystko traktuje serio?

– Wszystko... No nie, pan Krzysztof jest czasami wesoły.

– Nie widziałem go od wielu lat...

Drzwi się otworzyły i wszedł Krzysztof. Paweł wstał:

– Czekałem na ciebie, Krzysiu. Dzień dobry.

– Dzień dobry. Służę ci – podał mu rękę bardzo grzecznie i bardzo oficjalnie.

- Mielibyśmy do pomówienia. Czy masz teraz czas?
- Za chwilę ci służę. Sądzę, że najwygodniej nam będzie u ciebie.
- Zatem czekam – skinął głową Paweł i wyszedł.

Doskonale odczuł w tonie Krzysztofa niechęć i niezadowolenie że czekał nań i oczywiście rozmawiał z tą stenotypistką. Musi być o nią zazdrosny. Przecie go niemal wyprosił.

Znowu wywarł na Pawle wysoce przykre wrażenie. W jego zachowaniu się była jakaś sztuczność, jakaś nieszczerłość, jakaś poza. Paweł nie spodziewał się po nim życzliwości, nie oczekiwał demonstracji uczuć kuzynowskich. Przeciwnie, przygotowany był z góry na chłód i na pozycję wroga. Jednak w sposobie bycia Krzysztofa było jeszcze coś ponadto, coś odpychającego i niezrozumiałego zarazem. I do tego ten nieznośnie wysoki głos i te maniery wyzywająco kanciaste, maniery przypominające sztubaka udającego dorosłego człowieka.

Smarkacz jeszcze – myślał Paweł – nie ja tym będę się martwił.

Upłynęło dobrych dziesięć minut, zanim Krzysztof przyszedł.

– Siądźmy tu – powiedział Paweł, wskazując mu fotel przy okrągłym stoliku – czy stryj Karol poinformował cię o powodach, dla których zostanę tu przez pewien czas?

– Owszem.

– Uważam za swój obowiązek zaznaczyć, kochany Krzysztofie, że zrobię wszystko, by nasza współpraca dała jak najlepsze wyniki. Ja, niestety, nie jestem inżynierem i na technice się nie znam, zatem w tym dziale wszystko spoczywać nadal będzie w twojej kompetencji.

– Bardzo ci dziękuję za zaufanie – powiedział Krzysztof z odcieniem ironii, lecz z tak nikłym, że Paweł mógł udawać, że nie dostrzega drwiny i bierze ją za dobrą monetę.

– Ojciec twój był zdania, że powinniśmy wszystkie sprawy załatwiać wspólnie.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zastosować się do tego.

– Powiedziałeś to w taki sposób, jakbyś nie zgadzał się ze stanowiskiem swego ojca?

Krzysztof wzruszył ramionami:

– Gdyby nawet tak było, nie ma o czym mówić. Na razie jest to bezprzedmiotowe.

– Słuchaj, Krzychu – pojednawczo odezwał się Paweł – wiesz, na czym mi zależy, wiesz, że nie zamierzam stawać ci na drodze, że wkrótce zostawię ci całe przedsiębiorstwo. Powiedz zatem, dlaczego zajmujesz wobec mnie pozycję jakby obronną?

– Z czego wyprowadzasz taki wniosek? – obojętnie odpowiedział Krzysztof – nie zajmuję żadnej pozycji. Powiedziałem już, że podporządkuję się życzeniu ojca.

– Zatem w porządku – z udawaną prostodusznością odrzekł Paweł i pomyślał, że kiedyś ta malowana lala pożałuje gorzko lekceważącego tonu.

Przystąpili do omawiania spraw fabrycznych. Tu Paweł miał możliwość stwierdzić, że jego brat stryjeczny doskonale orientuje się w kwestiach produkcji. Natomiast w rzeczach ogólnohandlowych nie czuje pewnego gruntu pod nogami. Zresztą Paweł postanowił z góry zrobić wszystko, by wyeliminować wtrącanie się Krzysztofa w tę dziedzinę, przede wszystkim przez nieinformowanie go, co przy pomocy Jachimowskiego da się przeprowadzić.

Naturalnie, jeżeliby Krzysztof domyślił się sprawdzać dziennik główny, odkryłby egzystencję wielu listów, które były wysyłane z podpisem Pawła, a bez cyferki jego własnej. Na to jednak za mało miał praktyki.

Jedyną osobą, która mogłaby go tu uświadomić był sekretarz Holder. Ten jednak nic nie wiedział o warunkach, na jakich Paweł Dalcz był naczelnym dyrektorem, a z wieloletniej pracy pod ręką zmarłego naczelnego dyrektora wyniósł przeświadczenie, że naczelnny dyrektor jest władcą absolutnym i wszelkie jego działania nie tylko nie podlegają niczyjej kontroli, lecz nie mogą dostać się do czyjejkolwiek wiadomości pod grozą niemal świętokradztwa. Zresztą osoba Pawła Dalcza bardzo mu przypadła do gustu, a stało się to ze zrozumiałego powodu.

Już pierwsze dni urzędowania nowego dyrektora dowiodły, że jest to człowiek nie lubiący wchodzenia w długie rozmowy i pospolitowania się z pierwszym lepszym pracownikiem. Pod



tym względem przewyższał znacznie zmarłego ojca. Skończył się obyczaj posłuchań, natomiast każdy interesant musiał przedstawić najpierw Holderowi swoją sprawę, a dopiero gdy ten uznał jej pilność, meldował dyrektorowi. W przeciwnym razie odkładał powiadomienie szefa do wieczornego raportu. Zarządzenie to jeszcze wyżej podnosiło nieprzystępność wielkiego ołtarza, a tym samym opromieniało większą władzą stanowisko pana sekretarza.

W krótkim też czasie przekonał się Holder, że i politykę w stosunku do robotników odziedziczył syn po ojcu w podobnych formach. Wprawdzie mniej zwracał uwagi na delegatów, za to jednak często odwiedzał warsztaty i wdawał się w rozmowę z wielu robotnikami, traktując ich znacznie uprzejmiej niż urzędników i inżynierów. Dla tych zresztą był również uprzedzająco miły, ilekroć którego przyjmował w swoim gabinecie. Cały jednak sekret polegał na tym, że przyjmował niezmiernie rzadko, zaś poza gabinetem nigdy nie wdawał się w rozmowy.

Sekretarz tłumaczył niezadowolonym, że przecie naczelny dyrektor jest teraz, świeżo po objęciu fabryki, niezmiernie zajęty. Nie było w tym zresztą ani cienia przesady.

Paweł zabrał się do roboty z całą furią nagromadzonej energii. Poza sprawami wewnętrznymi, organizacyjnymi, bieżącymi, poza szczegółową lustracją zakładów, rozpoczął akcję na szeroką skalę. Chodziło o wyrobienie w bankach wyższego kredytu i o uzyskanie większych zamówień. Za wszelką cenę musiał dopiąć jednego: dowieść stryjowi, że jego kierownictwo zbawiennie wpływa na stan przedsiębiorstwa. Strjowi i nie tylko strjowi. Cały warszawski świat przemysłowy musi poczuć jego obecność.

Rozpoczął od wizyt u dyrektorów kilku banków i kilku większych fabryk, pozostających w interesach z Zakładami Dalczów. Odbywało się to w ten sposób, że Holder telefonicznie zamawiał wizytę na dzień lub nawet na dwa dni naprzód na ściśle umówioną godzinę i minutę. Robiło to bardzo dobre wrażenie.

Oczywiście, przeprowadzając rozmowy z tymi grubymi rybami, Paweł nie wspominał ani jednym słowem o rzekomym zamiarze swego „powrotu” do Anglii. Przeciwnie. Jakby mimochodem wyjaśniał, że ma bardzo rozległe plany rozszerzenia fabryki, że przewiduje ściągnięcie do kraju poważniejszych kapitałów swoich przyjaciół z City, że sam nie przypuszczał, by w Polsce tyle można było jeszcze zrobić, że finansiści zagraniczni dlatego unikają polskiego rynku, że go nie znają, jak na przykład on sam dotychczas, lecz teraz to i owo w różnych gałęziach przemysłu krajowego da się naprawić drogą zaufania.

Skutkiem tych odwiedzin i rozmów patera w mieszkaniu na Ujazdowskiej szybko zapełniała się biletami wizytowymi, na których widniały nazwiska osób bardzo znanych, bardzo wpływowych i bardzo bogatych.

Zdzisław otwierał na to szeroko usta, a Jachimowski zacierał ręce i przeplatając słowa swoim charakterystycznym „chi-chi-chi”, przypominał wszystkim, że on pierwszy poznał się na Pawle i że jeszcze wszystko będzie jak najlepiej.

Zdawały się to potwierdzać i inne, te już całkiem namacalne skutki. Mianowicie zamówienia. W ciągu dwóch tygodni Zakłady otrzymały cały szereg nowych zamówień na poważne kwoty od obcej dotychczas klienteli.

Paweł pokazywał, co umiał.

Na sen tracił bardzo mało czasu. Do późnej nocy w dawnym salonie pani Józefiny, zamienionym obecnie na jego gabinet, paliło się światło. Drzwi były pozamykane na klucz, a dziurki od klucza zasłonięte. Domownikom nie wolno było znajdować się w sąsiednim pokoju, dokąd dobiegały dźwięki maszyny do pisania lub głośniejsze słowa telefonicznej rozmowy.

O godzinie dziewiątej zanoszono do gabinetu maszynkę czarnej kawy, którą przy drzwiach odbierał sam Paweł, nie pozwalając wejść lokajowi do środka. Na biurku i stoliku obok leżały porozrzucane papiery i stały jakieś flaszeczki. Z rana jednak, gdy pan wyjeżdżał do fabryki, wszystko było pochowane, a zaspokojenie ciekawości uniemożliwiały nowe, świeżo wprawione zamki, do których stary komplet kluczy nie pasował.

Paweł Dalcz pracował.

Władał wprawdzie niezłe językiem angielskim, lecz nie był zbyt obeznany z jego n-rzeczem handlowym. Dlatego pisanie listów w imieniu banku „Lloyd and Bower” sprawiało mu sporo trudności. Znacznie łatwiej było naśladować podpisy, co wkrótce doprowadził do perfekcji. Natomiast sporządzanie gumowych stempli należało do rzeczy najtrudniejszych. Dla nabrania praktyki w tym względzie Paweł odwiedził kilka pracowni grawerskich i wysiad- dywał tam z miną człowieka nie mającego nic lepszego do roboty, godzinami czekając na wykonanie obstalunku i przyglądając się sposobom majstra. Zaopatrzył się też we wszystkie niezbędne przybory.

Najwięcej kłopotu było z blankietami banku. Najprościej byłoby zamówić je w jakiejś mniejszej drukarence. Nie chciał jednak ryzykować, licząc się z tym, że w każdej zapewne jest konfident policji polujący na druki komunistyczne. Taki jegomość mógłby jednak zainte- resować się i tego rodzaju sprawą.

Kupił wreszcie drukarnię biurową. Wprawdzie czcionki jej różniły się znacznie od tych, jakimi wykonany był napis na blankietach, ale nie należało się obawiać aż takiej przenikliwo- ści stryja, który nie ma najlepszego wzroku.

O tym przekonał się Paweł przy sposobności pokazywania mu pokwitowania bankowego za pierwszą ratę. Podskrobanie na nim daty i wstawienie na jej miejsce świeżej wykonane było tak dalece niżej wszelkiej krytyki, że dziecko domyśliłoby się fałszerstwa. Toteż Paweł zanosił pokwitowanie z całą świadomością ryzyka, które mogło zaważyć decydująco na ca- łym przedsięwzięciu.

Na szczęście pan Karol czuł się tego dnia gorzej i pobieżnie tylko spojrzął na pokazywany mu arkusik. Zresztą widocznie ani przez myśl mu nie przeszło jakiegokolwiek podejrzenie.

Rodzeństwu jednak Paweł pokwitowania nie pokazał. Wyjaśnił, że musiał je oddać stryjo- wi. W ogóle lekceważył Halinę, która wcale nie wchodziła w rachubę, unikał Ludki, nie chcąc wystawiać się na jej podejrzliwy wzrok, a Zdzisława i Jachimowskiego nie miał powo- du obawiać się. Przybrał wobec nich ton życzliwie protekcyjny, nie pozbawiony nutki konspiracyjnego porozumienia, lecz obecność ich sprawiała mu rzetelną przykrość. Stanowili rodzaj balastu, z którym jeszcze należało się liczyć nie ze względu na jego wartość, lecz z racji ostrożności.

Matkę postanowił wyprawić z domu, by mu przez swoją zbyt gadatliwość i brak poczu- cia ważności sytuacji nie mogła zaszkodzić.

W tym celu wytłumaczył jej, że wygląda źle, że czuje się przemęczona i że w ogóle jej zdrowie po ostatnich przejściach wymaga odpoczynku. Ponieważ zaś brak pieniędzy nie po- zwala na wysłanie jej za granicę, najlepiej zrobi jadąc do swojej ciotecznej siostry na Podole.

Jeszcze przed wyjazdem pani Józefiny wiele rzeczy w mieszkaniu uległo zmianie. Po pro- stu wszystko zostało urządzone w ten sposób, by Paweł najwygodniej mógł pracować, by mógł bez skrupowania przyjmować swoich gości i swoich interesantów. Halinie i Zdzisławo- wi zostały tylko trzy pokoje.

Jednocześnie Paweł rozpoczął poszukiwanie Tolewskiego. Wkrótce wszakże dowiedział się, że Tolewski wyjechał do Krakowa, a wróci dopiero po świętach.

W fabryce wszystko szło względnie gładko. Wyjaśniwszy Jachimowskiemu, że potrzebuje pieniędzy na wysłanie matki i na uregulowanie niektórych jej drobnych długów, kazał sobie z kasy wypłacić z góry dwumiesięczne pobory. W razie gdyby wiadomość o tym dotarła do Krzysztofa, przygotowany był na wyjaśnienie, że musiał tych pieniędzy użyć na łapówkę i dlatego w pośpiechu sam wydał to zarządzenie.

Obawy były jednak zbędne, gdyż Krzysztof tak był pochłonięty pracą swego działu, że sy- gnował wszystkie papiery dyrekcyjne jakby z roztargnieniem.

Paweł samo to podpisywanie zorganizował w ten sposób, że teki z korespondencją podpi- sywali jednocześnie w gabinecie Pawła, dokąd je przynosił Holder. Dzięki temu Paweł miał

zawsze możliwość obserwowania kuzyna i ewentualnego przekonania go w razie sprzeciwu na miejscu, wskutek czego nikt nie mógł się dowiedzieć, że władza naczelnego dyrektora ulega obecnie jakimkolwiek ograniczeniom.

Sam Krzysztof wydawał się Pawłowi coraz dziwniejszy. Sprawiał wrażenie czasami takie, jakie by nazwał niesamowitym, gdyby mówił o kimś starszym i mającym ciężkie osobiste przeżycia czy tajemnice.

Tu jednak nie mogło być mowy o czymkolwiek takim. Wiedział przecie, że życie Krzysztofa od dzieciństwa układało się spokojnie i przesuwało się łagodną falą między dobrze ocembrowanymi brzegami, wytworzonymi przez dostatek, miłość rodziców i opiekę.

Zwłaszcza o tej opiece dziwaczne już dawniej kursowały pogłoski. Opowiadano, że pani Teresa Dalczowa wychowuje syna pod kloszem. Podczas jego studiów miała mu towarzyszyć przez cały czas za granicą i pilnować, by nie wdawał się w nieodpowiednie towarzystwo. Zapewne przesadzano mówiąc, że odprowadzała go na wykłady i z wykładów do domu, że nie pozwalała utrzymywać koleżeńskich stosunków i w ogóle nie puszczała na krok bez siebie.

Krzysztof wprawdzie sprawiał wrażenie „mamusinego synka”, jak go w fabryce po cichu przezywano, nie wyglądał on jednak aż na tak ślamazarnego. Najlepszym tego dowodem było to, że tak prędko po wyemancypowaniu się wynalazł sobie kochankę, i to jedną z najładniejszych dziewcząt w fabryce.

Paweł wyraźnie nie lubił Krzysztofa, zdawał sobie sprawę, że ten działał mu na nerwy. Pomimo to jednak starał się do niego możliwie zbliżyć, przede wszystkim poznać go dobrze ze względu na swoje plany, a po wtóre dlatego, że nie umiał przewyciężyć zaciekawienia, jakie w nim Krzysztof wzbudzał. Chłód jego i coraz wyraźniejsze unikanie styczności z Pawłem jeszcze mocniej utwierdzały Pawła w postanowieniu. W jego naturze leżała rezygnacja tylko wówczas, gdy znalazł się poza kołem graczy, teraz jednak z każdym dniem bardziej czuł się w jego środku.

List banku „Lloyd and Bower”, zawierający zgodę na rozłożenie długu na raty, a adresowany do Zakładów Braci Dalcz i Spółki z powołaniem się na osobistą rozmowę z naczelnym dyrektorem p. Pawłem Dalczem, został wciągnięty do ksiąg firmy i wręczony przez Pawła Krzysztofowi:

– Bądź, Krzysiu, tak dobry i oddaj to twemu ojcu. Chciałem z tym być u niego sam, lecz dzisiaj, niestety, nie będę miał czasu, a sprawa jest pilna.

Krzysztof przeczytał list i powiedział:

– Żądają od nas wpłacenia w lutym sześćdziesięciu tysięcy dolarów, a resztę zgadzają się rozłożyć. Nie rozumiem. O ile wiem, zapewniałeś ojca, że sam pokryjesz dług. Ty i twoje rodzeństwo.

– Tak jest w istocie.

– Więc cóż znaczy ten list?

– Jest dowodem, że i tak zdołałem uzyskać w banku warunki, o jakich stryj nie mógłby nawet marzyć, gdybym ja się tym nie zajął. W lutym trzeba byłoby zapłacić dwieście tysięcy, a ponieważ firma nie mogłaby znikąd wydobyć tak wielkiej sumy, doszłoby do skandalu. Nie rozumiem cię, Krzychu, dlaczego moje maksimum dobrej woli, naprawdę nie wymuszonej, do licha, woli, traktujesz w taki sposób?... Powiedziałem raz, że zapłacę, i nie ma wątpliwości, że tego dotrzymam.

– Więc cóż to obchodzi mnie lub też mego ojca? Wierzmy ci i czekamy.

– Wyborny jesteś – zaśmiał się szyderczo Paweł – zapominasz, że pomimo wszystko nie zaliczam się do zwierząt pociągowych, na które zwala się ciężary i wzrusza się ramionami, jeżeli pod nimi zdychają. Owszem, dodźwigam do końca, ale chyba mam prawo wymagać ludzkiego do siebie stosunku. Mniejsza o motyw, dla których wziąłem je na siebie. Pozostaje faktem, że uwolniłem od nich właśnie stryja i ciebie.

– Nikt temu nie zaprzecza – obojętnie zauważył Krzysztof.

– Trudno zaprzeczać oczywistości. Zapłaciłem już dwadzieścia tysięcy dolarów i zapłać resztę. Ale w lutym nie mogę uruchomić takiej kwoty, jakiej oni żądają. Mam wprawdzie w Liverpoolu... Zresztą nie lubię być gołosłownym. Zechciej to przejrzeć.

Wydobył z szuflady kilka listów i kwitów. Były to dokumenty, stwierdzające, iż w składach portowych złożone zostały wielkie partie bawełny, stanowiącej własność Pawła Dalcza, a ubezpieczone na wysokie sumy.

Kogoś obdarzonego szczególnym zmysłem spostrzegawczości mógłby uderzyć dziwny zbieg okoliczności, że blankiety banku w Manchester, składów w Liverpoolu i towarzystwa asekuracyjnego w Londynie są drukowane czcionkami identycznego kroju. Krzysztof zauważył tylko, że każda z tych instytucyj używała innego papieru i innej taśmy w maszynie.

– Widzisz więc, że w ostatecznym razie mógłbym sprzedać kilka tysięcy bel bawełny. Ale teraz jest najgorszy sezon, najniższe ceny. Straciłbym na tym bardzo wiele, a tego chyba ode mnie już nie żądacie? Przejrzyj cedułę bawełnianą, a sam się przekonasz.

– O co ci tedy chodzi? – zapytał Krzysztof, składając papiery i oddając je Pawłowi.

– Jutro rano muszę wysłać odpowiedź. Zatem chcę by stryj wypowiedział się, czy zgodzi się dodać do lutowej raty czterdzieści tysięcy dolarów, oczywiście z tym, że w ciągu sześciu miesięcy ja je zwrócę.

– A jeżeli ojciec się nie zgodzi?

– Jeżeli nie zgodzi się?... Hm... wówczas odpiszę, że nie możemy skorzystać z warunków banku i pozostawiamy mu wolną rękę.

Paweł rozłożył ręce i dodał:

– Robię tylko to, co mogę.

– Więc to jednak przymus! Dlaczego nie udasz się do swego rodzeństwa!

– Stryj, mój drogi Krzysztofie, wie równie dobrze, jak i ja, że oni nic nie mają. Zaś sprzedaż ich udziałów w obecnej sytuacji, sam to rozumiesz, byłaby marnotrawstwem.

Krzysztof nic nie odpowiedział i schował list do kieszeni. Stał odwrócony profilem i jego długie rzęsy rzucały na policzek gęsty wygięty cień. Wydawał się teraz Pawłowi niezwykle ładnym chłopcem i pomimo swego obojętności bardzo sympatycznym. Nagle poczuł w sobie jakąś niezrozumiałą złość, że ten młody człowiek, o którego życzliwość zabiega szczerze czy nieszczerze – to obojętne, że ten kuzyn, młodszy o dziesięć lat, traktuje go tak obco i z daleka.

Niespodziewanie dla siebie samego Paweł powiedział:

– Posądzasz mnie o specjalną względność familijną dla mego rodzeństwa. Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak dalekie to jest od prawdy. Rodzeństwo... Puste słowo. Nigdy nie miałem rodzeństwa, nigdy nie miałem rodziny... Nie nauczyłem się tak zwanej wspólnoty domowego ogniska, nie miałem zeń ani odrobiny ciepła... A w życiu nieraz człowiek zziębnięty chciałby ogrzać ręce. Najsilniejsze ręce przecie ziębną. Stają się jak lód. Nie rozgrzeje się ich przy cudzym ognisku, choćby to było ognisko, przypuśćmy, twego domu, bliższego mi niż inne z powodu związków krwi. Związki krwi są takim samym umownym frazesem, jak uczucia rodzinne. Dlatego niepotrzebnie, Krzysztofie, odpędzasz mnie kijem od swego ogniska... Nie wyciągam do niego rąk, Krzysztofie... Nie oczekuję od ciebie ani odrobiny ciepła, ale niepotrzebnie przypominasz mi to każdym słowem i każdym gestem. Niepotrzebnie...

Mówił, patrząc w okno. Gdy odwrócił głowę, ujrzał wpatrzony w siebie oczy Krzysztofa, ogromne czarne oczy, w których był jakby ból, jakby przerażenie, jakby cierpienie. Smagła twarz zdawała się bledszą, a usta zdawały się drżeć, hamować jakieś słowa...

Lecz wszystko to było tylko złudzeniem. Krzysztof odwrócił się i szedł do drzwi. Dopiero na progu stanął i z ręką na klamce powiedział:

– Masz przywidzenia i jakieś mgliste pretensje. Za dużo pracujesz i to odbija się źle na stanie twoich nerwów.

Drzwi lekko trzasnęły, na korytarzu oddalały się szybkie elastyczne kroki.

Paweł zaśmiał się krótko i nieszczerze. Pierwszy raz od przyjazdu do Warszawy nie był z siebie zadowolony. Po co mówił temu głupiemu smarkaczowi te jakieś niedorzeczne sentymentalności, po co, u licha, wyskoczył z niemal zwierzeniami?... Zły stan nerwów! Bałwan! Nigdy jeszcze Paweł nie miał nerwów w tak idealnym porządku, nigdy w tak spokojnym nie były napięciu. Pewny był każdego kroku, odmierzony miał każdy uśmiech, zważone z apteczną precyzją każde słowo.

A jednak przed chwilą zachował się bez sensu. To wina tego smarkacza. Jego obrażający chłód doprowadził Pawła do najwyższej irytacji. Z jakąż przyjemnością wykręciłby mu ręce aż do bólu, zgniótłby to chuchro, zmiażdżył siłą swoich mięśni...

– Pożałuje jeszcze tego, pożałuje. Mgliste pretensje...No, oczywiście, że mgliste, idiotyczne pretensje!

We wzroku Krzysztofa widział coś innego, coś dziwnego, niezrozumiałego, ale to było przywidzenie.

– Czyżbym zaczął cierpieć na halucynacje? – zaśmiał się i nacisnął guzik dzwonka.

Na progu stanął sekretarz:

– Panie Holder, niech pan każe szoferowi, żeby zaraz zajeżdżał.

– Słucham pana dyrektora.

W pół godziny później Paweł wchodził na odrapane i skrzypiące schody brudnej kamienicy przy ulicy Chmielnej. Na trzecim piętrze zapukał do drzwi. Po dłuższej chwili usłyszał człapanie pantofli i rozległ się ochryply głos kobiecy:

– A kto tam?

– Ja do pana Tolewskiego – odpowiedział Paweł.

– Nie ma.

– Ale wrócił już?

– A jeżeli i wrócił, to co?

– Mam interes.

– To niech pan idzie do „Italii”.

– Tam go znają?

– Jeszcze by nie znali. Całymi dniami wysiaduje.

W kawiarni portier rozejrzał się po wieszakach i oświadczył:

– A jakże, proszę szanownego pana, jest. Musi siedzieć w drugiej sali.

Paweł usiadł i kazał podać sobie kawy. Widział, jak kelner podszedł do stolika zajętego przez kilku mężczyzn, prowadzących ożywioną rozmowę. Po chwili jeden z nich wstał i zbliżył się do stolika Pawła z pytającym wyrazem twarzy.

– Pan Tolewski, nieprawdaż? Jestem Dalcz – Paweł podał rękę, którą Tolewski z manifestowanym szacunkiem uścisnął.

– Do usług szanownego pana dyrektora.

– Proszę. Niech pan siada.

Był to średniego wzrostu, dobrze odpasiony jegomość około pięćdziesiątki, ubrany dość niechlujnie, lecz starannie wygolony i z mocno przyczernionymi wąsami. Usiadł z nonszalancką swobodnie podciągnął nogawkę spodni w paski, przyglądając się nieznacznie wielkiemu brylantowi na palcu Pawła.

Było to oczywiście, że Tolewski spełnił wyłącznie rolę pośrednika w sprzedaży udziałów, i Paweł od pierwszego rzutu oka ocenił jego sytuację, która nie musiała należeć do najpomyślniejszych.

– Miałbym do pana pewien interes w związku z transakcją, jaką przeprowadził pan z moim ojcem – powiedział – słyszał pan prawdopodobnie, że po jego śmierci ja objąłem kierownictwo naszej fabryki?

– Naturalnie, że słyszałem, panie dyrektorze. W kawiarni słyszy się o wszystkim.

– Czy nie powie mi pan zatem, z kim należałoby mówić o udziałach sprzedanych przez mego ojca?

Tolewski zaśmiał się dyskretnie:

– Ja zawsze jestem do dyspozycji pana dyrektora.

– Zatem znajdują się one w posiadaniu...

– O, nie w moim, nie w moim, niestety. Gdzie tam.

– Ale pan wie, w czyim?

– Niewiele z tego przyjdzie panu dyrektorowi, gdyż obie strony, tj. nabywca i sprzedający, zastrzegły sobie zupełną dyskrecję. Tedy... sam pan widzi...

Rozłożył ręce takim ruchem, jakby wyjaśnił, że nic zrobić nie może, lecz i takim jednocześnie, jakby zawsze był gotów przytrzymać kontrahenta, gdyby ten w naiwności swojej uwierzył.

Paweł poczęstował go papierosem i milcząc przyglądał się grze jego rysów.

– Panie Tolewski – odezwał się po dłuższej pauzie – czym się właściwie pan trudni?

– Ja?... Hm... tym i owym, co się zdarzy. Różne interesy.

– Pośrednictwem? I co ono panu daje?

– Grosze – westchnął Tolewski – teraz taki zastój. Ledwie się koniec z końcem wiąże.

– No, a jak się panu powiodło w Krakowie?

Tolewski niespokojnie poruszył się na krześle i obejrzawszy się dokoła, zapytał drżącym głosem:

– Skąd pan wie, że byłem w Krakowie?

Paweł w sam czas powstrzymał się od zapewnienia, że właściwie nic nie wie, i zrobiwszy pauzę, uśmiechnął się:

– Słyszysz się to i owo. Ale proszę wierzyć mi, panie Tolewski, że mnie to nic na razie nie obchodzi.

– Jak mam rozumieć to „na razie”?

– Nie obchodzi – mówił dalej Paweł – gdyż zajęty jestem inną sprawą, w której pan może mi dużo rzeczy ułatwić i dużo na tym zarobić. Nieściśle mówię „zarobić”. Zdobyć pozycję i majątek.

Tolewski uspokoił się i przysunął się wraz z krzesłem:

– Do usług, panie dyrektorze.

– Kto kupił udziały? Jeżeli pan nie masz do mnie zaufania, możesz pan nie wymieniać nazwiska. Chodzi mi na razie o jego stanowisko, zawód, majątek?

– Majątek?... – podniósł brwi Tolewski – to milionerka!

– Więc kobieta?

– No tak, co ja będę z panem dyrektorem bawić w ciuciubabkę: Wenzłowa, sama stara Wenzłowa!

Wymówił to nazwisko jako powszechnie znane, lecz widząc, że Dalczowi nic ono nie wyjaśnia, dodał:

– To wdowa po tym Wenzlu, co jeszcze na modlińskich dostawach się dorobił. Za młodu była, jak teraz opowiada, aktorką. Ale tak naprawdę, to po prostu puszczała się na wielką skalę. Miała dwóch mężów, Wenzel był trzeci. W Warszawie każdy ją zna. Brylanty w uszach nosi większe niż u pana dyrektora w pierścionku.

– Dziwne. Dlaczego ona właśnie kupiła? Dlaczego mój ojciec jej sprzedał udziały?

Tolewski zrobił filuterne oko:

– Ma baba pieniądze, a ludzie opowiadają, że dla świętej pamięci pana Dalcza żywiła jeszcze z dawnych czasów... Kto to może wiedzieć... Kiedyś piekielnie ładna była... Dość że jak się tylko dowiedziała, że pan Dalcz, znaczy się ojciec pański, szuka kupca na swoją część fabryki, to zatelefonowała do mnie i kazała mi iść do niego.

– Czy utrzymuje pan z nią jakikolwiek kontakt?

– Owszem.  
– Nie wie pan, jak przyjęła wiadomość o samobójstwie?  
– Pańskiego ojca? Ależ! Słowo honoru daję, że baba prawie oszalała. Była pewna, że to bankructwo fabryki i że ze swoich stu dziesięciu tysięcy dolarów nie zobaczy ani gronia.  
– Tyle zapłaciła za udziały?  
– Tak – z poufną miną zapewnił Tolewski i nagle odsunął się – ale ja panu dyrektorowi różne rzeczy takie opowiadam... Właściwie to mnie nie wolno...

Paweł roześmiał się:

– Tyle już mi pan opowiedział, że gdybym chciał zrobić coś za pańskimi plecami, to i tak mógłbym. Powtarzam jednak, panie Tolewski, że nie jestem z tych, i ręczę panu za dobry interes.

To przekonało Tolewskiego. Oświadczył, że nie żywi żadnych obaw, że na ludziach się zna, że widzi, z kim ma do czynienia, i zaczął opowiadać szczegółowo o przebiegu transakcji i o obecnych niepokojach Wenzlowej.

W umyśle Pawła coraz wyraźniej krystalizował się plan działania. Rzecz była do zrobienia. Czasu wprawdzie zostawało niewiele, ale przy pewnym wysiłku można ułożyć.

Ze słów Tolewskiego wynikało, że Wenzłowa już jest nastraszona. Pozostawało zatem doprowadzić niepokój jej do takiego stanu, w jakim byłaby gotowa sprzedać udziały za najmniejszą kwotę. Dążyć do tego trzeba dwiema drogami: przedstawić jej w najgorszym świetle stan interesów fabryki i zademonstrować przed nią panikę udziałowców, usiłujących wyzbyć się udziałów.

Naturalnie na to wszystko trzeba jednak mieć pieniądze. Jeżeli stryj Karol nie da się naciągnąć na owe czterdzieści tysięcy – cała kombinacja okaże się nierealna. Nierealna, to jeszcze nie znaczy przegrana. Należy wówczas znaleźć inną. Tymczasem jednak, zważywszy wszystkie szanse, wolno było mieć nadzieję. Jeżeli nawet Krzysztof źle usposobi stryja, jeszcze nie będzie to powodem do rezygnacji. Paweł wypróbował już na stryju siłę argumentacji. Właściwie zupełnie niepotrzebnie zwrócił się tym razem do Krzysztofa. Zrobił to raczej dlatego, że koczyła go ta oziębłość stryjecznego brata, że niejako chciał go wciągnąć w swoje sprawy bliżej.

Tolewski mieszał głośno cukier w kawie i od czasu do czasu spoglądał na zamyślonego Pawła.

– Nie jest tak źle, panie Tolewski – odezwał się ten wreszcie – będzie to lepszy i znacznie intratniejszy interes dla pana niż... krakowski.

Ostatnie słowo wymówił z takim naciskiem, jakby najlepiej był poinformowany o tym interesie, a widząc zmieszanie pośrednika, łagodząco dodał:

– Nie będziemy na siebie narzekali. Obiecuję to panu.

– Jestem tego pewien, panie dyrektorze.

– Ja jeszcze bardziej. No, niech pan zajrzy do mnie jutro wieczorem około ósmej. Zna pan mój adres?

– To jest mieszkanie świętej pamięci ojca pana dyrektora?

– Tak. I niech pan służbie nie mówi swego nazwiska. Do widzenia panu.

– Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

Paweł Dalcz wcale nie spał tej nocy. Do świtu siedział przy biurku. O świcie z jego pokoju rozległ się hałaśliwy wrzask gramofonu, bardzo hałaśliwy, gdyż swym hałasem musiał pokryć terkotanie maszyny drukarskiej.

O ósmej wszystko było gotowe.

Wziął prawie zimną kąpiel, ubrał się i pojechał do fabryki. W ciągu półgodziny przejrzał korespondencję, wydał Holderowi dyspozycje i wewnętrznym telefonem połączył się z gabinetem Krzysztofa. Odezwał się głos jego sekretarki: – jest chory, nie będzie dziś w fabryce.

Paweł położył słuchawkę i poszedł rozmówić się z Jarszówną.

– Dzień dobry pani. Mój brat jest chory?

– Telefonowano z domu, panie dyrektorze, że nie przyjdzie, bo czuje się niezdrow.

– Nie wie pani, co mu jest? Może się zaziębił?

– Nie wiem, panie dyrektorze.

– Proszę, niechże pani siada. Nie widziała go pani od wczoraj?

Jarszówna zarumieniała się:

– Dlaczego pan dyrektor myśli, że mogłam się widzieć. Wczoraj nie miałam żadnej popołudniówki...

– O! To pani tyle pracuje, że miewa czasem i zajęcia wieczorne? – udał zdziwienie.

– Zdarza się, panie dyrektorze.

– Mój kuzyn zamecza panią. Gdybym nie obawiał się, że jest o panią zazdrosny, powiedziałbym mu, że trzeba nie mieć serca, by zmuszać do tylu godzin pracy tak uroczą istotkę, jak pani.

Dziewczyna zrobiła się purpurowa i spuściła oczy.

Paweł pochylił się nad nią i dodał prawie półgłosem:

– Nie dziwię się Krzysztofowi, że jest zazdrosny. Ile razy tu wchodzę, nie umie ukryć swego niezadowolenia. Czy pani moje odwiedziny też sprawiają przykrość?

– O, pan dyrektor żartuje...

– Nie, nie, proszę odpowiedzieć szczerze! Może mi na tym zależy. No? Sprawiają przykrość?

W milczeniu potrząsnęła głową przecząco.

– Eee, ukrywa pani wzrok – skrzywił się – proszę spojrzeć na mnie. Po oczach pani poznaję, czy to prawda. Podniosła nań roziskrzona bardzo niebieskie oczy. Pomyślał, że jest ładna i że albo należy do gatunku urodzonych kokietek, albo już tak za bardzo nie kocha się w Krzysztofie. Dla próby dodał:

– A nie powie mu pani, żeśmy sobie gawędzili tu na tematy nie całkiem biurowe?

– Pan Krzysztof nie będzie wcale pytać...

– Gdyby jednak?... On tyle ma z panią wspólnych tajemnic, tak mi się przynajmniej zdaje, chciałbym i ja mieć z panią jedną małą tajemnicę. Przy tym przez zazdrość gotów mnie znienawidzić. A chyba pani nie zależy na tym, by między stryjecznymi braćmi doszło do nieprzyjaznych uczuć?

– Ja nic nie powiem! – żarliwie zapewniła z taką intonacją, jakby to było od początku oczywiste.

– To dobrze – uśmiechnął się – Krzysztof i tak nie bardzo mnie lubi. Wie to pani lepiej ode mnie. Prawda?

– Cóż znowu, panie dyrektorze – zdetonowała się – ja nic o tym nie wiem...

Paweł pomyślał, że jest inaczej i że trzeba się będzie zabrać do spenetrowania tej sprawy. Nie przewidywał specjalnych trudności. Dziewczyna była dość naiwna, no i dostatecznie ładna, by wywiad tego rodzaju nie należał do zabiegów przykrych.

– Zatem do widzenia – spojrzał na nią znacząco.

– Do widzenia, panie dyrektorze.

Wyszedł i mruknął do siebie:

– Zabawna gęś.

Do telefonu podszedł, jak zwykle w tym domu, Blumkiewicz. Potwierdził, że pan Krzysztof jest chory, nic poważnego, ale leży w łóżku, natomiast pan prezes prosi pana dyrektora do siebie.

Za furtką w sztachetach zaczynał się ogród zasypany niemal do wierzchołków agrestu śniegiem. Ścieżka prowadząca do willi była rozczyszczona, jak co dzień dla Krzysztofa, dziś jednak Paweł na niej pierwsze stawiał ślady.

W przedpokoju spotkała go pani Teresa.

– Jestem zaniepokojony, stryjenko, chorobą Krzysia. Blumkiewicz twierdzi, że to nic poważnego?...



– Zdaje się, że zwykle zaziębienie. Dziękuję ci, Pawle. To prawdziwe szaleństwo z jego strony jeździć przy takiej pogodzie otwartym autem.

– Na miły Bóg, czemuż nie bierze dyrekcyjnego! Ja go prawie nie używam. Czy mogę Krzysia odwiedzić?

– Nie, nie – jakby zaniepokoiła się pani Teresa – może to coś zaraźliwego...

– To drobiazg, stryjenko, nie boję się.

– Zresztą Krzyś teraz śpi, a nie chciałabym go budzić.

– No, oczywiście – zrezygnował Paweł – a do stryja można?

– Czeka na ciebie.

Pan Karol wyciągnął na powitanie rękę. Wyraz twarzy miał spokojny, prawie przyjemny. Obok na nocnym stoliku Paweł zauważył list, wręczony wczoraj Krzysztofowi.

– Stryj dziś nieźle się czuje, prawda? – zapytał troskliwie.

Chory skinął głową. W jego spojrzeniu Paweł nie dostrzegał już dawnej niechęci i podejrzliwości. Przeciwnie, zdawał się obserwować bratanka z rodzajem życzliwego zaciekania. I w jego głosie, gdy zaczął mówić, nie było już tej lekceważącej nuty. Mówił o fabryce, o nowych zamówieniach, o odgłosach z miasta, które dotarły do jego łóżka, przynosząc echa ruchliwej działalności Pawła.

Nie pochwalił ani jednym słowem, lecz w jego ostrzeżeniach przed zbytnią przedsiębiorczością, w jego uwagach i komentarzach brzmiała nuta uznania.

Paweł odpowiedział skromnym stwierdzeniem, że jest jeszcze wiele do zrobienia, że na razie brak mu jeszcze dostatecznej znajomości terenu, lecz że w każdym razie trzeba skonstatować uspokojenie opinii sfer gospodarczych co do trwałych podstaw egzystencji firmy.

Uśmiechnął się przy tym, gdyż forma, w jakiej to wypowiedział, przypominała mu żywo stereotypowy komunikat z każdego rokowań międzynarodowych.

Dyplomacja jednak ma swoje zalety – pomyślał.

Pan Karol wziął do ręki list banku i przebiegając oczyma wiersze maszynowego pisma zapytał o kilka szczegółów, po czym oświadczył, że w zasadzie nie podziela zdania Krzysztofa i że pod pewnymi gwarancjami gotów jest przyjść Pawłowi z pomocą w regulowaniu długu.

– Więc Krzysztof był przeciwny temu? – niedbale zapytał Paweł.

– Mniejsza o to. Przekonałem go. Krzysztof, widzisz, niewiele ma jeszcze doświadczenia i wszystko wyobraża sobie zbyt symplistycznie.

– Mam wrażenie, że raczej czuje do mnie jakąś niezrozumiałą niechęć.

Chory pominął tę uwagę i powrócił do omawiania lutowej raty.

Po przeszło godzinnej rozmowie Paweł, wychodząc, natknął się na Blumkiewicza.

– Dobrze, że pana spotykam – powiedział – niech no pan się dowie, czy pan Krzysztof nie śpi, bo chciałbym z nim się zobaczyć.

– Jest chory, panie dyrektorze. A jak jest chory, to nikogo nie przyjmuje.

– Jednak będę musiał z nim się rozmówić. Niech pan mu powie, że chodzi o podanie terminu wiertarki dla Częstochowy i o urlop dla inżyniera Jasińskiego. Jego żona...

– Przepraszam, panie dyrektorze, ale ja też nie mam wstępu. Najlepiej będzie powiedzieć pani prezesowej. Jeżeli pan zechce zaczekać, zaraz poproszę.

Paweł kiwnął głową i usiadł na kanapie, obciągniętej białym pokrowcem. Wszystkie meble w salonie zasłonięte były pokrowcami, co sprawiało zimne niemieszkalne wrażenie. Od wielu lat nic się tu nie zmieniło. Po dawnemu stryjostwo żyli całkowicie oddzieleni od świata i od ludzi. Może właśnie w oschłej atmosferze tego domu należało szukać przyczyn dziwnego charakteru Krzysztofa?... Odradzał ojcu wpłacanie lutowej raty. Czy to przebiegłość, czy po prostu jakaś zawzięta niechęć?... Lojalnie opowiedział o bawelnie, zatem wierzył, przynajmniej pan Karol mówił o tym tak, jakby mu Krzysztof żadnych wątpliwości w ogóle nie podawał. Zatem nie podejrzania, lecz zwykła niechęć...

– Głupi smarkacz. Udaje teraz chorobę, bo mu przez gardło nie chciało przejść zakomunikowanie zgody ojca. Czekaj no, gagatku, nauczę cię jeszcze chodzić po nitce!...

Zjawiała się pani Teresa, cicha w swoich bezszelestnych pantoflach, z niezmiennym półśmiechem na świeżej i strapionej twarzy.

– Chciałeś, Pawle, bym o coś zapytała Krzysia?

Paweł wyszczególnił jej obie sprawy, co do których bez Krzysztofa nie mógł powziąć decyzji, gdyż obie należały do wyłącznej kompetencji dyrektora technicznego. Po kilku minutach wróciła z odpowiedzią: wiertarka dla Częstochowy będzie wykonana z najdalej dziesięciodniowym opóźnieniem, Jasińskiemu zaś można udzielić urlopu najwyżej na trzy dni.

– Byłoby wskazane, stryjenko – zauważył żegnając się Paweł – założenie w pokoju Krzysztofa aparatu telefonicznego. Jeżeli stryjenka pozwoli, przyślę montera.

– Nie, nie, nie tym razem – stanowczo zaproponowała staruszka – można to będzie zrobić, gdy Krzysy wyzdrowieje.

– Wtedy już nie będzie potrzeby, zresztą, jak stryjenka chce.

Na dworze zaczął padać śnieg. Wielkie wilgotne płaty łaskotały nos i policzki, gęsto pokrywały futro kołnierza. Ścieżka znowu była gładka, bez jednego śladu.

Pustkowie – myślał Paweł – zamknęli się w zupełnym odludziu. Jednak tego nie robi się bez ważnych powodów! Musi w tym tkwić jakaś tajemnica!

Myśl ta z biegiem dni przerodziła się w pewność i nie dawała mu spokoju. Postanowił sobie dotrzeć do tajemnicy za wszelką cenę już nie tylko ze względu na atut, jakim zawsze jest posiadanie każdej tajemnicy przeciwnika, lecz i ze sportowej pasji gracza. Gdyby nie nawał zajęć, pochłaniających dobę prawie bez reszty, mógłby do tego zabrać się energiczniej. Na razie wszakże znacznie ważniejsze było uporanie się z Wenzlową...

Prywatne biuro detektywów w ciągu tygodnia dostarczyło Pawłowi wyczerpujących informacji o Tolewskim. Z zawodu geometra, wykluczony ze związku za nadużycia, dwukrotnie zamieszany w sprawy szantażowe, pozostaje na utrzymaniu żony, wdowy po zubożonym sklepikarzu, prowadzi różne niezbyt czyste interesy. Trudni się pośrednictwem w lichwiarskich pożyczkach. Co robił niedawno w Krakowie, trudno było ustalić. W każdym razie zamieszkiwał tam uznanej paserki Kiermanowej, a w „Esplanadzie” widziano go z podejrzanym o przemytnictwo właścicielem zakładu fryzjerskiego Lipanikiem.

– Słowem – zakończył swe sprawozdanie agent – jeżeli szanowny pan chce mu zaufać więcej niż na pięć złotych, stanowczo odradzamy.

Paweł był kontent. Przy najbliższej rozmowie z Tolewskim z lekka i mimochodem dał mu do zrozumienia, że świetnie się orientuje w jego sprawach intymnych, a gdy spryciarz chciał odłożyć swoją wizytę u Wenzlowej i tłumaczył się tym, że nie jest ogolony, Paweł rzucił od niechcenia:

– No, ogolenie nie zajmie panu tyle czasu. Fryzjerzy warszawscy nie gorzej golą niż zacny mistrz Lipanik w Krakowie.

Tolewski zbladł i przełknął ślinę.

– My musimy być w zgodzie i iść sobie na rękę, mój drogi panie Tolewski – ciągnął Paweł – panu się zdaje, że zyskasz więcej na przeciąganiu sprawy. Wierzaj pan, że ja lepiej wiem, jak co należy zrobić. I pan na tym lepiej wyjdiesz. Nie chcę pana okpić i nie mam po temu możliwości. Ale i mnie pan nie nabierzesz. Nie należę chyba do takich, którzy pozwolą się wystrychnąć na dudka, co?

Tolewski spojrzał na szerokie bary, na szare przenikliwe oczy i wąską linię ust Pawła i rozłożył ręce:

– Panie dyrektorze, jak Boga kocham, czyż ja coś takiego?...

– No, więc rób pan swoje.

I Tolewski robił. Robotą zaś zaczęła się od podniecenia niepokoju Wenzlowej. Stara aktorka dobrze znała się na ludziach, a na Tolewskim w szczególności, toteż nie dałaby się lada

czym wziąć. Ponieważ jednak nieraz przez niego udzielała pożyczek na lichwiarski procent, nie zdziwiła się, gdy pośrednik zjawił się u niej w imieniu pana Karola Dalcza z propozycją zaciągnięcia pożyczki na kilkanaście tysięcy, na każdy procent, byle prędko.

Ten pośpiech i małość kwoty zdziwiły Wenzłową. Przypuszczała wprawdzie, że samobójstwo Wilhelma Dalcza nie było bez kozery, ale nie myślała, by było tam aż tak źle. Zapowiedziała tedy Tolewskiemu, że chętnie pożyczycy, że prosi go jednak o wybadanie sytuacji. A że Tolewski nie miał pieniędzy, otrzymał dwieście złotych na koszty i wówczas dopiero przypomniał sobie, że jest w serdecznej przyjaźni z panem Zdzisławem Dalczem i że od niego można się wielu rzeczy dowiedzieć. Na rzeczy te nie czekała Wenzłowa długo. Już nazajutrz Tolewski przyniósł oryginał umowy pożyczkowej z bankiem manchesterskim oraz kilka listów adresowanych do Zakładów Przemysłowych Braci Dalcz i Spółki, a grożących bardzo przykrymi konsekwencjami. Do przeczytania angielskiej umowy został natychmiast sprowadzony pewien jegomość, reemigrant z Ameryki, resztę zaś Wenzłowa szybko zrozumiała sama.

Oczywiście, o kilkunastu tysiącach nie było już mowy. Natomiast wręcz do furii doprowadziła Wenzłową naiwność Tolewskiego, który zaproponował jej inny interes: mianowicie jeden ze współników firmy, pan Jachimowski, chciałby sprzedać swoje udziały. Ponieważ ma inne rzeczy na widoku – sam o tym zapewniał Tolewskiego – zależy mu na pośpiechu. Dlatego gotów jest sprzedać swoje udziały za trzy czwarte wartości.

Nazajutrz Tolewski oświadczył, że pan Jachimowski rozumie, że pośpiech musi go kosztować, i gotów jest do dalszych ustępstw. Na oburzenie Wenzłowej Tolewski skromnie zauważył, że jego zdaniem Wenzłowa zrobiłaby dobry interes. Cenę Jachimowskiego można bowiem zbić bardzo nisko, bo wszyscy mówią, że tam grozi plajta.

Bezpośrednim następstwem tej uwagi był długi atak spazmów. Tolewski dowiedział się, że jest ostatnim idiotę, kretyńcem, cymbałem, że ją zrujnował, że przez takiego głupca, jak on, przyjdzie się jej z torbami pójść, że gdyby nie Tolewski, ona nigdy by nie kupiła udziałów od starego Dalcza itd.

W jednym tylko przyznała Tolewskiemu rację: że nie należy o zbliżającej się plajcie nikomu mówić, bo jeszcze może znaleźć się ktoś, kto nabierze się i udziały odkupi, ktoś, komu będzie je można wkręcić bodaj z dużą stratą.

– Więc będzie baba milczała? – zapytał Paweł, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania.

– To murowane, panie dyrektorze. Jak pan widzi, robię wszystko według, che... che... zasad sztuki.

– Nie pożałuje pan tego.

– Jeżeli się uda...

– Musi się udać i zostanie pan posiadaczem ładnego pakietu udziałów. Jeszcze jedno. Czy Wenzłowa czytuje dzienniki?

– Naturalnie, panie dyrektorze, bo co?

– No, ale biuletynów różnych agencji na pewno nie czyta?

– Niby takich, jak na przykład gospodarczy biuletyn Agencji Wschodniej?

Paweł skinął głową, otworzył biurko i wydobył z szuflady kilkanaście kartek zadrukowanych na ręcznej maszynie.

– Komunikat Polskiej Agencji Ekonomicznej – przeczytał nagłówek Tolewski – nie wiedziałem, że taka istnieje...

– Bo też nie bardzo istnieje – zaśmiał się Paweł – zobacz pan ustęp zakreślony czerwonym ołówkiem.

Była to wiadomość o zachwianiu się jednej z najstarszych firm przemysłowych. Zakładów Braci Dalcz. Kryzys i nieogłędna gospodarka doprowadziły do ruiny to niegdyś świetne

przedsiębiorstwo. Prowadzone ostatnio rokowania z kapitalistami zagranicznymi znowu uległy rozbiciu. Zwrócenie się firmy o nadzór sądowy oczekiwane jest lada dzień.

Tolewski wyszczerzył żółte zęby:

– Mam to babie jutro pokazać?

– Jutro. Ale przedtem zatelefonuj pan do mnie. No, a teraz zmiataj pan tędy, przez kuchnię, bo tam już czekają na mnie. Zaraz. Przeprowadziłeś się pan do „Bristolu”?

– Od wczoraj, panie dyrektorze.

– Do licha, sprawże pan sobie wreszcie porządniejsze ubranie. Za kilka dni musisz pan wyglądać na burżuja.

Zatrzasnął drzwi i przeszedł do salonu Haliny, gdzie oczekiwał już od dłuższego czasu Jachimowski.

Paweł położył przed nim dwa arkusiki papieru, zapisane równym czytelnym pismem śp. Wilhelma Dalca.

– Znalazłeś? – zapytał po chwili.

– Tak. Jakiś Tolewski. Więc co?

– Odszukałem go. Ma się rozumieć nie osobiście. Podobno sprytna sztuka.

– Przemysłowiec?

– I tak, i nie. Przeważnie kapitalista. Tu sprzedaje, tam kupi. Rozumiesz? Zapewniają, że ma nos do interesów, wie, co gdzie się dzieje. Mieszka w Katowicach, ale w tych dniach ma być w Warszawie.

Jachimowski pstryknął palcami:

– Sam, Pawle kochany, wybac mi szczerość, skomplikowałeś i utrudniłeś naszą sprawę. Fabryka ma dzięki tobie znowu świetną opinię i ten... no, Tolewski, nie jest chyba takim idiotą, żeby pozwolić sobie zbić cenę.

– Na wszystko są sposoby – ostrożnie powiedział Paweł.

– Nie widzę ich.

Paweł zmarszczył brwi i przeszedł się po pokoju:

– Mamy jedną przewagę – mówił jakby do siebie – o tym, jak jest naprawdę w firmie, wiemy tylko my. Jeżeli temu Tolewskiemu nie brakuje sprytu, nie będzie on wierzył opinii, póki nie zajrzy do faktycznych danych. A nic łatwiejszego, jak właśnie takie dane mu zaprezentować jednym małym trickiem.

– Nie rozumiem – niecierpliwie poruszył się Jachimowski.

– Całkiem proste. Dać mu dowód, że z fabryką jest źle, że myszy uciekają z tonącego okrętu.

Jachimowski przygryzł wargę i wysoko podniósł brwi. Jego rysy wyrażały nateżone skupienie. Wreszcie domyślił się:

– Mówisz o zaproponowaniu mu kupna dalszych udziałów?

– Tak. To jest jedyna i najlepsza droga. Sama oferta wystarczy, by zbić cenę.

– A jeżeli nie wystarczy? Jeżeli ten facet złakomi się?

Paweł roześmiał się. Kto w dzisiejszych czasach wierzy w dobre interesy? Kto się złakomi na wykupywanie udziałów przedsiębiorstwa przemysłowego w ogóle, a takiego w szczególności, takiego na przykład, którego dyrektor handlowy chce wyzbyć się swoich udziałów za wszelką cenę? Nie, takiego głupca dziś się nie znajdzie!

Przekonało to Jachimowskiego, lecz nasunęło nowe obiekcje:

– Przypuśćmy. Jednak w tymże czasie ty zwrócisz się doń z propozycją odkupienia wszystkich udziałów, nieprawdaż?

– Tak, przez adwokata i z zachowaniem wszelkich pozorów niezdecydowanego.

– Mniejsza o to. Ale wyobraźmy sobie, że ten gość zwącha pismo nosem, że spostrzeże się w sytuacji, że dla samej próby zaryzykuje kupno udziałów, tym bardziej że tu już zaryzykuje drobiazg. Co wtedy?

Paweł wzruszył ramionami. Nie wierzy w taką ewentualność. Gdyby jednak mogło do tego dojść, nic w tym strasznego. I tak wszystkie wrócą do ich rąk, z tą różnicą, że po znacznie niższej cenie.

Rozwinął przed Jachimowskim szczegółowy plan, uderzający wprawdzie pozornymi nieprawdopodobieństwami, lecz czyż największym nieprawdopodobieństwem nie była zgoda pana Karola na pozostawienie dyrekcji w rękach Pawła, bez sprawdzenia, że nikt ze spadkobierców zmarłego nie posiada najmniejszych praw do fabryki. Teraz chodziło o odzyskanie tych praw do odzyskania majątku. Rzecz warta pewnego ryzyka.

Paweł dał szwagrowi do zrozumienia, że jeżeli ten nie chce ryzykować własnymi udziałami, zawsze może podstawić udziały Ganta, na które ma przecie plenipotencję. Gantowi nie może zbyt na tym zależeć. Nawet w razie fiaska łatwo mu wytłumaczyć, że był moment paniki i trzeba było sprzedać jego udziały za bezcen, bo tak wyglądało, że nazajutrz już niczego się za nie nie uzyska.

Obserwując spod oka minę Jachimowskiego, Paweł widział, że argumenty nie chybią celu. Zaczął tedy mówić o innej stronie medalu. Jeżeli uda się wykupić wszystko od Tolewskiego, a udać się musi, to cała w tym zasługa i całe ryzyko będzie wyłącznie po stronie Jachimowskiego i Pawła. Oni rzecz przeprowadzą, oni dadzą pieniądze, oni narażą się, na ewentualne nieprzyjemności.

– My dwaj i tylko my. Przyznasz, że to musi nasunąć pytanie, z jakiej racji ktokolwiek poza nami, chociażby nam bliski, miał się dzielić z nami rezultatem?...

Jachimowski wyjął chusteczkę i obtarł pot z łysiny. Na jego twarzy koloru sera szwajcarskiego wystąpiły ceglaste wypieki.

– Nie będziemy zresztą łapać ryb przed niewodem – ciągnął Paweł – znajdziemy na to dość czasu później. Sądzę, że my potrafimy się porozumieć, jak myślisz?

– Myślę, że z ciebie jest diabelny gracz! – wypalił Jachimowski.

Paweł zaśmiał się skromnie:

– Mój drogi, dużo rzeczy nauczyłem się na Zachodzie. Powiedziałeś „gracz”. Masz rację. Gracz! – zniżył głos – a czy ty wiesz, że tylko na grze wyrastają wielkie fortuny? Czy ty rozumiesz, że w dzisiejszych czasach kto nie gra, ten przez to samo skazuje się na przegraną, bo obok niego rosną miliony, a on nie przestaje być drobną rybką! Kiedyś opowiem ci, jak się te sprawy robią w bawelnie! Słuchaj! Nie lubię na próżno trudzić mózgu i tracić słów. Decyduj się. Nie zmuszam cię do tej spółki. Jeżeli odmówisz, nie będę miał do ciebie nawet żalu. Zdaję sobie sprawę z tego, że są natury niezdolne do większej gry. Idziesz ze mną?...

Jachimowski wytrzeszczył oczy i Paweł niemal fizycznie czuł na swojej twarzy jego rozpaczliwie badające spojrzenie, w którym malowała się zarówno nieprzeparta ochota, jak i obawa postawienia wszystkiego na jedną kartę. Obfity pot spływał mu po skroniach.

– A... czy dużo trzeba będzie... wyłożyć gotówki? – wybełkotał.

– Nie – lekko powiedział Paweł – ja dysponuję na razie czterdziestoma tysiącami.

– Złotych?

– Dolarów, oczywiście. Przypuszczam zaś, że całość nie przekroczy sześćdziesięciu. A mówiąc między nami, udziały warte są dwieście z ładnym ogonkiem.

– Ja – przełknął ślinę Jachimowski – niestety nie będę miał dwudziestu.

– Więc ile?

– Dziesięć, niech będzie dwanaście. Widzisz, nie chciałbym niczego sprzedawać.

– Oczywiście – oburzył się Paweł – zresztą skoro nie możemy zebrać sześćdziesięciu, musimy kupić za tyle, ile mamy.

Uśmiechnął się poważnie, a Jachimowski wyładował się długim urywanym chichotem, przy czym kręcił się na krześle i zacierał ręce.

Przed pożegnaniem Paweł z naciskiem podkreślił konieczność zachowania najściślejszego milczenia o całej transakcji.

– To zrozumiałe – zapewnił Jachimowski, nakładając futro – i wiesz, Pawle, mam jakieś przeczucie, że się nam wszystko uda!

– Musi się udać.

Zamknął za nim drzwi, zaśmiał się krótko i powiedział:

– Bałwan.

## Rozdział V

Marychnę bardzo niepokoiła choroba Krzysztofa. Niepokoiła tym bardziej, że po części przyszła z jej winy. Niepotrzebnie uparła się wówczas, by jechać autem. W kinie było gorąco i dlatego się zaziębił. Przez pierwsze trzy dni oczekiwała odeń kartki lub telefonu. Widocznie jednak był bardzo chory, bo nie przypuszczała, by się na nią pogniewał.

Po prostu nie miałyby o co. Starła się zawsze być dla niego najdelikatniejsza, znosiła jego dziwactwa bez sprzeciwu, nie dokuczała żadnymi pytaniami. Nie wybierała takiej taktyki z rozmysłem. Przyszło to bez wyboru, gdyż samo leżało w jej naturze. Dawniej myślała, że w ten sposób zdoła zbliżyć do siebie Krzysztofa, da mu zapomnieć o tym jakimś strasznym dramacie, który go gnębi, a który zawsze otaczał tajemnicą. Wreszcie zostawiła rzeczy ich własnemu biegowi, tak jak przestała zastanawiać się nad swoją własną sytuacją.

Na rozmyślania nie miała czasu. Zbyt była zajęta bieżącym dniem. Teraz jednak po biurowych i tak prawie beczynnych godzinach całe popołudnie stało się męczącą pustką, nie dającą się niczym zapłacić. Obcowanie z Krzysztofem odsunęło ją od wszystkich dawnych znajomych i przyjaciółek. Nie próbowała do nich ponownie się zbliżyć, wyczuwając ich niechęć i może nie tyle swoją wyższość, ile ubóstwo tego, co one dać jej mogły po subtelnych, mądrym i nieprawdopodobnie inteligentnym Krzysztofie. Marychna często nie rozumiała go wcale, lecz napawało ją swego rodzaju dumą już to, że dzielił się z nią swoimi myślami, że czytał jej wiersze. Nie znała żadnego obcego języka, lecz godzinami z niezmaconym zainteresowaniem słuchała Shelley'a, Puszkina, Verlaine'a, których musiał jej tłumaczyć.

Teraz małe tomiki, oprawne w brunatny zamsz, leżały milczące. Kluczem do nich były wyłożone inicjały Krzysztofa, lecz i te były nieme. W ogóle cały jego świat bez niego dla niej był zamknięty. Jego świat, to świat piękna, wykwintu i głębokich myśli, takich głębokich, że trudno było je pojąć, takich zawyłych, że niepodobna było doszukać się ich pobudek. Gdy mu to kiedyś powiedziała, nazwał swój świat księżycowym, a nazajutrz przyniósł wiersze Tuwima i przeczytał jeden, zaczynający się od strofki, którą dobrze zapamiętała:

Na księżycu – „martwa natura”,  
na księżycu – literatura.  
Błądzą po nim blade i śliczne  
primadonny somnambuliczne...

Powiedział, że to jego świat, księżycowy, nierealny, martwy, że jest lunatykiem życia, tragicomiczną figurką ze sztychów Beardsleya, a gdy zapytała, nie bez przestrochu, czy istotnie po dachach chodzi, roześmiał się i zapewnił, że nigdy nie schodzi na ziemię i że czasem wołałby spaść, byle raz na nią się dostać.

Dziwny taki. Jest w nim coś zimnego i obcego, chociaż tyle okazuje jej ciepła i życzliwości, a nawet czasem zazdrości. Tylko bowiem zazdrością można było wytłumaczyć jego dziwaczne zachowanie się wówczas, gdy miała nieostrożność powiedzieć mu, że pan Paweł Dalcz jest przystojny. Sam zaczął wówczas wynajdywać różne zalety swego stryjecznego

brata i żądać, by ona przyznawała mu słusność, że to prawdziwy mężczyzna, że ma postawę zwycięzcy, że ma zęby jak u wilka, że jego oczy połyskują stalą, że w głosie jego jest coś, co musi brać kobiety, i takie różne rzeczy. Oczywiście przejrzała podstęp Krzysztofa i wszystkiemu przeczyła, nawet temu, że jej się mogą podobać blondyni. Pomimo to rozgniewał się bardzo i nawet obraził ją ironicznymi uwagami o naiwnych samiczkach prowincjonalnych.

Gdy się rozpląkała, zmitygował się, wycalował ją i byli już w takiej komitywie, że zaczęła żałować tego, że nie ma na sobie swojej najładniejszej kombinezki z tulipanami, ale niepotrzebnie, bo znowu do niczego nie doszło. Wszystko, jak zawsze, skończyło się na pocałunkach i pieszczotach, które rozpalały ją do zawrotu głowy i wzmagaly głód prawdziwej miłości.

Pomału w świadomości Marychny zaczął wzbierać żal do Krzysztofa i teraz, gdy od szeregu dni nie widywała go, przemawiał coraz mocniej. Właściwie jej sytuacja była dzika i nie naturalna. Nie jest ani narzeczoną, ani kochanką, ani nawet przyjaciółką Krzysztofa, nie mogło bowiem być mowy o przyjaźni tam, gdzie rozciągała się tak wielka różnica poziomu umysłowego. A jednak czuła się skrupowana, jakby zobowiązana do wierności, chociaż sama nie wiedziała czym.

Dość często teraz widywała się z inżynierem Ottmanem. Tak się jakoś składało, że chemik jechał do fabryki tym samym tramwajem, a widocznie mniej ostatnio miał do roboty, gdyż wychodził nieraz o trzeciej i odprowadzał Marychnę do domu. Lubiła go, chociaż jako mężczyzna wcale się jej nie podobał. Mówiło się z nim dobrze, ba, znacznie lepiej niż z Krzysztofem. Ottman przecie też był bardzo inteligentny i wykształcony, ale jakoś nie dawał jej odczuć swojej wyższości, był bardziej swojski. Może dlatego że pochodził z ubogiej rodziny, a może po prostu starał się być delikatnym.

Opowiadał jej o rzeczach bardzo mądrych, jak na przykład o różnych wynalazkach chemicznych, nad którymi pracował, ale opowiadał w ten sposób, że rozumiała wszystko. W ogóle rozumiała go całego, z jego uprzejmością, z jego dobrocią, z prostotą posuwającą się aż do niezaradności i z tą nieśmiałością, z racji której mówiono o nim w fabryce:

– Ten poczciwy Ottman.

Rozmawiając z nim, nigdy nie obawiała się wprost wypowiedzieć swoich myśli. Wiedziała, że choćby naplotła największych nonsensów, on nie będzie się z niej śmiał, jak to robił Krzysztof. Mówiło się z nim dobrze, po swojemu. Miało się zaufanie do jego niebieskich oczu, do tych nawet tak brzydkich u mężczyzny różowych policzków i do nieładnych rąk, zawsze poplamionych różnymi chemikaliami. Nigdy by nie zdobyła się na pocałowanie tych rąk, jak obcałowywała piękne, nieprawdopodobnie piękne ręce Krzysztofa. Ale stanowczo wołała uścisk dłoni Ottmana.

Po Trzech Królach przyszła gwałtowna odwilż i ulica Bema tonęła w brzydkim błocie. Wracali właśnie z fabryki i Ottman łagodnie gniewał się na Marychnę, że nie nałożyła botów, gdy w pędzie minął ich dyrektorski samochód, wielka ciemnozielona maszyna.

Spod kół trysnęła struga czarnej wody i błota, ochlapując Ottmana od stóp do głów, a Marychnie nowiuteńkie pończochy.

– O la la! – zawołał bezradnie Ottman.

– Boże, jak my wyglądamy.

Samochód zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków dalej i nagle zaczął się cofać tylnym biegiem. Gdy zrównał się z nimi, otworzyły się drzwiczki i dyrektor Paweł Dalcz wychylił głowę:

– Bardzo państwa przepraszani za nieuwagę mego szofera – powiedział, uchylając futrzanej czapki – strasznie was ochlapaliśmy.

– O, drobiazgu, panie dyrektorze – uśmiechnął się Ottman.

– W każdym razie nie możecie państwo w tym stanie iść przez miasto. Odwiozę was. Proszę.

– Ależ, panie dyrektorze... Ja doprawdy... Może panna Jarszówna... Poplamiałbym panu cały wóz.



– Siadajcie prędzej. No, już. Niech mi pani poda rękę. Hop!

Marychna w gruncie rzeczy była kontenta. Pończochy się przepiorą, a za to jest rzadka okazja przejechać się limuzyną obok naczelnego dyrektora. Jak to on grzecznie zrobił...

– Dokąd państwa mam odwieźć? – zapytał.

– Ja mieszkam na Lesznie – odpowiedziała Marychna.

– A pan, inżynierze?

– O, ja daleko, na Koszykowej.

– Na Koszykową – rzucił dyrektor szoferowi i zwracając się do Marychny, powiedział – musi się pani poświęcić, ale najpierw odwieziemy bardziej poszkodowanego.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze.

– Nie upiera się pani przy pierwszeństwie?

– Cóż znowu!

– No, inżynierze, niech pan podziękuję pani – zaśmiał się. – No, jakże, otrzymał już pan te próbki z hartowni?

– Są już w robocie.

– To doskonale. Otóż i Koszykowa. Pod którym numerem pan mieszka?

– Trzydzieści siedem.

Auto stanęło, Ottman pożegnał się, podziękował i wysiadł.

Samochód zawracał.

– Doprawdy, panie dyrektorze, mogłabym wrócić tramwajem. Robię tyle kłopotu...

– Dlaczego nie pomyśli pani – uśmiechnął się do niej – że sprawia mi przyjemność swym towarzystwem?

Zerknęła nań z ukosa i pomyślała, że Krzysztof nic nie przesadził. Paweł Dalcz musiał się podobać kobietom. Odpowiedziała z cieniem kokieterii:

– Cóż ja, panie dyrektorze, pan w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi...

– Ja?... Z czego to pani wnioskuje?

– Pan jest taki poważny.

Zamyślił się. Miała wrażenie, że sprawiła mu przykrość, i nie wiedziała, co ma powiedzieć. I tak podziwiała własną odwagę. Jeszcze przed kilku miesiącami każdy dyrektor, a naczelnym tym bardziej, był dla niej czymś groźnym i niedosięgalnym. Dopiero flirt z Krzysztofem ośmielił ją nieco.

– Ma pani rację. Jestem za poważny. Dlatego nie mogę podobać się kobietom. Prawda?

– Ależ bynajmniej! – zaprotestowała.

– Nie znajduje pani?... Zresztą dla pani mogę nie być poważny. Specjalnie dla pani. Widocznie jest to u nas rodzinne...

– Powaga?

– Nie. Sympatia do pani.

Marychna poczerwieniła aż po białka oczu.

– Nie chciałem pani dotknąć – powiedział łagodnie – proszę się na mnie nie gniewać, ale nie jest dla mnie tajemnicą, że mój brat stryjeczny kocha się w pani.

Auto stanęło przed przecznicą, zapchaną ciężarówkami.

– Proszę mi powiedzieć, czy Krzysztof jest bardzo o panią zazdrosny? – lekko pochylił się do niej – czy nie wyzwie mnie na pojedynek za to, że panią emabluję?

– Pan mnie wcale nie emabluję... – wybąkała nieśmiało.

– Owszem. Emabluję z całą premedytacją. Chcę się pani podobać. Zaraz. Janie – zwrócił się głośno do szofera – na Trzeci Most... Przejedziemy się troszkę. Dobrze?

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze...

– Proszę mnie nie tytułować dyrektorem. Nie jestem w tej chwili pani zwierzchnikiem, lecz towarzyszem przejażdżki. A może pani jest głodna i bardzo śpieszy na obiad?

– Nie.

– Zatem cóż pani na to, że chcę się pani podobać?

– Pan żartuje.

– Nie, nie żartuję. Krzysztof może smalić do pani cholewki, ten chemik może wywracać do niej oczy, dlaczego pani mnie nie może brać? Pani jest bardzo ładna i bardzo młoda. Bierze mnie pani tym wszystkim. To prawda, że nie jestem kobieciarzem, ale przecież o tyle znam się na kobietach. Proszę mi wybaczyć, że wyłożyłem to tak niezdarnie, bez kwiatków, bez bławatków, bez słodkich słówek. To nie moja specjalność. Jak pani na imię?

– Marychna... to jest Maria... – powiedziała nie podnosząc oczu.

– Lubię to imię – kiwnął głową – Marychna... ładnie brzmi. Więc co pani na to, panno Marychno?

Milczała zupełnie zażenowana. Jeszcze nigdy nikt w ten sposób z nią nie rozmawiał. Przecież nie mogła mu tak z miejsca powiedzieć, że od dawna, od pierwszego spojrzenia podoba się jej znacznie więcej od Krzysztofa i od wszystkich innych mężczyzn... i teraz, chociaż miał w sposobie bycia coś chropowatego, wydał się jej jeszcze bardziej interesujący.

– Niech mi pani powie: jesteś, przyjacielu, zanadto obcesowy, a to nie leży w moim guście... Gdy to od pani usłyszę, przestanę pani dokuczać.

– Ale ja tak nie powiem – wydobyla z siebie, zapinając i odpinając torebkę.

– A jak pani powie?... Kocha się pani w Krzysztofie? – zapytał niespodziewanie.

– Dlaczego pan dyrektor pyta... ja doprawdy... – przygryzła wargi i odwróciła głowę. Miała uczucie jakby skrzywdzonej. Wypytuje ją jak sędzia śledczy. Ona nie ma żadnego obowiązku spowiadać się mu, że jest naczelnym dyrektorem, to jeszcze nie powód, żeby miał prawo nad nią się znęcać...

Nagle poczuła jego rękę na swoich i usłyszała głos łagodny, niemal pieszczotliwy:

– Proszę nie gniewać się, proszę nie gniewać się na mnie. Wiem, że jestem szorstki, że sprawiłem pani przykrość, ale niech panna Marychna weźmie pod uwagę, że nawet ludzie tak szorstcy mogą odczuwać... zazdrość.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował.

– No, zgoda między nami? – zapytał z uśmiechem.

Spojrzała nań. Jego szare oczy miały odcień stali, w całym pochyleniu postaci było coś ciągnącego.

– Ja się wcale nie gniewam, tylko tak...

Auto zatrzymało się przed jej domem. Wyskoczył i pomógł jej wysiąść.

– Bardzo pani dziękuję za miłe towarzystwo – powiedział całując ją w rękę – i proszę o mnie odrobinę pamiętać. Dobrze?

– Dobrze – skinęła głową i wbiegła do bramy, jakby przed nim uciekała.

Zdarzenie to przejęło ją ogromnie. Przez cały wieczór nic nie robiła, tylko myślała o Pawle Dalczu i o jego zachowaniu się w samochodzie. Jakkolwiek mogła to tłumaczyć, nie ulegało wątpliwości, że wywarła na nim dodatnie wrażenie. W fabryce wszyscy mówili, że w ogóle na kobiety nie zwraca uwagi. Nie na próżno odwiózł najpierw Ottmana... Ile razy przychodził do gabinetu Krzysztofa, zawsze z nią rozmawiał i okazywał dla niej szczególne względy.

Początkowo myślała, że to przez wzgląd na Krzysztofa. Teraz jednak wiedziała, że mu się bardzo podoba. Nie wiedziała tylko, co z tego będzie, nie wiedziała, jak ma postępować w stosunku do niego, no i do Krzysztofa. W każdym razie Krzysztofowi nie wspomni ani słowem o tym wszystkim...

Zасыpiając doszła do przekonania, że los człowieka bywa dziwny i że nigdy nie wiadomo, jak się życie ułoży. Najlepiej tedy zostawić wypadki ich własnemu biegowi.

Nazajutrz po przebudzeniu się całe wczorajsze zdarzenie wydało się jej czymś fantastycznym, jakimś przygodnym kaprysem Pawła Dalcza, który na pewno już sam o nim zapomniał... Na próżno też za każdym otwarciem drzwi gabinetu odwracała głowę od maszyny.

Nie przyszedł. Podczas przerwy obiadowej spotkała go na korytarzu. Rozmawiał z szefem buchalterii, lecz wcale jej nie zauważył. Był jakiś chmurny i groźny.

O trzeciej umyślnie zwlekała z wyjściem. Pod oknami stała limuzyna dyrektorska, lecz on nie wychodził. Wróciła do domu sama, gdyż i Ottmana nie było. Czytała wiersze, nie mogąc złapać ich treści, wreszcie rozpląkała się, owinięła się w ciepły szal i tak przesie-<sup>1</sup> fonować albo przysłać bodaj kilka słów, świadczących o tym, że pamięta. Bardzo to nieładnie z jego strony...

– Panno Marychno, herbata na stole! – rozległ się głos gospodyni.

– Już idę.

W chwili gdy poprawiała włosy, zadzwonił telefon w przedpokoju.

– Jakiś pan do pani, panno Marychno – zawoła gospodyni.

Krzysztof! – pomyślała Marychna – jak to dobrze! Może przyjdzie...

W słuchawce jednak zabrzmiał niski, fascynujący głos Pawła Dalcza:

– Dobry wieczór, miła koleżanko. Dzwonię, by się dowiedzieć, co pani porabia?

– Ach... to pan...

– Dziwi się pani?

– Nie spodziewałam się – powiedziała tak, jakby mówiła: jakże to pięknie, że pan dzwoni.

– To źle. Zapomniała pani o mnie...

– O...

– Czy pani już po kolacji?

– Już – skłamała, sama nie wiedząc dlaczego.

To szkoda. Bo widzi pani, ja jestem głodny, lecz nie mniej spragniony widoku pani, i tak sobie pomyślałem, że dobrze byłoby zjeść kolację razem. Hm... Nie zlituje się pani nad samotnikiem?

– Ja doprawdy nie wiem – powiedziała i dostrzegła w lustrze swoją uśmiechniętą i zaróżowioną twarz.

– Wobec tego ja muszę wiedzieć. Proszę się przedziutko ubrać, za dziesięć minut zajadę i będę trąbił na dole. Dosłyszysz pani?... Zresztą i to jest zbędne. Punktualnie za dziesięć minut czekam.

Nim zdążyła coś odpowiedzieć, położył słuchawkę. – Tra la la, tra la la – zanuciła Marychna i szybko zaczęła się przebierać.

– Herbata, panno Marychno! – Dziękuję pani, ale muszę wyjść.

Nagle przyszło jej na myśl, że to bezczelne z jego strony tak rozporządzać się nią. Że jest dyrektorem, to jeszcze nie daje prawa. Właściwie nie powinna schodzić. Cóż on sobie wyobraża, że ledwie raczy kiwnąć palcem... Rzuciła okiem na zegarek i z pośpiechem zaczęła nakładać suknię, tę samą, projektowaną przez Krzysztofa. W tej jest najładniej.

Zbiegła na dół o kilka minut za wcześniej. Dał silny północny wiatr i jej lekkie palto zdawało się niczym. Wypatrywała wielkiej ciemnozielonej limuzyny, dlatego też nie spostrzegła zajeżdżającej taksówki. Dopiero gdy się otworzyły drzwiczki, zorientowała się, że to on.

Nie zdejmując swojej futrzanej czapki, pocałował ją w rękawiczkę i pomógł wsiąść.

– Co pan sobie o mnie pomyśli – odezwała się, gdy wóz ruszył.

Uśmiechnął się:

– Przede wszystkim pomyślę, że pani jest zimno.

Odchylił połowę swego futra i otulił jej nogi.

– Ciepłej tak?

– Ale panu będzie zimno.

– To zależy od pani.

– Ode mnie?

---

<sup>1</sup> Następnego wiersza brak we wszystkich wydaniach.

– No, tak. Jeżeli panna Marychna będzie dla mnie dobra i miła, to o chłodzie nie ma mowy. Ale jak można w takim lekkim paletku... Trzeba będzie coś na to zaradzić... Zjemy kolację w „Bristolu”. Lubi pani „Bristol”?

– Nie byłam tam jeszcze nigdy.

– Mam tam mały interes do załatwienia, ale to nie zabierze wiele czasu.

Już w hallu ogarnęło ją miłe ciepło. W sali restauracyjnej było jeszcze prawie pusto. Orkiestra grała cygańskie romanse. Zajęli stolik w dalekim końcu sali.

– Przede wszystkim musimy się rozgrzać – powiedział kelnerowi – piekielny mróz.

– Koniaczek szanowny pan każe? Łosoś? Kawiorek?...

– Byle prędko.

– Ja nie będę jadła – odsunęła talerz Marychna – jestem już po kolacji.

– Nie nalegam, ale przecie coś pani przegryzie po koniaku!

Nigdy jeszcze nie jadła kawioru. Był świetny. Z zazdrością patrzyła na towarzysza, który bezceremonialnie połykał wielkie jego porcje. Jej nie wypadło, gdyż była już po kolacji. Wreszcie dała się namówić, gdyż wprost nie była w stanie zapanować nad apetytem, a przekąski to przecie nie jedzenie. Łosoś, śledzie w śmietanie, sałatka z drobiu, sardynki... A do tego bursztynowy, pachnący winem, a taki mocny koniak... Krzysztof zawsze inaczej dysponował kolacją. Bulion z jajkiem, jakiś indyk, melba i wino białe...

Marychnie już nieco kręciło się w głowie, gdy podano sielawy, była jednak już niegłodna i w sam czas przypomniała sobie, że miała tylko towarzyszyć: – gotów pomyśleć, że jestem głodomorem...

Przy sąsiednim stoliku usiadł jakiś pan. Był grubawy, łysy i miał bardzo wyczernione wąsy. Kilka razy z zaciekawieniem zerknął ku niej, a gdy jej towarzysz spojrzał nań, wstał i uklonił mu się z rewerencją i szarmanctwem starego aktora.

– Kto to taki? – szeptem zapytała Marychna.

Paweł Dalcz nieznacznie machnął ręką:

– Taki sobie jegomość. Właśnie do niego mam interes. No, kieliszek wina, panno Marychno.

Po chwili przeprosił ją na krótko i przesiadł się do sąsiedniego stolika. Nie czuła się tym dotknięta. Uważała za rzecz naturalną, że wielki przemysłowiec ma sprawy do załatwienia w lokalach publicznych i że interesy nie dają mu spokojnie zjeść kolacji. Takie rzeczy nieraz widywała w filmach amerykańskich.

Grubawy pan wstał na jego powitanie i zachowywał się tak, że było widoczne, że jest zależny od niego.

Mówili półgłosem, do Marychny przecie dolatywały poszczególne słowa i niektóre zdania wypowiedziane z większym naciskiem. Paweł Dalcz siedział do niej tyłem i jego głos zlewał się w niskie głębokie dudnienie. Szerokie bary, wysoki mocny kark nad nimi i pięknie zarysowana linia głowy o gładkich blond włosach nie pozwalały jej oderwać oczu. Natomiast ten z przyciemnionymi wąsami wymawiał każde słowo w taki sposób, jakby je wypuszczał na świat. Ruch jego warg natrętnie przypominał Marychnie kurę znoszącą jajko. Zaśmiała się do własnego porównania i wypłała wino. Było zimne i miało mocny zapach.

Przy sąsiednim stoliku rozmawiano widocznie o fabryce, gdyż kilkakrotnie padło tam nazwisko dyrektora Jachimowskiego, przy czym interesant robił zadowoloną minę i pstrykał palcami z widocznym ukontentowaniem. Wspomnił też o jakiejś babie, o udziałach Ganta, o jakichś wielkich kwotach dolarów, o procentach, o rejencie...

Marychnie wszystko plątało się w głowie. Wreszcie słyszała tylko głos Pawła Dalcza. Mówił takim tonem, jakby wydawał dyspozycję, potem wyjął z kieszeni grubą paczkę pieniędzy i wręczył ją pod stołem jegomościowi. Po chwili wstał i wrócił do stolika. Jego uśmiech zdawał się wyrażać zadowolenie.

– Przepraszam śliczną koleżankę za moją nieobecność – powiedział serdecznie.

- Ależ byłoby mi przykro, gdybym miała przeszkadzać...
- Gdzież te kuropatwy? – zawołał na kelnera.

Później podano deser. Dowcipkował wesoło i patrzył na nią tak, że się rumieniła, wreszcie powiedział:

- Mam dziś dobry dzień. Trzeba to uczcić szampanem..
- Udał się panu jakiś interes?
- Moje miłe stworzonko, zgadła pani, ale nie trzeba o tym mówić.

Wziął jej rękę i pogłaskał tak, jak się głaska kota.

- Lubi mnie panna Marychna chociaż troszeczkę?...

Wypity alkohol skutkował. Zrobiła się śmielsza. Przechyliła zalotnie głowę i zapytała:

- A zależy panu na tym chociaż odrobinę?

– Gdybyśmy tu byli sami – powiedział mrużąc oczy – udowodniłbym to pani bez użycia jakiegokolwiek słowa.

- Ale nie jesteśmy sami – zaśmiała się zaczepnie.

Pochylił się do niej:

- Jeszcze nie – szepnął – a chcielibyśmy tego oboje. Prawda?

Podążyła się nieświadomie ku niemu i odpowiedziała:

- Tak.
- Kelner! Płacić – zawołał.
- Już idziemy?... Tak ładnie gra orkiestra i właśnie zaczęli tańczyć...
- Chciałaby panna Marychna zatańczyć?
- Bardzo...
- Ja niestety nie umiem, ale rzecz jest do zrobienia.

Nadbiegł kelner. Paweł Dalcz rzucił mu krótko:

- Rachunek dla mnie i fordancera dla pani.
- W tej sekundzie, proszę pana.

Marychna skrzywiła się:

- Ale ja nie chcę tańczyć z jakimś bubkiem! Ja chciałam z panem!...
- Musi mnie pani dopiero nauczyć.
- Więc chodźmy, to wcale nietrudno – zapewniała z przekonaniem – chodźmy!...
- Nie – potrząsnął stanowczo głową – nie chce chyba pani, bym ja, poważny człowiek, kompromitował się publicznie swoimi niezdarstwami początkującego dansera?... Prawda?
- Kiedy pan wcale nie jest taki starszy... A to bardzo łatwo. Mnie nigdy nikt nie uczył, a tańczyć wcale nieźle od pierwszego razu...
- Kobiety co innego. Mają wrodzony talent... No, proszę.

Przed Marychną stał w ukłonie wylizany typek w smokingu, ze smutną i bezczelną gębą. Cóż miała robić... Wstała i poszła na ring.

Tango, jak zapewniał gigolo, było upajające. Wolałaby z Pawłem, wolałaby, podnosząc wzrok, widzieć jego szare przenikliwe oczy, które wywołują dreszcz nie wiadomo dlaczego tak obezwładniający... Od tak dawna nie tańczyła. Wprawdzie z Krzysztofem nieraz bywała na dancingu, ale on nigdy nie chciał, a gdy raz nieśmiało zauważyła, że niektóre panie tańczą z fortancerami, oburzył się i powiedział, że są to rozwydrzone dziwki, które chętnie tańczyłyby nago, gdyby nie bały się policji. I mówił, że to zły ton.

A przecież jego stryjeczny brat, taki sam wielki pan i też znający wszystkie formy, nic złego w tańczeniu pań z fortancerami nie widział, skoro nie tylko jej pozwolił, ale nawet sam zaproponował.

Krzysztof jest świętoszkiem – pomyślała.

- Małżonek szanownej pani nie tańczy? – zapytał gigolo.
- Co?
- Małżonek pani nie używa tańca? – powtórzył.

- Nie. Nie umie.
- Jakże wiele traci – westchnął – pani tańczy jak Sylfida, jak Petrarca...
- Czy rzeczywiście znajduje pan?
- O, tak. Ma pani w tańcu taką finezję, licencję, powiedziałbym nawet fantasmagorię. Pani jest stworzona na Melpomenę!
- Pochlebilo jej to bardzo. Bądź co bądź opinia zawodowca coś znaczy.
- Na kogo jestem stworzona? – zapytała życzliwie.
- Na Melpomenę. To była taka bogini tańca, wina i miłości, ale przeważające tańca. Pani będzie łaskawa w lewo... o tak... Dlaczego pani tu nie bywa?... Pani nie może pojąć tęsknoty takiego tancerza, jak ja, do takiej partnerki, jak pani...
- Skończyli grać – zatrzymała się z żalem.
- O, dla nas muszą powtórzyć. Takiego szczęścia nie wyrzeknę się łatwo.
- Publiczność poklaskała ospale dla dopełnienia formalności i orkiestra zaczęła grać znowu.
- Taniec to moja żywioła – mówił melodyjnym głosem – właściwie, proszę pani, jestem zaniedbanym artystą. Ale czego się nie robi dla egzystencji... Życie segreguje człowieka bez uwzględnienia.
- Życie nie jest romanssem – powiedziała, by znaleźć się w tymże szlachetnym i sentymentalnym tonie konwersacji, tak pasującej do rzewnych tonów tanga.
- Pani jest bardzo subtelna i platoniczna, jak rzadko – westchnął.
- Skończyli. Odprowadził ją do stolika i skłonił się wdzięcznie. Paweł kiwnął mu głową i schował do kieszeni notatnik, w którym przez cały czas coś zapisywał. Krzysztof, gdyby nawet pozwolił jej tańczyć, nie spuszczałby z niej oka. A Paweł nie jest zazdrosny... Jest taki pewny siebie, no bo zna swoją cenę...
- Jakże się tańczyło? – zapytał.
- O, świetnie. Ten gigolo doskonale prowadzi.
- Pewnie gadał pani jakieś głupstwa?
- Przeciwnie. To bardzo inteligentny człowiek... On jest nawet artystą, tylko nie wiodło się mu... Powiedział, że tańczy jak Melpomena.
- A ta dama dobrze tańczyła czy źle? – spojrzał na nią z uśmiechem.
- No przecie! Pan żartuje... Żeby źle tańczyła bogini tańca!
- Tak?... Hm... i ja tak myślę, a nie wie pani, czy ona nie udzielała czasem lekcji tańca? Miałbym wielką ochotę.
- Ach, jak to dobrze, jak to dobrze – ucieszyła się – więc zatańczy pan ze mną?
- Wypijmy – nalał jej kieliszek.
- Cudowne to wino...
- Za pomyślność naszej pierwszej lekcji!
- W chwili gdy kieliszki były już puste, orkiestra zaczęła grać.
- Chodźmy – zerwała się Marychna.
- Tak, ale nie tu – wstał również.
- Więc gdzie? – zdziwiła się.
- Nie odpowiedział. W szatni podano mu futro. Przed hotelem stał długi szereg aut. Wsiedli do taksówki.
- Ujazdowska – powiedział szoferowi.
- Czy to też restauracja? – zapytała.
- Nie. Pojedziemy do mnie. Mam doskonały gramofon, przy którym świetnie się tańczy. Marychnie kręciło się w głowie i była nie bardzo przytomna. Pomimo to przestraszyła się:
- Nie, ja nie chcę... ja nie chcę...
- Ależ dlaczego?... Boi się mnie Marychna?...
- Nie, nie, to nie wypada. Tak nie można. Co sobie pomyślą...
- Nikt nic nie pomyśli, bo nikt nas nie zobaczy.

– Kiedy to źle, ja się wstydzę...

Wziął ją za rękę i powiedział prawie surowo:

– Krzysztofa nie wstydzi się pani. Proszę lepiej być szczerą i powiedzieć, że nie podobam się pani. No?

– Pan się na mnie gniewa – skrzywiła się jak do płaczu... – a ja... a mnie... tu tak zimno...

Bez słowa objął ją, przytulił do siebie, przechylił jej głowę i wpił się w usta.

Zrobiła krótki gest obrony, lecz już w sekundę później przywarła doń z całej siły. Nie wyobrażała sobie, by pocałunek mógł być aż tak rozkoszny. Traciła oddech... Jakże inaczej całował Krzysztof... Tamten zdawał się zawsze smakować, a ten brał ją, wchłaniał...

Drżały jej kolana, gdy wchodziła po szerokich marmurowych schodach. Na pierwszym piętrze otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą.

Amfilada ogromnych pokojów rozjarzyła się światłem. Bardzo wysokie sufity, lśniące posadzki pokryte dywanami, złociste portiere, wspaniałe meble... wprost nie wyobrażała sobie takiego przepychu w życiu... Tylko w kinie, w pałacach milionerów widuje się coś podobnego. Szła na palcach jak w kościele albo w muzeum. Od dzieciennych lat dyrektor fabryki był dla niej, tak samo jak i dla całej jej rodziny, istotą nieosiągalną, wszechwładną, nieomal nadprzyrodzoną. Nie tylko trzymał w ręku byt ich domu, nie tylko był Olimpem, na który zaledwie wolno podnosić oczy, lecz otoczony był nimbem przypowieści, anegdota pełnych podziwu, z pietyzmem przechowywanych powiedzonek, z których każde niezwykłą miało wartość dlatego, że padło z ust kogoś z Dalczów. Nigdy jednak poczucie tego dystansu nie wyraziło się tak sugestywnie, jak teraz, gdy znalazła się w tym mieszkaniu.

Paweł zdjął z niej palto i puścił gramofon. Był ten sam, co i przed chwilą w aucie, a jednak zdawał się być zupełnie kimś innym, przy kim ona nic nie znaczyła, przy kim nikła.

– No, mój uroczy gościu, nad czym tak myślisz?

– Tak... nic...

– Przystępujemy do edukacji niedźwiedzia w tańcu. Czy może niedźwiedź służyć?...

Uśmiechnęła się nieszczercze:

– Ja już pójdę, panie dyrektorze...

– Jak mnie pani nazywa! – oburzył się.

– Przepraszam, ale tak mi się kręci w głowie... ja już...

– Nie żartujmy. Lekcji nie daruję. Służę.

Pociągnął ją, otoczył mocno ramieniem i zaczęli tańczyć.

Po kilku dopiero okrążeniach pokoju zorientowała się, że on tańczy świetnie i że tak jej dobrze.

Płyta się skończyła i gramofon sam się wyłączył. Paweł usiadł na szerokiej tacy i posadził ją przy sobie.

– Ależ pan doskonale tańczy – powiedziała przecierając skronie, w których huczało.

– Jestem pojętym uczniem?

– Już pewno bardzo późno – zerwała się.

Przytrzymał ją i posadził sobie na kolanach:

– Chodź tu. Jesteś diabelnie apetyczna... Taka świeżość bije od ciebie...

Nie broniła się.

– Dlaczego chciałaś wyjść – mówił zdyszany – przecie nie będziesz mi kłamała, że mnie nie pragniesz... że nie chcesz być moją...

Nagle wstał, podniósł ją na rękach wysoko i zaniósł do sypialni. Było tu prawie ciemno. Tylko przy wielkim łóżku paliła się nikła różowa lampka.

Nie umiała, nie miała odwagi oponować. Nie widziała go, czuła tylko na sobie jego bezlitosny wzrok, męczące, uparte patrzenie szarych, zimnych oczu. W pokoju było bardzo ciepło, lecz pomimo to trzęsła się jak w febrze, a jej skóra ściągnęła się i stała się chropowata.

Chciała zapłakać, chciała zawołać, że się boi, lecz zęby szczękały, a z krtani nie mógł wydobyć się ani jeden dźwięk. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Dreszczem przeszedł po niej chłodny dotyk pościeli i tuż potem gorący dotyk jego dłoni na ramieniu.

– Co ci jest, dziecko, czego się boisz? – usłyszała wypowiedziane prawie pieszczotliwym głosem tuż przy uchu.

To ją oprzytomniło. Odruchowo przywarła doń całym ciałem, oplótła go mocno rękami, jakby w nim szukając obrony przed nim samym... Jej nagie ramię oblewał jego gorący oddech, coraz szybszy, niemal świszczący. Pulsy waliły w skroniach, głowę ogarnął niepojęty zawrót, w piersiach wezbrała fala krwi... ciało wygięło się i wyprężyło w gniotącym uścisku...

Ostry, przesywający ból przeniknął ją całą. Krzyknęła i bezwładnie opadła na poduszki.

Teraz ukryła twarz w poduszce i zaczęła płakać. Nie mogła jeszcze zebrać myśli, ale zdawała sobie sprawę z tego, że stało się w jej życiu coś ważnego, coś decydującego, czego przecież nie żałowała, a co napępniało ją jakimś nieuzasadnionym smutkiem... Została jego kochanką, zdradziła Krzysztofa. Tak odpłaciła mu jego dobroć, jego delikatność... Postąpiła podle, ale to tylko wina samego Krzysztofa... Dlaczego utrzymywał ją w wiecznej niepewności, dlaczego okrywał się zawsze przed nią tajemniczością... Nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy, ale sam sobie winien...

Nie odwróciła głowy, chociaż słyszała, że Paweł wstał i zapalił papierosa. Wstydziła się.

– Wy tłumacz mi – odezwał się – co to ma znaczyć?

Nie rozumiała, o co mu chodzi, i mocniej przywarła do poduszki.

– Marychno, co to ma znaczyć? – powtórzył. – Przecie wszyscy twierdzili, że jesteś kochanką Krzysztofa?...

– To nieprawda – powiedziała cicho.

Zaśmiał się:

– No, teraz nie potrzebujesz mnie o tym przekonywać. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej... Bywał przecież u ciebie, i to często. Czasami do późnej nocy. Takie rzeczy nie dają się ukryć. Wszyscy widzieli, że gapił się w ciebie jak sroka w gnata i przewracał oczy. Więc cóż u licha?

Marychna milczała.

– Kochał się w tobie platonicznie?

– Ja nie wiem...

– Czy po prostu jest nedorajdą? Co?

– Po co pan o tym mówi...

– Nie nazywaj mnie panem. A może ty go nie chciała?... Nawet nie całowaliście się?

Nic nie odpowiedziała.

– No, chyba nie potrzebujesz robić przede mną tajemnic – powiedział nie bez irytacji.

– Owszem – szepnęła.

– Co? – zdziwił się – dlaczego robisz z tego tajemnicę?

– Ja mówię, że owszem, że całowaliśmy się...

– I więcej nic?... Nie myślałem, że z niego taki fajtłapa... Jak to, i nigdy nie zabierał się do ciebie?

– Pan tak mówi... ja się wstydzę...

Roześmiał się, zgasił papierosa, położył się obok niej i odwrócił ją bez ceremonii twarzą do siebie.

– Nie ma czego się wstydzić, moja śliczna panienko – uśmiechnął się do niej – chyba jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Jego szare oczy uśmiechały się również dobrotliwie, po ojcowsku. Rozchylona pidżama odsłaniała szeroką pierś, z lekka przycienioną włosami. Wydał się Marychnie bliskim i serdecznym.



Zaczęła opowiadać o sobie i o Krzysztofie. Sama nie wiedziała, co o nim myśleć. Zawsze był dziwny, czytał wiersze, zachowywał się tak, jakby był zazdrosny, jakby kochał ją, a przecież nigdy nie wspomniał o tym ani jednym słowem. I on jej się podobał, bo jest taki ładny i taki chyba nieszczęśliwy, na pewno nieszczęśliwy, bo wciąż jest zamyślony i smutny... Nieraz chciała go pocieszyć, ale on, gdy tylko przyszło co do czego, cofał się i robił się jeszcze smutniejszy.

Początkowo podejrzewała go, że może jest, broń Boże, jakimś kaleką, że cierpi na jakąś straszną chorobę, ale sam mówił, że jest zdrow, i nawet pokazywał jej swoją książeczkę wojskową, gdzie wyraźnie było napisane, że służył w wojsku i jest zdalny do dalszej służby...

– A może chciał się z tobą ożenić? – zapytał takim tonem powątpiewania, że uczuła się tym dotknięta.

Sama nigdy nie myślała o tym poważnie, ale ostatecznie dlaczego Paweł uważał to za taką niemożliwość! Że Krzysztof jest bogaty... Alboż to mało ubogich panien wychodzi za mąż za milionerów?...

– Może i chce – skłamała – czy ja wiem...

– Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego – powiedział obojętnie – sądzę nawet, że byłaby z was dobrana para. On demoniczny brunet, a ty wiośniana blondynka o takiej ślicznej różowej buzi...

– Nie... nie... – odpychała go z całych sił.

Wspomnienie tego, co się stało przed chwilą, kazało się jej bronić. Z drugiej strony oparowywało ją poczucie konieczności, posłuszeństwa, niemal pragnienie zaspokojenia jego wymagań...

Gdy w pół godziny później wychodziła już ubrana z łazienki, ku swemu zdumieniu zastała Pawła w gabinecie przy biurku. Siedział w pidżamie przed stosem papierów tak pogrążony w pracy, że zdawał się jej nie spostrzegać. Jego profil w kręgu lampy zaznaczył się twardymi mocnymi liniami, a ściągnięte brwi wyglądały pięknie i groźnie.

Stąpając na palcach, nałożyła przed lustrem kapelusz i palto, gdy odezwał się równym spokojnym głosem:

– Niepodobna, byś chodziła w tym powiewnym paletku. Zrobię ci mały podarek. Bądź tak dobra i wstąp jutro do kuśnierza na Miodowej. Nazywa się Tieferman. Wybierz tam sobie jakieś przyzwoite futro. Rachunek ureguluję ja.

Marychna poczerwieniała:

– Czy... czy to ma być... zapłata za... to, że się... panu oddałam? – wyrzuciła ze ściśniętego gardła.

Odłożył ołówek i obejrzał się:

– Nie myślałem, Marychno, że z ciebie taka gąska.

– Pan mnie obraził... pan mnie krzywdzi... pan sądzi, że ja dlatego, że pan jest bogaty...

W oczach jej ukazały się łzy.

– Jesteś głupiutka. Bardzo głupiutka – powiedział spokojnie – po pierwsze, nie ty mnie się oddałaś, a ja ciebie wzięłem. – Po drugie, nie jest to zapłata, bo równie dobrze i ty musiałabyś mi zapłacić. Jak w ogóle może być mowa o zapłacie wówczas, gdy obie strony sprawiają sobie wzajemną przyjemność! Postanowiłem kupić ci futro, bo nie chcę, byś się zaziębiła i rozchorowała. A chyba wolno mi zrobić prezent temu, kogo lubię, i to prezent taki, jaki mu jest potrzebny?

– Takie drogie prezenty robi się tylko kokotom – przygryzła wargi.

– Serio?... Nie wiedziałem. Dużo takich prezentów rozdawałaś już kokotom?

– Pan kpi ze mnie...

Wstał i pogłaskał ją po twarzy:

– Nie, dzieciaku, ja, widzisz, nigdy żadnych prezentów nie robiłem kokotom, a tobie zrobię taki, na jaki mnie stać. Gdybym był biednym monterem, kupiłbym ci wełniany sweter.

Rozumiesz?... A tak proszę cię tylko, byś wybrała sobie coś ładnego, ciepłego i nie zanadto efektownego, bo zazdrościłyby ci koleżanki i pytłowałyby za dużo o rozrzutności... Krzysztofa.

Roześmiał się i pocałował ją w usta.

– I tak będą mówiły – szepnęła.

– Na to nie ma rady.

– Ale ja nie chcę – próbowała bronić się bez przekonania – zresztą, co pomyśli Krzysztof.

– Nic nie pomyśli, bo mu przecie ani słówkiem nie piśniesz o naszej bliższej znajomości. A futro znowu nie kosztuje tyle, byś nie mogła wziąć na raty. Kuśnierz nazywa się Tieferman, nie zapomnij. Masz to załatwić zaraz jutro po biurze. Adres dokładny znajdziesz w katalogu telefonicznym. I bez żadnych wykrętów! Koniecznie jutro, bo inaczej to już ja się z tobą potrafię porachować, niegrzeczna dziewczynko!

Znowu jego oczy miały wyraz ciepły i dobry.

– Ale w takim razie – podniosła buntowniczo głowę – to i pan musi ode mnie przyjąć prezent.

– Z rozkoszą – zaśmiał się.

– Mnie nie stać na taki cenny...

– Moja droga – przerwał – cenność każdej rzeczy, jej wartość nigdy nie jest ważna. Ważne jest tylko to, jaką wartość my jej przypisujemy. Spójrz na ten pierścionek. Jego wartość jest zależna tylko od tego, na którym jest palcu. Na moim jest dla ciebie wspaniałym brylantem, lecz gdybyś zobaczyła go na ręku stróża, wiedziałabyś, że to nędzna imitacja. Prawda?... Więc widzisz, na świecie nie ma wartości bezwzględnych...

Zmarszczył brwi i patrząc gdzieś w kąt pokoju dodał:

– Kto tego nie wie, ten nie może podbić świata, choćby się na głowie postawił... No, ale to ciebie nie obchodzi.. O czym mówiliśmy?... Aha! Więc choćbym ci ofiarowała pałac, a ty mnie, przypuścmy, krawat, mogę pozostać twoim dłużnikiem... A propos, jeżeli to ma być krawat, niech będzie szary i w paski. Dobrze?

Śmieli się oboje, gdy on spojrzał na zegarek:

– No, nie wyśpisz się dziś – skonstatował – daruj, że cię nie odprowadzę, ale mam jeszcze dużo roboty. Tuż za rogiem znajdziesz taksówkę. Masz drobne?

– Mam – powiedziała i przypomniała sobie, że ma w torebce zaledwie półtora złotego, ale to nic, bo pójdzie i tak pieszo.

On jednak widocznie nie należał do łatwowiernych. Pomimo oporu Marychny sprawdził zawartość torebki.

– Wstyd tak kłamać – powiedział surowo i włożył do torebki kilka monet – to jest pożyczka, oddasz mi ją, jak będziesz bogata. A uważaj, byś pojechała taksówką. Będę wyglądał przez okno!

Czuła się przy nim, jak dziecko, które na próżno mobilizuje wszystkie swoje wybiegi. Zostają poznane i unieszkodliwione z łatwą pobłażliwością.

Na ulicy było pusto, zimno i strasznie. Nawet szofer taksówki miał minę nie wywołującą zaufania. Lękliwie unikała jego wzroku, podając swój adres. Szyby były tak zamarznęte, że siedziała jak w lodowni, nie mogąc sprawdzić, jakimi ulicami ją wiozą. Na szczęście auto stanęło przed jej domem. Szybko wbiegła po schodach i po chwili była już w swoim ciepłym pokoju. Rozebrała się bardzo prędko i zasypiając myślała o tym, że Paweł jest prawdziwym mężczyzną, że wybierze sobie czarne żrebaki i że Krzysztof niczego się nie domyśli. Byle tylko zostało jej trochę czasu, byle jutro jeszcze nie przyszedł do fabryki...

I rzeczywiście nie przyszedł.

Sekretarz Holder, który z rana zajrzał do gabinetu z powodu jakiegoś drobiazgu, powiedział, że podobno pan Krzysztof Dalcz ciężko zachorował, bo wezwano telegraficznie jakiegoś specjalistę z Wiednia.

Marychna przeraziła się. Uderzyła ją myśl, że postąpiła nędznie i zdradziła go w chwili, gdy ten być może walczy ze śmiercią. Po kilku zaledwie godzinach snu i po tej dręczącej nocy sama wyglądała blado i miała spieczone wargi.

– Pani też coś jest, panno Marychno – przyjrzał się jej Holder.

– Nie, nic.

– Robi pani wrażenie, jakby panią coś gnębiło na duszy i na ciele...

Poczerwieniała i wzruszyła ramionami:

– Zdaje się panu – powiedziała nie bez irytacji i zaraz po jego wyjściu wyjęła lusterko, by sprawdzić, czy to istotnie po niej znać. Oczy miała podkrążone i nienaturalnie lśniące. Wyglądała z tym ładnie, nawet interesująco. Nie przypuszczała, że to, co z nią tej nocy zaszło, będzie tak widoczne. Co za szczęście, że Krzysztof dziś nie zobaczy jej. Na pewno nabrałby podejrzania...

Przyłapała siebie na tej niedobrej egoistycznej myśli i skarciła się sama. Jak mogła cieszyć się, kiedy on jest tak niebezpiecznie chory. Ale skoro sprowadzono lekarza aż z zagranicy, ten go uleczy i wszystko skończy się dobrze.

W ciągu całego dnia Paweł nie zajął do niej ani razu. Musiało go też nie być w fabryce, gdyż szukano go nawet tu. Dwa razy wpadł, niczym oparzony, dyrektor Jachimowski i raz Blumkiewicz.

– Proszę pana, proszę pana – zatrzymała go.

– Słucham panią!

– Nie, nie, kiedy ja widzę, że pan się bardzo śpieszy..

– Istotnie, proszę pani, śpieszę bardzo, dlatego proszę łaskawie...

– Chciałam spytać, jak zdrowie pana Krzysztofa?

Spojrzał na nią przelotnym wzrokiem, w którym malowała się ironia:

– Dziękuję, zupełnie dobrze.

– A po cóż sprowadzono lekarza aż z Wiednia? – zapytała naiwnie.

Blumkiewicz, zabierający się już do odejścia, stanął jak wryty:

– Skąd to pani wie?!

– No... mówili. Tu w biurze mówili.

– Biuro jest gniazdem plotkarstwa – syknął Blumkiewicz i jego układna pomarszczona twarz przybrała jadowity, zły wyraz.

– Ale cóż w tym złego – zdziwiła się Marychna.

– Nic złego. Ludzie najlepiej i najmądrzej robią, proszę pani, gdy zajmują się sprawami, które do nich należą.

Uklonił się i wyszedł, a Marychna obiecała sobie poskarżyć się Krzysztofowi, że ten obrzydliwy Blumkiewicz potraktował ją niegrzecznie... Właściwie to należało raczej powiedzieć o tym Pawłowi... Przecie z Pawłem ten Blumkiewicz więcej się musi liczyć...

Paweł jednak nie pokazał się w ciągu całego dnia.

Wyszła z fabryki później niż zwykle i na przystanku spotkała inżyniera Ottmana. Jego płowe, krzaczasto przystrzyżone wąsiki pokryte były szronem i sopolkami lodu. Wyglądał jak nauczyciel wiejski w swoim wytartym palcie, z jaskrawymi rumieńcami na policzkach i z zaczerwienionym nosem. Było w nim coś prowincjonalnego. I w ubraniu, i w sposobie witania się.

Gdy znaleźli się w tramwaju, w którym o tej porze nie było tłoku, Marychna powiedziała:

– A ja dziś mam daleką podróż: jadę na Miodową.

Oczekiwała objawu zaciekawienia, lecz ponieważ tylko przyglądał się jej z jakimś głupim uśmiechem, zaniepokoiła się:

– Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

– Nie, nic, przepraszam panią... Zamyśliłem się. Widzi pani, pracuję teraz nad pewnym wynalazkiem, nad bardzo ważnym wynalazkiem, i to mi zaprzęta głowę...

– Sądziłam, że zauważył pan coś niezwykłego w moim dzisiejszym wyglądzie.

Spojrzał uważnie i zrobił zdziwioną minę:

– Niezwykłego?... Co znowu, bynajmniej.

– Jednakże kilka osób mi to mówiło... – upierała się – chociaż sama doprawdy nie wiem dlaczego. Prawda?

Prostodusznie przytwierdził, co wręcz zirytowało Marychnę. Nachmurzyła się i siedziała milcząca. Czowała się pokrzywdzona tym, że nie ma na świecie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć z tak ważnych przemian w jej życiu, kto by miał prawo, a chociażby możliwość dopytywania się o to, co ona robi, co zamierza, dlaczego jest smutna lub wesoła. Oczywiście, każda panienka z jej sfery zazdrościłaby jej powodzenia, jakie miała u takich ludzi, jak obaj Dalczowie. Ponieważ jednak nie miała do kogo ust otworzyć, samo powodzenie traciło połowę swojej wartości.

Słuchała obojętnie szemrzącego głosu Ottmana. Co ją obchodzić może jakaś terpentyna, kauczuk czy elektroliza! Złościło ją po równo to, że mówił o rzeczach, których nie знаła, jak i to, że wcale nie zapytał, po co jedzie na Miodową. A przecież powtórzyła to dwa razy ze specjalnym naciskiem, jako wypadek niezwykły, niecodzienny. Jej rozdrażnienie bliskie już było wybuchu. Tuby dopiero osłupiał, gdyby tak z miejsca wypaliła mu:

– Jadę wybrać sobie wspaniałe futro, które mi funduje naczelny dyrektor!... Dlaczego funduje?... Ano, bo jestem jego kochanką! Tak! Kochanką!... On jest zakochany we mnie do szaleństwa i byłem kiwnęła palcem, kupi mi dwa trzy futra, auto, brylanty, takie duże, jak sam ma w pierścionku... Co tylko zechcę, rozumiesz pan?... A pan będzie całe życie chodził w tym wytartym paletku i żadna dziewczyna na pana nie spojrzy razem z pańską idiotyczną terpentyną i kauczukiem!...

Gryzła wargi i podniecała się efektem, jaki wywołała tymi słowami, ale Ottman ani przypuszczał, że się w niej i gotuje. Zerwała się z miejsca.

– Ależ pani na Miodową, powinna pani się przesiąść – przytrzymał jej rękę.

– Namysliłam się – podniosła głowę – pojedę taksówką. Nie znoszę tramwajów.

Dopiero teraz dojrzała w jego wzroku zaniepokojenie. To ją poniekąd zadowoliło. Przyszło jej do głowy, że prawdziwe powodzenie mogą mieć tylko kobiety tajemnicze i demoniczne, takie jak na przykład Greta Garbo albo Marlena Dietrich.

U kuśnierza pusto było w sklepie. Do obsługiwania Marychny zabrali się aż trzej subiektci. Przez ladę prześlizgnęło się kilkadziesiąt najrozmaitszych futer. Przymierzała je żarłocznie. Trójskrzydłe lustro odbijało jej zgrabną sylwetkę we wszystkich możliwych pozach, przegięciach i profilach. Umyślnie przeciągała załatwienie kupna, gdyż okropnie wstydziła się momentu, gdy będzie musiała powiedzieć, że rachunek ureguluje pan Paweł Dalcz. Była chwila, że w ogóle zrezygnowałaby z futra, lecz Paweł kazał stanowczo, a poza tym na przykład czarne kasztanki wcale nie były drogie, a tak w nich czuła się ładną i szykowną damą.

– Chyba wezmę to – powiedziała – tylko że to proszę na rachunek...

– Ach! – podchwycił subiekt. – Na rachunek pana Dalcza?... Wiemy, wiemy, proszę szanownej pani, pan dyrektor Dalcz telefonował, ale może pani wzięłaby to futerko? Tylko o dwieście złotych droższe, a lisy...

– Nie, nie. Wezmę to.

– Pani rozkaże odesłać?...

Nie mogła oprzeć się pokusie i zostawiła do odesłania swoje stare palto. Szła ulicami okrężną drogą i nacieszyć się nie mogła swoim odbiciem w szybach wystaw. Jednak Paweł tylko pozornie jest taki surowy i oschły. To nawet bardzo po męsku nie okazywać czułości, a jednocześnie tak o kogoś dbać. Gdyby go nic nie obchodziła, nie wyrzucałby na futro kilkuset złotych. Trudno chodzić z takim Kopciuszkim do szykownych lokalów. Pewno tak nalegał, żeby zaraz kupiła dlatego że dziś zabierze ją na dancing...

Jednak omyliła się. Nie tylko nie zabrał, lecz nawet nie zatelefonował. Nie pokazał się też wcale w fabryce ani tego ani następnego dnia. Od Holdera dowiedziała się, że jest bardzo zajęty i że wszystkie dyspozycje wydaje telefonicznie. Dlatego właśnie oczekiwała, że i do niej zadzwoni. Każdy jednak odebrany przez nią telefon powiększał uczucie zawodu.

Byłam dla niego tylko zabawką na jedną noc – myślała gorzko i chociaż nie tylko nie pragnęła drugiej, lecz bała się jej, jako związanej ze wspomnieniem bólu, uważała jednak za oszukaną, uwiedzioną i porzuconą.

Tak minął tydzień, podczas którego Marychna nie rozstawała się z najśmielszymi i najfantastyczniejszymi projektami. Raz chciała pójść do niego sama i zażądać wyjaśnień, to znów napisać rozpaczliwy list i zapowiedzieć samobójstwo lub napisać inny do Krzysztofa, przyznać się do zdrady i prosić o pomstę. Krzysztof nie darowałby mu tego, chociaż to jego stryjeczny brat! Najwięcej kłopotu w tych planach sprawiało jednak futro: leżało jak ulane i było niesłychanie „twarzowe”. Odesłanie go Pawłowi byłoby dopełnieniem i tak nieznośnych nieszczęść.

Rozmyślała właśnie nad tym, rozbierając się do snu, gdy gospodyni poprosiła ją do telefonu.

Jeżeli to on – myślała, nerwowo nakładając szlafroczek – potraktuję go takim chłodem, że no!

Niestety, nie mogła tego rozsądnego zamiaru skutecznie, a to z tej prostej przyczyny, że zabrakło na to czasu. Mianowicie w słuchawce na jej „halo” odpowiedział głos Pawła:

– Jak się masz, Marychno. Przyjedź zaraz do minie. Czekam.

Powiedział i położył tubę. Było to nad wyraz oburzające. Jediną odpowiedzią, godną szanującej się kobiety, będzie absolutne niereagowanie na podobne wybryki. Naturalnie nie pojedzie doń wcale!... I nie pojechałaby na pewno, gdyby nie to, że przecie musi mu powiedzieć, że tak się nie postępuje, że to jest podłe, niktzemne, że go nienawidzi, że może ją nawet wyrzucić z fabryki, że może zabrać swoje obrzydliwe futro, że ona woli umrzeć z głodu i chłodu, byle nie znosić takich upokorzeń...

Bieg tych myśli był całkiem logiczny, nie przeszkadzał jednak Marychnie w pośpiesznym ubieraniu się. Po drodze przyszła refleksja, że nie może sądzić Pawła miarą pospolitych śmiertelników, że widocznie miał jakieś ważne powody, może nawet nieszczęście, lub był niezdrów. Gdy dzwoniła do drzwi, serce jej waliło młotem i nie myślała już o niczym.

Otworzył sam. Był w granatowej wełnianej pidżamie, a w ręku trzymał katalog telefoniczny. Powitał ją wesołym uśmiechem i bez słowa objął ją właśnie ręką, w której trzymał katalog. Podniosła głowę i ich usta się spotkały.

Zanim jednak zdążyła rozpocząć wymówki, powiedział:

– Bardzo się cieszę, żeś przyszła. Chodź i zaczekaj chwilkę. Muszę załatwić jedną sprawę.

Wprowadził ją do gabinetu, odszukał potrzebny numer i rozmawiał z kimś, z kim był na ty. Mówił o jakichś udziałach, wzdychał, twierdził, że to jakieś nieszczęście stało się dla niego samego niespodzianie, że jakiś Tolewski okazał się szcwanym lisem, lecz chociaż rzecz wygląda beznadziejnie, jednak on nie zaniecha wszystkiego, co się jeszcze może da zrobić.

Ten, z którym rozmawiał, krzyczał w słuchawkę tak głośno, że Marychna, siedząc o kilka kroków od aparatu, przecie słyszała jego rozpaczliwe i pełne irytacji wykrzykniki. Z tego wszystkiego zrozumiała, że Paweł prowadzi z kimś drugim bardzo ważny interes, że interes nie udał się i że obaj dużo na tym stracili, narażając na szkodę też i inżyniera Ganta, który – jak wiedziała – był współnikiem fabryki. Z wymienionych kwot i ze smutnego tonu, jakim mówił Paweł, wywnioskowała, że straty muszą być ogromne.

Teraz sama sobie robiła wymówki za pretensje żywione do Pawła. Oczywiście, nie miał dla niej czasu tylko dlatego, że borykał się z wielkimi zadaniami, że pochłaniały go kolosalne interesy, o jakich ona, skromna stenotypistka, nie mogła nawet mieć pojęcia, że wszystko nie powiodło się i teraz jej obowiązkiem jest zrobienie wszystkiego, by mu dać o tym zmartwieciu zapomnieć.

Wreszcie Paweł położył słuchawkę, w milczeniu zapalił papierosa i daleko przed siebie wypuścił smugę dymu. Na jego twarzy pojawił się blady i jak się Marychnie wydało – bardzo smutny uśmiech. Siedziała naprzeciw niego i z nie ukrywanym współczuciem wpatrywała się w jego szare oczy.

Niespodziewanie zaśmiał się krótkim ostrym śmiechem

– No, mam dziś co się zowie dobry wieczór! Napijmy się z tej racji czegoś musującego!

– Pan miał dużo przykrości? – zapytała.

– Ja... – zdziwił się – nie, kochanie, przeciwnie. O... bardzo ci ładnie w tym futerku, ale przecież zdejmujemy je, prawda?

– Podobają się panu?... Ja bardzo dziękuję...

– To ja ci dziękuję, że jesteś taka miła i ładna. Pomyśl tylko: mogłabyś być skwaszona i brzydka, a tym samym zepsuć mi piękny obchód takiego sobie finału, nie, źle się wyraziłem, raczej półfinału!

Najwyraźniej był rozbawiony. Marychna pomyślała, że umyślnie robi dobrą minę po jakiejś stracie, by nie sprawić jej przykrości, i postanowiła być dla niego tym czulszą. Dlatego, gdy pomagał jej zdjąć futro, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

– O, oswajamy się – przytulił ją mocno – tylko dlaczego nazywasz mnie wciąż panem?

– Ja nie wiem...

Wybuchnął śmiechem, takim szczerym, wesołym śmiechem:

– Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

– Pan się ze mnie śmieje – poczuła się urażona.

– Ależ bynajmniej, moje maleństwo. Widzisz, w mojej psychice nie może się zmieścić pojęcie robienia czegokolwiek bez uświadomienia sobie, co mną powoduje. Rozumiesz?...

Skinęła głową:

– Rozumiem. Na przykład pan powinien by teraz martwić się, że jakiś interes mu się nie udał, a udaje wesołego, by ukryć przede mną swój prawdziwy nastrój.

Powiedziała to jednym tchem, wiedziała że zaskoczyła go swoją przenikliwością, i nie omyliła się. Zatrzymał się nieruchomo i szeroko otworzył oczy:

– O...? – przechylił głowę.

– Naturalnie – dodała z przeświadczeniem odniesionego zwycięstwa – przecież słyszałam pańską rozmowę telefoniczną, a teraz pan udaje.

– Jesteś przebiegła, niebezpiecznie przebiegła – powiedział przesadnie poważnym tonem – ale wyobraź sobie, że twoja obecność wynagradza mi wszelkie przykrości. No, chodźmy zwilżyć nasze gardła.

W sąsiednim pokoju stały na stole owoce, wysokie kryształowe kieliszki i srebrny kubek z lodem, z którego wystawały dwie grube odrutowane szyjki butelek.

Przy trzecim kieliszku Paweł powiedział:

– Marychno! Jesteś jedyną istotą, z którą dzielę moje dzisiejsze pierwsze wielkie święto.

– A może to pańskie imieniny!

– Życie nie nauczyło mnie dzielić się czymkolwiek, ani złym, ani dobrym – mówił nie słysząc jej pytania i jakby nie do niej – jestem sam, całkowicie sam, wyodrębniony, wyparty z wszelkiej wspólnoty i, do stu diabłów, nie czuję się tym pokrzywdzony. Tym gorzej dla nich, dla was wszystkich... No, pijmy!

Marychna nie rozumiała, o co mu chodzi. Ogarnęło ją przecież przeświadczenie, pewność, że dostąpiła szczególniejszego przywileju, że musi być coś warta, skoro ten niezwykły człowiek właśnie nią się zainteresował, skoro dopuszcza ją do swoich tajemniczych przeżyć. A on mówił dużo, mówił rzeczy dziwne, skomplikowane, nie wiążące się ze sobą. Słuchała tego tak, jak wsłuchiwała się w miękki melodyjny głos Krzysztofa, gdy czytał jej angielskie wiersze. Tylko głos Pawła brzmiał mocno, porywiście, twardo, wzbierał siłą lub cichł w jakąś kamienną bryłę, która zdawała się toczyć wolno, nieodparcie, zdawała się przytłaczać.

Marychnę znowu opanował strach. Czują w powietrzu coś gniewnego, ponurego, bezlitosnego, czują całą przypadkowość swojej tu obecności. Otaczały ją ogromne czarne meble, wysokie ściany, pokryte złoceniami i jedwabiem, cisza do głębi przejmująca.

Bezwiednie wzięła jego rękę, leżącą nieruchomo na poręczu, i zacisnęła ją w swoich dłoniach.

Umilkł i spojrzał na nią wzrokiem człowieka, który ocknął się z zamyślenia. Na jego ściągniętej twarzy pojawił się uśmiech.

– Nudzę cię, co?... – zapytał – no, chodź, usiądź tu.

Przyciągnął ją lekko i posadził sobie na kolanach. Wtuliła się i musnęła wargami jego policzek o skórę szorstkiej, którą przecież wolała od zawsze atłasowo wygolonej twarzy Krzysztofa.

Wypytywał ją, co porabiała, czy nie za bardzo flirtuje z Ottmanem, czy nie miała wiadomości od Krzysztofa.

Skądże znowu! Z Ottmanem w ogóle nie można flirtować. Jest nudny i nieustannie myśli o swoich wynalazkach, a Krzysztof widocznie nie czuje się dobrze, gdyż podobno przed tygodniem sprowadzono doń jakiegoś specjalistę aż z Wiednia. Właściwie nie powinna tego powtarzać, bo pan Blumkiewicz powiedział, że to plotki, i bardzo się gniewał, ale i tak w fabryce mówili o tym.

Paweł nalał kieliszki. Widocznie interesował się swoim stryjecznym bratem i mało o nim wiedział, gdyż musiała powtarzać o nim wszystko. Dziwiła się tylko, że Paweł wcale nie był o Krzysztofa zazdrosny, że na jej uwagę, że teraz chyba nie będzie mogła pozostawać z tym w dawnych dobrych stosunkach, odpowiedział z całą stanowczością, że przeciwnie, że powinna starać się nie dać mu odczuć jakiegokolwiek zmiany w swoim postępowaniu. Krzysztof jest nieszczęśliwy i potrzebuje pociechy, a on, Paweł, nigdy by nie chciał psuć mu tego złudzenia szczęścia, jakie ma w Marychnie, tym bardziej że jest to – ślicznie uśmiechnął się – tylko złudzenie.

Marychna pomyślała, że to bardzo rozsądnie, i jeszcze, że Paweł ma złote serce. W gruncie rzeczy nie chciała rozstawać się z Krzysztofem, którego polubiła szczerze. Tu była miłość, a tam przyjaźń, może niezupełnie przyjaźń, ale skoro Pawłowi to nie przeszkadza, chociaż wie prawie wszystko, to po prostu nie ma sensu zmieniać cokolwiek w stanie rzeczy, które tak właśnie same się ułożyły.

W sypialni panował kolorowy półmrok i ciepło. Był to piękny wieczór i zapewne dlatego przeciągnął się aż do samego rana.

Tym razem wprost z Ujazdowskiej Marychna pojechała do fabryki. Tym i kilka następnym... Paweł widocznie mniej miał ważnych spraw, bo więcej jej mógł czasu poświęcić.

Czuła się szczęśliwa. Jego spokój, równe usposobienie i to coś, czego nie umiała nazwać, a co napełniało ją poczuciem bezpieczeństwa, zaufania i pogody, co usuwało wszelkie troski, obawy i niepokoje – wszystko składało się na krótkie wesołe dni i długie rozkoszne noce, którymi można było się upić.

Naturalnie Marychna zachowywała wszelkie ostrożności, by nikt nie mógł donieść Krzysztofowi, że go zdradza. Pomimo wszystko bowiem zachowała dla Krzysztofa prawo pierwszeństwa. Tego samego zdania był zresztą Paweł. Dlatego nie chodzili wcale do publicznych lokalów, spotykając się tylko u niego.

Trwało to aż do dnia, gdy po raz pierwszy zjawił się Krzysztof.

Wszedł z rana właśnie w chwili, gdy Marychna zdejmowała futro. Nie ulegało wątpliwości, że od razu je zauważył. Był bledszy niż dawniej i znacznie zmizerniał.

Marychna od dawna ułożyła sobie plan powściągliwego, prawie chłodnego powitania, którym należało odplacić mu za długie i obojętne milczenie.

– Dzień dobry, panie dyrektorze! – dygnęła dygiem obrażonej pensjonarki.

Chwilę przyglądał się jej swoimi czarnymi oczyma, które zdawały się teraz jeszcze większe i jeszcze bardziej wyraziste.

– Dlaczego tak mnie witasz, Marychno? – zapytał cicho.

– Ja... ja nie wiem... panie dyrektorze... – spuściła oczy.

– Marychno?...

– Nie wiem... Może pan tego sobie życzy... nie odezwałeś się do mnie ani jednym słówkiem... przez tyle czasu..

– Przecież wiesz, że byłem chory!

– No tak, ja rozumiem, ale można było napisać, czy ja wiem... zatelefonować...

Wziął jej rękę, pogłaskał i pocałował:

– Nie mogłem. Zrozum to sama. Telefonu nie miałem przy łóżku, a list musiałbym wysłać przez służbę. Nie chciałem, by ktokolwiek wiedział...

Ponieważ nie oddała mu uścisku ręki, zmarszczył brwi i odszedł do swego biurka.

– Myślę raczej – odezwał się po chwili – że to ty zmieniłaś się dla mnie...

– Ależ nie – zarumieniła się Marychna – tylko nie chciałam narzucać się... Mój Boże, skąd ja mogę wiedzieć, czy... panu dyrektorowi nie sprzykrzyła się biedna i głupia dziewczyna, która jest dla niego zabawką...

Krzysztof milczał, a Marychna, zerknąwszy na zasepioną jego minę, dodała tonem usprawiedliwienia:

– No przecie na to mogło wyglądać...

Zapukano do drzwi. Przyszedł majster z odlewni w sprawie jakichś profilów, nim zdążył otrzymać instrukcje, zjawił się inżynier Kamiński, potem Czajkowski, który przyprowadził nowego pomocnika, by go przedstawić Krzysztofowi.

Marychna z miną królowej wystukiwała od niechcienia na maszynie zestawienia biuletynów warsztatowych, wyczekując końca tych nudnych spraw, które przerywały tak ważną rozmowę. Wraz z ostatnim interesantem musiał wyjść i Krzysztof. Zepsuło się coś w wielkim młocie pneumatycznym i podobno groziła katastrofa.

Wrócił po dobrej godzinie. Oczekiwała wznowienia rozmowy, on jednak stanął za nią, pochylił się i pocałował ją w czoło. Jednocześnie jego delikatna dłoń przesunęła się po policzku Marychny tak serdecznie, tak ciepło...

– Ja się bardzo za tobą stęskniłam, Krzychu... powiedziała rozkapryszonym, lecz udobruchanym głosem.

– Naprawdę? – odwrócił jej głowę do siebie.

– Naprawdę – zapewniła.

Bo też teraz dopiero uświadomiła sobie, że nie ma w tym kłamstwa. Brakowało jej Krzysztofa pomimo to, że najhaniebniej w świecie zdradziła go z Pawłem. Nie wiedziała, dlaczego tak jest, a przecież było to jakoś zrozumiałe: Paweł swoją drogą, a Krzysztof swoją...

Teraz znowu licho przyniosło Holdera. Omal nie zastał ich w kompromitującej bliskości. Zawsze wchodzi natychmiast po zastukaniu, jakby nie mógł chwili zaczekać. Po Holderze wpadł Jachimowski w sprawie jakiejś oferty. Był bardzo zdenerwowany, trzęsły mu się ręce, gdy przewracał papiery, a Krzysztof musiał powtarzać mu jedno i to samo po dwa razy. Marychna nigdy jeszcze Jachimowskiego takim nie widziała. Zawsze był obrzydliwie uśmiechnięty i w stosunku do wszystkich młodszych urzędniczek obleśnie uprzejmy. Teraz nawet na nią nie zwrócił uwagi i wyszedł nie zamykając za sobą drzwi. Marychna przypomniała sobie telefoniczną rozmowę, jaką niedawno Paweł prowadził z nim, i pomyślała, jaka to jest różnica między ludźmi: obaj ponieśli jednakowe straty, a Paweł umiał zachować się tak jak prawdziwy mężczyzna, ani się zmarszczył.

– Co mu jest? – zapytał Krzysztof.



Marychna miała wielką ochotę podzielić się swymi przypuszczeniami, lecz w samą porę ugryzła się w język. Od razu wspaniała się na całego!

Zresztą Krzysztof widocznie nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż zaczął mówić o swojej chorobie, o wysokiej gorączce i o przestrożach lekarza przed ponownym zaziębnieniem, które mogłoby grozić poważniejszymi komplikacjami.

– Wiem, wiem – z współczuciem kiwnęła głową Marychna – to było bardzo niebezpieczne. Skoro aż z Wiednia sprowadzali lekarza...

– Skąd o tym wiesz? – zapytał przyciszonym głosem.

– Mówili tu, nie rozumiem, czy to jaka tajemnica?

– Ależ bynajmniej. Nie lubię tylko, gdy zbytnio zajmują się moją osobą.

– Przepraszam – odwróciła się urażona.

– Ależ, Marychno, to nie dotyczy ciebie!

Czuła, że Krzysztof nie mówi tego szczerze. Zawsze robi przed nią jakieś niedorzeczne tajemnice... Doprawdy miała tego więcej, niż mogła znieść. Tak samo kiedyś wyrwał jej z rąk marynarkę, gdy przeczytała na wieszaku firmę wiedeńskiego krawca. To nawet bardzo niepatriotycznie, że nie popiera produkcji krajowej, a daje zarabiać obcym.

– Nigdy ci już – powiedziała chłodno – nie wspomnę o Wiedniu.

– Marychno! – odezwał się upominające.

– Nie, nie, w Wiedniu wszystko jest dobre, a tu wszystko złe. I krawcy, i lekarze, i naturalnie... kobiety... Właśnie dlatego mnie nie chcesz... Trudno, nie miałam szczęścia urodzić się wiedenką...

– Nie mów głupstw, kochanie. Przyzwyczailem się do niektórych rzeczy zagranicznych...

– I właśnie do wiedeńskich. Nie wiem dlaczego, bo przecie uczyłeś się wcale nie w Austrii, lecz w Belgii i w Szwajcarii. Gdzie Rzym, gdzie Krym... Tylko że, oczywiście, wienki...

Zerwał się i podbiegł do niej:

– Marychno! Co się tobie stało?! – chwycił ją za rękę – co ci się stało przez ten czas! Marychno!

Poczerwieniała i spuściła oczy. Zorientowała się, że swoim niezwykłym zachowaniem się może ściągnąć na siebie jakieś podejrzenie Krzysztofa.

– Nic mi się nie stało – bąknęła – po prostu jestem trochę na ciebie rozżalona.

– Ależ za co?

– Ja sama nie wiem... tak ot...

Chcąc do reszty rozwiązać podejrzenia Krzysztofa, uśmiechnęła się doń i złożyła usta w dzióbek gotowy do pocałunku.

To przypieczętowało zgodę. Kwestia futra nie wywołała żadnych wątpliwości Krzysztofa. Bez zastrzeżeń zauważył, że zostało kupione na raty. Przed samą trzecią przyszedł szofer Pawła i zameldował, że z polecenia swego pana przyprowadził wóz do dyspozycji pana dyrektora Krzysztofa.

– Dziękuję – skinął mu głową Krzysztof – możecie zostawić wóz. Sam będę prowadził.

Gdy szofer wyszedł, Marychna zaryzykowała zauważyć:

– Jak to uprzejmie ze strony twego stryjecznego brata. Prawda?

Krzysztof poczerwieniał, a w jego oczach zaiskrzyła się złość:

– Nie widzę w tym żadnej uprzejmości. Samochód nie jest jego własnością.

– Ja nic nie powiedziałam – broniła się Marychna.

– Tak, ale gdyby to zrobił inny, nawet nie przyszłoby ci na myśl dopatrywać się w zostawieniu dla mnie samochodu jakiejś specjalnej uprzejmości. Ponieważ jednak zrobił to Paweł...

– Krzychu, naprawdę nie rozumiem...

– Nie przerywaj! Wiem doskonale, że on ci się podoba.

– Wcale nie.

– To niemożliwe. Widziałem nieraz, jak na niego patrzyłaś.

Marychna zrobiła minę udręczonej niewinności i podniosła oczy do sufitu na znak niezasłużonej krzywdy.

– Nic nie odpowiadasz? Nic?

– Mówiłam już tak często...

Krzysztof przeszedł się po gabinecie zdenerwowanym krokiem, zatrzymał się przed nią i wyrzucił z siebie zduszonym głosem:

– A ja ci zabraniam, kategorycznie zabraniam odpowiadać na jego spojrzenia! Rozumiesz mnie? Zabraniam. On się do ciebie zaleca, a ja tego nie zniosę, absolutnie nie zniosę!

– Ależ, Krzychu, ja wcale... ani tym bardziej on...

– Nie życzę sobie! Jeżeli chcesz, bym cię znienawidził to rób, co chcesz, ale o jedno cię proszę: nie zmuszaj mnie, bym na to miał patrzeć!

Marychna początkowo pomyślała, że może do Krzysztofa dotarły jakieś plotki. Jednak z jego zachowania się wynikało, że absolutnie nic nie wiedział o wszystkim, co między nią a Pawłem zaszło. Tym trudniej mogła sobie wytłumaczyć nagły wybuch jego zazdrości.

Pojechali na obiad do restauracji i stąd do Marychny Krzysztof znowu był w dobrym nastroju i do rozmowy o Pawle już nie wracał. Marychna od dawna zauważyła różnicę we wzajemnych stosunkach między stryjecznymi braćmi. Podczas gdy Paweł nie omijał żadnej sposobności, by najżywczej wypytywać o Krzysztofa, ten albo lekceważąco czy zjadliwie o nim wspominał, albo urządzał niczym nieuzasadnione sceny zazdrości. Musiał go za coś nienawidzić.

Znowu trochę się całowali i czytali wiersze. Marychna nie chciała sama przed sobą przyznać się do tego, że czuje się w towarzystwie Krzysztofa znudzona. Pomału w jej głowie dojrzało postanowienie postawienia ich stosunku na wyraźnym gruncie. Nie wiedziała tylko, jak to zrobić i od czego zacząć. Zresztą Krzysztof tak był wymizowany po grypie, że należało mieć teraz dla niego więcej względności. Co jednak za różnica: w towarzystwie Pawła nie miewała chwili czasu na refleksje, nie nudziła się ani jednej sekundy...

A teraz... marzyła tylko o jednym: kiedy nareszcie pójdzie sobie do domu i zostawi ją samą. Może wieczorem zadzwoni Paweł...

– Krzychu – przerwała mu czytanie – wiesz, jak mi dobrze z tobą, ale boję się, czy to ci na zdrowie wyjdzie, że tak się męczysz czytaniem...

– Nie czuję się zmęczony.

– Naprawdę, czy nie lepiej byłoby, gdybyś wcześniej położył się do łóżka? To przecie pierwszy dzień po chorobie.

Umiała swemu głosowi dać taką dozę szczerości, że złożył książkę i powiedział:

– Lubisz mnie troszkę, Marychno?

– Jakże nawet możesz o to pytać!

– Wiem, wiem... Och, żebyś mógł mieć gwarancję... gdybym miał prawo chcieć, byś mnie zawsze i pomimo wszystko lubiła...

– Nie rozumiem?... Pomimo co?

Krzysztof pogładził ją po włosach i smutnie pokiwał głową:

– Pomówimy o tym... wkrótce. Zamyślił się i dodał:

– Radzono mi wyjechać na kilka tygodni w góry.

– W góry? – spojrzała na zegarek.

– Tak. Zastanawiałem się nad tym... Czy nie miałabyś ochoty pojechać ze mną?

Marychna była zaskoczona. Nigdy nie wyjeżdżała poza Warszawę, bo przecież Zielonka się nie liczy, a o górach o Zakopanem marzyła od dawna. Z drugiej jednak strony wyjechać teraz z Krzysztofem, teraz, kiedy jest kochanką Pawła, wydawało się jej jakąś niemożliwością, czymś w wyższym stopniu nieprzyzwoitym.

Niewątpliwie pociągał ją ten projekt, ale nigdy zdobyłaby się na decyzję bez pozwolenia Pawła. Zdawała sobie dokładnie sprawę, że taka podróż we dwójkę byłaby decydująca. To znaczy, że podczas niej Krzysztof wreszcie zdecydowałby się. Nie obawiała się tego. Przeciwnie. Interesował ją i pociągał swoją tajemniczością i swoją dziwną, niezwykłą urodą.

W każdym razie miała dość doświadczenia, żeby zastanowić się nad tym, że Krzysztof w końcu zostanie przecie w Warszawie, a Paweł wkrótce wyjedzie z powrotem za granicę. Lepszy wróbel w rękę...

Przez cały następny dzień pochłonięta była rozmyślaniami na ten temat. W pewnej chwili zastanowiło ją to, dlaczego Paweł nigdy nie wspominał jej o zamierzonym powrocie za granicę, o którym Krzysztof zawsze mówił jako o czymś nieulegającym najmniejszej wątpliwości, o czymś od dawna postanowionym.

Niestety, nie miała teraz sposobności sprawdzenia tej wiadomości. Paweł przez kilka dni nie odzywał się wcale. Spróbowała kiedyś do niego zadzwonić, lecz zbył ją szablonowym przeproszeniem: nie ma teraz czasu, gdy będzie miał, sam zadzwoni.

To wpłynęło ostatecznie na jej postanowienie.

– Gdybyś mnie zabrał – powiedziała nazajutrz Krzysztofowi – pojechałabym z tobą w góry.

## Rozdział VI

Pan Karol Dalcz podniósł wysoko rzadkie, strzępiaste brwi, których srebrna siwizna na pergaminowych zmarszczkach czoła zdawała się być jakimś przyklejonym ornamentem.

– Stryj się dziwi? – uśmiechnął się Paweł.

– Poczekaj, a cóż zrobisz ze swoją bawelną, likwidujesz interesy w Anglii?

– Nie – potrząsnął głową Paweł – oczywiście, nie będę ich mógł stąd prowadzić z taką intensywnością, jak dawniej, ale wyrzekać się ich nie myślę. W każdym razie dają dobry dochód.

– Tak – cicho powiedział chory.

Paweł założył nogę na nogę i zapytał rzeczowo:

– Stryj zdaje się być niezadowolony ze zmiany moich projektów?

– Bynajmniej. Nie spodziewałem się...

– Nie chcę się narzucać, stryju. Proszę mnie zrozumieć. Jeżeli współpraca ze mną nie odpowiada stryjowi, w każdej chwili mogę odstąpić wszystkie udziały. Powiem więcej, mogę wpłynąć na pana Tolewskiego, który nabył część Ganta, i on też swoje sprzeda.

– Wiesz dobrze – skrzywił się pan Karol – że nie mam na to dość pieniędzy. Zresztą mylisz się, sądząc, że współpraca z tobą nie odpowiada mi...

– No, więc, może Krzysztofowi?

– Właśnie... Nie lubicie się...

– Przepraszam stryja, to on mnie nie lubi.

– Mniejsza o ścisłość. Jednakże sentymenty swoją drogą, a interesy swoją.

– Jeżeli Krzysiuwi chodzi o naczelne kierownictwo, mogę mu natychmiast ustąpić zaraz po jego powrocie, chociaż jako obecny współwłaściciel firmy nie uważam go za dostatecznie dojrzałego do prowadzenia całokształtu spraw tak dużego przedsiębiorstwa.

– Może i masz rację.

– Pomimo to, by uniknąć podejrzania jakiejś machinacji, które może się nasunąć każdemu człowiekowi zdolnemu do niezbyt uczciwych dróg działania...

– O jakich machinacjach mówisz?

– Ach, stryju, trzeba trzeźwo patrzeć na życie. Nie lubię gry w chowanego. Rzecz może wyglądać tak, że po to przyjechałem do kraju, by wyzyskując sytuację wkręcić się na kierownicze stanowisko w firmie. Nie potrzebuję bronić się przed stryjem, który jest dokładnie poinformowany o wszystkim, który od początku wie, na czym polegała moja rola i w jakim kierunku szła moja ambicja.

– Nie – odezwał się pan Karol – nie mogę ci postawić żadnych zarzutów. Postąpiłeś słusznie.

– Jest to bodaj pierwsze słowo uznania, jakie udało mi się usłyszeć od kogoś z rodziny od czasu mego dzieciństwa – zaśmiał się Paweł.

Nie przesadził. Rzeczywiście po raz pierwszy w zdawkowej pochwie stryja zabrzmiała nuta niemal życzliwości. I to właśnie teraz!... Teraz dlatego, że na szarej zamszowej kołdrze leżało pokwitowanie z manchesterskiego banku z datą dość precyzyjnie podskrobaną jak na

stare oczy dlatego, że logika planu nie miała ani jednej luki. No, po części także i dlatego, że na wczorajszym posiedzeniu Zarządu Jachimowski wstydził się swojej porażki i milczał jak zakłęty, nie mogąc zdobyć się na wyduszenie z siebie słów goryczy, które go dławiły.

Jakże wspaniały był to widok: tępa, nadęta i aktorsko nieprzystępna gęba Tolewskiego, znacząca swą dobrze wystudiowaną rolę poruszeniami wyszwarcowanych wąsów z przejęciem prowincjonalnego kabotyna, a naprzeciw wypływały spocony pysk Jachimowskiego, gotującego się do skoku i przebierającego palcami z taką zawziętością, jakby tamtego trzymał za gardziel.

Sprytnie biegające oczka Blumkiewicza prawdziwie nieszczęśliwe, że nie mogą odkryć tego czegoś, co musiało się stać, a co było nie do przeniknięcia, no i Krzysztof.

W wiszącym naprzeciw lustrze Paweł widział swoją twarz, poważną, skupioną, pełną godności, twarz, do której nie śmiałyby sięgnąć żadne podejrzenia, żadne wątpliwości. Nie tylko w lustrze. W oczach Jachimowskiego, Blumkiewicza, nawet w gapieniu się Tolewskiego odbijało się także niekwestionowane zaufanie. Natomiast Krzysztof..

Spostrzegł to już wcześniej, gdy Blumkiewicz w imieniu pana Karola obejmował przewodnictwo. Paweł zwrócił się do Krzysztofa z pozornie niewinnym zapytaniem, czy on nic nie ma przeciw temu. Wówczas w jego czarnych oczach dostrzegł jakiś dziwny wyraz, a w głosie jakby wyzwanie, chociaż słowa zawierały konwencjonalną zgodę.

I później, gdy pochylony nad papierami czytał sprawozdanie, czuł na sobie jego męczący przenikliwy wzrok. Odrywając niespodziewanie oczy od równych linii maszynowego pisma, na próżno starał się w przyłapanym spojrzeniu Krzysztofa odczytać treść jego myśli, przeniknąć sens, cel, intencję tych badań... Czy właśnie badań?...

Nie umiał tego określić i nie chciał skonstatować w sobie niedorzecznego, nieprzebaczalnego uczucia zmieszania i irytacji. Nie chciał przed sobą przyznać się do tego, że ten smarkacz stanowi dlań psychiczną zagadkę, której pojąć niepodobna, przed którą pozostaje bezsilny, on, uważający się za nieomylnego w poznawaniu ludzi, nawet najsprytniej ukrywających swoje wnętrza przed obcym wzrokiem. A w tym wypadku miał wyraźną obawę, że sam jest obiektem obserwowanym z zimną systematycznością... Ba, nie wiedział nawet, czy z zimną, czy z zawziętością, jaką rodzi tylko nienawiść.

Wprawdzie nie mogło to naruszyć jego równowagi czy też zachwiać pewności siebie. Ani przez chwilę nie wątpił, że dla każdego, dla najwnikliwszych oczu pozostanie tylko tym, czym zechce być. Jednakże zauważył w sobie nierozumne wahanie, które było zjawiskiem niespodziewanym i przykrym. Mianowicie już od wczoraj przygotował sobie plan zjedwania Krzysztofa. Wskutek nieszczęśliwej i błędnej kalkulacji technicznej fabryka poniosła poważne straty na dostawie frezarek. Całkowitą winę powinien był ponieść Krzysztof. Winę, odpowiedzialność i wszelkie konsekwencje natury moralnej.

Otóż Paweł postanowił sobie, że sprawę przedstawi w ten sposób, by Krzysztofowi oszczędzić kompromitacji, a jednocześnie dać do zrozumienia, że to on, Paweł, przez życzliwość całą rzecz pokrywa.

To było przygotowane i obliczone na zimno. Gdy jednak natarczywy wzrok Krzysztofa stawał się już nie do zniesienia, Paweł zmienił zamiar: – przeciwnie, zaskoczy go ostrym atakiem, dyskwalifikacją jego wiedzy, napiętnowaniem braku doświadczenia. Niech mydłek za wiele sobie nie pozwala, niech wie, że Paweł i jemu może dać mocno po łapach!...

I... nie mógł. Wprawdzie przedstawił rzecz zgodnie z pierwotnym rozsądnym planem, ale nie zdołałby wmówić w siebie, że z tych samych pobudek. Och, nie lubił okłamywać siebie. Na to był zbyt odważny. Po prostu... zmiękł. Co za idiotyzm!...

Nie rozumiem, co mi się stało – myślał z gniewem, wracając do domu.

Na schodach uprzytomnił sobie, że i dawniej, ilekroć rozmawiał z Krzysztofem, zawsze nie postępował ściśle według przyjętej taktyki. Że – do licha – smarkacz działał mu na nerwy w irytujący, nie dający się logicznie wytłumaczyć sposób.

Od dnia posiedzenia umyślnie, dla skontrolowania siebie, starał się jak najczęściej widywać Krzysztofa. Wiadomości, jakie zdołał zebrać o nim od Marychny, od pracowników w fabryce, przez służbę wreszcie, nie wyjaśniały niczego.

Dlatego od dnia posiedzenia już trzy razy był u stryja. W fabryce Krzysztof wyraźnie go unikał. I tym razem jednak nie spotkał go, a zyskał tylko to, że jeszcze raz dowiedział się o antypatii tego młodzika do siebie.

Z punktu widzenia interesów teraz właściwie nie potrzebował liczyć się zbyt wiele z Krzysztofem. Nawet wykrycie faktycznego stanu rzeczy nie zmieniłoby przecie tego, że był już właścicielem nabytych prawnie udziałów fabryki. Łącznie z pakietem Ganta, pozostającym obecnie w rękach Tolewskiego, miał czterdzieści dwa procent udziałów, czyli głos prawie decydujący, jeżeli weźmie się pod uwagę to, że Jachimowski zawsze weźmie jego stronę, może nie z sympatii, ale z wyrachowania, gdyż nienawidzili się z panem Karolem.

Od czasu wyzdrowienia Krzysztofa Paweł zaczął systematycznie ograniczać jego wtrącanie się do kierownictwa fabryki. Kilkakrotnie przygotowany był nawet na scysję z tego powodu. Do awantury jednak nie doszło, czy to dzięki nieuwadze Krzysztofa, czy też skutek jego pojednawczego usposobienia. W żaden sposób Paweł nie mógł tego wywnioskować ani z osobistych obserwacji, ani z tego, co udało się wyciągnąć z Marychny.

Przypomniał ją sobie i postanowił zatelefonować do niej zaraz po powrocie od stryja. W domu wszakże oczekiwała go niespodzianka. Mianowicie zastał Zdzisława i Halinę. Siedzieli w salonie z minami ponurymi. Nie widział ich od szeregu dni. Z Haliną nigdy nie szukał spotkania, a Zdzisław od trzech tygodni miał urlop i zbijał baki na polowaniach u krewnych matki. Oczywiście, przyjechał do Warszawy wezwany przez Jachimowskich, a ta wizyta przypominała już z daleka *démarche*, protest zbiorowy, interwencję familijną.

– Dobry wieczór – powitał ich prawie ironicznie – czemu mam zawdzięczać waszą miłą wizytę?

– Chcieliśmy rozmówić się z tobą – zaczął Zdzisław, poprawiając krawat.

– Służę.

Usiadł naprzeciw i czekał dobrą chwilę, zanim brat wyłoży swoje pretensje. Ten jednak widocznie nie wiedział, od czego zacząć.

– Służę – powtórzył niecierpliwie, widząc, że tym jeszcze bardziej deprymuje rodzeństwo.

– No, mówże, Zdzichu – poruszyła się w fotelu Halina.

– Chcieliśmy cię zapytać... hm... chcieliśmy dowiedzieć się, czy to jest możliwe, co mówi Jachimowski...

– Nie on, ale Ludka – poprawiła Halina.

– Wszystko jedno, więc Ludka, że ty podstawileś Tolewskiego i wykupiłeś nasze udziały na jego nazwisko?

Paweł zapalił papierosa: – A można zapytać, co to was obchodzi?

– Dziwny jesteś... No, przecie to nasze udziały!

– Były wasze – spokojnie podkreślił Paweł – były do czasu, aż je ojciec sprzedał.

– Zrobił to bezprawnie!

– Hm... nie sądzę. Miał plenipotencję nieograniczoną. Zresztą on między was je podzielił. Naprawdę były jego wyłączną własnością.

Zdzisław zerwał się:

– Ach, mniejsza o to. W każdym razie możesz nam odpowiedzieć?

– Mogę. Otóż bez żadnego podstawiania po prostu kupiłem te udziały.

– I udziały Ganta, w najpodstępniejszy sposób!

– Uspokój się w tej chwili – zimno przerwał Paweł.

– Nie znaleźliśmy cię dotychczas! To łajdactwo!

Paweł wstał i zrobiwszy jeden krok ku niemu, powiedział dobitnie:

– I teraz mnie nie znasz. Jeszcze jedno obelżywe słowo, jeszcze jedno podniesienie głosu, a dostaniesz w pysk, aż ci zęby wylecą... Siadaj!

Zdzisław wytrzeszczył oczy, skulił się i opadł na najbliższe stojące krzesło.

– Kupiłem udziały, rozumiecie, wykupiłem je – mówił już spokojnie Paweł – i nie widzę w tym nic, co by stanowiło waszą krzywdę.

– Przecie to nasze!...

– Dostaliście je gratis z łaski ojca i on wam je zabrał. Ja je wykupiłem za moje własne pieniądze, które zarobiłem sam. Czego więc chcecie?

Oboje milczeli.

– Nie mam wobec was żadnego długu wdzięczności. Chyba sami to przyznacie, co?... Otóż pomimo to gotów jestem odstąpić wam w każdej chwili nabyte przeze mnie udziały. Zapłaciłem za nie sto dziesięć tysięcy dolarów gotówką i za taką kwotę je oddam bez grosza prowizji. Nie są mi potrzebne. A podaję do waszej wiadomości, że ich wartość jest znacznie wyższa.

– Wiesz, że nie mamy nic, że jesteśmy nędzaczami – pochylił głowę Zdzisław.

– Nędzaczami?... Cha... cha... Nie, tylko musicie pracować na utrzymanie. Chyba jałmużny po mnie się nie spodziewacie, co?... Chyba pamiętacie te słodkie czasy, kiedy siedziałem za granicą bez grosza przy duszy, a żadne z was palcem nie ruszyło? Co?...

– W każdym razie... postąpiłeś samolubnie – odezwała się Halina.

– A tak, na przykład zapłaciłem dług ojca!

Zaległo milczenie.

Paweł rozkoszował się swym zwycięstwem.

Kiedyś nienawidził ich wszystkich. Teraz pozostała mu tylko pogarda i niechęć do całej rodziny, do tej grupki snobów i głuptasów, która go uważała za pasożyta! Za wykolejeńca! Do jednej tylko matki zachował pewną dozę sentymentu, zimnego, obojętnego poczucia odrobiny wdzięczności za to, że stała się przypadkowo, dzięki swej fenomenalnej naiwności, środkiem, przy którego pomocy zdołał się wydobyć na powierzchnię. Nie była to z jego strony wdzięczność, jeżeli zaś posyłał matce po kilkaset złotych miesięcznie, to jedynie w celu trzymania jej na wsi z dala od Warszawy.

Poza tym nie żywił nigdy żadnych uczuć rodzinnych, a samą rodzinę uważał za zespół całkowicie przypadkowy i niczym nie wiążący. Toteż jego postanowienie usunięcia Zdzisława z fabryki podyktowane było nie antypatią do brata, lecz przeświadczeniem, że ten cymbał jest w przedsiębiorstwie niepotrzebną zawadą.

Korzystając ze sposobności, chciał załatwić z nim i tę sprawę.

– Zdzisławie – powiedział – stryj Karol zażądał usunięcia cię z fabryki. Nie mogłem oponować, bo nie przemawia za tobą nic. Nie chciałbym jednak udzielać ci wymówienia, jak pierwszemu lepszemu pracownikowi. Wobec tego proszę cię, abys złożył podanie o dymisję.

Zdzisław zbladł:

– Czy to zemsta za to, że ośmieliłem się upomnieć o swoje prawa?...

– Nie, głupcze! – zasyczał groźnie Paweł – nie masz żadnych praw! To jest moja łaska! I do licha, nie prowokuj mnie, bym ją cofnął. Wyrobiłem dla ciebie posadę w Banku Morskim w Gdyni. Otrzymasz tam te same warunki. Nie jesteś ich wart i radzę ci trzymać się tej posady obiema rękami, bo więcej dla ciebie nikt nic nie zrobi.

– Kiedy ja nie zamierzam wcale wyjeżdżać z Warszawy!

Paweł wzruszył ramionami i zwrócił się do siostry:

– Musisz i ty z czegoś żyć. Najlepiej zrobisz, jeżeli postarasz się o jakąś posadę.

Halina patrzyła nań z przerażeniem:

– Żartujesz, Pawełku, przecie ja nic nie umiem!

– Znasz obce języki. Zresztą mogę cię polecić do pewnej firmy. W każdym razie musisz się zdecydować do wtorku. Ode mnie grosza więcej nie dostaniesz, a twoich rachunków nie

zamierzam płacić. Zresztą masz całe stado przyjaciół, możesz postarać się, by którykolwiek popełnił idiotyzm i ożenił się z tobą. Ale to już mnie nic nie obchodzi.

Wstał i nacisnął dzwonek.

– Teraz muszę was pożegnać. Oczekuję kogoś.

Nie zdążyli jeszcze wyjść, gdy wydał dyspozycję służącemu:

– Pamiętaj, Karolu, że państwo stanowczo sobie życzą, by drzwi od ich części mieszkania do mojej były stale zamknięte.

– Słucham jaśnie pana, ale właśnie panicz Zdzisław kazał...

– Powiedziałem – bezapelacyjnie przerwał Paweł i przeszedł do gabinetu.

Usiadł przy biurku i zatelefonował do Marychny. Po dłuższej dopiero chwili podeszła do aparatu. Mówiła głosem nienaturalnie przyciszonym i była zemocjonowana.

– Co ci się stało? – nie zorientował się Paweł.

– Teraz trudno mi mówić, może pan zadzwoni później...?

– Aha! – domyślił się – twój wzdychający Romeo jest u ciebie?

– Tak.

– Trudno. Jeżeli wcześniej pozbędziesz się go, to przyjedź do mnie.

– O, ja chciałabym, ale nie wiem...

– Więc czekam.

Zaśmiał się do siebie. Ani przez moment nie miał wątpliwości, że w Krzysztofie nie ma niebezpiecznego rywala. W ogóle mężczyźni tego typu nie cieszą się powodzeniem u kobiet, a ten ze swoim platonizmem, z wierszami, a zapewne i z westchnieniami spóźnił się o ładne sto lat. Oczywiście Paweł mógłby bez szczególniejszych wysiłków odsunąć Marychnę od Krzysztofa i niepodzielnie zająć jego miejsce, gdyby mu na tym chociaż odrobinę zależało. Dotychczas jednak ani razu w życiu nie pałał żądzą wyłączności w posiadaniu kobiet, a tutaj chodziło mu głównie o źródło wiadomości o Krzysztofie.

Teraz, kiedy pierwsza część planu została przeprowadzona, należało gruntowniej przestudiować możliwości całkowitego podporządkowania sobie przedsiębiorstwa.

Paweł miał tu do wyboru kilka dróg działania. Najprostszą, lecz zarazem najtrudniejszą, byłoby zdobycie pełnego wpływu na Krzysztofa. Próbował już tego w najrozmaitszych okazjach, a zawsze bezskutecznie. Na przykład na próżno starał się przyspieszyć teraz jego wyjazd w góry. Krzysztof, czy to podejrzewający jakiś podstęp, czy po prostu przez upór, z dnia na dzień odkładał swój wyjazd. Nie pomagały ani najzręczniejsze podsunięte względy na sytuację marcową w fabryce, kiedy obecność dyrektora technicznego będzie konieczna, ani w dobrej wierze robione namowy ze strony Marychny. Razu pewnego, gdy Paweł powiedział mu, że blade wygląda, Krzysztof obrzucił go ironicznym spojrzeniem i zapytał:

– Czyżby to mogło cię obchodzić?

Zabiłby tego smarkacza za to i za ten szyderczy uśmiech tak rażący na irytująco świeżych ustach, na których jeszcze mleko nie zdołało obeschnąć.

I tak zawsze. Ilekroć nań spojrział, łapał jakieś zamyślane i smutne rozmarzenie w jego czarnych oczach, które natychmiast miast zmieniał się w wyraz zimny i odporny. Przypominało mu to wszystko kolegę z gimnazjum, Wacka Jurkiewicza, którego znienawidził za to, że ten nie chciał odwzajemnić się mu sympatią... Co prawda byłoby grubą przesadą powiedzieć, że do Krzysztofa czuje aż sympatię, a jednak coś go do tego zarozumiałego błazna ciągnęło.

Zły był, gdy to uprzytomnił sobie. A stało się to tak: pewnego razu salon, w którym zwykle oczekiwał, aż stryj go przyjmie, był właśnie froterowany i Blumkiewicz przeprowadził go do małego bocznego pokoju, będącego czymś w rodzaju buduaru pani Teresy. Na stole leżał album z fotografiami. Machinalnie przerzucając jego kartki natrafił na całą serię fotografii Krzysztofa. Naliczył ich kilkadziesiąt, przeważnie amatorskich, przedstawiających Krzysia jako małego chłopca, wyrostka, młodzieńca, dorosłego mężczyznę, lecz zawsze z tą nieuchwytną młodzieńczością, której wdzięk tutaj uwydatniał się jeszcze bardziej niż w życiu.



Dlaczego on mnie nie cierpi? – myślał wpatrując się w karty albumu – nic mu przecie złego nie zrobiłem jeszcze, nie dałem najmniejszego powodu do podejrzeń, przeciwnie, zabiegam o jego życzliwość, a on nie może wiedzieć, że to jest nieszczerze...

I właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że nie jest to takie nieszczerze, jakim być powinno.

Zbyt często myślał o Krzysztofie, zbyt mocno brał do serca jego demonstracyjną niechęć, zanadto przejmował się jego impertynenckim tonem i do ciężkiego diabła – nie mógł odpędzić idiotycznej myśli, że w gruncie rzeczy i Krzysztof tylko przez jakąś zawziętość, przez jakąś przekorę jest w stosunku do niego tak szorstki i wrogi.

Od czasu nabycia udziałów Paweł nie potrzebował bezwzględnie liczyć się ze stryjem i z Krzysztofem. Sto razy też obiecywał sobie zareagowanie na jego arogancję w sposób zdecydowany, brutalny i osadzający. Gdy jednak doszło do czego, nie zmieniał taktyki, a co więcej, sam przed sobą usiłował wykręcić się ze swej chwilowej słabości, przyłapywał siebie na tej śmiesznej gierce i nie umiał sobie tego przebaczyć.

A przecież zjednanie Krzysztofa nie było właściwie nieodzowne. Istniała jeszcze druga równie prosta droga... pozbyć się go.

Paweł już przed miesiącem dowiedział się, że stan zdrowia stryja budzi coraz poważniejsze obawy, że paraliż lada dzień może objąć cały organizm, czego znowuż nie wytrzyma serce. Wiadomości te zawdzięczał niewinnemu podstępowi. Mianowicie, chociaż czuł się świetnie, odwiedził domowego lekarza stryja, doktora Szulborskiego, skarżąc się na migreny i wyrażając przekonanie, że wiedza pana doktora, dzięki której stryj Karol miewa się tak dobrze, i tym razem...

Otóż w razie śmierci stryja jedynym jego spadkobiercą pozostawał Krzysztof. A gdyby i jemu... przytrafił się jakiś nieszczęśliwy wypadek... W fabryce zaś o nieszczęśliwe wypadki nietrudno!...

U drzwi frontowych rozległ się dzwonek. Służba od dawna otrzymała zakaz zjawiania się po godzinie dziewiątej. Paweł wstał, przeciągnął się i poszedł otworzyć.

Zarumieniona od mrozu, z roziskrzonymi radością oczyma wpadła Marychna. Jej futro pachniało świeżym, zimnym powietrzem, a usta miała jędrne i chłodne jak pomarańcza.

- Uch, nareszcie – zarzuciła mu ręce na szyję.
- Tak ci było pilno?
- To też – zaśmiała się – ale nareszcie jutro jedziemy.
- Do Zakopanego?
- Gdzież tam! Do samej Szwajcarii!!!
- Ho, ho...

Była bardzo rozbawiona. Poprawiając włosy przed lustrem, trzepała wiadomości jedną za drugą, przeplatając to wszystko wykrzyknikami, wreszcie uplasowała się na kolanach Pawła, opowiadała, jak pojedą, co zobaczą, i że w ogóle jest szczęśliwa.

– To ładnie – zrobił smutną minę Paweł – jesteś szczęśliwa, że mnie tu zostawiasz, że jedziesz zdradzić mnie z innym. Nie spodziewałem się tego po tobie.

Ciekaw był, jak na to zareaguje. Odezwanie się jego widocznie bardzo wzięła do serca. Siedziała nieruchomo i wpatrując się w podłogę milczała.

- Widzisz – dodał – jak mnie krzywdzisz.
- Kiedy... kiedy to ja właściwie nie ciebie zdradzam z nim, tylko jego z tobą – odezwała się nieśmiało, jednak tonem, który świadczył o przykrości, jaką jej sprawa wyjaśnienie rzeczy tak prostej, a tak dla niego przykrej, prawdopodobnie przykrej...

Paweł był szczerze tym ubawiony.

- W każdym razie cieszysz się, że jedziesz.
- Ależ nie – zmartwiła się – ja nie cieszę się, że jadę i że nie będę widziała ciebie, tylko cieszę się, że będę za granicą. Ja wcale nie chciałabym, gdyby... Zresztą... jeżeli nie chcesz, to nie pojedę... Ale sam mówiłeś...

Dostrzegła wreszcie jego półuśmiech i obraziła się:

– Eee, ty w ogóle kpisz ze mnie...

Udowodnienie tego, że nie kpi, zajęło Pawłowi ponad dwie godziny czasu, ku zadowoleniu stron obu.

W przerwach między bardziej ważkimi argumentami Paweł próbował żartobliwie udzielać Marychnie wskazówek, w jaki sposób należy zabrać się do przełamania upartej cnotliwości Krzysztofa. Ona jednak nie chciała tego słuchać, twierdząc, że się wstydzi.

Natomiast na dowód, że nie chce o nim zapomnieć, poprosiła go o fotografię.

– Po co ci to – wzruszył ramionami – jeszcze Krzysztof znajdzie ją u ciebie i będziesz miała scenę zazdrości.

– Przecie nie będzie szperać po moich rzeczach – oburzyła się – Krzych jest dżentelmenem.

– Moja droga, każdy mężczyzna jest dżentelmenem, czułym, arcydelikatnym i nadskakującym wobec wszystkich ładnych kobiet do czasu, póki nie nabierze do nich praw. Prawie każdy później zmienia się do niepoznania.

– Mężczyźni są okropni – westchnęła Marychna tak, jakby swoje doświadczenia w tym względzie liczyła na kopy.

Zaśmiał się i dodał:

– Natomiast kobiety odwrotnie: w stosunku do wszystkich mężczyzn udają wszechwładne monarchinie, nieprzystępne i godne, a gdy z tym czy z innym raz zaprzyjaźnią się bliżej, w stosunku do niego zmieniają się w nadskakujące niewolnice.

– To bardzo smutne, jeżeli tak jest – po namyśle powiedziała Marychna i pochyliła abażur, gdyż zdawało się jej, że światło lampy razi Pawła.

Musiała wyjść wcześniej, by dobrze wyspać się przed podróżą. Nazajutrz nie miała być w fabryce, więc teraz pożegnała się z Pawłem, wśród wielu pocałunków zapewniając go, że ani na sekundę o nim nie zapomni. Z kilku fotografii, jakie miał pod ręką, wybrała tę, na której oczy miał do połowy przymknięte i wyglądał tak „niebezpiecznie”.

Gdy wreszcie wyszła, Paweł pogasił światła i położył się do łóżka, lecz zasnąć nie mógł. Wciąż uparcie powracała myśl o nieszczęśliwych wypadkach, jakie w fabryce są rzeczą częstą i naturalną, o wypadkach, którym z łatwością mogą ulec ci, którzy po warsztatach chodzą, jak na przykład dyrektor techniczny...

Nagle uprzytomnił sobie, że w jednej z rozmów Jachimowski, tak, właśnie Jachimowski powiedział:

– Nie widzę specjalnego powodu do zmartwień w tym, że Krzysztof łązi po fabryce i pod wszystkie maszyny nos wsadza. A już najmniej niepokoić to powinno nas, jego spadkobierców.

Paweł wówczas nie zwrócił na te słowa uwagi. Teraz jednak z całą jasnością odkrył, że jego własna myśl zrodziła się z tego podsunięcia Jachimowskiego.

– A głupie bydlę! – zaklął głośno.

W tej chwili powziął postanowienie: należy jak najprędzej wyłączyć Jachimowskiego z fabryki.

To go uspokoiło i spał twardym zdrowym snem aż do rana.

Obudził się ze świeżą i spokojną głową, a nawet w dobrym humorze. Miał w tym dniu sporo rzeczy do załatwienia. Przeważnie były to sprawy odkładane od dawna do dnia wyjazdu Krzysztofa, to jest do czasu, gdy bez jego kontroli mogła wychodzić obowiązująca korespondencja z firmy. Poza tym musiał załatwić się z Jachimowskim.

Około jedenastej szofer zameldował się, że odwozi na dworzec pana Krzysztofa.

Paweł spojrzął na zegarek: – Zaczekaj chwilę, pojedę z tobą.

Już w chwilę później był niezadowolony z własnego niewczesnego pomysłu. Jednak słowo się rzekło i skoro nie można było wobec siebie znaleźć wytłumaczenia bezsensownego kroku, trzeba było wykombinować coś, co nie naraziłoby go na śmieszność w oczach Krzysztofa i usprawiedliwiło odprowadzanie na dworzec.

Jak na złość w papierach leżących na biurku nie było nic takiego, co wymagałoby wyjaśnienia dyrektora technicznego. Nagle przyszło mu na myśl, że może prosić Krzysztofa, by ten zwiedził w Szwajcarii niektóre fabryki metalurgiczne i porobił obserwacje, które można by tu zastosować. To wydało się mu wystarczającym pretekstem.

Samochód objechał długi prostokąt muru fabrycznego i zatrzymał się przed sztachetami willi. Szofer nacisnął trzykrotnie guzik sygnału i po niespełna minucie otworzyły się drzwi frontowe. Służąca, stara tęga kobieta, ulokowała dwie walizy przy szoferze, neseser zaś i kilka drobiazgów podała Pawłowi.

Tuż za nią ukazał się Krzysztof w eleganckim palcie podróżnym, z pledem i z jeszcze jedną walizką.

– Bój się Boga, Krzychu – żartobliwie przywitał go Paweł – jedziesz na dwa tygodnie, a zabierasz tyle rzeczy, co stara panna, wybierająca się na pół roku.

Spostrzegł od razu niezadowolenie Krzysztofa, wywołane oczywiście tym, że nie spodziewał się, iż Paweł zechce go odprowadzać.

– Och, tylko niezbędne rzeczy – powiedział wymijająco, lecz jego twarz pokryła się rumieńcem gniewu.

Paweł udał, że tego nie spostrzega, i znajdował w tym nawet swego rodzaju satysfakcję, że Krzysztof nie może pozbyć się jego narzuconego towarzystwa.

– Wyglądasz tak – odezwał się zaczepnie – jakbyś był niezadowolony, ale daruj, chciałem po drodze rozmówić się z tobą o kwestiach firmowych.

– Nic nie mam przeciw temu.

Wóz ruszył. Paweł w krótkich słowach przedstawił kwestię, jak zapewniał, wielkiej wagi. Chodzi o ewentualny oddział produkcji mniejszych motorów elektrycznych dla rolnictwa. Są widoki na znalezienie odpowiednich kapitałów i rozszerzenie fabryki. Dlatego byłoby pożyteczne, gdyby Krzysztof odwiedził w Szwajcarii zakłady przemysłowe, takie jak Sullixa i Terschenwalda, dla zorientowania się w ich metodach.

– Sądzę, że ci to nie sprawi specjalnych trudności – zakończył.

Krzysztof wzruszył ramionami:

– Znam te rzeczy dość dobrze, właśnie w Szwajcarii. Zresztą jadę na odpoczynek.

– Nie nalegam, tylko myślałem...

– Mogłeś mi to powiedzieć wczoraj – zimno zauważył Krzysztof.

– Nie mogłem z dwóch względów. Po pierwsze, sam nie wiedziałem jeszcze, że ewentualność rozszerzenia fabryki w tym kierunku ma szanse finansowe, a po wtóre, sam jeszcze nie byłem zdecydowany co do daty wyjazdu.

Krzysztof zatrzymał na nim przenikliwe spojrzenie:

– To prawda. Nie wiedziałeś nawet, że jadę do Szwajcarii, i... ciekaw jestem, skąd się o tym dowiedziałeś?

Paweł zwymyślał sobie w duchu, że był tak niezręczny, lecz nie dał po sobie tego poznać. Udał zdziwienie:

– Skąd?... No, Holder mi mówił.

– Holder? On też nie mógł wiedzieć.

Nie było innego wyjścia. Dla osłonięcia Marychny należało właśnie ją narazić:

– Jednak wiedział. Mówił mi nawet, że słyszał to od jednej z maszynistek, jakiejś Jarszówny czy Jarszówny. Czuję się nawet tym dotknięty. Zwierzasz się ze swych planów byle urzędnicze, a mnie o tym nie mówisz, chociaż bądź co bądź naczelnego dyrektora może obchodzić adres, pod którym w razie jakiegoś wypadku da się odnaleźć dyrektor techniczny.

Zaśmiał się, jakby dla zbagatelizowania całej sprawy, i dodał:

– Stawiam kwestię w taki sposób, gdyż robisz wiele, bym nie pamiętał, że jesteśmy bardzo bliskimi krewnymi.

Samochód zajeżdżał właśnie przed stopnie dworca. Krzysztof odwrócił głowę i powiedział cicho:

– Nic o tym nie wiesz, Pawle.

Do drzwiczek rzucili się tragarze. Paweł nie odprowadzał Krzysztofa na peron, gdyż nie chciał go narazić na przykrą sytuację z racji obecności tam Marychny. Podali sobie ręce i znowu zdawało się Pawłowi, że w czarnych oczach mignęła iskierka sympatii.

W natłoku samochodów szofer zawrócił i auto pomknęło ku fabryce.

Paweł zapalił papierosa. W limuzynie pozostał nikły zapach wody toaletowej Krzysztofa. Naprawdę dziwny z niego chłopak. Niewątpliwie jest to skutkiem nienormalnego wychowania... I co miało znaczyć to jego odezwanie się?... Brzmiało to tak: gdybyś wiedział to, o czym nie masz nawet pojęcia, wówczas rozumiałbyś mnie, ale i tak jest to beznadziejne.

– Nonsens – zżymał się Paweł, w tejże jednak chwili przypomniał sobie, że Krzysztof znowu nazwał go po imieniu, co zdarzyło mu się dopiero drugi raz. I znowu wymówił je z jakąś szczególnie ciepłą intonacją, z intonacją tak bardzo różniącą się od zwykłego suchego tonu.

– Pał go sześć – zmarszczył brwi – za wiele myślę o tym smarkaczu.

Po powrocie do fabryki wezwał Holdera:

– Czy dyrektor Jachimowski jeszcze jest?

– Owszem, panie dyrektorze, czy mam poprosić?

– Nie. Ale dopilnuje pan, kiedy wyjdzie, i wówczas wezwie do mnie pana Karliczka.

– Słucham, panie dyrektorze.

W niespełną godzinę sekretarz zameldował inżyniera Karliczka. Wbrew swemu nazwisku był to tegi, wysoki mężczyzna, o rudawym zarostie i o ciężkich niedźwiedziowatych ruchach.

Paweł wskazał mu krzesło przed biurkiem.

– Mało się znamy – zaczął – ale sądzę, że mogę mieć do pana zaufanie.

– Tak jest – bąknął Karliczek i zmarszczył czoło.

– Od jak dawna jest pan zastępcą dyrektora handlowego?

– Chyba od ośmiu lat, panie dyrektorze.

Paweł udał zdziwienie:

– Od ośmiu? I przez cały ten czas nie awansował pan?

Karliczek bezradnym gestem rozłożył ręce.

– Hm... – namyślił się Paweł – czy nie uważa pan, że jest pan cokolwiek pokrzywdzony? Przecież gaży nawet panu nie podniesiono ani razu.

– Owszem, jeden raz o sto złotych.

– Zatem, ile ma pan teraz miesięcznie?

– Dziewięćset, panie dyrektorze.

– Tak mało?... Hm... a ile ma pański zwierzchnik?

– O, pan Jachimowski ma dwa tysiące... Ale ja to rozumiem... Jako współwłaściciel...

– Myli się pan – przerwał Paweł – płaci się za pracę, a nie za to, że ktoś ma udziały. Tak... Mój nieboszyk ojciec miał o panu najlepszą opinię. Te spostrzeżenia, jakie ja zdążyłem porobić podczas mego kierownictwa, w zupełności ją uzasadniają. Dlatego chciałbym dać panu dowód, że umiemy docenić zasługi położone dla naszej firmy.

– Bardzo dziękuję, panie dyrektorze, naprawdę...

– Nie ma pan za co dziękować. Myślę przede wszystkim o interesach przedsiębiorstwa. I właśnie dlatego uważałbym, że zasługuje pan na inne, lepsze i lepiej płatne stanowisko.

Twarz Karliczka pokryła się ceglastym rumieńcem.

– O, doprawdy, panie dyrektorze – powiedział jękając się – ja już tak zżyłem się z pracą wydziału handlowego... Jeżeli pan tak łaskaw... prosiłbym o pozostawienie mnie na dotychczasowym miejscu...

Paweł udawał, że przegląda papiery. Jednak ani jedno drgnięcie twarzy podwładnego nie uszło jego uwagi. Nie mylił się. Było jasne, że Karliczek miał na swym stanowisku dobre poboczne dochody z prowizyj i łapówek. Oczywiście Jachimowski nie był w porządku, gdyż

w przeciwnym razie temu cymbałowi nie udałoby się zwędzić ani grosza. Paweł wiedział o tym od dawna. Teraz znalazł tylko potwierdzenie uzasadnionych podejrzeń, co zresztą było mu bardzo na rękę.

– Panie inżynierze – odezwał się – bynajmniej nie myślałem o przeniesieniu pana do innego wydziału. Przeciwnie. Jestem zdania, że w dyrekcji handlowej jest pan niezastąpiony. Czy... wie pan, jakie stosunki panują między moim szwagrem a prezesem Dalczem?

– Słyszałem, że nie najlepsze... ale ja tam się tymi rzeczami nie interesuję, to do mnie nie należy...

– Nie o to chodzi, panie Karliczek. Sprawa polega na tym, że prezes pragnąłby rozstać się z panem Jachimowskim. Zapytywał mnie też, czy jestem zdania, że pan byłby odpowiedni na stanowisko dyrektora handlowego. Oczywiście mówię to panu w przeświadczeniu, że ani jedno słowo tej rozmowy nie wyjdzie poza drzwi mego gabinetu.

– O, tego może pan być pewien, panie dyrektorze.

– Jestem pewien – z niewzruszonym przekonaniem pochylił głowę Paweł – dlatego mogę panu szczerze powiedzieć, że prezes życzy sobie znaleźć powód, pretekst, podstawę moralną do udzielenia dymisji dotychczasowemu dyrektorowi handlowemu. Rozumie pan?

– Naturalnie...

– Od tego zależy wszystko. I właśnie, nie chcąc sprawie nadawać niepotrzebnego rozgłosu przez wyznaczenie specjalnych rewidentów, zwróciłem się do pana. Spodziewam się, że jako wypróbowany przyjaciel firmy pan zechce ułatwić mi zadanie i wskaże kilka spraw, które mogą dać ową podstawę moralną.

Karliczek siedział nieruchomo z oczyma utkwionymi w podłódze. Na jego karku nabrzmiały fałdy czerwonej skóry, splecione krótkie i grube palce nie ustawały w wijącym się robaczkowym ruchu.

– No, panie inżynierze? – przynaglił Paweł.

– Ja owszem... – sapnął Karliczek – owszem, rozejrzę się... poszukam...

– Poszuka pan i znajdzie?

Karliczek łypnął ku niemu badawczym spojrzeniem:

– Zapewne... Tak sądzę... W ciągu kilku dni...

Paweł zaśmiał się pobłaźliwie:

– Żarty, panie Karliczek, żarty. Czy ja wyglądam na usposobionego do żartów, panie Karliczek?... W ciągu kilku dni wiele osób może wylecieć poza bramę fabryczną. W ciągu kilku dni mogą nabrać takiego rozpędu, że znajdą się w innej bramie, która otwiera się bardzo łatwo tylko dla wchodzących, natomiast wychodzących wypuszcza niechętnie. W ciągu kilku dni wiele rzeczy się dzieje. Nie wszyscy mamy na to czas. Toteż myślę, że pan sobie zaraz, natychmiast, nie wychodząc z tego pokoju, zdoła przypomnieć cokolwiek ciekawego.

– Doprawdy tak trudno, panie dyrektorze – Karliczek wyjął dużą chustkę z różowym szlakiem, rozłożył ją i obtarł twarz.

– O, wierzę panu, że trudno. Ale pamięć człowieka rozsądnego zaczyna działać intensywniej w chwilach, od których zależy na przykład znaczna poprawa bytu albo duże przykrości. Wysoko cenię pańską lojalność i wiem, że ta ma większe zobowiązania w stosunku do firmy niż do zwierzchnika bezpośredniego. Taki zwierzchnik, panie inżynierze, często umie wmówić w podwładnych, że pokrycie milczeniem pewnych przekroczeń jest dowodem poczucia koleżeństwa, ba, potrafi zmusić do partycypowania w nielegalnych zyskach pod grozą, powiedzmy, dymisji. Najuczciwszego człowieka, za jakiego pana uważam, może to spotkać. Znam życie i nie jestem upartym pedantem. Umiem odróżnić złą wolę od pewnych konieczności życiowych. Czy mówię dość jasno?

Karliczek gniótł ręce, poruszał brwiami, jego żuchwy wykonywały nieustannie skoki w górę i w dół, wskutek czego przez tłuste warstwy twarzy przebiegały gęste grube fale, poły-

skujące miedzią źle ogolonego zarostu. Kilka razy otwierał rybim ruchem usta i rzucał ku Pawłowi rozpaczliwe wywiadowcze spojrzenia. Wreszcie zaczął mówić.

Już dawno przebrzmiał ostatni chrapliwy dźwięk syreny fabrycznej, gdy Paweł wraz z Karliczkiem przeszli do biura handlowego. Wśród brzęku kluczy otwierały się szafy i szuflady, terkoczący hałas rolet drewnianych, amerykańskich szafek mieszał się z szybkim szelestem papierów.

Woźny, stojący przed drzwiami, zatrzymał sekretarza Holdera:

- Pan dyrektor nie kazał nikogo wpuszczać.
- Co, Józef zwariował? Ja mam pilną korespondencję!

– Nie kazał. Bardzo przepraszam, ale jak pan sekretarz chce, to niech wejdzie na własną odpowiedzialność.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi. Wyszedł Paweł z plikiem papierów w ręku. Za nim ukazał się inżynier Karliczek, czerwony jak burak.

Paweł na korytarzu przejrzał i podpisał korespondencję, mruknął „do widzenia”, nałożył futro i zbiegł ze schodów. Miał wszystko, czego się spodziewał.

- Do domu – powiedział szoferowi.

Natychmiast po przyjeździe wytelefonował Jachimowskiego, zaznaczając, że sprawa jest bardzo pilna.

Właśnie kończył obiad, gdy zjawił się Jachimowski. Od czasu niefortunnego pozbycia się udziałów Ganta zmienił się bardzo. Był nieco przesądny i doszedł do przekonania, że ta jedna nieudana transakcja pociągnie za sobą szereg przykrych zdarzeń. Najbardziej męczyło go to, że nie miał żadnych dowodów na udział w machinacji samego Pawła. Wprawdzie Paweł skłonił go do tego podstępnie, ale bezpośrednim winowajcą był Tolewski. Mógł zatem oskarżać Pawła o lekkomyślną radę, o niedocenianie sprytu Tolewskiego, o obojętność dla cudzych interesów, ale nie mógł mu rzucić w twarz, że to on popełnił cały szwindel. Zdobyłby się na to niewątpliwie w stosunku do każdego innego człowieka, lecz tu brakowało mu pewności siebie. Sam wygląd Pawła, jego olimpijskość, wyniosłość i powaga – onieśmiały. Zresztą bądź co bądź pozostawało faktem, że Paweł nabył od Tolewskiego udziały sprzedane przez Wilhelma Dalcza, że na stracie Ganta nic nie zyskał, a przynajmniej nie można mu było tego udowodnić. Nawet te piętnaście tysięcy dolarów, które Jachimowski włożył do afery, zostały mu zwrócone w całości. Jedynym świństwem, jakie wolno było zarzucić Pawłowi, było niedopuszczenie szwagra do części wykupionych udziałów, jak ustalili przedtem. I tu jednak Paweł miał dość wystarczające tłumaczenie:

– Swoim niezgrabiaszostwem – powiedział oddając Jachimowskiemu jego pieniądze – popsuleś mi diabelnie cenę. Tolewski zwąchał, co piszczy w trawie, i zamiast sześćdziesięciu musiałem zapłacić sto tysięcy, a ponieważ takiego kapitału nie miałem w gotówce, musiałem pożyczyć. Chyba nie będziesz ode mnie wymagał, bym wobec tego dopuszczał cię do spółki na te głupie piętnaście tysięcy.

Jachimowski wszedł do jadalni i z wyrazu jego twarzy Paweł wywnioskował, że oczekuje jakiejś korzystnej propozycji.

- Siadaj – wskazał mu krzesło.

Jachimowski usiadł bokiem przy stole i podciągnął nogawki spodni.

- Wypiję filiżankę kawy – powiedział lokajowi.

Gdy służący wyszedł, Paweł odezwał się tonem współczucia:

- Jesteś haniebnie nieostrożny.
- Co przez to chcesz powiedzieć?

Paweł podsunął mu cukiernicę:

- Pozwolisz?

Jachimowski nerwowo brzęknął łyżeczką w filiżance. Wrażenie, z którym przyszedł, rozwiało się bez śladu. Czuł w powietrzu nowe niebezpieczeństwo.

– Czy ty masz jakieś stosunki w sądownictwie, w prokuraturze? – zapytał Paweł.

– Bo o co chodzi?

– Widzisz, na rozmijanie się z kodeksem karnym w poglądach na życie może sobie pozwolić człowiek rozsądny jedynie wówczas, gdy ma gwarantowane bezpieczeństwo.

– Nie rozmijam się z kodeksem – poderwał się Jachimowski.

– Czy jesteś tego pewien?

Paweł utkwiał w nim zimne, na pozór obojętne spojrzenie.

– Mów po prostu, co masz mi do zarzucenia.

– Brak rozsądku.

Zapalił papierosa i dodał:

– Zakłady Przemysłowe Bracia Dalcz i Spółka ponosiły rocznie kilkadziesiąt tysięcy strat, co zawdzięczają tobie.

Wszedł służący i zaczął sprzątać ze stołu.

– Przejdźmy do gabinetu – wstał Jachimowski.

Paweł nie ruszył się z miejsca. Dobrze wytresowany służący natychmiast zorientował się, że zawadza swą obecnością, i zniknął obierając sobie znacznie wygodniejszą i nikomu nie zawadzającą pozycję przy dziurce od klucza za drzwiami pokoju kredensowego.

– Mój stryj ma dowody w ręku – powiedział Paweł – nie wiem, czy uda mi się odwieść go od postanowienia przekazania sprawy urzędowi śledczemu.

Jachimowski, blady jak płótno, pochylił się nad nim:

– Jakie dowody? Do cholery, jakie dowody?

Paweł zerwał się, w dwóch krokach dopadł drzwi, otworzył je i do uszu Jachimowskiego dobiegł dźwięk dwóch siarczystych policzków.

– Jakie, pytasz? – ciągnął Paweł wracając na miejsce – wszystkie, przyjacielu. Albo należało niszczyć oferty, albo nie fałszować rachunków. Albo spalić korespondencję biura sprzedaży, albo certyfikaty przekazowe i wykazy dla kasy. Powtarzam: jesteś haniebnie nieostrożny.

Jachimowski podszedł do okna i bębnił palcami po szybie. Przez dłuższy czas panowała cisza.

– W jaki sposób mogło to dojść do wiadomości pana Karola? – odezwał się Jachimowski.

– Mniejsza o to. Jeżelibym ci nawet odpowiedział, w najmniejszym stopniu nie zmieniłoby to sytuacji.

– To ten szpieg Blumkiewicz!

– Może.

– Zabiję to bydlę – odwrócił się Jachimowski.

Paweł był zdumiony wyrazem jego twarzy: rysy ściągały się, z cienkich rozchylnych warg wystawały żółte, czerniejące zęby, oczy były prawie nieprzytomne.

– Życzę ci powodzenia, ale mnie to już nie obchodzi – wzruszył ramionami Paweł – mnie zależy tylko na jednym: na uniknięciu publicznego skandalu. Stryj powierzył mi przeprowadzenie dochodzeń i obliczenie kwoty nadużyć, którą trzeba będzie wymienić w skardze do prokuratora...

– Pawle!

– Słucham cię?

– Przecież jesteś moim szwagrem!

– Niestety.

– Wiesz co, ja zatelefonuję po Ludkę, przecie tego nie można robić, przecie nie chcesz, bym sobie w łeb palnął!

– Dajmy spokój frazesom. W łeb sobie nie palniesz, a co tu Ludka ma do mówienia?

– Przecie jesteście rodziną. Nie, Pawle, ja nie wierzę w to, byś ty mógł mnie, mnie i twoją rodzoną siostrę narazić na coś podobnego.

– W każdym razie nie pragnę tego – skrzywił się Paweł – ale proszę cię, podaj mi jakieś wyjście z sytuacji?

Jachimowski potrzęsął desperacko pięściami, po czym ścisnął skronie i zaczął biegać wzdłuż stołu, podczas gdy Paweł spokojnie palił papierosa.

– Zabiję to bydlę, zabiję – powtarzał.

Nagle zatrzymał się przed Pawłem i powiedział:

– A ty nie widzisz żadnego wyjścia?

– Nie.

– O Boże, Boże!... Nie, ja muszę zadzwonić po Ludkę. Ona może coś wymyśli...

– Cóż tu można wymyślić? Jedyne, to chyba pokrycie nadużyć...

– Zwariowałeś! Skąd ja takie pieniądze wezmę!

– Właśnie. No, pozostaje ci jeszcze prosić o łaskę stryja Karola.

– Ach! – beznadziejnie machnął ręką Jachimowski.

– Zresztą każdy z nas, współwłaściciele, ma prawo domagać się zwrotu strat.

– A ty pierwszy – wyszczerzył się ku niemu Jachimowski – ty, psiakrew, pierwszy, ty, który jak ta zmora, jak ten...

Paweł zatrzymał go jednym ruchem ręki:

– Czekaj. Nigdy nie uważałem cię za zbyt rozumnego, ale chyba to już szczyt idiotyzmu zrażać do siebie mnie, właśnie mnie w takiej chwili.

Jachimowski zakrył twarz rękami:

– Więc cóż mam robić, co robić?...

– Na twoim miejscu – spokojnie zauważył Paweł – postarałbym się uczciwie zlikwidować całą sprawę. Nie wyobrażam sobie, by w innym wypadku mogło się obejść bez kompromitującego procesu, no i bez więzienia. Pamiętaj, że nikt nie lubi robić prezentów ze swej własności. Jeżeliby nawet stryj Karol, co jest niepodobieństwem, machnął na to ręką, jeżeli to samo zrobiłbym ja, to zawsze pozostają jeszcze Krzysztof i Tolewski. Zataić przed nimi nadużyć nie można...

– Dlaczego nie możesz?

– Zatajenie byłoby nadużyciem, a wybaczyć, ja jestem uczciwym człowiekiem i na żadne szwindle nie pójdę. Mam swoje zasady, których dla niczyich pięknych oczu nie złamię.

– Tak?... Tak?...

– Tak, mój biedny przyjacielu. Nie chcę kiedykolwiek znaleźć się w położeniu, w jakim ty się obecnie znajdujesz.

– To jest kłamstwo! – wybuchnął Jachimowski. – Nie graj przede mną komedii, bo jestem za stary wróbel na takie plewy! Rozumiesz?... A czym było objęcie przez ciebie dyrekcji w fabryce, a czym było wyzyskanie tego dla wykupienia udziałów, a kto skręcił udziały Ganta przy pomocy tego łobuza Tolewskiego?!...

– Milczeć! – huknął Paweł.

Jachimowski odskoczył i zasłonił się krzesłem.

– Strach przed więzieniem odebrał ci resztę rozumu! – uderzył Paweł pięścią w stół – dostałeś chyba pomieszania zmysłów! Samiście mnie prosili, bym objął dyrekcję. Wam chodziło o wasze udziały, a mnie o pamięć ojca! Ty idioto! Czy mam ci w pysk rzucić kwity za zapłacone za ojca dwieście tysięcy dolarów? Ja gram komedię? Do diabła, drogo mnie ta komedia kosztuje. Powiadasz, głupcze, że wykupiłem udziały?... Tak, wykupiłem, i co z tego? Wykupiłem za własne pieniądze, czy mam je wam rozdarować, co?... Bałwan! Na te nonsensy w ogóle nie powinienem ci odpowiedzieć, ale żebyś się nauczył moresu, ty mi odpowiesz za posądzenie o udziały Ganta, a odpowiesz tak, że będzie ci się długo przypominało. A teraz precz!...

– Pawle!...

– Precz! Za drzwi, złodzieju!

Jachimowski oparł się o ścianę i wyciągnął obronnym ruchem rękę. Zaczął mówić przerywanym głosem, w oczach o czerwonych obwódkach zakręciły się łzy.



Prosił o przebaczenie, tłumaczył się rozpaczą, rozstrojem nerwowym, błagał, zaklinał na wszystkie świętości, przysięgał, że nie wierzy sam w to, co powiedział. Błagał o litość, o zrozumienie, o ratunek.

Jego wąskimi pierściami wstrząsało łkanie, a czubek nosa na bladej błyszczącej twarzy odbijał jaskrawą czerwienią.

Paweł usiadł i słuchał z ponurym wyrazem twarzy. Gdy Jachimowski wreszcie nieśmiało zaproponował, że gotów byłby poświęcić jakąś większą kwotę dla zatuszowania sprawy, przerwał mu:

– Nie podsuwaj mi łapówki, bo nie jestem człowiekiem twego pokroju. Milcz i słuchaj. Mnie twoje pieniądze nie są potrzebne. Okradałeś fabrykę, a teraz obraziłeś mnie. Nie mam żadnego powodu być pobłażliwym dla ciebie. Pomimo to, z tego jedynie względu, że jesteś mężem mojej siostry, może spróbuję cię ratować od kryminału. Słuchaj uważnie, co powiem, gdyż drugi raz nie powtórzę, a nie ma takiej siły na świecie, która by zmusiła mnie powrócić jeszcze raz do rozmowy z tobą. Otóż spróbuję skłonić stryja Karola do przebaczenia ci zło-dziejstwa, a raczej do powstrzymania doniesienia o kradzieży. Uda mi się to tylko wtedy, jeżeli okażesz maksimum dobrej woli.

– Gotów jestem, Pawełku, na wszystko.

– Nie przerywaj. Takim świadectwem dobrej woli będzie wystawienie zobowiązania pokrycia strat i wpłacenie jakiejś kwoty dla zadokumentowania uczciwych zamiarów. Jeżeli to zrobisz, podjąłbym się ratowania ciebie. Zaznaczam jednak, że bynajmniej nie gwarantuję pomyślnych skutków swojej interwencji, gdyż stryj nienawidzi cię z całej duszy. Zobowiązanie musi zawierać przyznanie się do malwersacji. Powiedziałem ostatnie słowo. Na to możesz odpowiedzieć albo zgodą, albo odmową. Żadnej dyskusji na ten temat nie zamierzam prowadzić. Więc?...

Jachimowski próbował wykręcić się, prosić o czas do namysłu, odwoływać się do swego zdenerwowania, lecz gdy Paweł wstał i spojrział na zegarek, zdecydował się:

– Dobrze. Podpiszę, ale jaką mam gwarancję, że pomimo to nie zrobicie doniesienia?

– Żadnej. Masz tylko moje słowo honoru, że zrobię wszystko, by stryja ułagodzić.

– A ile trzeba dać pieniędzy? Ja teraz naprawdę jestem nędzarzem!....

– Sądzę, że wystarczy jakiś drobiazg. Dziesięć tysięcy...

– Ale złotych?

– Złotych.

– A kiedy to trzeba załatwić?

– Natychmiast. Chodźmy.

Zaprowadził go do gabinetu, wyjął arkusz papieru i wskazał Jachimowskiemu miejsce przy biurku.

– Co mam napisać?

Paweł zaczął dyktować. Krótko, zwięźle, dobitnie.

Doskonale widział, jak pióro piszącego waha się przed każdym słowem, widział krople potu, które wystąpiły na jego łysinie, i nerwowe skurcze palców opartych o biurko. Teraz już jednak nie wątpił, że Jachimowski się nie cofnie.

– Mam podpisać?

– Chwila.

Paweł nacisnął guzik dzwonka. Wszedł lokaj. Jeszcze miał czerwone policzki od silnych uderzeń, które oberwał przy drzwiach.

– Czy znasz tego pana? – zapytał Paweł wskazując Jachimowskiego.

– Jakże, jaśnie panie – zdziwił się służący – oczywiście znam. To pan dyrektor Jachimowski.

– Będziesz świadkiem, że to pan Jachimowski własnoręcznie podpisze.

Jachimowski zerwał się od biurka.

- Pawle, po co te formalności!
- Nic nie zaszkodzą. Podpisz.

Jachimowski strzepnął palcami i podpisał. Wówczas Paweł złożył arkusz w ten sposób, by służący nie mógł przeczytać jego treści, i podyktował mu: „Powyższe oświadczenie podpisał pan dyrektor Jachimowski w mojej obecności i dobrowolnie”.

- Teraz ty się podpisz.

Po chwili arkusz został złożony i schowany do szuflady biurka. Oczywiście Jachimowskiego odruchowo nie odrywały się od rąk Pawła i podniosły się dopiero wówczas, gdy pęk kluczy znikł w kieszeni.

- Mam wystawić czek? – zapytał ponuro Jachimowski.
- Dobrze.

W kwadrans później lokaj zamykał za nim drzwi. Stał chwilę w przedpokoju i zdecydował się, że należy przeprosić pana za podsłuchiwanie... Paweł siedział zamyślony, gdy służący odezwał się przyciszonym głosem.

– Jaśnie pan będzie łaskaw darować, ale to mnie się jakoś, sam nie wiem, przydarzyło pierwszy raz...

– Mniejsza o to, Janie – ziewnął Paweł – nie przeszkadzaj sobie w dalszym ciągu. Staraj się tylko być nieco ostrożniejszy. Nie lubię bić, a zmusiłbyś mnie do forsowania ręki.

- Bardzo przepraszam, jaśnie panie, zawiniłem, ale więcej się to nie powtórzy.

– Po co mnie o tym zapewniasz? Czy sądziłeś, że wyrzucę cię dlatego?... Nie, mój drogi przyjacielu. A teraz idź i nie zwracaj mi głowy.

Zrzucił marynarkę i wyciągnął się na tapczanie. Temu głupcowi zdaje się – myślał – że przebaczyłem mu, gdyż wierzę w jego obietnice poprawy. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, że musiałbym wziąć innego lokaja, który, powiedzmy, mniej podsłuchiwałby, ale biłby więcej porcelany, albo kradł, czy nosił moją bieliznę. Ludzie często mówią najgorzej o bliźnich, ale w gruncie rzeczy myślą najlepiej. Wynika to stąd, że sami siebie uważają za wyjątkowo zły wyjątek. Dlatego cieszą się, gdy dowiedzą się, że ktoś popełnił zadeklarowane łajdactwo. Umacnia to ich wiarę, w siebie: mnie nikt za rękę nie złapał, nikt nie przypuszcza bym mógł coś nieetycznego popełnić. Każdy w stosunku do innych jest właściwie optymistą. To daje mu urojoną przewagę nad innymi: oni nawet nie domyślają się, co ze mnie za numer! Tym jedynie można wytłumaczyć łatwowierność człowieka. Chce być oszukiwany, bo zdaje mu się, że jest oszukującym.

Zaśmiał się i powiedział głośno:

– Oto jest olbrzymie nietknięte bogactwo psychiki ludzkiej. Kopalnia czekająca świadomej eksploatacji!

Przebiegł myślą swe dawniejsze poglądy. Niewątpliwie nie miał dawniej tej precyzji w ich formułowaniu. W latach młodości zapewne w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Przecież musiały w nim tkwić. W instynktach. W korze mózgowej. Mniejsza o to, że nie były nazwane. Rzeczy nie posiadające nazwy nie przestają istnieć dlatego, że jej nie mają. Zawsze się tym podświadomie kierował. To właśnie stało się ongiś momentem zatargu i zerwania z ojcem. Ojciec nie rozumiał, jaki wielki kapitał tkwi w zaufaniu, w tym zaufaniu, wyrobionym sobie przez firmę Dalczów. Nie pojmował potrzeby wykorzystania tego kapitału. Nazywał to łajdactwem. O, stary, głupi idealisto, naiwny samobójco!

Kiedyś na jednej ze scen berlińskich Paweł widział sztukę Jewreinowa, której tezą było, że najważniejszą rzeczą jest nie rzeczywistość, lecz złudzenie, dzięki któremu mamy świadomość rzeczywistości. Miał wówczas ochotę kupić bilet do teatru i posłać go ojcu do Warszawy. *Mundus vult decipi...* Czyż to nie zabawne, że słowa te wypowiedział też Paweł, papież Paweł IV, jeden z najlepszych znawców człowieka: – *mundus vult decipi, ergo decipiatur*. I to właśnie on założył indeks ksiąg zakazanych!... Imponująca konsekwencja! To się nazywa wprowadzenie swojej filozofii w życie!

I na to nie trzeba być aż papieżem z szesnastego wieku. Trzeba tylko być jednostką, osobnikiem wydzielonym ze stada. Wystarczy nie wiązać się z tym stadem żadnymi uczuciami. To pozwala na osiągnięcie dystansu i perspektywy, dzięki którym widzi się iluzoryczność rzekomych trudności.

– *Ergo decipiatur* – powiedział i sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

Blumkiewicz wysłuchał z uwagą i z nietajoną radością zawiadomienia, że Jachimowski musi być usunięty. Nie upłynęło pięć minut, gdy powrócił od pana Karola.

Powrócił z oznajmieniem, że prezes czeka i gotów jest przyjąć pana dyrektora natychmiast.

W dwadzieścia minut później Paweł wchodził do pokoju stryja.

– Blumkiewicz zakomunikował już ci, stryju, tę bardzo nieprzyjemną wiadomość. Osobiście nie spodziewałem się po Jachimowskim przesadnej uczciwości, jak to stryj zapewne pamięta.

– Czy nadużycia sięgają wysokich sum?

– Nie sędzę. Raczej należy przypuszczać, że nie wybiegają poza kilkanaście tysięcy. Wzwałem Jachimowskiego i oświadczyłem mu, że oczywiście o jego dalszej współpracy w fabryce nie może być mowy.

– Czy nie jesteś zdania, że należy oddać sprawę władzom śledczym?

Paweł wzruszył ramionami:

– Wolałbym uniknąć rozgłosu. Samobójstwo ojca, a teraz ta historia, to byłoby za dużo jak na okres kilku miesięcy.

– Masz rację – półgłosem odpowiedział pan Karol.

– Zresztą zobowiązałem Jachimowskiego do pokrycia malwersacji – wydobył z kieszeni czek i pokazał go stryjowi – na razie wpłacił tytułem zwrotu dziesięć tysięcy złotych.

Pan Karol przymknął powieki i powiedział:

– Umiesz sobie dawać radę z ludźmi.

– Więc stryj w zasadzie akceptuje moje zarządzenie?... Nie trudziłbym tym stryja, gdyby chodziło o zwykłego urzędnika, ponieważ Jachimowski jest współwłaścicielem fabryki, uważałem za konieczne...

– Na czym polegają nadużycia?

Paweł zaczął opowiadać. Nie przedstawił nadużyć w takich rozmiarach, jakie obejmowały w rzeczywistości, nie wspomniał też o drodze, którą do ich wykrycia doszedł. Zaznaczył tylko, że podczas przeglądania ksiąg spostrzegł pewne dysproporcje i te naprowadziły go na ślad machinacji dyrekcji handlowej.

Z kolei rozmowa przeszła na inne tematy dotyczące fabryki i Paweł zapytał, jaki jest adres Krzysztofa w Szwajcarii.

– Zwróć się z tym do Teresy. Ona ma zapisaną nazwę i adres hotelu.

Gdy wychodząc Paweł zapytał Blumkewicza o stryjenkę, ten odpowiedział, że pani Teresa ma migrenę i nie mogłaby go przyjąć.

Po kiego licha – myślał Paweł, wracając do domu – jest mi potrzebny ten adres?...

Już w przedpokoju zauważył płaszcz Tolewskiego i teraz dopiero przypomniał sobie, że kazał mu przyjść dziś wieczorem. Od kilku dni Tolewski z polecenia Pawła załatwiał różne sprawy na giełdzie, polegające przeważnie na wywiadzie. Chodziło o informacje, dotyczące stanu finansów w niektórych przedsiębiorstwach przemysłowych branży metalurgicznej. Paweł nie miał jeszcze szczegółowo nakreślonych planów dalszej akcji, wierzył jednak zasadzie, że poznając rynek, będzie miał sposobność dostrzeżenia tych jego stron, w których dałoby się drogą nowych koncepcyj znaleźć ujście dla szerzej zakrojonych interesów. Przede wszystkim myślał o stworzeniu trustu, opartego na wzorach amerykańskich, a koncentrującego wszelkie pokrewne działy produkcji metalurgicznej. Były to wszakże perspektywy nierealne, odległe, których bynajmniej nie rozświetliły wiadomości zebrane przez Tolewskiego.

Człowiekowi temu nie można było odmówić znacznej dozy sprytu, brakowało mu wszakże niezbędnej inteligencji, wskutek tego jego stosunek do badanych spraw przypominał wyżła, robiącego stójkę przed każdym doraźnym geszefcikiem, jaki zdołał wywęszyć. Paweł wprawdzie nie pragnął bynajmniej znaleźć w Tolewskim ani w żadnym innym swoim współpracowniku indywidualnej pomysłowości, inicjatywy i samodzielności. Raczej przeciwnie, od ludzi, którymi się posługiwał, wymagał bezwzględności posłuszeństwa i wyrzeczenia się prób rozumowania. Mieli spełniać rolę sprawnych kółek w mechanizmie przez niego tworzonym. Tolewski nie był kółkiem dostatecznie doszlifowanym. Wina tego tkwiła w jego psychice kawiarnianego naciągacza i pokątnego aferzysty, polującego na małe i szybkie zyski. To było też przyczyną niepożądanego nastawienia jego zdolności obserwacyjnych i Paweł wiele czasu marnować musiał na urobienie tego człowieka dla swoich celów.

Od czasu przyjazdu do Warszawy Paweł wiele nocy nie spał, całkowicie pochłonięty swoim zadaniem. Obecnie stan rzeczy wchodził w okres spokojnego nurtu, w którym nic lub prawie nic nie miał do zrobienia. Na razie pozostawało tylko obsadzenie dyrekcji handlowej.

Nazajutrz rano kazał wezwać do siebie inżyniera Karliczka. Nie zaniedbał ostrożnego wybadania go, czy w dziale sprzedaży i zakupów nie pozostały jeszcze do skontrolowania jakiegokolwiek „niedokładności”, a gdy otrzymał zapewnienie, że wszystko jest już „panu dyrektorowi wiadome”, oświadczył:

– No, panie Karliczek, z tego wszystkiego wynika niestety ponad wszelką wątpliwość, że pan również brał udział w nadużyciach Jachimowskiego, że mówiąc po prostu, okradał pan firmę, która przez osiem lat okazywała panu tyle zaufania, która płaciła panu wysoką pensję... Tak, było to dla mnie bardzo przykrą niespodzianką. Rozumie pan, że w warunkach istniejących obecnie nie będę mógł nadal korzystać z pańskiej współpracy.

Twarz Karliczka stała się purpurowa i wyglądała jak olbrzymi polec surowego mięsa.

– Jak to, panie dyrektorze, przecie o ile słyszałem, wczoraj zapewnił pan mnie...

– O niczym pana nie zapewniałem – surowo przerwał Paweł, utkwivszy w nim oczy – tu wchodzi w grę kodeks karny i sfera jego działania. Oczywiście doceniam pańskie poczucie obowiązku uczciwości, które odezwało się w panu. Zdaję sobie sprawę, że panu i wyłącznie panu zawdzięczał wykrycie malwersacji. Biorę też pod uwagę pańskie niejako przyznanie się do winy. To skłania mnie do pewnych niepraktykowanych zresztą ustępstw, do niejkiej poślizgnięcia. Nie tylko nie oddam pana w ręce prokuratora, lecz nie będę także wymagał zwrotu osiągniętych przez pana nielegalnych zysków. Od dziś jest pan wolny i może pan poszukać nowej posady. Nie będę panu w tym przeszkadzał. Otrzyma pan dobre świadectwo.

– Nie będzie pan mnie przeszkadzał? – chrapliwie odezwał się Karliczek – kpi pan ze mnie. Gdzie ja teraz znajdę wolną posadę przy tym kryzysie?

– Daruję pan, ale to już mnie nie obchodzi.

– Głupi byłem – splótł palce tak, aż zatrzeszczały stawy, a na rękach wystąpiły sine i białe plamy – głupi byłem... Cóż?... Za swoją głupotę każdy musi płacić. Dałem się panu nabrać, a teraz wyrzuca mnie pan na bruk...

Paweł nacisnął guzik dzwonka. Na progu stanął sekretarz Holder.

– Panie Holder, zechce pan zaraz przygotować świadectwo dla pana inżyniera Karliczka: lata pracy, duże zdolności handlowe, odejście na własne żądanie. Da mi pan to zaraz do podpisu.

– Więc decyzja pana dyrektora jest nieodwołalna? – zapytał Karliczek, gdy drzwi za Holderem zamknęły się.

– Nigdy nie widzę powodu do odwoływania moich postanowień – twardo odpowiedział Paweł – jeżeli w tym wypadku mogłoby to mieć miejsce, nie radziłbym panu zmuszać mnie do tego.

Karliczek odczuł w głosie Pawła groźbę, lecz i sam z trudem opanowywał wściekłość. Z każdego rysu jego olbrzymiej twarzy wyczierała hamowana chęć wybuchu; zaczął prosić, lecz

w tonie prośby brzmiał gniew, poczucie doznanej krzywdy i zapowiedź zemsty. W kącikach szerokich ust ukazały się dwie plamki białej piany. Paweł milczał i zdawał się nie zwracać nań uwagi, pogrążony w przeglądaniu papierów.

Wreszcie wszedł Holder i położył na biurku świadectwo. Paweł podpisał, złożył arkusik i podał Karliczkowi.

– Proszę i do widzenia panu.

– To tak? – warknął Karliczek – no, dobrze, ale my się jeszcze porachujemy, panie Dalcz, my się jeszcze porachujemy! A na to świadectwo pluję! Rozumie pan, pluję.

Rozłożył papier i trzymając go w obu rękach, splunął nań, zmiął w potężnej garści i cisnął na ziemię.

Holder stał przerażony z wysoko podniesionymi brwiami, Paweł udał, że niczego nie widzi. Dopiero gdy Karliczek wyszedł, z rozmachem trzasnąwszy drzwiami, podniósł głowę i powiedział spokojnie:

– W dyrekcji handlowej popełniono nadużycia. Jachimowski i Karliczek otrzymali dymisję. Zechce pan, panie Holder, objąć tymczasem kierownictwo tego działu. Za kilka dni wraca z urlopu inżynier Karczewski i jemu to przekażę.

Holder chciał prosić o zwolnienie go z tej funkcji, chciał zaznaczyć, że nie posiada odpowiednich kwalifikacyj, jednakże ton dyspozycji był tak bezapelacyjny, iż zdołał tylko wymówić:

– Jak pan życzy, panie dyrektorze.

– Ten cymbał – zaśmiał się Paweł – wyobraża sobie, że zemści się na mnie. Chyba będzie do mnie strzelał zza węgła, bo w przeciwnym razie nie radziłbym nikomu być w jego skórze. Co pan o nim wie, panie Holder?

Sekretarz rozłożył ręce:

– Tyle, co w kartotece, panie dyrektorze, właśnie musiałem tam zajrzeć, wypisując świadectwo. Ma lat czterdzieści pięć, jest żonaty, żona mieszka w Pradze Czeskiej, a on w Warszawie na Żelaznej. Nieboszczyk pański ojciec wpisał o nim w uwagach bardzo pochlebną opinię.

– Z pochlebnych opinii mego ojca sprawdziłem ku swemu zadowoleniu jedną, którą muszę uznać za całkowicie uzasadnioną – zmarszczył brwi Paweł – opinię o panu.

– Bardzo dziękuję panu dyrektorowi – zaczerwienił się Holder.

Paweł zabrał się do wertowania korespondencji, lecz widząc, że Holder nie odchodzi, podniósł oczy:

– Ma pan jeszcze coś do mnie?

– Tak jest, panie dyrektorze, chociaż właściwie nie wiem, czy pan dyrektor zechce...

– Słucham pana.

– Wczoraj został wyrzucony z narzędziowni ślusarz Feliksiak, pijak i awanturnik. Już dwa razy był wyrzucany, lecz zawsze po kilku tygodniach przyjmowano go z powrotem na skutek żądania pana prezesa. Obecnie pozwolił sobie za wiele: pobił majstra...

– I cóż dalej?

– Otóż Feliksiak domagał się, by go przyjął pan Krzysztof, a gdy mu powiedziano, że pan Krzysztof wyjechał, żądał widzenia się z panem dyrektorem.

– Czy pan Krzysztof kazał go wydalić? – zapytał Paweł.

– Nie, panie dyrektorze, ale sądziłem, że skoro Feliksiak ma takie poparcie u pana prezesa, należałoby...

– No, dobrze – zdecydował się Paweł – niech przyjdzie do mnie jutro.

## Rozdział VII

Od Karolkowej po śliskich kocich łbach, gdyż chodnik tam się już kończył, skręcało się ze trzydzieści kroków w bok do restauracji „Pod Kozłem”. Wypływały czerwony szyld i żółte firanki w zamrażniętych oknach, a wewnątrz gwar, jaki zawsze tu panował w godzinach popołudniowych. Sam Kozioł, znany jak Wola długa i szeroka, Antoś Kozłowski, niestary jeszcze knajpiarz o byczym karku i piwnych wylupiastych oczach, wyrastał zza blaszanej lady jak prawdziwa góra mięsa, jak latarnia morska, nieustannie lustrująca ślepiami salę i gęsto obsadzone stoliki. Po kaflowej posadzce, na której soczyste, napęczniałe trociny mieszały się z topniejącym śniegiem, znaczyły się ślady nóg dwóch panienek, ubranych w boty, w grube wełniane spódnice i w jaskrawe perkalowe bluzki, na które miały narzucone włóczkowe szale. Były tu kelnerkami, magnesem dla gości, a w miesiącach letnich wywczasów małżonki szefa, Mańki-Miednicy, zastępowały mu ją wszechstronnie i wyczerpująco.

Pierwsza, tęga i ospowata Justynka, miała pod swą pieczęą pokoik za kotarą, locum dla lepszych gości, druga, Zośka, biała jak mleko, roześmiana i piersiasta, obsługiwała „salę”, nie żałując klienteli swobodnych karesów pod postacią poklepywania ich po plecach lub ocierania się o nich, przy sposobności stawiania na stole butelek i kieliszków, swoim wielkim biustem.

„Kozioł” był sztamknajpą robotników z kilku okolicznych fabryk, lecz lwią część stanowili tu ludzie od Dalczów. Wynikało to z tego, że Antoś sam kiedyś pracował jako giser u Dalczów i wielkie miał tam koneksje.

Zbliżała się już ósma, gdy przy stoliku w rogu, gdzie dotychczas toczyła się spokojna rozmowa, podniósł się gwar krótki i prawie niedosłyszalny, gdyż natychmiast po nim zapanała cisza. Kozioł wiedział, co to ma znaczyć, zanim jednak zdążył dotrzeć do stolika, na marmurowy blat z furją spadł ciężki kufel, obryzgując szkłem i piwem trzech siedzących mężczyzn. Czwarły, szczupły brunet, z czerwonymi od wódki białkami, stał w pozycji obronnej, trzymając w ręku ciężki niebieski syfon.

– Nie daj się, Feliksiak – rzucił ktoś wśród ciszy z drugiego kąta sali.

– Stul mordę, taka twoja mać – huknął ku niemu Kozioł, po czym podszedł do Feliksiaka i napierając nań swoimi stu kilogramami tuszy, powiedział cicho: – nastap się, szczeniaku, kufle mi tu będziesz bił...

Feliksiak zmierzył go niezdecydowanym wzrokiem i z wolna opuścił rękę z syfonem.

– Siadaj i siedź, póki ci dobrze – Kozioł kopnął krzesło w ten sposób, że to podjechało pod kolana stojącemu, po czym gołą ręką zgarnął szklaną kaszę ze stolika na ziemię i jakby nic nie zaszło, powrócił za ladę.

Feliksiak usiadł i zaczął mówić płaczliwym głosem:

– Tacy to z was przyjaciele, jak człowieka nieszczęście spotka, to żaden palcem nie ruszy. Trzymacie stronę majstra...

– On miał słuszość, co ja ci będę zawałał? – niechętnie mruknął wysoki blondyn.

– Nikt się za mną nie ujmie – potrząsał głową Feliksiak – nikt...

– Co się rozklejasz, frajerze – znowu prowokacyjnie odezwał się najstarszy z towarzystwa – sameś się zawsze przechwalał, że wszystkich dyrektorów masz w jednej kieszeni, a jak teraz co do czego przyszło, to dudy w miech. Idź do naczelnego i powiedz mu, że jak cię z powrotem nie przyjmą, to dopiero zobaczą. Jeszcze cię za inżyniera wezmą.

Już oni muszą mieć przed tobą pietra.

Wszyscy trzej wybuchnęli głośnym śmiechem, a że mówił nie ścisząc głosu, a przy sąsiednich stolikach od chwili rozbicia kufla zwracano na nich uwagę, tam również rozległy się śmiechki.

Feliksiak poczerwieniał:

– Więc co, myślicie, że bujam?

– Co tam masz bujać – pojednawczo powiedział blondyn i mrugnął do sąsiada – bo ja wiem, może ty ich jaki krewny z lewej ręki?... Niby dowód mieliśmy. Dwa razy cię wylewali... powinni i teraz na powrót przyjąć. Mają już praktykę.

Znowu rozległ się śmiech. Feliksiak chciał się zerwać lecz spotkał spojrzenie czujnego zza lady Kozła. Przygryzł wargi, sięgnął do kieszeni i rzucił na stolik kilka srebrnych monet:

– Panno Zosiu, płacić!

– Szkoda forsy – zakpił blondyn – Zośka ci zborguje.

Feliksiak był wściekły. Prowokacyjne zachowanie się kolegów doprowadziło go do ostatecznej pasji. O ile wcześniej sam wahał się, czy po raz trzeci udawać się do prezesa, o tyle teraz zawział się i postanowił za wszelką cenę dostać się z powrotem do fabryki. Mało tego, powinien otrzymać stanowisko brygadzysty, żeby tym draniom pokazać, co to on może. Wtedy będą się śmieli cholery, jak ich weźmie za pysk. Alboż to jest złym ślusarzem?...

Wychodząc kupił jeszcze butelkę czystej i poszedł do domu. Skręcił właśnie w Żelazną, gdy natknął się na inżyniera Karliczka. Był usposobiony tak wojowniczo, że niemal go potracił i niedbale dotykając palcami do daszka, bąknął: „Szanowanie”.

– Cóż się tak zataczacie, Feliksiak, urznięliście się? – zapytał Karliczek.

– Dlaczego nie. Bezrobotny jestem. Wolno mi.

– Jak to bezrobotny? Znowu was wyleli? – Karliczek uczył przyływ sympatii do Feliksia. Znał go dobrze, gdyż jego częste awantury były dość popularne w fabryce, a o szczególnej protekcji, którą ten ślusarz cieszył się u zwierzchników, różne chodziły wersje.

– Wyleli, ale przyjmą mnie, jak tu przed panem stoję. Nie taki ja jestem, żeby każdemu dał sobą przewodzić. Mogę i sam wpaść, ale i wielki pan Dalcz pójdzie do kryminału...

Karliczek spojrzał nań uważnie i odciągnął pod ścianę:

– Paweł Dalcz? – zapytał.

– Nie, ten lalusz Krzysztof Wyzbor-Dalcz. Dwa nazwiska ma, to myśli, że nie wiem co, a ja mu jeszcze pokażę!...

Podniósł pięść i pogroził nią sobie przed nosem. Karliczek spojrzał na zegarek:

– Wiecie co, Feliksiak, że ja z wami chętnie bym o tym pogadał. Tylko teraz czasu nie mam. Macie tu mój bilet wizytowy i wpadnijcie do mnie choćby jutro.

– Rano? Mnie do fabryki nie wpuszczą.

– Możecie przyjść rano do mnie do domu.

– To pan inżynier ma urlop?

– Nie. Jesteśmy kolegami, ja też już nie pracuję...

– Fiuuu – gwizdnął przez zęby Feliksiak.

– Więc przyjdziecie?

– Przyjdę.

Zaczął padać śnieg i Feliksiak wstąpił po drodze jeszcze do jednego baru. Chciał spotkać kogoś znajomego, by podzielić się z nim swoimi zmartwieniami, lecz jak na złość nie było nikogo. Wypił przy ladzie kilka szklaneczek. Gdy dobrnął do domu, był już całkiem pijany i w ubraniu położył się spać. Z rana obudził się z ciężkim bólem głowy i z męczącym przeświadczeniem, że ma coś do załatwienia, czego sobie nie może przypomnieć.

Ojciec leżał na łóżku i postękiwał jak zwykle, siostra już poszła do sklepu, gdzie była ekspedientką. W izbie było zimno i nie mógł znaleźć ani jednej zapalniczki, żeby rozgrzać herbatę. Dopiero gdy zrezygnowany położył się z powrotem, uprzytomnił sobie, że o jedenastej rano miał zameldować się do naczelnego. Zerwał się prędko, opłukał twarz nad zlewem, przyczesał włosy i wyszedł nie odzywając się do ojca ani jednym słowem.

Od czasu gdy ojciec po swoim nieszczęśliwym wypadku w fabryce uparł się, by nie kapitalizować renty, nie rozmawiali ze sobą. Wolał tak gnść w łóżku i zmuszać dzieci do pracy u cudzych, kiedy renta dałaby prawie dziesięć tysięcy złotych, a to wystarczyłoby na założenie sklepiku spożywczego.

Przed gmachem Zarządu Feliksiak spojrzął na zegarek. Było już po dwunastej.

I tak musi mnie przyjąć – pomyślał z zawziętością – nie będę się patyczkować...

Nie robiono mu jednak żadnych trudności. Po dwudziestu minutach oczekiwania wpuszczono go do gabinetu naczelnego dyrektora. Feliksiak wszedł i stanął przy drzwiach.

Przed Pawłem Dalczem odczuwał nie tylko estymę należną naczelnemu dyrektorowi, lecz i rodzaj jakby osobistego szacunku. Imponował mu. Feliksiak wiedział, że z tym człowiekiem nie ma żartów, lecz wiedział również, że jego atuty będą tu ocenione.

Paweł Dalcz podniósł głowę i obrzucił go spokojnym spojrzeniem:

– Chcieliście widzieć się ze mną – zapytał – o co wam chodzi?

– Wydalono mnie z pracy, panie dyrektorze.

– Czy uważacie, że postąpiono z wami niesprawiedliwie?

– To nie, panie dyrektorze...

– Zatem?...

Feliksiak przestąpił z nogi na nogę:

– Miałem obiecanie od pana prezesa, że póki tylko zechcę, będę miał pracę w fabryce, zresztą co ja będę mówił, pan dyrektor sam wie... Nie naprzykrzałbym się, bo też swój honor mam, ale z głodu zdychać nie będę...

– O ile wiem – powiedział dyrektor – jest to już trzeci wypadek, żeście zmusili administrację do wydalenia was. A dlaczego obiecano wam stałą pracę w naszej firmie?

– Niby to pan dyrektor nie wie...

Paweł spojrzął nań spod oka i powiedział obojętnym tonem:

– Nie pytam was, czy ja wiem, czy nie wiem. Jeżeli chcecie ze mną mówić, musicie odpowiedzieć na moje pytania. Więc za co?

– No, przecie za wojsko, za pana Krzysztofa...

Paweł z trudem opanował swe rysy, by ukryć zdumienie.

– Mówcie wyraźniej. Za jakie wojsko?

Feliksiak zrobił ruch zniechęcenia. Pomyślał, że dyrektor ma go za półgłówka, który mógł zapomnieć o rzeczy tak ważnej. Ani przez myśl mu nie przeszło, by brat stryjeczny pana Krzysztofa mógł nie wiedzieć o całej sprawie. A może chcą mu teraz wmówić, że mu się to przyśniło?... Obciągnął klapy jesionki i powiedział wyzywająco:

– No co, może nie służyłem za niego?...

Paweł pochylił głowę nad papierami i robił na nich ołówkiem jakieś znaki. Zdawał się być zupełnie pochłonięty tą pracą i w jego głosie Feliksiak dosłyszał roztargnienie:

– Aha, no tak, służyliście za niego w wojsku, to wiem. Ale proszę was, byście mi opowiedzieli, jak to było?

– Tu nic nie ma do opowiadania. Całkiem po prostu, głupi byłem, to stanąłem na komisji i odsłużyłem.

– A za siebie nie odbywaliście służby wojskowej?

– Nie, zwolniony byłem, bo rękę mam złamaną, a jak za pana Krzysztofa stawałem, to mnie pytają, czy zdrow? – zdrow, powiadam, to i wzięli... Mógłbym się też uwolnić, bo w innej komisji stawałem za siebie, a w innej za pana Krzysztofa, nie poznałiby się. Ale pan



prezes chciał, żeby koniecznie służyć. Jego pieniądze, jego wola. Odsłużyłem, dokumenty oddałem, w porządku jestem, a co mnie obiecano, z tego nie ustąpię. Mam mieć zarobek do samej śmierci...

Ponieważ Paweł na niego nie patrzył, Feliksiak nabrał pewności siebie i dodał:

– A ja teraz jeszcze i to panu dyrektorowi powiem, że inaczej jak na brygadzystę nie przystanę. Swój honor mam wszystkie ludzie ze mnie we fabryce się śmieją, że przez takiego łachudrę, jak ten majster, niby Pieczętkowski, za bramę mnie wyleli...

Paweł wstał i podszedł do niego:

– Słuchajcie, Feliksiak – powiedział kładąc mu rękę na ramieniu – krzywdy od nas nie doznacie, ale musimy jeszcze pomówić o tej sprawie. Na razie przyjąć was do fabryki nie mogę, ale zrobimy tak: będziecie otrzymywali dotychczasowy swój zarobek co tydzień wprost z kasy. To chyba dla was jeszcze lepsze. Nie będziecie pracowali, a zarabiać będziecie swoją tygodniówkę normalnie.

– Ale i z premią? – nieufnie zapytał Feliksiak.

– Oczywiście. Zaraz wydam zarządzenie i co sobotę będziecie się zgłaszali do kasy. W zamian żądam tylko jednego: ani pary z gęby. Rozumiecie?...

– Co nie mam rozumieć, panie dyrektorze...

– Więc doskonale. Do mnie zgłosicie się za tydzień, a teraz możecie iść.

Feliksiak uklonił się i wyszedł. Był zupełnie z siebie zadowolony. Z takim człowiekiem, jak dyrektor Paweł Dalcz, to nawet przyjemnie gadać: raz, dwa, trzy i wszystko załatwione. W dodatku nie będzie potrzebował pracować. Rozejrzy się, odpocznie, a może jaką pracę w małym warsztacie po cichu znajdzie. Trzeba być ostrożnym, żeby do fabryki się nie doniosło, ale dużo przecież jest małych warsztatów, gdzie na dniówki można sobie dorobić, jeżeli ktoś jest takim dobrym rzemieślnikiem, jak, nie przymierzając, on.

\*

Paweł Dalcz chodził po swoim gabinecie z rękami w kieszeniach. Od najmłodszych lat przyzwyczał się patrzeć na życie prosto, wydobywać jego prawdy z bezpośrednich obserwacji, zimnych, trzeźwych, bez osobistych. Komplikacje, o których inni mówili, nie istniały jego zdaniem wcale dla każdego, kto chciał wniknąć w motywy ludzkich działań, w niezłożoną maszynę psychiki człowieka i odróżnić sprężynki żądz, ambicji, pragnień, nawyków i przesądów. Na tym tle działanie człowieka było prostym następstwem jego predyspozycji, możliwym do ścisłego obliczenia, dającym się przewidzieć, ocenić i zważyć zawczasu. Tu po raz pierwszy stawał wobec zagadki. Nie chciał tego nazwać tajemnicą. W ogóle w istnienie tajemnic nie wierzył. Był zdania, że każda z nich po dokładnym zbadaniu byłaby materiałem do studiów dla psychiatry lub też po prostu dla kryminologa.

I oto miał przed sobą tajemnicę Krzysztofa, zagadkę, którą na próżno od kilku miesięcy starał się przeniknąć. Jej zasięg obejmował nie tylko świat zewnętrzny, lecz i własną psychikę Pawła. Zdawał sobie sprawę, że wobec tej tajemnicy jest bezsilny, co więcej, że nie może się tu zdobyć na ten bezosobisty stosunek, który we wszystkich innych wypadkach gwarantował mu jasność i nieomylność sądu.

Feliksiak nie kłamał. Wynikało z tego, że stryj Karol, człowiek o nadwrażliwej uczuciowości, w danym wypadku postąpił wbrew zasadom, jakie niewątpliwie organicznie tkwiły w jego naturze. Przekupił robotnika, by ten odbył służbę wojskową za Krzysztofa. Motyw miłości ojcowskiej nie mógł wystarczyć dla usprawiedliwienia takiego czynu. Nie mógł wystarczyć, zwłaszcza że pan Karol był gorącym patriotą, a zdrowie Krzysztofa nie należało do najgorszych. Zatem dlaczego? Jakie potężne sprężyny mogły działać w psychice stryja Karola? Co mogło zmusić go do tak ryzykownego zejścia z drogi legalnej, ba, do wystawienia na szantaż, zawsze w podobnych okolicznościach dający się przewidzieć?...

Machinacja, wzięwszy pod uwagę paraliż pana Karola, nie mogła się odbyć bez współdziałania pani Teresy, no i na pewno Blumkiewicza. Sam Krzysztof musiał w niej też być świadomym swej roli aktorem...

Krzysztof... Zimny, nieprzystępny, hardy, zamknięty w sobie. Pokazywał Marychnie swoją książeczkę wojskową i teraz już było jasne, że nie robił tego przypadkowo, że był w tym cel...

Paweł zebrał wszystkie klucze, jakie miał pod ręką wyszedł na korytarz i kazał woźnemu otworzyć gabinet Krzysztofa. Niepodobna, by nie znalazł tu wyjaśnienia zagadki, lub przynajmniej śladów, które do jej rozwiązania doprowadzą. Gorączkowo dobierał klucze do szuflad biurka. Zdołał otworzyć wszystkie z wyjątkiem środkowej. Nie było w nich nic, co miałoby dla niego jakąś wartość. Pozamykał je i zadzwonił. Kazał sprowadzić ślusarza z wytrychami.

– Mój brat stryjeczny – od niechcenia wyjaśnił ślusarzowi – wyjechał na urlop i zamknął w biurku papiery, które są mi potrzebne.

Po chwili zamek ustąpił.

– Zaczekajcie na korytarzu – powiedział ślusarzowi i gdy ten wyszedł, odsunął szufladę.

Wewnątrz leżał rewolwer, klucze od pozostałych szuflad w brązowym zamszowym woreczku i nieduża czarna skórzana teczka, a w niej plik arkusików papieru listowego, zapisanego pięknym okrągłym pismem Krzysztofa. Były to listy, listy oczywiście pisane przez Krzysztofa, lecz niewysłane, o czym świadczyło, że arkusiki nie były zgięte.

Paweł naliczył ich kilkadziesiąt, bliźniaczo podobnych do siebie. Wszystkie nie miały ani nagłówka, ani dat. Ponieważ zaś nie były też podpisane, sprawiały raczej wrażenie jakiegoś rękopisu literackiego.

– Czyżby ten smarkacz zajmował się grafomanią? – skrzywił się Paweł.

W każdym razie należało tę pisaninę dokładnie przestudiować. Wziął teczkę i kazał szufladę zamknąć.

Przez całe popołudnie podczas załatwiania nawału spraw fabrycznych nie mógł zapomnieć ani na chwilę o teczce Krzysztofa i o nieprawdopodobnej, a przecież prawdziwej wiadomości otrzymanej od Feliksiaka.

Sam dziwił się sobie, że nie umie opanować zwykłej – trzeba, do diabła, rzeczy nazywać po imieniu – ciekawości. Faktyczny stan rzeczy przedstawiał się przecie jasno i nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Trzymał teraz w ręku nie tylko Krzysztofa, lecz i stryja Karola. Był wszechwładnym panem sytuacji. Za posiadaną tajemnicę mógł zażądać każdej zapłaty i każdą zapłatę otrzymać by musiał.

Mógł po prostu kazać im okupić się wszystkim, co posiadali. Mógł odebrać im fabrykę, mógł dokonać bez najmniejszego wysiłku tego, co właśnie leżało w jego planach!

Jeszcze przed kilku godzinami śmiałyby się do rozpuku, gdyby mu ktoś powiedział, że zaważałby się przed zrobieniem tego ze względów... rodzinnych... A jednak, dlaczego dopiero teraz uświadomił sobie tak niebywale korzystny dla siebie ten właśnie stan faktyczny?... Ma się rozumieć, nie rezygnuje ze swojej przewagi. Byłby głupcem. Ma się rozumieć, wyzyska sytuację do ostatniego włókna...

A jednak ogarniało go jakieś niecierpliwe niezadowolenie z siebie, niezadowolenie, w którego składnikach nie umiał się połapać. Może wynikało stąd, że wszystko spadło mu gotowe, łatwe, idiotycznie uproszczone, wprost do rąk... Tak... prezent z jasnego nieba, przy którym nic nie ma do zrobienia...

– Do licha – zaśmiał się z ironią – jeszcze trochę a zacznę dorabiać sobie utrudnienia, jak Mark-Twainowski Tomek Sawyer.

Gdy wychodził z fabryki, zbliżała się już siódma. Obiad jadł, jak co dzień, sam w ogromnej jadalni, czarną kawę kazał podać do gabinetu.

Czuję się tu samotny – pomyślał – jak żółw w swojej skorupie, tylko że ta skorupa o wiele jest dla mnie za duża.

Było to śmieszne. Uczucie samotności, chociaż zjawiało się w nim niezwykle rzadko, za każdym razem wywoływało coś w rodzaju pogardy dla siebie. W istocie był przeświadczony

o tym, że doskonale może się obyć bez tej pożywki psychicznej, jaką obdzielają się wzajemnie ludzie. Nigdy nie dokuczył mu brak w pobliżu tego lub innego człowieka, nie tęsknił nigdy do nikogo, nawet do takich kobiet, które zostawiły bardziej pamiętne wrażenie. Uczucia przyjaźni nie znał. To, co jego szkolni koledzy nazywali przyjaźnią i z czym się do niego zbliżali, dość rzadko zresztą, stanowiło dlań raczej pole do obserwacji, raczej korzystania niż dzielenia się. Później nie miewał już styczności z ludźmi, którym by słowo przyjaźń mogło przyjść na myśl.

Pierwsze słowo pierwszego listu Krzysztofa było słowem: „Przyjaźń”...

„Przyjaźń nie jest czymś, co wiąże, lecz czymś, co pociąga. Wyraża się dążeniem do zlania się dwóch osobowości w jedną. Czyż nie wolno mi myśleć, że jest wyższa w hierarchii uczuć niż miłość? Największą zbrodnią będzie pozbawienie człowieka praw do uczuć. Ile razy zdarzyło mi się widzieć Twoje bezlitosne oczy, z przerażeniem dostrzegałem w nich tę samą krzywdę. Są jak ostrza toczone na twardym kamieniu”...

Paweł przewrócił kartkę i szukał wzrokiem imienia, którego te inwokacje były skierowane. Przejrzał kilka następnych kartek, lecz i na nich nic nie znalazł. „Ty” powtarzało się dość często i brzmiało raczej jak abstrakcja. Nonsensem byłoby przypuścić, że chodzi o niebieskie, roziskrzone i naiwne oczy Marychny. Do kogo zatem pisane są te listy? Cały sposób bycia Krzysztofa wskazywał, że jest on po uszy zakochany w Marychnie, a przecież pisze:

„Tęsknię do Ciebie tęsknotą rozpaczy, tęsknotą odartą z wszelkich nadziei. Nie możesz wiedzieć, jak bardzo nienawidzę Cię za to, że Cię osiągnąć nie mogę, że jesteś tak daleko, dalej niż marzenia wybiec mają odwagę”...

To brzmiało dość wyraźnie: podczas studiów za granicą Krzysztof musiał zakochać się w jakiejś cudzoziemce, prawdopodobnie ze sfer wyższych, lub też... nie jest zdolny do spełnienia zadania mężczyzny wobec kobiety. Paweł zaśmiał się i urwał. Marychna powiedziała kiedyś: w książeczce wojskowej było napisane: „kategoria A – zdrów”.

– Ależ do stu diabłów, książeczka wystawiona została przez komisję poborową w rzeczywistości dla Feliksiaka! Po cóż ten smarkacz pojechał za granicę z dziewczyną?!...

Znowu zaczął przewracać kartki. Nie umiał zdobyć się na systematyczne, kolejne ich przewertowanie. Jasnoszary, w seledyn wpadający ich kolor, jedwabista szorstkość papieru i ten zapach. Podniósł je do twarzy i oddychał przez długą chwilę subtelnym, nikłym zapachem perfum. Przypominały narcyzy.

„Ucieczka od rzeczywistości jest beznadziejna, skoro się wie, że można się zabić, tłukąc głową o ściany swego małego więzienia. Dziś w nocy poznałem, co to jest płacz. I pomyśleć, że Ty nigdy nie dowiesz się, ile razy tej nocy zaklinałem Cię imionami tak gorącymi, że aż piekły mi usta. Czemuż nie wolno mi wyszeptać ich Tobie. Gdybyś bodaj jeden ich dźwięk usłyszał, poznałbyś, czym jestem dla Ciebie”...

Paweł ściągnął powieki i przeczytał jeszcze raz:

„...Gdybyś bodaj jeden ich dźwięk usłyszał, poznałbyś, czym jestem dla Ciebie”...

– Najwyraźniej pisane do mężczyzny! Homoseksualista, czy co u licha?...

Odkrycie to napełniło Pawła jakimś dziwnym nastrojem: śmiech, zdziwienie i pewnego rodzaju niedorzeczna, a pikantna wstydlivość. Lecz cóż w takim razie znaczy Marychna i jej rola, i te poezje, i te kwiaty, i ten wyjazd, i to opowiadanie Krzysztofa o Hinckemannie, pozbawionym na froncie walorów męskości?...

Stek absurdów. Czy ten chłopak nie jest po prostu chory na pomieszanie zmysłów? Paraliż jego ojca może tu mieć swoje następstwa. Paweł czytał:

„Nie zrozumieją tego nigdy, jak wielka jest ich zbrodnia wobec mnie. Przebaczyć, to nic znaczy nic więcej ponad zrozumieć, a ja zrozumieć nie mogę. Czyż można przebaczyć to, że się komuś zabrało jego istotę, jego osobowość, że się wtrąciło go w potworne kłamstwo, którego czeluść jest tak bezdena i tak pusta”.

– Stek absurdów – Paweł z niezadowoleniem złożył kartki i wcisnął je do teczki – oczywiście Krzysztof uprawia beletrystykę, i to beletrystykę filozoficzną!

Cisnął teczkę i zaśmiał się głośno. Krzysztof właśnie wygląda na poronionego poetę czy powieściopisarza, i to w mazgajskim stylu. Dyrektor techniczny przedsiębiorstwa przemysłowego piszący podobne bzdury to więcej niż śmieszność.

Paweł w ogóle nie cierpiał literatury pięknej i nigdy jej nie brał do rąk. Wydawało mu się szczytem idiotyzmu już samo to, że jakiś dojrzały i skądinąd rozsądny człowiek może z poważną miną oddawać się przez całe życie płodzeniu fantastycznych historyjek o fantastycznych ludziach, że zajmuje się obmyślaniem nieistniejących papierowych konfliktów, stwarzaniem fikcyjnych zagadnień, babraniem się w czymś, co w ogóle nie istnieje.

Obrażała go bezpłodność tej pracy, jej bezprzedmiotowość i napuszczona wiara w potrzebę własnej egzystencji. Usprawiedliwiał pisanie wierszy tak, jak umiał wytłumaczyć sobie naturalność u niektórych ludzi śmiechu i łez. Ale powieści, z ich perypetiami, z ich rozciągłością, nie mogły przecież uchodzić za eksplozję emocjonalną, za wytrysk natchnienia. Jeżeli zaś autor chciał w nich wyrazić swoje myśli i poglądy, czyż nie prościej było napisać broszurę rozważań filozoficznych lub po prostu kilka kartek aforyzmów. Kiedyś, gdy w jednej z kawiarni paryskich, gdzie przez pewien czas ocierał się o cyganerię, wypowiedział te swoje poglądy, jakiś Włoch czy Rumun wyjaśnił mu z piedestału augura:

– Literatura piękna nie jest niczym innym, jak filozofią stosowaną. Oczywiście, mówię o literaturze stojącej na wyższym poziomie.

Notabene ów Włoch był ideologiem pewnej grupy malarskiej, propagującej krucznię przeciw sztuce stosowanej. I to tym ostrzejszą, im wyższy poziom to zastosowanie osiągało.

Dla Pawła samo życie zbyt wiele zawierało w sobie elementów powieściowych, zbyt wiele węzłów dramatycznych, konfliktów żywych, krzyczących prawdziwym głosem bólu, brzęczących prawdziwym złotem, ociekających prawdziwą krwią, by miał ich szukać w powieści. Ileż fabuł, ile anegdot żywych ludzi spletało się w jego oczach, ile mogło i musiało się spletać pod jego własną ręką!

Ze szkoły rosyjskiej zapamiętał strofkę z *Eugeniusza Oniegina*, gdzie poeta z litością patrzy na człowieka uczącego się życia i miłości z powieści. Oczywiście, pomniejsza tym samym radość, jaką może wydobyć z rzeczywistego świata, dreszcz, jaki daje prawdziwe życie.

A już tego typu literatura, jaką uprawia Krzysztof, świadczy wręcz o swego rodzaju zбочeniu psychicznym, o wyżywaniu się w jałowej abstrakcji.

Pomimo całego poirytowania, wywołanego przez dziwaczny utwór Krzysztofa, Paweł w ciągu kilku dni nieraz zaglądał do teczki, wydobywał z niej szare arkusiki jedwabistego papieru i odczytywał niektóre ustępy. W każdym razie zdawały się upewniać o jakiejś bliżej nie określonej tragedii rozgrywającej się w duszy tego chłopca. W każdym razie by tu wyraz jakiegoś nienazwanego cierpienia, do którego nie dawały się dopasować ani ironiczne komentarze, ani złośliwe uśmiechy. Najwyżej wzruszenie ramion, niezadowolone, denerwujące, omal gniewne.

Tymczasem wraz z przyjazdem prezesa hut śląskich, Manfreda Knoffa, zaczął się dla Pawła okres wielkich prac wstępnych, których celem było stworzenie trustu metalowego.

Wprawdzie od lat dziecińczych Paweł znał krajowe sfery przemysłowe, wprawdzie w domu ojca spotykał wszystkie grube ryby z tego świata, a i teraz poznał ich wiele, nigdy jednak nie przypuszczał, by ich konserwatyzm i brak zmysłu ryzyka mogły stać się tak poważną przeszkodą do przeprowadzenia jego planów.

Ludzie ci, zastraszeni fiskalną polityką rządu, widmami najgorszych koniunktur, wyrastającymi nad Zachodem sowiecką „piatiletką” i upadkiem konsumpcji w kraju, przemieniali się w strusia, chowające głowę w piasek i liczące godziny, jakie ich dzielą od katastrofy.

– Z tego, co tu słyszę – mówił Paweł na dużej konferencji w Banku Przemysłowców – od

noszę wrażenie że szczytem marzeń panów jest powolna śmierć od anemii. A ja twierdzę, że stokroć lepsza jest walka z groźbą katastrofy, jeżeli idąc przeciw niej mamy bodaj trzydzieści szans na sto, że potrafimy ją wyminąć.

Jego optymizm nie był optymizmem bezruchu, a miał w sobie tyle dynamiki, że chociaż nie zdołał pociągnąć innych, sprawił jedno: Paweł w krótkim stosunkowo czasie stał się tym, ku któremu zwracały się oczy pozostałych.

Zajął pozycję centralną, reprezentował aktywność, siłę, a przede wszystkim świadomość celów.

O tych celach nigdy nie mówił wyraźnie. W całym swoim działaniu niezwykle jasny, precyzyjny, ścisły, nie pozostawiający żadnego pytania bez wyczerpującej odpowiedzi, tu zasłaniał się niedomówieniami.

Wiedział z góry, jakie to wywoła skutki. W psychice ludzkiej gdzieś na samym jej dnie leży najsilniejsza bodaj potrzeba wiary, potrzeba religii, potrzeba przeświadczenia, iż poza rzeczami dającymi się ogarnąć własnym umysłem istnieją koncepcje wyższe, prawdy nie dla każdego dostępne, których losy pozostają w ręku Opatrzności względnie ludzi opatrznosciowych. I właśnie człowiek opatrznosciowy, on tylko, może sobie pozwolić na zamknięcie przed innymi tajemnic swoich wyższych planów i głębszych przemyśleń.

Ta religia ludzi słabych była największym sojusznikiem Pawła w przewycięzaniu oporu nielicznych tych, którzy aż do znudzenia domagali się ostatecznych konkluzji, trzymając się fanatycznie przekonania o nieomyślności sprawdzianu swego rozumu i o urojonym obowiązku przykładania tego sprawdzianu do wszystkiego, cokolwiek na drodze spotykali. W każdym razie i w ich oczach Paweł zyskał pozycję wybitnej indywidualności, wyrazem czego było powołanie go na stanowisko prezesa komisji organizacyjnej przemysłu metalowego.

Wszystkie obrady odbywały się w ścisłej konspiracji. Ich temat i dyskusje pozostały dla opinii publicznej nieznane. Już sam fakt jednak zjazdu w Warszawie potentatów przemysłowych nie mógł ująć uwagi prasy. Jej chciwość informacji zaspokojona została krótkim komunikatem, opiewającym, iż do walki z kryzysem przemysł metalurgiczny powołał specjalną komisję, na czele której stanął pan Paweł Dalcz, naczelny dyrektor Zakładów Przemysłowych Bracia Dalcz i S-ka. Informacja byłaby niczym, gdyby nie grubość druku, jakim ją podano, gdyby nie to, że pociągnęła za sobą lawinę artykułów ekonomicznych, omawiających zdarzenie, o którym nic lub prawie nic nie wiedziano, a do którego wielką należało przywiązywać wagę.

Prezes Paweł Dalcz zajął na widowni publicznej jedno z eksponowanych miejsc.

Przysporzyło mu to wiele pracy. Stosunkowo najmniej czasu zajmowały posiedzenia. Tu przychodził zwykle z gotowym materiałem, z gotowymi wnioskami, które niemal bez dyskusji były przyjmowane. Natomiast wiele godzin poświęcić musiał konferencjom z redaktorami pism gospodarczych, z posłami zajmującymi się kwestiami ekonomicznymi, z osobistościami z rządu. Równie długie godziny spędzał nad tasiemcami tablic i wykresów statystycznych. Z biegiem prac projekt trustu dla niego samego stawał się coraz mniej realny, natomiast w umyśle jego zaczynały się konkretyzować plany inne, bliższe i korzystniejsze: koncentracja eksportu.

W miarę zapoznawania się z sytuacją doszedł do przekonania, iż przyczyną głównego niedomagania przemysłu jest brak kredytu, że konieczność ustawicznego ograniczania produkcji jest zmorą gnębiącą wszystkie fabryki i wszystkie kopalnie. Z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że państwo, coraz bardziej potrzebujące przyływu obcych walut, całkowicie poszłoby na rękę przemysłowi metalowemu, dając premie wywozowe znacznie wyższe niż dotychczas, o ile by tylko eksport wzrósł o tyle, że dopływ walut obcych zwiększyłby się znacznie.

Istniały też i inne dane pozwalające przypuszczać, że można byłoby dojść do cen dumpin-  
gowych całkowicie skutecznych. Wszystko to byłoby możliwe jedynie w wypadku utworze-  
nia central sprzedaży, central posiadających monopol handlu z zagranicą.

Z prowizorycznych obliczeń wynikało, że instytucja taka musiałaby dawać przemysłow-  
com poważne dochody. W tych dochodach partycypowałyby, oczywiście, i fabryka Dalczów,  
*eo ipso* partycypowałyby i Paweł w jakiejś drobnej części, a to właśnie, że tylko w drobnej,  
bynajmniej go nie pociągało.

Nigdy filantropem nie był i nigdy altruizm go nie rozpierał.

Wprawdzie mógł liczyć na pewno, że objąłby kierownictwo centrali, a co za tym idzie ko-  
rzystalby z wysokich tantiem, jednakże byłby tylko mandatariuszem innych, a przecie nie o to  
mu chodziło.

Gra warta była świeczki jedynie w tym wypadku, w którym stałby się niezależnym panem  
owej centrali. To zaś wymagało posiadania kolosalnych sum, idących w dziesiątki milionów.  
Rzecz musiała być oparta na długoterminowym kredycie, musiała mieć czas na wielkie obroty  
koła. Zapewniałaby nie tylko ogromne zyski, lecz i decydujący wpływ na lwią część przemy-  
słu krajowego.

Do jej zrealizowania brakowało tylko owych kilkudziesięciu milionów, a zatem należało  
pomyśleć o drogach, którymi można je zdobyć.

Z konieczności prace komisji organizacyjnej przemysłu metalowego musiały ulec nieja-  
kiemu zahamowaniu, dały jednak już wkrótce pozytywne korzyści pod postacią regulacji nie-  
których cen i podziału rynku na sfery działania. W związku z tym pozycja Pawła w kołach  
przemysłowych zyskiwała coraz bardziej.

Wiedział, co o nim mówiono i kto mówił, wiedział, że zbliża się do osiągnięcia tak nie-  
zbędnego dlań pełnego zaufania.

Przyczyniły się do tego i te skutki, jakie jego kierownictwu zawdzięczała fabryka Dal-  
czów. W ogólnym kryzysie pomyślny stan interesów tej fabryki zwracał powszechną uwagę,  
a zasługę przypisywano wyłącznie talentom Pawła. Nie odbiegało to zresztą od rzeczywistego  
stanu rzeczy. Szybkie orientowanie się w rynku i umiejętność poznawania ludzi, z którymi  
miał styczność, robiły z Pawła nie tylko dobrego administratora, lecz i handlowca, który zaw-  
sze w porę potrafił wyzyskać pomyślny układ okoliczności.

Oczywiście, pan Karol Dalcz, mając dzięki wyczerpującym informacjom Blumkiewicza  
dokładny obraz przemian w przedsiębiorstwie, nie mógł przed sobą ani przed Pawłem ukry-  
wać swego dlań uznania. Nie było to zresztą na rękę Pawłowi, gdyż chory chciał go widywać  
coraz częściej, odrywając go od nawału zajęć. Przyczyniał się zapewne do tego i przedłużają-  
cy się pobyt za granicą Krzysztofa, którego panu Karolowi brakowało. Świadectwem tego  
było coraz częściej powtarzające się w rozmowach imię nieobecnego. Któregoś dnia Paweł  
zapytał żartobliwie:

– Czy stryj nie przypuszcza, że to opóźnianie powrotu ma posmak romantyczny?

– Masz jakieś powody do tego rodzaju podejrzeń? – pan Karol utkwiał badawczy wzrok w  
twarzy Pawła.

– Nie, bynajmniej. Ty, stryju, chyba lepiej wiesz, czy Krzysztof ma w Szwajcarii jakąś  
flamkę.

– Jest młody – sucho urwał chory.

– Młody – pobłażliwie skinał głową Paweł – i romantyczny. Przejdzie mu to z wiekiem.  
Wygląda nawet na poetę. Czy stryj nie obawia się, że on na przykład pisuje wiersze?...

Zdumione spojrzenie pana Karola było więcej niż zaprzeczeniem.

– No, więc nowele, powieści, pamiętniki?...

– Myślę, że to jest wykluczone. Skąd, u licha, przyszedł ci na myśl takie podejrzania? Krzyś  
jest jeszcze młody, ale zawsze był rozsądny.

– Nie podejrzania. Po prostu każdy z nas ma w wieku młodzieńczym pewną dozę romanizmu, którą musi w sobie przepalić, jeżeli nie chce do siwego włosa zostać wariatem. Jedni wyładowują to w grafomanii, drudzy w awanturach miłosnych, inni włócząc się po egzotycznych krajach lub służąc w wojsku i polując na laury bohaterów... Tak...No, Krzyś ma chyba za słabe zdrowie na żołnierza. Czy on służył w wojsku?

Pytanie było zadane najobojętniejszym tonem, a pomimo to pergaminowa twarz chorego pokryła się rumieńcem.

– Owszem, służył. Odbył całą służbę szeregowca w 67 pułku piechoty.

– Szeregowca? Przecież musiał mieć prawa jednorocznego i skończyć podchorążówkę?

– Tak. Ponieważ jednak nie nostryfikował matury zagranicznej...

– Ano tak – powiedział Paweł i zaczął mówić o czymś innym.

Umyślnie chciał sprawdzić twierdzenie Feliksiaka przed rozmową z nim. Teraz nie ulegało wątpliwości, że Feliksiak mówił prawdę, że zatem nie za darmo otrzymał z kasy fabrycznej swoje uposażenie. Zważywszy rzecz dokładnie, Paweł postanowił wstrzymać się od jakichkolwiek kroków do czasu powrotu Krzysztofa. Dlatego też nie wzywał Feliksiaka. Nie upłynął jednak miesiąc, gdy ten zgłosił się sam.

Stał przed biurkiem i ponuro patrzył w ziemię.

– Nie rozumiem, o co wam chodzi – spokojnie perswadował Paweł – otrzymujecie przecie wasze pieniądze regularnie?

– Otrzymuję...

– Więc czegoż jeszcze chcecie?

– To, że nie ja na nie zarabiam.

– I cóż to was obchodzi, grunt, że je macie.

Feliksiak przestąpił z nogi na nogę:

– Ja nie chcę darmo. Pracować chcę, panie dyrektorze. Kaleką nie jestem.

Paweł podniósł brwi:

– Zapracowaliście je dawniej, służąc za mego stryjecznego brata w wojsku. Nie rozumiem waszych skrupułów.

– Za tamto otrzymałem gotówkę, a praca mi się należy. Niech pan dyrektor uwzględni i da mi zajęcie w fabryce. Ludzie zwiedzieli się, że nic nie robię, a pieniądze biorę.

– Jak to zwiedzieli się? Któż im mógł powiedzieć?

– A bo ja wiem – zdetonował się Feliksiak – może i sam przez głupotę pochwaliłem się, a teraz nijak nie mogę bez pracy, bo choćby i nie gadali, to bez roboty ciężko...

W zasadzie Paweł nic nie miał przeciw przyjęciu go do fabryki. Nie potrzebował liczyć się z tym, co o tym będą mówili w warsztatach. Wolał jednak przeciągnąć stan prowizorium by móc mieć dobitny pretekst do postawienia sprawy na ostrzu zaraz w pierwszej rozmowie z Krzysztofem. Dlatego powiedział Feliksiakowi, że może załatwić jego życzenie dopiero w przyszłym tygodniu. Był przekonany, że do tego czasu Krzysztof zdąży się nacieszyć miodową podróżą i wdziękami Marychny. Okazało się jednak, że się mylił.

## Rozdział VIII

Z Dworca Głównego Marychna wprost pojechała do domu. Od czasu gdy rozstała się z Krzysztofem w Wiedniu, była półprzytomna. Do samej granicy dręczyły ją obawy, że nie zdoła się porozumieć z konduktorami, z urzędnikami komory celnej i z wszystkimi tymi ludźmi, mówiącymi z nią po niemiecku, lecz tak szybko i niewyraźnie, że jej wiadomości zdobyte w gimnazjum pozwalały zaledwie na odgadywanie brzmienia poszczególnych słów.

W przedziale była sama. Usnęła dopiero nad ranem, a obudziła się w chwili, gdy pociąg ruszał ze stacji w Częstochowie. Była zziębnięta, a przemęczenie, jakie dołączyło się do jej straszliwego stanu nerwowego, sprawiło to, że posądzała siebie o obłąd. Szczękając zębami wchodziła za stróżem, wnosząc na schody jej walizki. Prędko i bez uśmiechu przywitała się z gospodynią, a gdy znalazła się w swoim pokoju, czym prędzej zamknęła drzwi na klucz, odgradzając się nimi od reszty straszego świata. Długo leżała na łóżku w futrze i kapeluszu, zalewając się łzami. Nie słyszała lub prawie nie słyszała troskliwego pukania do drzwi. Odałaby pół życia za to, by móc przytulić się do kogoś, by komuś wyszlochać cały koszmar swoich przeżyć.

– Nikogo nie mam, nikogo...

Pawłowi nawet na oczy wstydziłaby się pokazać. Do Zielonki nie pojedzie za żadne skarby. Bo i po co?... Milczeć, zmuszać się do milczenia wówczas, gdy aż boli w piersiach od potrzeby mówienia, gdy wstyd zamyka usta, a przysięga stoi nad nią jak czarna groźba. Nie, nie wyjdzie stąd w ogóle, nie będzie z nikim mówiła, choćby chciała nie zastosować się do narzuconej samotności, ta samotność była jedynym obecnie jej ratunkiem, jedyną osłoną...

– Boże, Boże – płakała Marychna.

Dopiero wieczorem, gdy w pokoju było już prawie ciemno, a pukanie gospodyni powtórzyło się, ciężko podniosła się, zdjęła kapelusz, futro i rękawiczki. Przekręciła klucz w zamku i natychmiast cofnęła się w najmroczniejszy kąt.

– Co pani jest, panno Marychno? – przerażonym głosem pytała gospodyni.

– Nic, nic...

– Ależ pani musiało coś się stać!

– Bynajmniej, nic...

– Pani jest pewno głodna? – sięgnęła ręką do kontaktu.

– Proszę nie zapalać – histerycznie krzyknęła Marychna – ja nie chcę, proszę nie zapalać.

– Uspokój się, drogie dziecko, nie zapalę, jeżeli nie chcesz...

Gospodyni zbliżyła się do niej i zaczęła ją głaskać po włosach; z oczu Marychny popłynęły znowu łzy.

– Spokoju – ciepłym szeptem mówiła gospodyni – spokoju. Nie ma tak złych rzeczy na świecie, które nie dałyby się odrobić...

Ręka łagodnie zsunęła się na wilgotną twarz, zsunęła się serdeczną pieśczętą i przyciągnęła głowę Marychny do piersi.



Sekunda wystarczyła Marychnie do odnalezienia w sobie przerażającego wspomnienia. Dotyk piersi gospodyni napelniał ją panicznym strachem. Wyrwała się z jej objęć i odskokczyła do okna.

– Proszę mnie nie dotykać – zaczęła wołać błaganym głosem – proszę mnie nie dotykać...

– Co ci jest, biedactwo?! – przeraziła się również gospodyni.

– Proszę mnie nie dotykać – powtarzała Marychna.

W półmroku widziała tylko szczupłą wysoką sylwetkę gospodyni i jej ręce, wyciągnięte, jak się zdawało Marychnie – chciwym, zachłannym ruchem.

– Dam pani kropli walerianowych – zdecydowała się wreszcie gospodyni i szybko wybiegła z pokoju.

To nieco opamiętało Marychnę.

– Zachowuję się naprawdę jak wariatka – usiłowała opanować nerwy, lecz w tej chwili przyszło jej na myśl, że może w rzeczywistości dostała pomieszania zmysłów... Przecież ludzie, którzy mieli różne straszne wypadki w życiu, nieraz dostawali obłądu...

– Niech pani to wypije, moje dziecko – wróciła gospodyni i wyciągnęła do niej rękę z kieliszkiem.

Smak lekarstwa był mdły i przykry, Marychna ostrożnie, tak by nie dotknąć palców gospodyni, oddała kieliszek.

– Powinna pani, panno Marychno, położyć się zaraz do łóżka. Pościelę pani.

Zabrała się do ślania, później przyniosła gorącą herbatę, od której w pokoju rozszedł się zapach koniaku. Była tak dobra, że nie męczyła już Marychny pytaniami, że odeszła cicho, zamykając za sobą drzwi. Marychna krótkimi spragnionymi łykami wypila herbatę, mocną, gorącą, aromatyczną. Siedziała chwilę skulona na brzegu łóżka. Pomału zaczęły ją ogarniać ciepło, spokój i senność. Rozebrała się i wślizgnęła się pod kołdrę.

Z początku myśli kłębiły się w głowie, a gdy usnęła, przekształciły się w straszne potwory, które pochylały się nad nią, śmiały się, usiłowały zderzyć z niej kołdrę... Wreszcie zapadła w ciemną niemoc głębokiego snu.

Gdy się obudziła, musiało być bardzo późno. Słońce iskrzyło się na zamarzniętych szbach, w pokoju było jasno i pogodnie.

Nareszcie jest w Warszawie, nareszcie bezpieczna. Tu będzie miała możliwość obronienia się, możliwość ucieczki. Przypomnił się jej olbrzymi mroczny labirynt korytarzy hotelowych, pokrytych tak grubym sukniem, że nie słyszała nawet tupotu swoich bosych nóg, kiedy w panicznym, bezrozumnym lęku uciekała na oślep owej pierwszej nocy.

Postąpiła wówczas niemądrze, nawet bardzo głupio, bezmyślnie. Gdyby się zastanowiła, gdyby mogła się zastanowić, że jest wśród obcych, że nie potrafi przed nikim wytłumaczyć się ze swego strachu, ze wstępu, który jej zaciskał gardło... Tu jest wśród swoich, tu może się bronić. Myśl skoncentrowała się na drzwiach: czy klucz w zamku jest przekreślony?...

I tam zamknęła się w łazience, lecz w końcu musiała otworzyć... Jakie to straszne i jakie obrzydliwe...

Czuła się dziś znacznie spokojniejsza, a przecież na każde wspomnienie kurczyły się jej wszystkie mięśnie, a ręce zwijały się w piąstki i same podnosiły się do ust, jak u chorej małpki w ogrodzie zoologicznym... Tak to nazywała tamta.

Kiedy wyjeżdżała z Warszawy, była w tak dobrym humorze, nawet starała się rozruszać wciąż zamyślonego Krzysztofa. Krajobraz przesuwający się za szybą wagonu pochłaniał jej uwagę do tego stopnia, że coraz rzadziej wspominała nawet Pawła. Później Wiedeń, wielkie słoneczne miasto, gdzie ludzie mówią głośno i wesoło, gdzie wszyscy, choćby się nie uśmiechali, wyglądają jak uśmiechnięci. Tu jeszcze była szczęśliwa. W hotelu miała osobny pokój, a Krzysztof pocałował ją tylko na dobranoc i prędko wyszedł. Była tym nawet trochę rozczarowana i odrobinę nań rozgniewana. Gdybyż mogła wiedzieć...

Wczesnym rankiem wyjechali. Krzysztof był ponury i milczał przez całą drogę, a ona pochłonięta obawami, jak się będzie przed nim tłumaczyć z tego, że nie jest niewinną. Drżała na samą myśl, że mu nie potrafi odpowiedzieć, gdy zapyta, czy to nie Paweł? On tak nienawidzi Pawła. Wiedziała, że wówczas nie zdoła opanować rumieńca i że tym się zdradzi.

Potem były góry, olbrzymie, zaśnieżone góry, po których zboczach pociąg piał się wciąż wyżej, zdawało się, i wyżej, a potem hotel zawieszony jak gniazdo jaskółcze, przyklejony gdzieś pod chmurami do małego występu góry. Z daleka wyglądał jak dziecinna zabawka, a przecie był to olbrzym. Z okien ich pokoi rozciągał się bezkresny widok na wielkie kolisko zaśnieżonych olbrzymów.

Nad wieczorem zerwała się straszliwa śnieżycą. Wicher dał, aż się zdawało, że pod jego naporem przechylił się gmach hotelu i stoczył się w dół jak tekturowe pudełko.

– Kładź się spać – powiedział Krzysztof jakimś zimnym, nieprzyjemnym tonem – przyjdę ci powiedzieć dobranoc.

Leżąc w łóżku długo słyszała jego nerwowe nieustające kroki w sąsiednim pokoju. Minęła może godzina, może więcej, zanim zdecydował się wejść. Przez półprzymknięte powieki widziała w smudze światła jego smukłą sylwetkę w czarnej jedwabnej pidżamie. Zbliżył się i zimną jak lód ręką dotknął jej ramienia:

– Czy śpisz, Marychno?

Uśmiechnęła się i pomyślała, że na pewno nie miał nigdy żadnej kobiety i że to bardzo dobrze. Pochylił się nad nią i długo patrzył w jej oczy z jakimś rozpaczliwym grymasem na ustach. Później lekko uniósł kołdrę i znalazł się obok niej.

– Kochany – szepnęła tuląc twarz do jego ramienia.

Leżał nieruchomo, potem kilku szybkimi ruchami zdjął pidżamę i oto poczuła na całym ciele dotyk jego gładkiej jak aksamit skóry. Ręce oplótły jego talię. Nigdy nie wyobrażała sobie, że jest tak piękny. Zaczął całować jej usta, oczy, szyję, piersi, tymi samymi co zawsze dziwnymi pocałunkami, jakby po każdym smakował jego rozkosz.

O, pamięta każdą sekundę, każdy ułamek sekundy z tej okropnej nocy.

Ogarniał ją przenikliwy, dziwny nastrój, zupełnie inny niż ten, jaki wywoływały pieszczoty Pawła... Przecie nie brzydziła się Krzysztofa. Przeciwnie. A jednak odczuła nagłą odrazę. Cofnęła się i obu rękami zasłoniła się przed nim.

Jakże strasznie krzyknęła wówczas!... Pod palcami uczuła najwyraźniej dwoje drobnych, jędrnych kobiecych piersi...

Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi, opanował ją tak nagły, tak przeraźliwy wstręt, jakiś spontaniczny napływ wstydu, jakiś wprost fizyczny wstrząs obrzydzenia...

Nie wiedząc, co robi, zerwała się z łóżka i rzuciła się do drzwi. Były zamknięte. Przebłysk świadomości: drzwi od drugiego pokoju są otwarte. Wbiegła tam, lecz zanim dopadła drzwi, Krzysztof jej zabiegł drogę... Krzysztof!... Och, jeden moment wystarczył, tu w pełnym świetle lampy, jedno spojrzenie przerażonych oczu, by się przekonać, że się nie omyliła, że on jest kobietą...

– Marychno, Marychno – rozgniewany szepł nappełniał ją jeszcze większym strachem.

Skoczyła, by uniknąć dotyku wyciągniętych rąk, i wówczas to właśnie znalazła się w olbrzymim labiryncie mrocznych korytarzy...

To prawdziwe szczęście, że boso i w koszuli nocnej nie spotkała wówczas nikogo. Musiało upłynąć więcej niż pół godziny, zanim ją Krzysztof odnalazł. Otulił ją swoim szlafrokiem i szcękającą zębami odprowadził do łóżka.

Zażębiła się. W korytarzach było zimno. Do rana nie usnęła, trzęsąc się jak w febrze. Z rana trzeba było wezwać lekarza. Miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki i męczący kaszel.

Krzysztof przez osiem dni pielęgnował ją w milczeniu.

Nocami w malignie śniły się jej czarne tragiczne oczy, patrzące z bezbrzeżnym smutkiem. Ile razy badał jej puls, dotyk jego ręki nappełniał ją wstrętem. Nic nie mówił. Dopiero gdy go-

rączka już całkiem spadła, a Marychna czuła się już znacznie lepiej, zaczął opowiadać. Marychna wciskała twarz w poduszkę i płakała. Mój Boże! było to takie smutne, takie straszne.

Z jakichś bardzo ważnych względów rodzinnych czy majątkowych od małego dziecka wychowywano Krzysztofa jako chłopca. Zamknięto przed nim prawdziwe życie, nie pozwolono być sobą. Już do śmierci musi udawać mężczyznę i raz na zawsze wyrzec się tego, co jest szczęściem dla każdej kobiety: miłości, prawdziwej miłości. I tłumaczył: czyż Marychna może mu to wziąć za złe, że szuka u niej odrobiny uczuć, namiastki szczęścia, którego na zawsze jest pozbawiony?...

I Marychnie w dzień, kiedy siedział przy jej łóżku w ubraniu i z papierosem w ustach, kiedy słyszała jego pełen smutku głos, niski, altowy, prawie męski, kiedy widziała jego bolesny wyraz oczu, zdawało się, że jednak potrafi, że musi poświęcić się, że nie ma nawet w tym aż tak wielkiej ofiary. Ale przyszła noc... I jakże wówczas wszystko inaczej wyglądało!... Skądś, z wnętrza wypełzła odraza tak silna, że do bólu trzeba było zaciskać zęby, by nie krzyzczeć, trzeba było niesłuchanego wysiłku wyobraźni, by przypomnieć pieszczoty Pawła i z uporem wmawiać w siebie, że to tamten, by uwierzyć, że te soczyste, wyrafinowane usta, że te wąskie atlasowe ręce są ustami i rękami Pawła!...

Na pomoc przychodził alkohol. Teraz przy kolacji piła zawsze dużo wina i to tylko pomagało jej znieść koszmar tych nocy, podczas których czuła się jak królik podczas dokonywanej na nim wiwisekcji. Zdawało się jej, że i Krzysztof także cierpi podczas tych nocy. Nie mówili jednak o tym nigdy. Noce stanowiły jakby odrębny rozdział, jakby całkiem inną stronę ich życia. W dzień Krzysztof był naturalny, jeszcze bardziej naturalny niż w Warszawie. Jeździli do miast, bywali w teatrze, w kinie, a najczęściej w sklepach. Tu Krzysztof kupował Marychnie moc sukien, kapeluszy, pończoch i innych drobiazgów toaletowych.

– Ubieram cię za ciebie i za siebie – mówił z bladym uśmiechem.

Najmilsze godziny, długie godziny poobiednie, spędzali na omawianiu i projektowaniu sukien, koszulek i pidżam Marychny. Teraz chciała uważać go za serdeczną, dobrą przyjaciółkę. Wmawiała to w siebie. Niestety, ani przez chwilę nie mogła wyzbyć się owego nieznośnego uczucia wstrętu, który budził się przy każdym cieplejszym słowie Krzysztofa, przy każdym spojrzeniu czulszym. Na próżno wmawiała sobie, iż zdoła się przyzwyczaić. Z dniem każdym, a raczej z każdą nocą coraz jej było trudniej. Zaczęła prosić Krzysztofa o powrót do kraju. Obiecywał, lecz wciąż zwlekał. Któregoś dnia powiedział przy śniadaniu:

– Źle się czujesz w górach. Wyglądasz blado i oczy masz podsinione.

– Ty też – odpowiedziała cicho.

Rzeczywiście oboje wyglądali tak fatalnie, że kiedy żona właściciela hotelu zatrzymała Krzysztofa i żartobliwie zapytała, czy od dawna są małżeństwem, Krzysztof powtarzając to Marychnie, powiedział:

– Jesteśmy tu zameldowani jako małżeństwo... Jako mąż i żona...

A w chwilę potem dodał:

– Może to kiedyś sprawdzi się, może będziemy małżeństwem...

– Jak to? – zapytała przerażona Marychna.

Krzysztof zaczął mówić. Powinni właściwie pobrać się, zamieszkać razem i naśladować normalny tryb życia innych ludzi. To będzie najlepsze. Namiastka przyjaźni i namiastka miłości, bo cóż innego mu pozostaje?... Ale niech nie myśli, że jest tak samolubny. Bynajmniej. Nie zamierza jej krępować. Jeżeli Marychnie spodoba się ten czy inny mężczyzna... Byle została, byle zechciała zrozumieć, jak wielką jest tragedią nie mieć prawa do prawdziwego życia...

Wówczas Marychna rozplakała się. To nielitościwie wymagać od niej tego. Zawsze zostanie przyjaciółką Krzysztofa, ale na to nie zgodzi się nigdy, za żadne skarby.

Gdy znowu przyszła noc i znowu te straszne, wstrętne, rozkoszne męczarnie – była bliska myśli o samobójstwie.

– Odejdź – błagała – bądź dla mnie dobra...

W ciągu dnia nazywała ją zawsze jej męskim imieniem. Wydawało się to jej całkiem naturalne, ale w nocy kobiecość Krzysztofa wprost przytłaczała swoją oczywistością. Gdy pierwszy raz w takiej chwili nazwała ją „Krzysieńką”, wywołała awanturę:

– Nigdy tak nie mów – surowo odezwał się Krzysztof – nigdy! Chcesz mnie zgubić?!

I wtedy był znowu mężczyzną.

– Musisz zapomnieć o tym! – gniewnie ścisnął przegub jej ręki aż do bólu – jeżeli nie jesteś pewna, czy potrafisz dochować tajemnicy, powiedz mi to zaraz, natychmiast! Palnę sobie w łeb i będzie koniec.

– Ależ ja wcale... – broniła się Marychna, drżąc całym ciałem.

– Owszem, zrób to – nalegał z goryczą – zrób. Zwracam ci uwagę, że w ten sposób najłatwiej się mnie pozbędziesz!

W głosie Krzysztofa brzmiał taki ból, takie cierpienie, że zarzuciła mu ręce na szyję i zaciśnęła zęby, by opanować odrzę.

Nazajutrz z jakiegoś błahego powodu, którego już teraz w ogóle nie mogła sobie przypomnieć, dostała okropnych spazmów. Zbiegli się lokatorzy z sąsiednich numerów i wezwano lekarza. Ten orzekł fatalny stan nerwowy i konieczność odosobnienia. Spojrzał przy tym znacząco na Krzysztofa, chcąc widocznie dać mu do zrozumienia, na czym ta separacja ma polegać. Ponieważ zaś twierdził, że stan jest poważny, Krzysztof tegoż dnia uregulował rachunek w hotelu i wyjechali.

W Wiedniu zatrzymały go jakieś pilne sprawy. Umieścił Marychnę w wagonie i jeszcze przed samym ruszeniem pociągu przypomniał: – Nie więzę cię, Marychno, swoją tajemnicą. Wierzę jednak, że jeżeli zechcesz z kimkolwiek nią się podzielić, zdobędziesz się na tyle uczciwości i szlachetności, że mnie zawczasu uprzedzisz. Sądzę, że przynajmniej na taką życzliwość z twojej strony mogę liczyć za uczucia, które ci daję.

Mój Boże – myślała Marychna – mój Boże, a komuż mogłabym się zwierzyć, on myśli, że ja mam kogokolwiek na świecie... Jestem taka samotna i taka nieszczęśliwa...

Teraz, kiedy była od niego daleko, kiedy miała możliwość ucieczki, gdyby tylko powrócił i żądał od niej znowu tych ohydnych nocy, teraz ogarniała Marychnę jakaś czułość, jakaś prawie tęsknota za Krzysztofem. Nie, raczej nie za Krzysztofem, lecz za tą biedną, skrzywdzoną przez życie dziewczyną... Żebyż mogła coś dla niej zrobić, gdyby mogła jej w czymś pomóc, gotowa byłaby na największe ofiary, byle nie musiała znosić tych dręczących pieścizot... A właśnie niczego więcej od niej nie oczekiwano.

Marychna zastanowiła się:

– Chyba nie to...

W postępowaniu Krzysztofa był jednak jakiś przymus... Naturalnie, przecie i dla niego to musi być wstrętne!...

Lecz natychmiast przyszła refleksja: gdyby było wstrętne, nie potrzebował zmuszać się do tego. Przypomniała sobie wiersze prozą, które czytał jej po francusku. Były to pieśni o miłości jednej kobiety do drugiej, a Krzysztof zachwycił się pięknnością tej poezji.

Jakie to szczęście, że Krzysztof zostanie jeszcze w Wiedniu przez tydzień, a może i dłużej. Obiecała mu wprawdzie, że do czasu jego powrotu nie będzie widywała się z nikim, że nie pójdzie do fabryki. Oczywiście, nie pójdzie, bo i co robiłaby, zresztą długość jej urlopu zależna jest od okresu nieobecności szefa.

Ale chyba do kina wolno jej chodzić albo na spacer? W tym nie ma nic złego...

Pod wpływem ciszy panującej w mieszkaniu i nieustannego a równomiernego hałasu dobiegającego z ulicy, hałasu swojskiego, dobrze znajomego, uspokajała się coraz bardziej. W przedpokoju służąca otwierała piec i wkładała węgiel.

Marychna zaczęła ubierać się. Przez szparę w drzwiach dolatywał smakowity zapach gotującego się rosółu. Poczowała lekkie ćmienie w dołku. Jakże piekielnie była głodna. Od Wied-

nia nic nie jadła, a i przedtem nie miała wcale apetytu. Ostrożnie nacisnęła klamkę. W przedpokoju i w jadalni nie było nikogo. Widocznie gospodyni wyszła. W kuchni powitała ją służąca okrzykiem:

- Jezusie Nazareński! A co to pannie Marychnie jest? Tak zmizerniała!
- Jestem zmęczona podróżą i strasznie głodna...
- Pewno, pewno... zaraz zrobię kawę...

Marychna wróciła do siebie i spojrzała w lustro. Rzeczywiście wyglądała fatalnie. Musiała stracić kilka kilogramów wagi, jej kwitnąca cera stała się przezroczysta i ledwie różowa, pod oczyma znaczyły się dwie niebieskawe plamy.

– Boże, jak ja zbrzydłam – powiedziała głośno i jednocześnie pomyślała, że to wcale nieprawda, gdyż wygląda teraz bardziej interesująco, prawie tak, jak Brygida Helm w filmie *Alraune*.

Śniadanie zjadła z apetytem, po czym zabrała się do rozpakowywania walizek. Ile teraz miała różnych pięknych rzeczy. Wszystko od Krzysztofa. On naprawdę był dla niej bardzo dobry. Rozmieszczanie i porządkowanie rzeczy w szafie zajęło jej czas do obiadu. Na szczęście przy stole był jakiś ksiądz, daleki kuzyn gospodyni, i to uwolniło Marychnę od spodziewanych indagacji. Na dworze był straszny mróz, wobec czego postanowiła nie wychodzić. Jednak beczynność tak jej ciążyła, że około szóstej nałożyła futro i zbiegła ze schodów.

Trafiła do jakiegoś podrzędnego kina, gdzie wyświetlano nudny, stary film. Bohaterka, porzucona przez ukochanego, truje się weronalem i zostawia kartkę: „Nikomiu nie jestem potrzebna, odchodzę w zaświaty”. Wprawdzie ofiara niewiernego amanta w końcu została uratowana, lecz Marychna, wracając do domu, aż do rogu Leszna i Żelaznej była najgruntowniej przeświadczona, że ona też jest nikomu niepotrzebna i też powinna odejść w zaświaty. Szkoda tylko, że w pożegnalnym liście nie będzie już mogła użyć tak pięknego słowa, jak owe zaświaty. Każdy, kto był na tym filmie, wiedziałby od razu, skąd ona to wzięła...

- Dzień dobry pani – usłyszała tuż przy sobie wesoły głos.

Obok niej szedł chemik fabryczny, inżynier Ottman. Jego różowa twarz stała się od mrozu prawie buraczana, a płowe wąsiki pokryte były tak gęstym szronem, że wyglądały jak siwe. W swoim wyszarzałym paletku wyglądał kuso i ubogo, lecz pomimo to Marychna była uszczęśliwiona:

- O, pan tutaj! Co pan w moich stronach porabia?

– To ja powinienem pytać, co pani robi w Warszawie? Słyszałem, że ma pani urlop i szaleje w Zakopanem. Już wraca pani? I tak nie będzie pani miała nic do roboty, bo Wyzbor-Dalcz przyjeżdża dopiero za tydzień.

- Tak? – zapytała Marychna – skąd pan o tym wie?

– Nie mogę się doczekać jego powrotu, mam niektóre rzeczy, których bez decyzji pani szefa nie mogę rozpocząć. Wie pani co? Pani pewno nic pilnego nie ma. Może byśmy wstąpili na muzyczkę do jakiej cukierni?

Marychna zgodziła się bez wahania. Ostatecznie nikogo znajomego prawdopodobnie nie spotkają. Kompromitujące palto Ottmana zostanie w szatni, a chyba ma na sobie jakiś możliwy garnitur.

– Mamy tu bliźutko do przystanku tramwajowego – mówił Ottman – o, zdaje się, idzie „dziewiątka”.

– No, dobrze – zgodziła się Marychna i pomyślała, że to jest okropne, kiedy mężczyzna proponuje jechać tramwajem, a nie taksówką.

W kwadrans później wchodzili już do dużej kawiarni na Nowym Świecie. Garnitur nie był zanadto przywoity, ale orkiestra ślicznie grała cygańskie romanse, kawa była gorąca, a ciastka o całe niebo lepsze niż za granicą. Omal nie wyrwała się z tą uwagą. Na szczęście w porę ugryzła się w język.

Gęsto obsadzone stoliki, muzyka, gwar, chmury dymu papierosowego i ciepło jeszcze bardziej poprawiły jej nastrój. Od trzeciego stolika jakiś wypomadowany brunet robił do niej namiętne „oko”. Ponieważ ubrany był z wyszukaną elegancją, Marychna uczuła się pokrzywdzona i tym życzliwiej zaczęła wypytywać Ottmana o różne sprawy fabryczne, które ją w gruncie rzeczy nic nie obchodziły. Uśmiechała się doń i krygowała jak najwdzięczniej, niech tamten nie myśli, że na jego urodę i elegancję zaraz każda poleci. Po pięciu minutach zerknęła w stronę bruneta. Okazało się, że wszystkie wysiłki były zbędne: trzeci stolik był pusty.

Ottman opowiadał bardzo sympatycznie o swoim laboratorium, o projektach, o kłopotach, które ma z terpentyną. Mówił o rzeczach bardzo nudnych i naprawdę był nudziarzem, ale jakimś swojskim, bliskim, życzliwym.

– Czy wie pan – powiedziała, gdy orkiestra zagrała jakieś sentymentalne tango – że ja miałam bardzo ciężkie, bardzo smutne przeżycia?...

– Pani? – zdziwił się Ottman.

Uczuła się dotknięta jego powątpiewaniem:

– No, nie widzi pan, jak ja okropnie wyglądam? Nie raczył pan nawet zauważyć!

– Pani zawsze ślicznie wygląda – uśmiechnął się jakby z rozczuleniem.

– Cóż, ja nie mam prawa wymagać od pana, żeby pan zwracał na mnie uwagę, ale to przecież rzuca się w oczy! Straciłam co najmniej pięć kilo, a może i dziesięć, miałam straszne przejścia, a to każdy poznałby po mnie!

Była na niego oburzona i przez dobry kwadrans starała się utrzymać minę najbardziej bolesną. Ottman, bardzo speszony, próbował się tłumaczyć, że się na tym nie zna, gdyby była jakimś ciałem chemicznym, wówczas przypuszcza, że umiałby spostrzec każdą najdrobniejszą zmianę, bo to jego fach.

– Dla pańskiej przyjemności – odcięła ostro – nie będę ciałem chemicznym.

Ottman jednak nie zraził się, przeciwnie, zaczął łagodnie przeproszać ją i wypytywać o owe tragiczne przejścia. Marychna, gdyby nie jego niewiara, z jaką o nich mówił, byłaby omal gotowa opowiedzieć mu przynajmniej część swoich przeżyć z Krzysztofem. Dopiero by usta otworzył od ucha do ucha!

Jednakże już sama świadomość noszenia w sobie tajemnicy, o której nikt nie wie, cierpienia, o jakim nie może mieć wyobrażenia żadna z siedzących tu kobiet, dawała Marychnie poczucie wewnętrznej przewagi, pewność, że to nadaje jej urodzie swego rodzaju uduchowienie, nakłada na jej rysy stygmat – zaświatów.

Tymczasem Ottman mówił znów o fabryce, o tym, że firma wykupiła sąsiednie tereny, na których powstanie oddział traktorów, że przedsiębiorstwo się rozszerza i rośnie, a wszystko dzięki obecnemu naczelnemu dyrektorowi: – Rzadko się spotyka takich ludzi jak Paweł Dalcz. Niezwykły człowiek. Wielu w życiu widziałem kierowników różnych instytucji, ale żaden nie miał tak tęgiej głowy i tak pewnej ręki. Oczywiście, czytała pani w gazetach o tym, że został prezesem całego przemysłu metalurgicznego?

Marychna czytała. Pamiętała dobrze tę chwilę. Krzysztof przeglądał pocztę przyslaną z kraju i czytał jej głośno wszystkie artykuły z gazet, gdzie było tyle o Pawle. Bojąc się narazić na nowe podejrzenia, Marychna powstrzymała się wówczas od okazania radości, tym bardziej że Krzysztof czytał z wyraźnym oburzeniem. Musiał bardzo nie lubić Pawła i zazdrościć mu sukcesów, skoro był aż blady. Nic dziwnego. Sam nawet marzyć nie może o tym, żeby się z Pawłem porównać. Udawać mężczyznę, to jeszcze nie znaczy być mężczyzną, zwłaszcza takim mężczyzną jak Paweł.

– W Stowarzyszeniu Techników – mówił Ottman – wszyscy jednogłośnie twierdzą, że Paweł Dalcz jeszcze nie pokazał ani połowy tego, co potrafi. Niezwykły człowiek. Ma rozum, charakter i co najważniejsze, uczciwość...

Marychna myślała: Ma oczy koloru stali i uśmiech, którego zapomnieć nie można, i szerokie ramiona, prawdziwe bary, i głos niski, głęboki, jak dźwięk organów...

– Gdy się z nim rozmawia – zapewniał Ottman – jest się pewnym, że każde jego słowo to szczerze złoto, że nie ma takiej rzeczy, której by mu nie można zaufać czy powierzyć...

A Marychna myślała: Jakim szczęściem byłoby powierzyć mu całą siebie, zaufać mu całe życie...

Dumna była, że jest jego kochanką, dumna była, że właśnie ją sobie wybrał, chociaż – nie wątpiła – mógłby mieć każdą.

A jednak duma nie oznaczała jeszcze radości. Przeciwnie. Paweł w nawale pracy na pewno całkowicie o niej zapomniał. Nie wiadomo, czy znajdzie, czy zechce znaleźć dla niej odrobinę czasu, czy może ma już inną...

– Chodźmy do domu – westchnęła – późno i jestem zmęczona.

Ottman odprowadził ją do domu i zapewnił, że skoro ona sobie tego nie życzy, na pewno nikomu w fabryce nie powie, że wróciła z urlopu: – Zresztą ja tam z nikim nie rozmawiam o prywatnych rzeczach. Tylko z panią – uśmiechnął się z tkliwością – do widzenia pani, panno Marychno, życzę przyjemnych marzeń.

– Dobranoc, dziękuję.

Ottman przytrzymał jej rękę:

– A jak pani nie będzie miała nic lepszego do roboty i żadnego miłszego towarzystwa, proszę do mnie zadzwonić, albo do laboratorium, albo do domu. O, tu jest mój telefon. – Podał jej kartę wizytową i czekał w bramie, póki nie wbiegła na schody.

Tak, jak przewidywała, gospodyni natychmiast zapukała do jej pokoju. Próbowwała wyciągnąć ją na zwierzenia, lecz Marychna powtarzała wciąż, że już jej nic nie jest, że była wczoraj przemęczona podróżą.

Nazajutrz i następnego dnia gospodyni znowu usiłowała ją wybadać, zabierała się do tego różnymi sposobami, lecz Marychna zamknęła się w sobie.

Właśnie trzeciego dnia otrzymała od Krzysztofa list. Był zalakowany wielką pieczęcią, ale wewnątrz znalazła zaledwie kilka zdań: przypominał jej obietnicę, pisał, że jest bardzo zajęty i że zawiadomi ją telegraficznie o dniu swego powrotu.

Daj Boże – myślała Marychna – daj Boże, żeby wcale nie przyjechał.

Właściwie nie pragnęła tego. Czowała się ogromnie osamotniona. Bądź co bądź teraz, kiedy nie mogła zobaczyć Pawła, brakowało jej Krzysztofa. Usiłowała nawet łudzić się przypuszczeniem, że Krzysztof po przyjeździe znowu będzie taki w stosunku do niej, jakim był dawniej w Warszawie, że nie będzie od niej wymagał tego, co ją napępniało zgrozą i wstrętem. Mogą przecież być najwierniejszymi, najbardziej kochającymi się przyjacielkami.

Mróż spadł zupełnie. Stało się to niespodziewanie w nocy. Całe miasto zmieniło swój kolor. Dachy połyskiwały w słońcu lakierowaną czernią, ulice ociekały wodą. Przed obiadem lunął najprawdziwszy wiosenny deszcz. Późno w tym roku zaczynała się wiosna, lecz przyszła nagle i wszechwładnie ogarnęła wszystko. I Marychna czuła się tego dnia dziwnie ożywiona i wesola. Zadzwoniła do Ottmana i razem wybrali się na spacer.

– Nieładnie tu – powiedziała Marychna – chodźmy lepiej zobaczyć Aleje.

Już drugi raz od swego powrotu chodziła w Aleje Ujazdowskie. Bynajmniej nie po to, by spotkać Pawła, jedynie w celu zerknięcia w stronę jego okien. Tyle już razy miała ochotę doń zadzwonić, jednakże myśl, że on będzie badawczo wpatrywał się jej w oczy, że będzie pytał, napępiała ją strachem. Teraz wprawdzie zbliżała się siódma, czyli godzina, o której Paweł najczęściej wracał do domu, ale to przecie nie znaczyło, że koniecznie muszą się spotkać lub chociażby z daleka zobaczyć...

– ...bo terpentyna jest, proszę pani, jakby najbliższym kuzynem kauczuku – wytrwale i z uśmiechem tłumaczył Ottman – a w rodzinie chemicznej nieraz można cioci przyprawić wąsy wujaszka i będzie to najautentyczniejszy w świecie wujaszek.

Marychna pomyślała, że dotychczas przeceniała chemię. Niby taka poważna nauka, a zajmuje się podobnymi głupstwami. Zapytała nie bez lekceważenia:

- I pan zajmuje się przyprawianiem takich wąsów?
- Próbuję – z westchnieniem odpowiedział Ottman.
- I co panu z tego przyjdzie?

– Terpentyny na świecie jest mnóstwo i kosztuje psie pieniądze, a kauczuk jest bardzo drogi. Gdybym zrobił ten wynalazek!... Ho, ho!...

Ciągle miał w głowie tę terpentynę. Widocznie wynalazek szedł mu opornie, gdyż często wzdychał, a Marychna w końcu nie umiała już odróżnić, które z westchnień przeznaczone były dla niej, które zaś dla terpentyny.

Chodniki w alei Trzeciego Maja, na Nowym Świecie, na placu Aleksandra i w Alejach Ujazdowskich były zatłoczone wesołym tłumem.

– Jak to dobrze, że już jest ciepło – przerwała Marychna wywody Ottmana – prawie mi za gorąco w tym futrze.

Ottman powiedział w zamyśleniu „tak, tak” i znowu powrócił do swego nudnego kauczuku.

W oknach na pierwszym piętrze paliło się światło. Paweł był w domu. Zrobiłaby najprościej pozbywając się w jakiś łatwy sposób towarzystwa Ottmana. Mogłaby wejść na schody i zadzwonić. Jak by też ją przyjął? A może ma u siebie jakichś ważnych interesantów, może gości – tyle światła się pali... a może inną?...

– Niech pan tu chwilę zaczeka – powiedziała niespodziewanie dla samej siebie – muszę do kogoś zatelefonować.

Przechodzili właśnie koło małej owocarni, w której drzwiach wisiała tabliczka: „telefon czynny”.

– Ależ doskonale, możemy wejść razem – zgodził się Ottman.

– Nie, nie – zaśmiała się nerwowo – to tajemniczy telefon, nie chcę, żeby pan słyszał.

Pobłażliwie skinął głową i stanął przed sklepem. Marychna weszła, stanęła przy aparacie i zdjęła słuchawkę. Nagle uświadomiła sobie, że robi bardzo źle, że nie powinna dzwonić, że może tym doprowadzić do wielu niepotrzebnych komplikacji. W słuchawce powtórzył się zniecierpliwiony głos telefonistki: – No, proszę, słucham, który numer?

Gdyby Marychnie przyszedł teraz na myśl jakiś inny numer! Niestety, pamiętała tylko ten jeden. Tłusty właściciel sklepu przyglądał się jej nieżyczliwym okiem, za oknem nad piramidą pomarańcz, jasno oświetlona, widniała twarz uśmiechniętego Ottmana. Cóż miała robić. Wymieniła numer, prosząc Boga, by nikt się nie odezwał. Nie przyszło jej wprost do głowy położyć słuchawkę, zresztą prawie natychmiast usłyszała głos Pawła: – Słucham.

– Dzień dobry... – starała się mówić jak najciszej – to jest właściwie dobry wieczór...

– Z kim pani chciała mówić – odpowiedział zdziwiony głos.

– Tu... Marychna...

– Aaa... Wróciliście! Nic o tym nie wiedziałem. Dzień dobry. Czy możesz do mnie przyjść?

Czy mogła! Musiała! Tak dawno go nie widziała!

– Tylko ja wróciłam – odpowiedziała – on został jeszcze w Wiedniu.

– Po co? – jakby zagniewanym głosem zapytał Paweł.

– Nie wiem, miał jakiś interes – Marychna poczuła się urażona. Zamiast witać ją, gniewa się, że Krzysztof został za granicą.

– No, dobrze – powiedział Paweł – przyjdź zaraz.

– Teraz nie mogę, trudno by mi było.

– Dlaczego? – zapytał ostro, ponieważ zaś nic nie odpowiedziała, dodał: – przyjdź zaraz, czekam, a nie zwlekaj, bo wieczorem mam posiedzenie.

Powiedział i położył słuchawkę.

Jaki on jest szorstki – myślała Marychna, bliska płaczu, i myślała jeszcze: – co ja narobiłam, co ja narobiłam...



Zapłaciła za telefon, odbierając resztę, rozsypała drobne na ladzie. Gdy wyszła, była tak wzburzona, że Ottman zapytał współczująco:

- Miała pani jakąś nieprzyjemną wiadomość?
- Tak, to jest nie, muszę pana pożegnać... Pan w którą stronę?
- Może odprowadzę panią?
- Dziękuję, pójdę sama...
- Niech się pani nie przejmuję – powiedział bezradnie.

Podążyła mu ręką i obejrzała się kilka razy, zanim przekonała się, że jej nie śledzi. Od domu, w którym mieszkał Paweł, dzieliło ją zaledwie kilka minut drogi. Teraz nie mogła się cofnąć. Musiała go prosić o dyskrecję, o to, by nie wygadał się przed Krzysztofem... W głowie jej się mąciło. Co mu powie? Na pewno będzie wypytywał ją o zachowanie się Krzysztofa, o to, czy doszło między nimi do romansu, a przecie nie może złamać obietnicy danej Krzysztofowi...

Zadzwoiła. Drzwi otworzył lokaj i Marychna aż cofnęła się.

- Przepraszam, czy zastałam...
- Jaśnie pan czeka – z nieuchwytnym uśmiechkiem pochylił głowę służący.

Gdy weszła, wskazał jej krzesło:

- Pani pozwoli, że zdejmę boty.

Właśnie kończył zdejmowanie, gdy na progu ukazał się Paweł. Sucho i prawie oficjalnie podał jej rękę. Dopiero gdy służący wyszedł, uśmiechnął się i pocałował ją w usta:

- Błado wyglądasz, drogie dziecko. Chorowałaś?
- Tak, bardzo chorowałam...

Pomógł jej zdjąć futro, przeszli do gabinetu. Było tu jak dawniej, jak przed wyjazdem. Paweł palił papierosa i przyglądał się jej poważnie:

- No i cóż?... Uszczęśliwiłaś zakochanego młodzieńca?

Marychna poczerwieniała i spuściła oczy.

– O!... Może i sama w nim zakochałaś się?... Zmizerniałaś. Od miłości podobno się chudnie. Tak zapewnijają fachowcy... Nic nie mówisz?

- Wcale się nie zakochałam...
  - A pamiętałaś o moim istnieniu?
- Podniosła oczy i powiedziała cicho:
- Bardzo.

Potrząsnął głową i wypuściwszy w górę strugę dymu zawyrokował:

– To źle świadczy o talentach mego stryjecznego brata. Powiedz mi tak szczerze: niedorajda z niego, co?

Marychna zaśmiała się nieszczerze:

- Czy musimy koniecznie mówić o nim? Ja tak nie lubię mówić o innych.
- Chodź tutaj – powiedział krótko i wyciągnął do niej rękę.

Wziął ją na kolana, objął i rozwartą dłońią głaskał jej nogi. Tuliła się do niego i teraz już nie żałowała swego telefonu.

– Tak mi dobrze z tobą, ja za tobą tęskniłam – szeptała mu do ucha – tak bałam się, czyś ty o mnie nie zapomniał, czy nie znalazłeś innej, ładniejszej i rozumniejszej ode mnie.

– Zapewniam cię – zaśmiał się wesoło – że nie szukałem. W ostatnich czasach byłem zadowolony pracą.

- Ja wiem – powiedziała Marychna.
- Co wiesz?
- Czytałam w gazetach.

Paweł podniósł brwi:

- Krzysztof otrzymywał pisma z kraju?... I on też czytał? I cóż mówił?...
- Nic – krótko odpowiedziała Marychna i chcąc przerwać pytania, pocałowała go w usta.

Nadspodziewanie Paweł nie wypytywał jej o szczegóły pobytu za granicą. Zresztą zbyt wiele uwagi pochłaniały pieszczoty, do których stęsknił się bardzo, jak o tym Marychna miała sposobność przekonać się ku pełnemu swemu zadowoleniu. Nastrój pierwszego spotkania psuły jedynie telefony powtarzające się nieustannie w odstępach kilkuminutowych. Paweł rozmawiał z każdym interesantem krótko i dobitnie.

– To straszne – mówiła Marychna, tuląc się do niego – ty przecież nie masz nigdy czasu dla siebie!

– Dla siebie? – zdziwił się Paweł – ależ to wszystko jest dla mnie.

– No tak, interesy, ale dla swojej przyjemności... Zaśmiał się:

– Nie rozumiesz, że interesy można robić dla przyjemności?

– Żeby mieć pieniądze...

Paweł potrząsnął głową i zamyślił się:

– Tak się ludziom zdaje. Niektórzy są nawet o tym głęboko przekonani. W gruncie rzeczy jednak pasjonują się pieniądzem, gdyż przyzwyczaili się uważać go za sprawdzian swego wysiłku, swojej sprawności, a bodaj tylko szczęścia. Dlatego identyfikują pieniądz z tym, co nazywają szczęściem.

A przecież warunkiem zadowolenia jest osiągnięcie, nie zaś osiągnięcie. Sam proces zdobywania. Przypuszczam, że rozkoszowanie się posiadaniem jest swego rodzaju inercyjnym zбочeniem psychicznym. Gromadzenie, to zupełnie coś innego. Sroka namiętnie zbiera błyskotki, lecz jest to jej zupełnie obojętne, jeżeli ktoś błyskotki z gniazda zabierze. Zdaje mi się, że sroki mają rację. W instynktach człowieka mamy potwierdzenie tego. Próżniactwo jest równie nieznośne dla bogacza, jak i dla żebraka. Odczuwanie zaś w funkcji zdobywania przyjemności pozostaje tylko kwestią świadomego lub nieświadomego stosunku do życia...

Marychna natężyła całą uwagę, by zrozumieć, o co mu chodzi. Musiało to jednak być bardzo mądre, gdyż nie umiała się w tym połapać. Terpentyna Ottmana była też niezbyt zrozumiała, ale, oczywiście, znacznie nudniejsza.

– O czym myślisz? – zapytał Paweł.

– Nigdy nie zgadniesz – roześmiała się Marychna – to nie ma żadnego związku z tym, o czymśmy mówili.

– No?

– Spróbuj zgadnąć – rozbawiła się – jest to w fabryce i zaczyna się na literę „t”.

Paweł ziewnął.

– Traktory?

– Nie, terpentyna!

– Terpentyna? Dlaczego terpentyna?

– Tak, przypomniało mi się – odczuła, że będzie wyglądała w jego oczach bardzo głupio, i dodała – spotkałam tego inżyniera Ottmana i opowiadał mi, że zrobił jakiś wynalazek. Z terpentyny robi kauczuk, czy też z kauczuku terpentynę. Nudziarz taki, ale tak mnie ubawił swoim przejmowaniem się terpentyną, że nie mogę jej zapomnieć...

– Kauczuk? – zmarszczył brwi Paweł.

– No tak, kauczuk, a może guma, już nie pamiętam.

– I to Ottman zrobił ten wynalazek? – w głosie Pawła zabrzmiało wielkie zainteresowanie.

– Tak mi mówił, że zrobił i że będzie bogaty, jeżeli mu się uda – wybuchnęła śmiechem – taki pocziwiec, przecie każdemu jak się uda, to przyjdzie bogactwo...

– Poczekaj – przerwał Paweł – nie możesz sobie bardzo szczegółowo przypomnieć, co o tym mówił?

Marychna nie mogła. Gdyby wiedziała, że Pawła to zainteresuje, starałaby się uważać. Zresztą może go specjalnie wypytać.

Z urywkowych informacji, jakie zachowały się jej w głowie.

Paweł próbował odtworzyć całość, wreszcie zrezygnował i zapowiedział Marychnie, by, broń Boże, nie wspominała Ottmanowi, że o tym rozmawiali.

Przed dziewiątą Paweł musiał jechać na posiedzenie. Wyszli razem, lecz tak się śpieszył, że Marychnę pożegnał na schodach. Nie miała o to do niego żalu. Zadowolona była z siebie i ze świata. Sentyment, jaki czuła do Pawła, wzmógł się jeszcze dzięki jego delikatności. Nie dręczył jej pytaniami o Krzysztofa, zdawał się rozumieć to, że są kwestie, o których z nim mówić nie może. Prosił ją, by przyszła nazajutrz, gdyż będzie miał cały wieczór wolny.

Cieszyła się na to. Jakże inaczej oddychała w jego atmosferze. Była tu tak spokojna i pewna. Nie czekało jej nic niespodziewanego, przerażającego, zapominała o owym nieustająco naelektryzowanym nastroju, jaki wytwarzała obecność Krzysztofa.

Kiedyś, szukając w filmie i powieści objaśnienia prawd oczekiwanej miłości, wyobrażała sobie, że składa się ona nie tylko z czułych pocałunków, lecz i ze słów pieścizliwych, wypowiedzianych drżącym głosem, rzewnej tklivości, z tysięcznych komplementów i wzajemnych zachwyty. Dlatego gdy znalazła to wszystko u Krzysztofa, wiedziała, że to miłość, i nawet przebaczyć sobie nie umiała swego niewytłumaczonego pociągu do prozy, jaką jej dawał Paweł, do jego prawie zimnego stosunku do niej, który się rozżarzał tylko w chwili fizycznej podniecy.

I dziwne: zanim przekonała się, że Krzysztof jest kobietą już umiałaby raczej obsypywać Pawła nie kończącą się litanią czułych słów, niż rewanżować się nimi Krzysztofowi. I tego jednak nie robiła nigdy, gdyż jakoś nie pasowało to do Pawła, byłoby śmieszne, nieprawdopodobne.

Tamto wstrętne i przeciwne naturze nie było miłością, zatem prawdziwą miłością musiało być to, co łączyło ją z Pawłem, a że brakowało w tym kwiatów, tęcz i słowików, oczywiście, było to naturalne, wyobrażenie zaś, jakie dawniej o miłości miała – błędne i egzaltowane.

Teraz stokroć bardziej niż dawniej nie mogłaby, nie miałyby sił wrócić do Krzysztofa, wrócić do tych objęć, pocałunków i pieścizot, które napełniały ją odrazą nie do przewyciężenia. Dla obrony przed nimi gotowa była chwycić się wszelkich środków, aż do ucieczki pod opiekę Pawła włącznie. Co prawda nigdy, za żadne skarby, nie zdobyłaby się na przyznanie się mu do tego, że Krzysztof jest kobietą, że zmuszał ją do ohydnej rozpusty, której przecie, chcąc czy nie chcąc, jednak ulegała.

Na samą myśl takiego zwierzenia krew uciekała z jej twarzy. Byłby to wstyd, jakiego nie potrafiłaby przeżyć, już nie mówiąc o tym, że na pewno stałaby się wstrętą dla Pawła, że wypędziłby ją od siebie i nie chciał więcej widzieć.

Na razie zresztą nie było wcale potrzeby do uciekania się pod jego obronę. Krzysztof wracał dopiero za kilka dni, a gdy wróci, Marychna musi zdobyć się na tyle odwagi i siły woli, by mu się kategorycznie przeciwstawić.

Paweł na szczęście nie interesował się zbytnio Krzysztofem. Bardziej zajmowała go sprawa terpentyny Ottmana.

Stwierdziła to Marychna nazajutrz ku dużemu swemu zdziwieniu. Teraz już najwyraźniej polecił jej wybać Ottmana. Ponieważ nie był pewien, że zapamięta wszystkie pytania, na jakie ma zdobyć od niego odpowiedź, zanotował je na kartce, przy czym ostrzegł Marychnę przed zdradzeniem się z powodu nagłego zainteresowania się wynalazkiem. Nocowała tego dnia u Pawła i odwiózł ją do domu wczesnym rankiem, jadąc do fabryki.

Po południu wytelefonowała Ottmana i wieczorem wybrali się do kina. Na jej pytania chemik odpowiadał z nieukrywaną radością. Widocznie nie przyszły mu na myśl podejrzenia, że Marychna działa z czyjegoś polecenia, a cieszył się tym, że zaciekawia ją jego praca.

Marychna starała się zapamiętać dokładnie jego słowa, a po powrocie do domu zanotowała je nawet na jedynej kartce, jaką znalazła w swojej torebce. Popęlniła tylko pewną nieostrożność: nie zwróciła uwagi, że była to odwrotna strona listu Krzysztofa.

Kiedy następnego dnia opowiadała Pawłowi o rezultatach swego wywiadu, ten machinalnie wziął z jej ręki kartkę, kartkę szarego jedwabistego papieru. Potarł ją palcami i podniósł do twarzy.

– To jest papier Krzysztofa – powiedział z uśmiechem i rozwinął arkusz.

Na odwrocie był ten smutny list z Wiednia. Pierwszym odruchem Marychny była chęć wyrwania mu z rąk listu, lecz w tejże chwili przypomniała sobie, że nie ma w nim nic, co by mogło zdradzić prawdę. W każdym razie popełniła nieostrożność.

Myśl Pawła po przeczytaniu listu powróciła do Krzysztofa.

– Nic mi o nim nie opowiadasz – odezwał się niezadowolonym tonem.

– Cóż mam opowiadać – z przymusem uśmiechnęła się Marychna.

– Czy i jemu nic o mnie nie mówisz? – ironicznie skrzywił usta.

Chciała go zapewnić, że oczywiście, że tym bardziej, że za nic na świecie nie przyznałaby się Krzysztofowi do tego, co ją z Pawłem łączy. On jednak widocznie nie oczekiwał odpowiedzi, gdyż sam zaczął mówić:

– Jesteś, moja kochana, imponująco podzielna. Nie mówię tego, by ci dokuczyć. Inne kobiety pod tym względem zdystansują cię na pewno. Chciałbym tylko, byś mnie poinformowała, czy Krzysztof nie domyśla się, że między nami coś jest?

– Skądże...

– No, mogłaś nieostrożnie coś powiedzieć, pisać jakieś pamiętniki czy inne głupstwa. Jeżeli jest zazdrosny i niedyskretny, na pewno miał możliwość zajrzeć do twoich walizek i znaleźć tam dowody niewierności.

– Nie, nie – zapewniła Marychna i nagle krew uciekła jej z twarzy.

Nie pisała wprawdzie żadnego dzienniczka ani listów, ale miała w walizce fotografię Pawła. Paweł zna się na ludziach i może ma rację, że Krzysztof byłby zdolny do rewidowania jej rzeczy. Fotografię miała schowaną w neseserze, w górnej kieszonce...

– Chybaś nie ubawiła się zanadto – mówił Paweł – mój stryjeczny brat robi wrażenie sensata i cierpiętника... zdaje się nawet, że produkuje jakieś utwory literackie. Nie zauważyłaś tego?

– Co? – ocknęła się z zamyślenia Marychna.

Nie mogła pozbyć się myśli, że Krzysztof widział fotografię.

– Mówiłaś, że czytuje ci często poezję, ciekaw jestem, czy też ich nie płodzi?

– Ależ nie! On czytuje cudze poezje.

– Diabelnie romantyczny. Czasami działa tym na nerwy. I co? Wciąż patrzy na ciebie, jak kot na kielbasę?... Pewno na krok cię nie puszczał od siebie?

– Ja tak nie lubię o tym mówić – próbowała bronić się rozkapryszoną minką Marychna.

Paweł jednak nie ustępował:

– Powiedz mi, czy on jest zupełnie normalny?

– Jak to, czy normalny?... – Marychna zbladła jak płótno.

Na szczęście Paweł zapalał papierosa i tego nie dostrzegł.

– No, czy mu niczego nie brakuje, czy zachowuje się, powiedzmy, w łóżku tak jak ja?

Marychna odwróciła się i szepnęła prosząco:

– Pewnie, że tak... Ty jesteś taki niedobry... Ja się wstydzę o tym mówić...

– Hm... to dziwne. Można było przypuszczać, że mu tego i owego brak... – zaśmiał się cicho – zatem jest w porządku i zdrow... Dlaczego tedy to zastępstwo... Słuchaj, Marychno, czy on ci nic nie opowiadał o swojej służbie wojskowej?

– Nie. Pokazywał tylko książeczkę wojskową...

– Tak... Gdy wróci, będę miał do ciebie pewną prośbę.

Marychna nic nie odpowiedziała. Nieprzyjemność całej rozmowy była niczym w porównaniu z obawą, która nie dawała jej spokoju:

– Czy Krzysztof widział u mnie fotografię?...

Po powrocie do domu, jeszcze w futrze i w kapeluszu, wydobyla neseser, otworzyła i zajrzała do górnej kieszonki.

Fotografii nie było.

Gorączkowo zaczęła przerzucać zawartość neseseru, przejrzała obie walizki już puste i wszystko to, co wypakowała do szafy i do komódki. Nie, nie mogła uwierzyć w to, by jej nie było: – Na pewno się znajdzie, na pewno się znajdzie – powtarzała nie przerywając poszukiwań.

Przecie nie mogła jej zgubić!... A zatem pozostawała tylko jedna ewentualność: Krzysztof znalazł fotografię i zabrał...

Nie, to niemożliwe, dlaczego nic nie powiedział o tym?... Jest taki zazdrosny, a w dodatku fotografia Pawła, którego nienawidzi...

Marychna nie mogła zasnąć tej nocy.

## Rozdział IX

W zachodnim kącie wielkiego czworoboku, zajmowanego przez fabrykę Dalczów, stał parterowy budynek z czerwonej cegły. Na drzwiach przybita była tabliczka: „Pracownia Chemiczna”. Laboratorium zajmowało trzy obszerne pokoje, w pierwszym, przeznaczonym do grubszych robót przygotowawczych, pracował chudy jak tyka laborant w granatowym kitlu, który w wielu miejscach pokryty był różnymi plamami od żrących kwasów i farb. W drugim pracował Ottman, trzeci stanowił rodzaj składu.

W tym budyneczku, do którego prawie nie dobiegał hałas z wielkich hal fabrycznych, dokonywały się badania stopów na panewki do maszyn szybkoobrotowych, próby lakieru i smarów. Wąskie, długie stoły, zastawione szeregami flaszek z odczynnikami, słoje różnego kształtu, palniki gazowe, cylindry, lejki, probówki różnej wielkości, kolby, zlewki szklane i porcelanowe, tygle grafitowe i platynowe, aparaty Kipa, wiskozymetry, deflegmatory, suszarki i piecyk szamotowy obok dmuchawki, napędzanej małym elektromotorem...

Było to królestwo inżyniera Ottmana, jego wyłączne, dla wszystkich obojętne, niezrozumiałe, prawie niepotrzebne.

Majstrowie i magazynierzy, wysyłając próbki do analizy, mówili pogardliwie:

– Zanieś to do kuchni.

Czyż mogli pojąć, że w tym oto niewielkim, podobnym do stróżówki, budyneczku z czerwonej cegły mieści się szyfr do odczytywania największych, najwspanialszych tajemnic świata! Że tu pod soczewką mikroskopu czy w nieuchwytnym dla oka drgnięciu wagi analitycznej może zrodzić się coś, co wstrząśnie egzystencją całej ludzkości, że tu w tym prawie niepotrzebnym, zaledwie tolerowanym dodatku do potwornego cielska fabryki metalurgicznej mieści się gruczoł, którego sekrecja może stać się eliksirem życia lub jadem śmierci dla całych pokoleń, ba, dla całej cywilizacji.

Głupcy. Nie rozumieją, że przechodzą obojętnie obok nowego szybu wświdrowującego się w głąb tajemnic przyrody, obok źródła, z którego wypłynie może decydująca o ich przyszłości siła. Potęga! Któż domyślić się jej może w białych opałowych kroplach, osiadających z wolna na pękających wzdęciach kolb, w białych kryształkach, układających się w dziwną figurę na dnie porcelanowej waniutki, w stłumionych detonacjach, dochodzących z hermetycznego tygla, czy w szmerze burego płynu, w szmerze, którym przyroda zwierza mu swoje tajemnice, jemu, skromnemu chemikowi fabrycznemu, inżynierowi Ottmanowi, jednemu z dziesięciu tysięcy szukających klucza.

Jakże kochał swe laboratorium. Z trudem wywalczył dlań wyposażenie może nawet za bogate jak na potrzeby fabryczne. Sam wszystkie swoje oszczędności pakował w zakup aparatów, w uzupełnienie i ulepszenie pracowni.

Dyrekcja wcale nie interesowała się jego królestwem. Z rzadka zaglądał tu naczelnny inżynier, gdy chodziło o prowizoryczne dane, dotyczące jakiejś próby, na której ostateczny rezultat nie miano czasu czekać. Kiedyś wstąpił do pracowni nieboszczyk Wilhelm Dalcz i raz czy dwa Krzysztof.

Toteż przyjście Pawła wprawiło Ottmana w stan niemal gorączkowy. Czerwony i spocony niezdarnie uwijał się po laboratorium i raz po raz przewracał sprzęty i butelki.

Paweł przyglądał się mu ze spokojem. Usiadł po obejrzeniu instalacji przy stole i wypytywał inżyniera o sposoby wykonywania badań. Zainteresowanie to nie tylko pochlebiało Ottmanowi, lecz sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Zawsze był dobrego zdania o naczelnym dyrektorze, teraz wszakże doszedł do przeświadczenia, że jest to człowiek wyjątkowy.

Ani przez sekundę nie obawiał się, by inspekcja naczelnego dyrektora mogła mu w czymkolwiek zaszkodzić. Przeciwnie. Stan laboratorium i jego sprawność zasługiwały na tytuł wzorowości.

– Wszystko tu pan świetnie zorganizował – z uznaniem podniósł Paweł – pańska pomysłość jest godna największych pochwał.

– Pan dyrektor jest zbyt łaskaw na mnie – szczerze zawstydził się Ottman.

– Bynajmniej. A do czego służą tamte aparaty? – wskazał na dwa stoły gęsto zastawione.

Ottman trochę się zmieszał. Zrobił kilka nieokreślonych ruchów rękami i głową:

– To?... To, panie dyrektorze, pozwoliłem sobie przygotować do różnych ewentualnych prac... Na razie nie mają zastosowania, ale w pobocznych zajęciach...

– Panie inżynierze – przerwał mu Paweł – pan mnie źle zrozumiał. Ja bynajmniej nie żądam usprawiedliwienia tego, że laboratorium jest większe, niż wymagają doraźne konieczności. Sam jestem zdania, że nie należy wyrzekać się możliwości szerszych prac. Właśnie chciałem nawet prosić pana o niekępowanie się w drobnych wydatkach. Zawsze je zaakceptuję, jeżeli tylko będzie chodziło o umożliwienie panu badań nad jakimś ulepszeniem czy wynalazkiem.

Ottman był zupełnie rozbrojony:

– Och, panie dyrektorze, naprawdę bardzo dziękuję...

– Nie ma za co – wzruszył ramionami Paweł – nieraz późno wieczorem przechodzę koło pańskiego laboratorium i widzę, że pan pracuje. Ma pan na warsztacie coś ciekawego?

– Kilka drobiazgów... w stadium jeszcze początkowym...

– Coś z metalurgii? – zainteresował się Paweł.

– Przeważnie nie to... – Ottman był zażenowany.

Paweł nie wątpił, że w końcu wydobędzie z niego potrzebne wiadomości. Przekonał się, że Ottman nie chce mu się przyznać do swojej pracy nad kauczukiem. Wobec tego powiedział: – Bardzo interesuję się wynalazkami. Rozporządzałbym nawet teraz dość znacznymi kapitałami, jeżeli chodziłoby o realizację czegoś konkretnego. W każdym razie – dodał tonem żartobliwym – zastrzegam sobie pierwszeństwo kupna.

Wstał i podał rękę Ottmanowi. Widział, że ten waha się, że chce mu coś powiedzieć, lecz wolał teraz przerwać rozmowę, by umocnić w Ottmanie zaufanie.

– Do widzenia – powiedział wychodząc – a za parę dni wstąpię przyjrzeć się próbie z badaniem stopu na panewki...

Tak się jednak stało, że zaraz nazajutrz zjawił się w laboratorium. Nie omylił się. Ottman najwyraźniej nie mógł wytrzymać, by nie zwierzyć mu swojej tajemnicy.

– Pytał wczoraj pan dyrektor – zaczął po wymianie kilku zdań – nad czym specjalnie pracuję...

– Szuka pan kamienia filozoficznego? – wesołym koleżeńskim tonem zapytał Paweł.

Ottman uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

– Szukam syntezy kauczuku...

– O!... To jest nad wyraz ciekawe. Gdyby zdołał pan dopiąć swego, a kauczuk wyprodukowany przez pana byłby znacznie tańszy od naturalnego, zrobiłby pan majątek, co to majątek, miliony! Jakże postępują pańskie prace?

– Dość pomyślnie, panie dyrektorze... Jeżeli pana istotnie to zajmuje...

Otworzył szafkę i pokazał Pawłowi trzy substancje. Jedna, przezroczysta, lepka i miękka przypominała coś w rodzaju żywicy lub zgęstniałej gumy arabskiej, druga, szarawa, już nie była lepka i ugniatała się w palcach jak ciasto. Trzecia wreszcie była brązowa, sucha w dotyku i sprężysta. Nie różniła się niczym od kauczuku.

Ottman naciskał i głąskał niewielką bryłkę z takim rozczuleniem, że Paweł mimo woli się uśmiechnął. Obawiając się, by Ottman nie czuł się tym dotknięty, powiedział: – Jestem zupełnym laikiem w tej dziedzinie, może pan mnie objaśni, jak się to robi, w jaki sposób wpadł pan na ten genialny pomysł?

– O, nie ja pierwszy. Przede mną robiono w tym kierunku wiele prób...

– Prób, które się nie udały?

– Niestety – powiedział Ottman takim tonem, jakby mówił „na szczęście” – wytwarzano tylko laboratoryjną namiastkę kauczuku, który nie nadawał się do użytku, gdyż nie dał się wulkanizować, czyli połączyć z siarką. Poza tym różnił się od naturalnego i tym jeszcze, że był wyłącznie związkami terpenowymi, nie zaś molekularnym połączeniem terpenów i związków białkowych, a temu właśnie połączeniu zawdzięcza swoje cechy tak cenne dla techniki.

– Więc panu udało się takie połączenie wytworzyć?

– Tak. Produkt, który otrzymałem, jak pan widzi, znakomicie się wulkanizuje – podał Dalczowi substancję brunatną – i mam nadzieję, że będzie można otrzymać ją względnie małym kosztem.

– Więc nie ma pan jeszcze dokładnego obliczenia?

– Na razie było to obojętne. Wyniki osiągnąłem pełne, lecz osiągnąłem je drogą kosztowną. Mianowicie ostatni zabieg wymaga bardzo drogiego przyrządu, pochłania moc energii i musi trwać bardzo długo. Nie odgrywa to roli w eksperymencie, lecz dla produkcji przemysłowej nie nadawałoby się zupełnie. Mam jednak wszelkie dane teoretyczne na to, że zabieg ten będę mógł zastąpić innym, tańszym.

– Jak to teoretyczne? – w głosie Pawła zabrzmiało rozczarowanie – więc praktycznie jeszcze pan tego nie sprawdził?

– Nie miałem możliwości. Trzeba byłoby zrobić to na większą skalę, skonstruować odpowiedni aparat, a to jest kwestia kilkunastu tysięcy złotych. Jednak tak jestem pewien rezultatów, że gdybym mógł się na taką kwotę zdobyć, nie wahałbym się ani chwili.

Paweł w zamyśleniu uderzył końcem ołówka o blat stołu.

– Może bym zdecydował się – zaczął po pauzie – na dostarczenie panu potrzebnej kwoty. Nie znam się na tym. Nie chciałbym też na próżno ryzykować. Znałem paru śmiesznych ludzi, pakujących na oślep pieniądze w wiele nierealnych wynalazków. Nie zależy mi na tym, by się w czymkolwiek do nich upodobnić. Dlatego musiałbym przede wszystkim wiedzieć dokładnie, na czym polega pański pomysł, jakie są szanse za i jakie przeciw. Oczywiście tylko w tym wypadku, jeżeli pan z kimś innym nie nawiązał odpowiednich stosunków i jeżeli wzbudzam w panu dostateczne zaufanie.

Słowa Pawła wywarły na Ottmanie silne wrażenie. Patrząc na tego człowieka, ani przez chwilę nie wątpił, że na jego słowie może całkowicie polegać. Zresztą i tak nie potrzebował ujawniać wszystkich szczegółów. Zaczął mówić:

– Kauczuk, jak to panu powiedziałem, jest połączeniem terpenów ze związkami białkowymi. W połączeniu tym terpeny znacznie przeważają. Są to wszystko terpeny cykliczne typu C<sub>5</sub>H<sub>8</sub>, ale to jest ich wzór surowy, wyrażający jedynie stosunek atomów węgla do atomów wodoru w drobinie. Rzeczywista budowa przedstawia wielokrotnik tego stosunku i powstaje drogą polimeryzacji terpenu zasadniczego. Ten zaś stanowi główną część składową zwykłej terpentyny.

– Czyli chodzi jakby o uwielokrotnienie terpentyny?

Ottman zaśmiał się z pobłażliwą i nieco zażenowaną wyrozumiałością:

– Niezupełnie, panie dyrektorze.



- W każdym razie terpentyna ma być surowcem, z którego zamierza pan kauczuk robić?
- Tak. Z terpenu zawartego w terpentynie otrzymuje się dwa jego izomery: izopren i erytren, a z nich drogą polimeryzacji kauczuk lub mówiąc dokładniej, terpen kauczukowy. Tajemnica mego pomysłu polega na tym, że do reakcji włączam od razu potrzebną substancję białkową – zniżył głos i zakończył – kazeinę.
- O ile się nie mylę – zapytał Paweł – kazeina jest produktem otrzymywanym z mleka?
- Tak. Otóż w odpowiednim stosunku mieszam ją z terpentyną i pod niewielkim ciśnieniem poddaję hydrolizie.
- Cóż to znowu za zwierzę?
- Jest to reakcja, polegająca na tym, że dany związek chemiczny w obecności wody oraz pod działaniem kwasów, temperatury i ciśnienia rozpada się na dwie części, wywołując jednoczesny rozkład wody. Powstają wtedy dwa nowe związki drogą wymiany składników. Jedna część łączy się z wodorem, a druga z grupą OH. Nie należy jednak doprowadzać hydrolizy do końca, lecz przerwać w odpowiednim miejscu. W ten sposób powstaje lepki gąszcz, który pan tu widzi, warstwa lżejsza wypływająca na wierzch. Następnie gotuje się ją z dodatkiem amoniaku i otrzymuje się to ciasto.
- Paweł potrząsnął głową:
- Jednak wiele z tym roboty: hydroliza, kazeina, gotowanie, amoniak...
- O, w produkcji fabrycznej to drobiazg, wszystko idzie automatycznie. Mam nawet naszkicowany plan aparatury...
- No i cóż dalej?
- Dalej, proszę pana, jest właśnie sprawa owego kosztownego aparatu.
- Ottman urwał palcami kawałek ciastowej substancji, wrzucił do probówki, ogrzał nad palnikiem Bunsena, a gdy się rozplynęła, zaczerpnął kościaną łyżeczką odrobinę pyłu siarkowego, dosypał i ciągnął dalej:
- Z tego ciasta powstaje po dodaniu siarki od razu kauczuk wulkanizowany drogą polimeryzacji. Osiągam ją, poddając mieszaninę działaniu promieni alfa, jakie wytwarza lampa Roentgena w dostatecznej intensywności dopiero przy napięciu dwustu tysięcy wolt, a i to jeszcze jest mało, bo naświetlanie trwa bardzo długo. Może więc pan dyrektor sobie wystawić, co to za koszt. Wszystko byłoby niewykonalne, gdyby promieni alfa nie dało się zastąpić z tym samym skutkiem bardzo wysokim ciśnieniem przy użyciu odpowiednich katalizatorów. Musiałoby ono jednak wynosić od siedmiuset do dziewięciuset atmosfer.
- Czy przeprowadził pan kalkulację swego kauczuku w masowej produkcji? – zapytał Paweł.
- Tak, panie dyrektorze, byłby o dwadzieścia do dwudziestu pięciu procent tańszy od prawdziwego, no i miałyby ten wielki plus, że byłby wyrabiany w kraju, z surowców krajowych...
- Tylko dwadzieścia pięć procent? – zmarszczył czoło Paweł – to bardzo mało... to bardzo mało. Przecież terpentyna i kazeina są niezwykle tanie?...
- Rzeczywiście – rozłożył ręce Ottman – jednak koszt wytwarzania tak wysokiego ciśnienia, koszt hydrolizy... to musi wpływać na podrożenie produktu...
- Paweł wstał i zaczął chodzić po laboratorium. Czuł na sobie zdesperowane oczy chemika. Wreszcie zatrzymał się przed nim i powiedział:
- Czy, u licha, nie ma jakiegoś tańszego sposobu?... Czy nie może pan wymyślić czegoś znacznie tańszego?
- Panie dyrektorze – głos Ottmana drżał – obniżenie ceny choćby tylko o piątą część, to już dużo, a w dodatku uniezależnienie się od producentów zagranicznych...
- Tak, tak, przyznaję panu słuszność, jednak nie jest to artykuł bojowy. Taki musiałby konkurować ceną przynajmniej o połowę niższą, ba! O trzy czwarte niższą. Sądząc z taniości surowców, spodziewałem się, że pański kauczuk mógłby zdobyć zastosowanie w szeregu

dziedzin całkiem nowych... Do licha, trzeba tu czegoś, co by produkowało się w bardzo szybko, tani i nieskomplikowany sposób. Czy nie mógłby pan nad tym połamać głowy?

Na twarzy Ottmana odbiło się rozgoryczenie:

– Od dziesięciu lat pracuję nad syntetycznym kauczukiem... Owszem, już przed pięciu laty doszedłem do wytworzenia substancji, mającej wszystkie walory kauczuku naturalnego. Wówczas byłem przekonany, że już jestem u celu. I to u jakiego celu! Tamten produkt byłby tańszy nie o pięćdziesiąt procent, lecz o osiemdziesiąt! Kosztowałby dosłownie grosze... Dość powiedzieć, że byłoby taniej wylewać nim ulice, niż asfaltować je czy brukować...

– I cóż się okazało?

– Co się okazało? – niemal gniewnie powtórzył Ottman – okazało się, że jest to bezwartościowy szmelc, śmiecie, próchno!... Oto, co się okazało...

Odsunął szufladę i wydobyl z niej garść pokruszonych, szerniałych strzępków.

– Okazało się to, że mój tani kauczuk wytrzymuje zaledwie trzy do czterech miesięcy, po czym traci zupełnie swą elastyczność, spoistość i w ogóle wszelką wartość...

Paweł zanurzył palce w kupce czarniawych odpadków. Były szorstkie i łamliwe.

– Tak – powiedział po chwili myślenia – ten kauczuk wytrzymuje elastyczność, jak pan zapewnia, w przeciągu czterech miesięcy... – włożył ręce w kieszenie spodni i zaczął znowu chodzić.

– Cztery miesiące, to długi okres czasu – rzucił przed siebie. – Panie Ottman!

– Słucham pana dyrektora.

– Ile dni trzeba panu na zrobienie tego kruszejącego kauczuku?

– Nie ma po co go robić.

– Jednak pan będzie łaskaw odpowiedzieć na moje pytanie.

– Jeden dzień wystarczy – wzruszył ramionami Ottman.

– Bardzo dobrze. To w laboratorium, a fabrycznie?

– Fabrycznie?... Godzina, trzy kwadransy.

– Jest pan tego absolutnie pewien?

– Absolutnie, panie dyrektorze, ale to do niczego nie jest potrzebne...

Paweł położył mu rękę na ramieniu:

– Bardzo jest możliwe, panie Ottman, że sfinansuję pański wynalazek. Na razie będzie pan łaskaw przygotować kilka kilogramów kruszejącego kauczuku. Może znajdzie się jakiś sposób zakonserwowania jego początkowej elastyczności. Może znajdę dla takiej substancji zastosowanie. Przedstawi mi pan to jutro. Jednocześnie prosiłbym pana o zrobienie planu i kosztorysu owego drogiego aparatu do wysokich ciśnień. Zależy mi na pośpiechu, a sądzę, że i panu też. Do widzenia.

Podał Ottmanowi rękę i wyszedł z laboratorium.

Wciągnął pełnymi płucami świeże powietrze. Po kwaśnym zaduchu laboratorium, gdzie nawet ubranie nasiąkało dokuczliwym zapachem różnych chemikaliów, zapach wilgotnej ziemi i rozgrzewających się w słońcu drzew był ożywczy. Paweł jednak na to nie zwrócił uwagi, a jeżeli idąc obok sztachet oddzielających teren fabryczny od ogrodu Willi Stryja Karola, patrzył w tamtą stronę, to tylko dlatego, iż rozważał w myśli ewentualność wykarczowania drzew i postawienia na ich miejscu nowych budynków fabrycznych. Różniłyby się one od tych z prawej strony nie tylko tym, że nie byłyby fabryką metalurgiczną, lecz i tym, że nie stanowiłyby własności braci Dalczów, lecz tylko jednego Dalcza, Pawła.

W gmachu Zarządu czekało nań kilku interesantów: właściciel wielkiego domu importowego z Helsingforsu, sowiecki agent „Wniesztorgu”, przedstawiciel jednej z duńskich linii okrętowych i urzędnik z ministerstwa przemysłu i handlu. Każdy z nich zajął Pawłowi przeciętnie po piętnaście minut czasu. Gdy wyszedł ostatni, na progu zjawił się sekretarz.

– Panie Holder – powiedział Paweł – zechce pan notować. Przygotuje mi pan na jutro rano dane statystyczne, dotyczące produkcji i konsumpcji kauczuku, jego ceny rynkowej w hurcie i

detalu, wykaz notowań giełdowych akcji kauczukowych i listę firm oraz banków pracujących w kauczuku na wielką skalę. To wszystko. Wyjeżdżam teraz na miasto. Wrócę mniej więcej za godzinę. Pan jeszcze czegoś chciał?

– Tak jest, panie dyrektorze. Właściwie...Nie wiem, jak mam postąpić...

– O co chodzi?

– Mówiłem już mu kilkakrotnie, że pan dyrektor go nie przyjmie, on jednak wprost nie daje mi spokoju. I teraz siedzi w sekretariacie. Zachowuje się przy tym w prowokacyjny sposób. Nawet pozwala sobie na głupie uwagi o dyrekcji...

– Kto? – zdziwił się Paweł.

– Inżynier Karliczek.

Paweł wstał, zamknął biurko, schował klucze do kieszeni i powiedział:

– Zaraz pana od niego uwolnię.

Zanim sekretarz zdążył zaoponować, Paweł wyminął go i wszedł do jego pokoju. Pod oknem stuknęły na maszynach dwie stenotypistki. Przed biurkiem siedział w palcie i z laską w ręku Karliczek. Obrzucił wchodzącego ponurym spojrzeniem i ciężko podniósł się z krzesła.

– Czego pan tu chce? – spokojnie zapytał Paweł.

– Chciałem rozmówić się z panem dyrektorem – odezwał się chrapliwym głosem Karliczek i wyciągnął rękę, lecz widząc, że Paweł mu swojej nie poda, zwinął ją w pięść i powtórzył:

– Chciałem rozmówić się...

– Ale ja nie chcę z panem rozmawiać. Proszę natychmiast wyjść i nie pokazywać się więcej, bo...

– Bo co?! – wyzywająco zapytał Karliczek.

– Bo zabierze pana stąd policja wprost do więzienia – zimno wycedził Paweł.

Karliczek sapał przez chwilę, wreszcie utkwivszy nienawistne spojrzenie w oczach Pawła, spróbował nadać swemu głosowi brzmienie prośby:

– Mnie i tak już nic innego nie zostało. Mam umierać z głodu... Pan dyrektor musi mnie przyjąć z powrotem. Ja stąd inaczej nie wyjdę...

– Owszem, wyjdzie pan, i to dobrowolnie, bo każę pana wyrzucić – zimno odpowiedział Paweł.

Ogromna czerwona twarz Karliczka zafalowała i stała się niemal sina. Grube serdelkowate palce zwinęły się w pięści:

– Mnie wyrzucić! Mnie! Ach ty przybłę...

Nie dokończył. Ramię Pawła wykonało w powietrzu błyskawiczny ruch i potężny cios w szczękę zachwiał równowagę Karliczka. Machnął rękami i zwałił się na ziemię. W tejże chwili Holder wybiegł na korytarz. Przerażone maszynistki zerwały się ze swoich miejsc i ukryły się za szafą. Karliczek, charcząc, podniósł się i sięgnął ręką do tylnej kieszeni. Jednakże w tejże chwili otrzymał silne kopnięcie w napiętek i wyjąc z bólu chwycił się za rękę. Tymczasem drzwi od korytarza otworzyły się. Do pokoju wpadło pięciu czy sześciu urzędników z sąsiednich biur, zwabionych widocznie hałasem. Wszyscy jednocześnie rzucili się na Karliczka, chcąc go obezwładnić. Ten jednak porwał krzesło i zawołał:

– Rozwalę łeb każdemu. Wara ode mnie!

– Proszę rozejść się, panowie – stanowczym tonem rozkazał Paweł.

Właśnie rozstępowali się, gdy od drzwi rozległ się głos Holdera:

– Brać go.

Dwaj barczyści robotnicy bez słowa skoczyli ku Karliczkowi. Chwila szamotania się i napađnięty leżał na ziemi. Kilka kopnięć, przekleństw i stęknień.

– Wyrzucie to ścierwo za drzwi – podniesionym głosem powiedział Paweł.

– Puść mnie – charczał Karliczek – sam wyjdę.

– Po co pan inżynier ma się fatygować – uprzejmie zaśmiał się jeden z robotników – my pana i tak grzecznie wyniesiemy na zbitą morde.

Próbował znowu bronić się i rozkrwawił sobie nos o podłogę, a następnie rękę o drzwi. Olbrzymim cielskiem wstrząsało szlochaniem, co rozpaczliwym odruchom obrony dodawało pozoru konwulsyj.

– Jeszcze porachujemy się, panie Dalcz, jeszcze porachujemy się – dolatywał jego ochrypły głos z korytarza.

Wkrótce wszystko ucichło. Paweł uśmiechnął się do zemocjonowanych maszynistek i kazał woźnemu przynieść futro.

– Wiosna już w pełni – powiedział wyglądając za okno – będzie mi za gorąco.

Gróźb Karliczka nie mógł brać na serio. O tyle znał ludzi, że przyzwyczał się lekceważyć tych, którzy chwytają się takiej broni, jak próba zastraszenia. Zresztą w danym wypadku w grę mógł wchodzić tylko napad, a tego Paweł się nie bał. Był dość silny i zręczny, by sobie z takim Karliczkim dać radę, poza tym nie rozstawał się teraz z małym, lecz dobrze wypróbowanym rewolwerem. Zapewne zaniechałby i tej ostrożności, gdyby nie list matki. Pisała mu, że nudzi się, na wsi i że obawia się o swoje zdrowie. W dopisku była wiadomość o Jachimowskich. Ludwika bawiła na wsi i tam wylewała przed matką skargi na Pawła. Z jej słów matka wywnioskowała, że Jachimowski postanowił mścić się na Pawle i że za wszelką cenę chce odzyskać dokument, który Pawłowi przez nieostrożność wystawił.

Ponieważ należało liczyć się z możliwością, że taki głupiec jak Jachimowski w momencie desperacji chwycić się potrafi najbardziej niedorzecznych środków, że wreszcie służba może go wpuścić pod nieobecność Pawła, Paweł zamykał swój gabinet, gdzie przechowywał wszystkie papiery, na mocne zamki, no i kupił sobie rewolwer.

Tymczasem zamiast najścia Jachimowskiego miał inne, znacznie miłsze. Widok wystrojonej i rozkosznie krygującej się Nity, która czekała nań w salonie, zdziwił go bardzo.

Dotychczas zaledwie kilka razy widział tę dziewczynę. Przez większą część zimy siedziała w Krynicy. U Jachimowskich bywał rzadko, a ich córka nie należała do typu domatorek. Spotykał ją tylko w tych rzadkich wypadkach, gdy zaglądał do Haliny. Nita, chociaż znacznie młodsza, przyjaźniła się z nią ku wielkiemu niezadowoleniu Ludki, która kiedyś nawet domagała się od Pawła, by wpłynął na Halinę celem zabezpieczenia Nity od złego przykładu, jaki daje jej rozwzdrzone towarzystwo Haliny.

Powiedział wówczas:

– Nie zamierzam wtrącać się w cudze sprawy. Zresztą Nita jest tak ładna, że żadna opieka jej nie przeszkodzi w zdobyciu kochanka.

I naprawdę była wyjątkowo ładna. Miała ten zadzierzysty, agresywny typ urody śmiałej, wysportowanej dziewczyny o jędrnych mięśniach i żywych, mocnych ruchach. Jej nie umalowane usta były pomimo całej swojej świeżości prawie wyzywające, a kasztanowe o rudawym połysku włosy zamasyżycie wysuwały się spod zielonego beretu. Zawsze robiła wrażenie przed chwilą wykąpanej w chłodnej wodzie, a jej zielony kostium zdawał się obnażać wyraźnie giętkie kształty pleców, ud, biustu i bioder. Na tle starego poważnego salonu jej sylwetka wyglądała niespodziewanie, jak reklamowy afisz luksusowej wycieczki, przyklejony do gotyckiej katedry.

Siedziała z nogą założoną na nogę i przeglądała jakiś tygodnik.

– Servus, wuju! – wstała swobodnie i wyciągnęła do niego rękę.

– Jak się miewasz, Nito – powiedział nie ukrywając zdziwienia – czemu mam zawdzięczać twoją miłą wizytę?

– Chyba można cię pocałować? – zapytała figlarnie i nie czekając na pozwolenie wspięła się na palcach i pocałowała go w usta.

– Jestem twoim wujem – zażartował i położył jej rękę na ramieniu.

– Sam nie zrobiłbyś tego, prawda? Jak to dobrze być tak wysoką, jak ja.

– Czy przyszedłeś właśnie dla sprawdzenia zalet twego wzrostu? – uśmiechnął się ubawiony jej sposobem bycia.

– Wyobraź sobie, że właśnie w tym celu.

Przyglądała się mu niemal ironicznie. Paweł pomyślał, że jest wyjątkowo apetyczna i że ją zaraz wyprosi za drzwi.

– Mam cię uwieść, wuju – odezwała się swobodnie – jak ci się te perspektywy podobają?

– Zdaje się, że za dużo wypiałś przy obiedzie – zauważył lekko.

– Wcale nie piję – potrząsnęła głową – mam cię uwieść na trzeźwo. Przynajmniej oczarować. Powiedz, czy nie czujesz już pierwszych objawów?

– Jakich objawów, u licha?

– Oczarowania. Widzisz, wuju, sam sobie jesteś winien. Sprowokowałeś moje najście.

– Zechciej dać spokój rebusom, moja Nito – powiedział poważnie i strofująco.

Uderzyła rękawiczkami po kolanach:

– Wiesz, że to „moja Nito” brzmiało zbyt sucho. Spróbuj cieplej. Na przykład takim głosem drżącym z niecierpliwości pożądania: moojaa Niitoo.

Wybuchnęła śmiechem i z rozmachem siadła na kanapce: – Nie obawiaj się, wuju, nie oszalałam. A naprawdę, to ty jesteś wszystkiemu winien. Przyznaj się: mówiłeś kiedyś moim rodzicom, że jestem diabelnie ładna, czy coś w tym guście?

Paweł wzruszył ramionami:

– Możliwe. Nie zamierzam zaprzeczać ci twojej urody.

Otóż wysłali mnie, bym wypróbowała jej działanie na tobie.

– Na mnie?...

– Tak.

– Kto cię wysłał?

– Oni. Moi czcigodni rodzice.

– Gadasz głupstwa – skrzywił się Paweł.

– Wydaje ci się to niemożliwością?

– Ale w jakim celu?

– Mam wydebić od ciebie jakiś dokumencik, zobowiązanie mego zacnego ojca czy coś podobnego. Okazałeś się nieczuły na jego prośby, na wzdychanie mamy, więc należy mieć nadzieję, że wzruszy cię moja boska piękność, że złakomisz się na moje uściski, no i że zapłacisz mi tym dokumentem.

Mówiła to zupełnie obojętnym głosem, ale jej oczy wyrażały tak bezbrzeżną pogardę, że ani przez chwilę nie mógł wziąć na serio tej potwornej oferty.

– Nito – powiedział – jesteś rozumną i porządną dziewczyną.

W jej oczach zakreśliły się łzy:

– Ale jeszcze przed chwilą inaczej o mnie myślałeś. Niepodobna, byś widząc mnie tu nie domyślił się, że chodzi o zobowiązanie ojca. No cóż?... Ja wolałam sprawę postawić jasno. Masz opinię człowieka interesów załatwianych od ręki.

– Tak – pokiwał głową Paweł – twego ojca zawsze uważałem za zdolnego nawet do rajfurzenia własnymi dziećmi, ale po Ludwice nie spodziewałem się tego...

– O, bardzo słusznie. Ona nie chciałaby za nic na świecie takiej hańby. Zawsze dbała o moją moralność. Miałam cię tylko oszukać. Rozumiesz, wuju?... Mniejsza zresztą o nich. Tak długo mnie nudzili, aż zdecydowałam się przyjść do ciebie i raz odczepić się od ciągłych nagabywań.

Paweł zaśmiał się z przymusem:

– Nie obarczasz mnie chyba odpowiedzialnością za wstępną, z którym to zrobiłaś.

– Cóż znowu. Lubię cię, wuju, a nawet muszę przyznać, że mi się podobasz...

– O!...

– Francuzi powiadają – zrobiła doń oko – że kuzyni są kochankami danymi przez naturę.

- Jestem twoim wujem – powiedział z nieco frywolną patriarchalnością.
- Nita uśmiechnęła się, poprawiła włosy i westchnęła gwałtownie:
  - Wy wszyscy, starsi, robicie na mnie wrażenie swego rodzaju balastu, jaki my, młodzi, wciąż jeszcze przez grzeczność dźwigamy na karku. O ileż życie byłoby prostsze i łatwiejsze, gdybyśmy sami nim kierowali bez kurtuazyjnych ustępstw na rzecz waszych nieszczerych zasad i naiwnych przesądów, już nie mówiąc o waszej osobliwej moralności. Obrzydzacie nam świat. Gdybym uwierzyła, że na starość człowiek musi koniecznie stać się fałszywą świnia i naiwnym kieszonkowcem, co w waszym języku znaczy nabrać doświadczenia, wołałabym już dziś palnąć sobie w łeb.
  - Moja droga – obojętnie zauważył Paweł – wiara, że tak nie będzie, jest jednym z głównych sposobów Opatrzności w zapewnieniu ciągłości gatunku. Z chwilą gdy się ją traci, już się jest starą świnia, która czuje się w tej skórze najlepiej.
  - Ale ty, wuju, chyba nie mówisz o sobie? – zapytała z odcieniem niepokoju.
  - Dlaczego?
  - Przede wszystkim jesteś jeszcze młody...
  - Tylko to? – zrobił rozczarowaną minę.
  - A poza tym mam o tobie wyrobione zdanie. Jesteś *par excellence* nowoczesny i w swojej sile charakteru, i w swojej uczciwości.
  - Chyba nie twoi rodzice przekonywali cię o tym?
  - Właśnie oni. W każdym człowieku, na którym nie mogą znaleźć żdźbła brudu, domyślają się wewnętrznego śmietnika. Wprost w głowie im się to nie mieści, że ktoś może zdobywać powodzenie nie nurzając rąk w błocie.
  - Teraz już wiem. Jestem aniołem – zaśmiał się.
  - Nie. Bynajmniej. Widzisz, wuju – strzepnęła z irytacją rękawiczkami – i na tobie mści się te kilka lat, o które jesteś ode mnie starszy...
  - Kilkanaście – poprawił.
  - Tym gorzej. Nie wierzę w aniołów. Znacie tylko dwa sądy: anioł albo łotr. Anioła się nienawidzi i unika, a łotrowi się zazdrości. Ale na przykład ty. Rzeczowy, pełny człowiek – oto wszystko. A najlepszy masz dowód w tym, że twoje powodzenie wszystkich cieszy, wszystkich za wyjątkiem oczywiście, kochanej rodzinie. Wczoraj grałem z młodym Kolbachem w tenisa. Jego ojciec twierdzi, że jesteś wielkim człowiekiem. U Koseckich bywa cały świat ministerialny. Nie lubię tego towarzystwa, ale tym razem czułam się tam świetnie. Cały czas mówiono o tobie. Paweł Dalcz to, Paweł Dalcz tamto. Genialny ekonomista, rozum, uczciwość, mur, beton, żelazo i takie rzeczy.
  - I tobie to sprawiało przyjemność? – zdziwił się szczerze.
  - Tak.
  - Ale dlaczego?
  - Zamyśliła się i milczała przez dłuższą chwilę:
    - Lubię cię – powiedziała wreszcie tonem rozwagi – mam dla ciebie szacunek. Widzisz, niewielu spotyka się ludzi, dla których można mieć szacunek i lubić ich jednocześnie. Gdy rozmawiam z tobą, albo po prostu, gdy na ciebie patrzę, mam poczucie pewności, zaufania, coś tak jak w reklamie PKO.
    - Ostrożnie, Nito, to brzmi prawie jak oświadczenie!
    - Potrząsnęła głową:
      - Nie. Ty nigdy nie wybrałbyś takiej jak ja.
      - Nie doceniasz siebie. Jesteś czarująca. I bardzo rozsądna.
      - Ostrożnie, wuju, to brzmi prawie jak zachęta!
      - Roześmieli się oboje i Paweł powiedział:
        - Chciałbym ci zrobić przyjemność. Czy będziesz zadowolona, jeżeli zniszczę ten dokument podpisany przez twego ojca?

Nita zarumieniła się:

- Nie. Byłaby to zapłata za moją... sympatię. Nie chcę.
- Jednakże, gdybym na przykład bez powodu spalił ten papier?...
- To co innego.

– Więc bądź pewna, że nie chodzi mi o rewanż. Rewanżuję ci się tym samym, czyli sympatią, a zobowiązanie twego ojca nie jest dla mnie tyle warte, co możliwość sprawienia ci małej przyjemności.

Wstał, przeszedł do gabinetu, otworzył kasę ogniotrwałą i wydobyl z niej dwa arkusiki papieru. Na jednym było spisane zobowiązanie Jachimowskiego, na drugim jakieś już niepotrzebne notatki. Powrócił do salonu i stając przy fotelu Nity pokazał jej pierwszy mówiąc:

- Tak wygląda to, co twemu ojcu nie daje spokojnie spać. Czy chcesz przeczytać?

– Nie – potrząsnęła głową – nic mnie to nie obchodzi. Prawdopodobnie chodzi o jakieś świństwo, a ja nie mam zamiaru...

- Zrażać się jeszcze bardziej do moralności papy?... Masz rację.

Zbliżył się do kominka, lekko odsunął gobelinowy ekran i zapalił zapałkę. Po chwili tylko czarny niekształtny popiół został z arkusika zawierającego notatki. Drugi, z oświadczeniem Jachimowskiego, nieznacznie, lecz nieomylnie wsunął do bocznej kieszeni marynarki.

– Nie prosiłam cię o to – powiedziała Nita, a w jej oczach Paweł wyczytał wdzięczność – ale to było takie w twoim stylu.

- O, zupełnie w moim – z przekonaniem potwierdził Paweł.

– I to mi naprawdę sprawiło przyjemność. Nie chciałabym użyć tego słowa, bo brzmi ono zbyt patetycznie, ale w tym całopaleniu było też coś patetycznego. Jesteś... wielkoduszny.

- Aż wielkoduszny! – reflektował ją żartobliwym tonem.

- W ogóle, wuju szalenie mi się podobasz.

- Może zakochasz się we mnie?

– Nie – odpowiedziała po sekundzie zastanowienia – jesteś dla mnie za duży, za obcy. Nie potrafiłabym osiągnąć do twoich zainteresowań. Ja, widzisz, bliższa jestem temu prostemu życiu. A ty operujesz w jego najbardziej złożonych formach. Czuję się przy tobie tak jak, powiedzmy, samotny marynarz na olbrzymim okręcie. Sam nie jest w stanie kierować nim ani nawet go poznać.

Paweł pomyślał, że ta mała ma bardzo ciekawy umysł, że nie spodziewał się po niej tak oryginalnych bądź co bądź poglądów i że warto zająć się nią bliżej.

– Jestem stworzona do jakiejś skromnej, małej łódeczki – mówiła – i z tą może bym sobie dała radę nawet wśród burzy. Tak przynajmniej zdaje mi się teraz.

– W każdym razie – podchwycił – gdybyś na swojej łódeczce czuła się zagrożona, pamiętaj, że stary okręt chętnie zawsze pośpieszy na pierwszy sygnał SOS!

Wstała i wyciągnęła doń ręce:

- Jak to dobrze, że my się lubimy. Prawda, wuju?

- Prawda, Nito.

Nie używała żadnych perfum, a przecież pozostał po niej w salonie jakby zapach świeżości. Paweł siedział beczynn timer długo nie zapalał papierosa. Gdy w przedpokoju prosił ją, by od czasu do czasu wstąpiła doń na pogawędkę, w jej odpowiedzi wyraźnie zabrzmiało zadowolenie, nie, to nie było zadowolenie, lecz – szukał definicji – może było to ciepło?... I nagle prawie fizycznie uczuł chłód.

- Jestem diabelnie samotny.

W pokoju było już prawie ciemno. Wstał i nacisnął kontakt. Kilkanaście lamp wielkiego żyrandolu napełniło salon zimnym jaskrawym światłem.

– Dlatego jestem silny – przeciągnął ramiona, aż mu zatrzęszczały stawy – właśnie samotność daje siłę. Samotność daje siłę. Siła jest poczuciem odpowiedzialności tylko przed sobą samym i więcej przed nikim.

Nastawił radio. Z palisandrowej skrzynki rozległy się głębokie dźwięki uwertury Lohengrina. Przeszedł do gabinetu i zasiadł do pracy. Po godzinie czy po dwóch odłożył ołówek i przetarł oczy. Taka dziewczyna jak Nita, to zupełnie coś innego niż na przykład Marychna. Ta jest nieznośnie głupia, nie do wytrzymania żadna, nijaka. Po prostu aparat do zaspokajania w higieniczny sposób potrzeb fizjologicznych. Nita jest bezsprzecznie brzydsza, ale czy tu w ogóle może grać rolę uroda?... Chodzi o coś innego.

Nigdy nie interesowały go kobiety. Uważał je za istoty, a raczej za przedmioty egzystujące dla celów utylitarnych. Gdyby umiał czemuś, co spotkał w życiu, naprawdę się dziwić, dziwiłby się przede wszystkim tym mężczyznom, którzy poddawali się różnym cierpieniom przez kobiety.

– Pan jest wrogiem kobiet – powiedziała mu kiedyś kochanka jednego z przygodnych paryskich znajomych, gdy siedząc w kawiarni, usiłował pogodzić powaśnioną parę i wypowiedział swoje zapatrywania.

– Wrogiem? Bynajmniej. Cenię je bardzo. Dają nam pieszczoty wtedy, gdy tego pragniemy. W ten sam sposób mamy miód od pszczół, a mleko od krów. Cała rzecz w tym, by żadne z tych pożytecznych stworzeń nie narzucało nam swoich produktów, gdy nie mamy na nie ochoty.

I takie było jego stanowisko w życiu: mało konsumował mleka, pieszczot i miodu. W skali jego pojęć z trudem mieściło się cierpienie z powodu braku tych rzeczy. Ludziom zakochanym czy głodnym przyglądał się zawsze z pewną dozą pogardy. I w swoim odczuciu samotności nie dopatrywał się jakichkolwiek związków z sentymentami. Te miały przecie swe źródło w niezaspokojeniu potrzeb fizjologicznych, a potrzeby fizjologiczne zaspokajały w dostatecznej mierze wizyty Marychny.

Taki na przykład Krzysztof, robiący sobie tragedię, a przynajmniej problem z romansu. Kiedy wyjeżdżał z Marychną do Szwajcarii, Paweł chciał mu powiedzieć, że przypomina psa, który porwawszy kość biegnie kilometr, by ją zjeść. Jakaś mania nadawania najprymitywniejszym funkcjom znaczenia zdarzeń wielkiej wagi. Zwłaszcza u Krzysztofa drażniło to niepomnie. Tyle chłodnego rozsądku i nagle jakaś celebrowanie. Paweł przymknął oczy: jak też mógł wyglądać akt „złania się dwóch dusz” Krzysztofa i Marychny?... Ten smarkacz wchodzi do łóżka jak na stos ofiarny, jej uda to dla niego omal nie kolumny wrót raju. Zdrowe szerokie uda – Scylla i Charybda i misterium rytmiki postępującej. Wielka obiata! A Edward VII gdy jako młody książę Walii po raz pierwszy próbował swych sił, wypowiedział taką opinię: – uczucie prawdziwie wspaniałe, ale ruchy nad wyraz śmieszne... Pocziwa Marychna. Czy umiała dostosować się do wzniosłości nastroju?

Było coś złośliwie przyjemnego w rozpamiętywaniu tej dysproporcji między patosem Krzysztofa i zwykłością tej dziewczyny, którą on, Paweł, miał, ile razy tego zechciał, miał z racji przelotnego kaprysu, ba, kaprysu wynikającego właśnie z chęci posiadania tej samej kobiety co Krzysztof.

– Chociaż jeden teren prawdziwego zbliżenia – zaśmiał się do siebie i nagle urwał, bo uprzytomnił sobie, że to właśnie pociągało go do Marychny. Jakiś perwersyjny paradoks zmysłów. Był przecie dość obdarzony zdolnością samoanalizy, by przygwoździć tę niedorzeczność, konstatując ją w sobie. Znajdował bezsensowne zadowolenie w świadomości zajmowania miejsca tego patetycznego młokosa w objęciach tej głupiej dziewczyny. W samym wyobrażeniu ich aktu był jakby dreszczyk niesamowitej satysfakcji.

Krzysztof wysmukły i giętki... Jaki wyraz mają wówczas jego oczy?... Usta ma na pewno zacięte i staje się blade...

Paweł wstał i ruchem kolana odepchnął fotel z furją:

– Do diabła, mam jakieś homoseksualistyczne zapędy czy co u licha!

Nie przstraszało go to przypuszczenie, lecz sam fakt odnalezienia w sobie jakiejś komplikacji. Wszystko, czym był, stanowiło nieugiętą prostotę. Nawet pytania nie miały czasu po-



wstać, gdyż na każde z nich w następnym momencie zjawiała się odpowiedź tak konsekwentna i jedynie prawdziwa, jak wszystko, co stanowiło konstrukcję jego mózgu. Zagadnienia psychologiczne, tragedie samopoznania itp., jakże tym gardził! Domena mistyków, tatarsal dla idiotów i poszukiwaczy piekielnych maszyn w pudełku od zapalek. Harce żrebiąt udających przed sobą chimery.

W jadalni otworzył kredens i nalał sobie duży kieliszek koniaku. Za pierwszym poszedł drugi, trzeci, dziesiąty. Czuł się wytrąconym, a w każdym razie zachwianym w swej idealnej równowadze. Oczywiście, znowu przez tego niemądrego smarkacza, z którym właściwie biorąc, należałoby załatwić się bez pardonu. – Trzeba – powtarzał sobie przy kilku kolejnych kieliszkach – trzeba!... Właściwie dlaczego nie zająć się Nitą? Dziewczyna stanowczo bardziej pociągająca od tamtej gęsi. I pomimo tego, co mówiła, z całą pewnością nic nie będzie miała przeciw niemu. Nazwała go wielkodusznym. I rzeczywiście według niej musi być wielkoduszny. Wciąż to samo. Jakąż różnica może tkwić w tym, czy spalił ten dokument, czy coś, co w jej przeświadczeniu jest tym dokumentem? Absolutnie to samo. Absolutnie. Przeświadczenie jest najprawdziwszą rzeczywistością.

Przechylił butelkę. Zostało w niej zaledwie kilka kropel. W głowie czuł lekki zamęt.

Co to znaczy wyjście z wprawy! – pomyślał.

Rzeczywiście od czasu przyjazdu do Warszawy nie pił wcale. Na przestrzeni kilku miesięcy kilku kieliszków nie można było brać w rachubę w porównaniu z dawnym nieustającym pijaństwem. Od pijaństwa tego nie potrzebował się odzwyczajając. Stokroć większą rozkosz znajdował w tym, co teraz robił. Tamto było tylko namiastką, nędzną namiastką tej namiętności, w której wyżywał się obecnie. W gruncie rzeczy nienawidził alkoholu. Zaczął szukać zapomnienia dopiero wtedy, gdy uwierzył, że nie zdobędzie miejsca przy wielkim stole gry. Było to w Paryżu. Dobrze pamiętał pijaną, zamgloną dymem luksusową knajpę przy placu Pigalle...

Wtedy zaczął pić, a z rana rozrzucał po sali różowe arkusze akcji, które przed dwudziestu czterema godzinami przedstawiały wartość banknotów, a dziś były bezużytecznym zadrukowanym papierem. „Compagnie Internationale de Navigation” była już od dawna bankrutem, lecz Paweł zdołał przez szereg miesięcy nie tylko to ukryć, ale nawet podnieść cenę akcji o sześćdziesiąt cztery franki na sztuce. Jeszcze trzy, cztery tygodnie powodzenia i wyszedłby z grubym zyskiem. Małe niedopatrzenie, drobiazg, jedno nieostrożne słowo wypowiedziane w rozmowie i wszystko runęło. Od placu Pigalle do ostatniego szynku na Montmartre aż za Sacre-Coeur staczał się coraz niżej, zalewał się alkoholem, pił świadomie, z zawziętością, z przekonaniem, że nic mu więcej nie pozostaje.

Drugi taki okres przyszedł po upadku „Domu Handlowego Nox”, a trwał znacznie dłużej może i dlatego, że atmosfera Marsylii, atmosfera pulsujących wielkich interesów do reszty odebrała mu ochotę zaczynania od czegoś małego. Brzydził się sklepikarstwem. Często wprawdzie trafiały mu się okazje, często miał pomysły, ale nie umiał przewyciężyć w sobie wstrętu do przedsięwzięć takich, które zapewniłyby mu byt.

– Nie znam nic głupszego – mówił – niż to powszechne zabieganie o zapewnienie sobie bytu. Byt jest czymś całkowicie obojętnym sam w sobie. Chodzi o jego jakość.

Jakość bytu Pawła po ostatecznym zrezygnowaniu z prowadzenia wzorowego gospodarstwa wiejskiego była już tylko wegetacją.

Przypomnił sobie długie miesiące spędzone w stanie kompletnej apatii na barłogu w rozpadającym się kresowym dworku. Jakże stępał podówczas, jak dalece stał się niewrażliwy na wszystko. Jedynie brak wódki wyprowadzał go z równowagi, co często kończyło się atakami furii. Jakże daleko był teraz od owej, zdawałoby się, nieprawdopodobnie dawnej epoki... Sam wówczas wierzył w ostateczność swojej klęski, był przekonany, że nie uwolni się ani od apatii, ani od alkoholu. Dziś obie te rzeczy były dlań wprost niezrozumiałe. Jeżeli pił tego wieczoru, to tylko przez kaprys, no i z powodu Krzysztofa.

Zresztą koniak dobrze mu zrobił. Zasnął zdrowym, twardym snem i obudził się nazajutrz z głową świeżą, wolną od dokuczliwych myśli.

Systematyczny i punktualny Holder przedstawił Pawłowi przejrzyste i szczegółowo zebrane dane, dotyczące światowego rynku kauczukowego. O godzinie jedenastej zjawił się Ottman. Położył przed Pawłem dużą paczkę, owiniętą w szary papier:

- Oto rezultat niepotrzebnej roboty – powiedział z niezadowolonym wyrazem twarzy.
- Tak pan sądzi? – z półuśmiechem powiedział Paweł.
- Nie sądzę. Jestem przekonany.
- Zaraz zobaczymy.

Odsunął opakowanie. Przed nim leżał duży brunatny kubik.

- Wygląda świetnie – nacisnął kauczuk palcem – no i jest bajecznie elastyczny.
- Na trzy miesiące, panie dyrektorze – skrzywił się Ottman.
- Do licha, nie różni się na oko niczym od tego drogiego ani od prawdziwego.
- Niczym poza wartością.

Paweł zaśmiał się:

- Ma pan rację. Ten dla nas przedstawia znacznie większą wartość.
- Nie rozumiem, panie dyrektorze.
- Na razie jest to zbędne. Niech pan mi powie, czy ten kauczuk w razie poddania go analizie może ujawnić swoją tajemnicę?
- To nie, ale po co poddawać go analizie?
- Zatem na przykład chemik fachowo obeznany z kauczukiem nie odkryje sposobu pańskiej fabrykacji?
- Bardzo wątpię.
- Więc w porządku. Wybornie – zatarł ręce Paweł – a teraz, jak się przedstawia plan aparatury do wyrobu tego lepszego kauczuku?

Ottman rozwiązał przyniesioną ze sobą teczkę i wydobył z niej kilkanaście schematycznych szkiców. Paweł z trudem ukrywał rozbawienie, w jakie wprawiła go nagła zmiana usposobienia chemika. Dopóki była mowa o trzymiesięcznym kauczuku, był niechętny i zniecierpliwiony. Teraz zaś aż dostał wypieków.

Z pobieżnego kosztorysu wynikało, że cena instalacji do produkowania dość znacznych ilości nie przekraczałaby w żadnym razie zdumiewająco niskiej kwoty stu tysięcy złotych, a prawdopodobnie dałaby się wydatnie zredukować.

Drobiazgowo wypytał Ottmana o szczegóły konstrukcji i objaśnił konieczność skomplikowania aparatury w ten sposób, by specjaliści przy jej oglądaniu nie mogli zorientować się w systemie produkcji i w istocie wynalazku.

- Ależ takie komplikacje podrożą produkcję – spróbował protestować Ottman.
- Panie inżynierze – przerwał mu Paweł – to już jest moja sprawa. Zechce pan teraz uważnie wysłuchać, o co mi chodzi. Postawimy niewielką fabryczkę. W jednej części budynku zainstalujemy aparaturę do wyrobu kauczuku tego lepszego...
- Nazwałem go „Optima”.
- Bardzo pięknie. Otóż ten oddział będzie ściśle izolowany i absolutnie niedostępny nikomu z wyjątkiem kilku zaufanych majstrów. Musi być obliczony na produkcję niewielką. Powiedzmy tysiąca kilogramów...
- Dziennie? – zdziwił się Ottman.
- Nie, drogi wynalazco, tysiąca kilogramów w ogóle. Dlatego aparatura nie powinna być kosztowna, bo nie chodzi o jej wytrzymałość. Hm... niech ją pan zresztą obliczy na wszelki wypadek na trzy tysiące kilo. Trzeba wziąć pod uwagę ewentualne nieprzewidziane okoliczności. W drugiej części budynku będziemy fabrykowali kauczuk mniej trwały...
- Wcale nietrwały – nie mogąc pohamować irytacji poprawił Ottman.

Paweł wstał i pochylił się ku niemu:

- Panie Ottman. Nie mam już panu nic do zakomunikowania, poza jednym oświadczeniem: rezygnuję z finansowania pańskiego wynalazku.

– Ależ, panie dyrektorze!...

– Z człowiekiem nie mającym pojęcia o interesach można pracować tylko w tym wypadku, jeżeli ten zdaje sobie sprawę z własnej ignorancji w tym kierunku i umie zdobyć się na kompletne zaufanie do współnika.

– Ależ ja mam kompletne zaufanie...

– Nie – marszcząc brwi, odpowiedział Paweł – ja setny raz powtarzam panu, że kauczuk mniej trwały jest znacznie ważniejszy i bez porównania wartościowszy. Zechce pan raz na zawsze zapomnieć o swojej antypatii do niego. To nie pańska sprawa. Rozumie pan? Albo zgodzi się pan z tym, albo szukaj pan kogoś innego. Chciałem panu pomóc do realizacji pańskiego wynalazku i mogę pana zrobić człowiekiem bogatym. Jednak nie zależy mi na tym do tego stopnia, bym miał znosić pańskie ustawiczne grymasy. Mówię szczerze, że wątpię, czy znajdzie się ktoś, przynajmniej w Polsce, kto by miał dość czasu, ochoty i pieniędzy dla zajęcia się pańskim kauczukiem. Sam pan to na pewno rozumie. Ma pan jednak otwartą drogę za granicą. Nie chcę pana niczym krępować i dlatego, jeżeli ma pan zamiar szukać tam szczęścia, gotów jestem natychmiast zwolnić pana z obowiązków fabrycznych. Oto wszystko.

Ottman poczerwieniał i gdy zaczął mówić, w jego głosie brzmiało poczucie własnej winy i skruchy. Oczywiście, ma pełne zaufanie do pana dyrektora i oczywiście, przyznaje, że się na interesach nie zna. Obiecuje też ściśle stosować się do wszelkich poleceń.

W pół godziny potem w gabinecie Pawła zjawił się kierownik jednej z firm konstruktor-  
skich, w godzinę po nim agent przedsiębiorstwa handlującego placami w dzielnicy fabrycznej. Obaj wyszli z instrukcjami jak najbardziej szczegółowymi.

Paweł spojrział na zegarek. Każdy z następujących po sobie dni zdawał się liczyć mniej godzin. O czwartej miał posiedzenie przemysłu metalurgicznego, o piątej konferencję z delegatem holenderskiego towarzystwa transportowego, o szóstej zebranie związku fabryk, o siódmej musiał być w poselstwie rumuńskim na fajfie i spotkać się z dyrektorem kolei rumuńskich, później przed zakończeniem obrad plenum Sejmu musiał zdążyć na Wiejską, by widzieć się z posłem Kreutzem, referentem ceł. Wieczorem miał wygłosić mowę o perspektywach polskiej produkcji metalowej na bankiecie w Stowarzyszeniu Techników.

W tym wszystkim należało znaleźć czas na przestudiowanie materiałów dotyczących rynku kauczukowego i należało ten czas znaleźć dzisiaj, bo każde jutro niczym się w swej „pakowności” od bieżącego dnia nie różniło, a przyspieszenie tej sprawy było obecnie najważniejszym punktem jego starań.

Na badanie jej urywał wszystkie wolne minuty: w aucie, w windzie, podczas nieinteresujących go przemówień, podczas raportów składanych przez podwładnych. W całej pełni korzystał teraz ze swej zdolności jednoczesnego czytania, słuchania i myślenia o trzeciej znowu kwestii. Sypiał nie więcej niż sześć godzin na dobę, a przecież zmęczenia nie czuł wcale. Przeciwnie. Praca wciągała go coraz bardziej. Sam porównywał siebie do człowieka, który zaczął iść, idzie coraz prędzej, coraz lepiej, upaja się swą drogą, wciąga ją w siebie i nie tylko nie odczuwa znużenia, lecz coraz więcej sił. Coraz rzadziej widywał się teraz z Marychną. Kilka jej dosłownie półgodzinnych wizyt odbyło się kosztem snu Pawła. Dziewczyna była smutna i zdenerwowana. Paweł podejrzewał, że tęskniła za Krzysztofem, i nie wierzył w szczerść jej zaprzeczeń. W tymże czasie dwa razy odwiedziła go Nita, lecz był tak zajęty, że rozmawiał z nią, załatwiając jednocześnie telefony lub też robiąc notatki i obliczenia. Pewnego razu powiedziała, że jeżeli już ma przewyciężyć swoje antyrodzinne uprzedzenia, to raczej interesowałby ją wuj Krzysztof. To zastanowiło Pawła:

– Znasz go dobrze? – zapytał.

– Skądże. Widziałam go zaledwie trzykrotnie i nie zamieniliśmy ponad dziesięć słów.

– I cóż o nim sądzisz?

Nita wzruszyła ramionami:

– Na podstawie tych danych, jakie mogą mieć, myślę że jest interesujący. Ma dziwny sposób bycia i tragiczne oczy. Mam wrażenie, że kocha się bez wzajemności.

– Zapewniam cię, że z całkowitą wzajemnością. Znam pewną blondynkę, która może na to przysiąc.

– Ach, wiem – kiwnęła głową Nita – jest to jego sekretarka i nazywa się Jarszówna, czy coś w tym rodzaju. Nie doceniasz, wuju, plotkarskich zamiłowań mego ojca. Wyjeżdżali we dwójkę za granicę i w drodze powrotnej wuj Krzysztof ugrzązł podobno w Wiedniu. A co ty o nim powiesz?

Paweł odłożył ołówek i wydał wargi:

– To jeszcze smarkacz, ale przyznaję ci, chociaż ze względów konkurencyjnych nie powinienem tego robić – zaśmiał się żartobliwie – że jest interesujący. Dziwię się, że na ogół u płci pięknej nie cieszy się powodzeniem. W fabryce nie lubią go...

– A ty, wuju?

Paweł przyglądał się stiukom na suficie i zrobił kilka zniecierpliwionych ruchów palcami:

– Diabli wiedzą. Wydaje mi się sensatem i egzaltowanym romantykiem. Zresztą, on mnie nienawidzi.

– Tradycje rodzinne?

– Nie, raczej antypatia indywidualna.

– Chciałabym poznać go bliżej – powiedziała przy pożegnaniu Nita – czasami bierze mnie ochota rozruszać tego młodego człowieka.

– Zdaje się, że zamiar ten jest spóźniony – uśmiechnął się Paweł – przypuszczam, że Krzysztof wróci z zagranicy całkowicie rozruszany.

– Cóż miałyby wpłynąć na jego rozruszanie?

– Utrata niewinności, moja Nito, bywa przełomowym momentem w życiu – pochylił się nad nią i szepnął jej prawie do samego ucha – czy twoje osobiste obserwacje nie potwierdzają tego?

Zaśmiała się, lekko musnęła ustami jego policzek, nic nie odpowiedziała i zbiegła ze schodów.

Paweł mylił się. Krzysztof wrócił nie tylko nie rozruszany, lecz bodaj bardziej jeszcze smutny i milczący.

O jego przyjeździe dowiedział się już z wieczornego telefonu Marychny. Zawiadamiała o tym Pawła głosem jakby przestraszonym, mówiła, że zeszczupłał i że jest bardzo zdenerwowany. Otrzymała depezę tak późno, że ledwie zdążyła na przyjęcie pociągu.

Nazajutrz Paweł był mile zdziwiony tym, że Krzysztof uważał za stosowne zjawić się w jego gabinecie i osobiście zawiadomić o swym powrocie. Pierwsze odezwanie się Pawła było zupełnie uzasadnione jego wyglądem:

– Odpoczynek, mam wrażenie, gorzej wpłynął na ciebie niż praca?

– Trochę mnie zmęczyła podróż – chłodno odpowiedział Krzysztof.

– Stan roboty w fabryce nie wymaga twego natychmiastowego powrotu do zajęć, drogi Krzychu – powiedział może zbyt miękko i dodał – mógłbyś jeszcze kilka dni poproźnować.

Krzysztof zbłądł i odpowiedział przerywanym głosem:

– To ma znaczyć, że nie jestem zbyt potrzebny, czy też, że wręcz zawadzam w fabryce?

– Ależ, Krzysztofie – prawie z oburzeniem zawołał Paweł – wcale tego nie mówiłem. W ten sposób najzyczliwsze uwagi można komentować jako objaw złośliwości. Widocznie albo ja nie umiem dość przekonująco wyrazić mojej sympatii dla ciebie, albo ty tak mnie nienawidzisz, że wszystkie objawy sympatii z mej strony napelniają cię oburzeniem.

Paweł sam był do najwyższego stopnia wzburzony, nie mógł jednak nie zauważyć, że widocznie i Krzysztof resztkami siły woli panował nad sobą, gdyż jego wargi drżały i blade były jak płótno.

Niespodziewanie zerwał się z miejsca i szybko wyszedł. Paweł chodził dużymi krokami po pokoju. Był wściekły na siebie. Tyle razy obiecywał sobie całkowicie i raz na zawsze zmienić swój stosunek do tego smarkacza i jeszcze raz stwierdził, że ma doń jakąś idiotyczną słabość. Było to teraz śmieszniejsze niż dawniej, śmieszniejsze o tyle, że dzięki Feliksiakowi trzymał Krzysztofa w rękę i w każdej chwili mógł go po prostu zamknąć w więzieniu, a w każdym razie pozbyć się go z fabryki i raz na zawsze uwolnić siebie od jego obraźliwych impertynencji. Zaraz jutro załatwi tę sprawę. Wtedy dopiero okaże się, na jaką nutkę ten hardy gołowąs zacznie śpiewać!... Już teraz za późno na jakiegokolwiek względy!

Pomimo powziętego postanowienia Paweł nie mógł się uspokoić. O ileż wolałby zbić Krzysztofa na kwaśne jabłko. Wprost pragnął usłyszeć jego krzyk bólu i skomlenie o litość... Zastanowił się: to może byłoby nawet lepsze niż broń, bądź co bądź, szantażu. Jednakże uczuł wręcz niemożność użycia fizycznej siły dla wywarcia zemsty na tym smukłym i irytująco delikatnym smarkaczu. Jednym niezbyt silnym uderzeniem pięści zabiłby go na miejscu. Nie, nie to, ale na przykład wykręcić mu rękę i przycisnąć do siebie tak, by stracił oddech... Obezwładnić go tak całkowicie, by nie mógł drgnąć nawet, to byłaby prawdziwa rozkosz...

Tego dnia Paweł nie wyjeżdżał z fabryki. Nawet obiad jadł w swoim gabinecie. Wśród nawału pracy ustawicznie korciła go myśl, by pójść do Krzysztofa i jeszcze dziś rozprawić się z nim w ten lub inny sposób. Znajdował się wciąż w tym nieznośnym podnieceniu, którego nie umiał sobie wybaczyć. Nie tylko dewizą jego życia, nie tylko głębokim przeświadczeniem, lecz samą naturą Pawła było zimne opanowanie swoich działań, myśli, ba, nawet nastrojów... A tymczasem dowiedział się, że Krzysztof pracuje w swoim gabinecie, odległym zaledwie o kilkadziesiąt kroków. Podobno coś dyktuje, a może po prostu obcałowuje Marychnę.

Było już dawno po gwizdku fabrycznym i wszyscy urzędnicy, a nawet sekretarz Holder wyszli. W korytarzu pozostał tylko stary Józef, rozmawiający z szoferem. W ogólnej ciszy Paweł wyraźnie słyszał ich głosy. Spierali się na temat zalet życia miejskiego. Około godziny ósmej w korytarzu rozległy się lekkie kroki Krzysztofa. Poznał je, zanim usłyszał jego głos, i odczuł jakby niepokój.

– Czy pan naczelny dyrektor jest sam?

– Tak jest, proszę pana dyrektora – odpowiedzieli szofer i Józef jednocześnie.

Krzysztof zapukał i usłyszawszy „proszę”, wszedł. Zbliżył się do biurka. W zielonym odblasku lampy wydał się Pawłowi jeszcze bardziej mizerny i zdenerwowany. Jego oczy miały jakiś niesamowity wyraz. Paweł z pozornym spokojem odłożył pióro. Pomyślał, że oto Krzysztof poczuł wyrzuty sumienia i przyszedł go przeprosić. Nie wiedział jeszcze, jak na to zareaguje, ale samo przyjście tego chłopca napełniło go czymś, czego za żadną cenę nie chciałby nazwać wzruszeniem.

– Czym mogę ci służyć? – zapytał bezbarwnym głosem.

– Pawle... chciałbym... – Krzysztof oparł się o biurko i bolesnym skurczem ściągnął brwi.

– Usiądź, Krzychu. Jestem do twojej dyspozycji.

Krzysztof otworzył usta, lecz natychmiast zacisnął je i przygryzł. Widocznie chciał coś powiedzieć, do czego trudno było mu zmusić się.

– Nie... ja nic... chciałbym tylko zapytać, czy mogę na pół godziny wziąć twój samochód?...

Paweł odpowiedział cicho:

– Ależ proszę cię, Krzychu... zdaje mi się jednak, że miałaś mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie, nie. Pawle, nie. Pawle... Dziękuję ci.

Wyciągnął do niego rękę, która tak drżała, że Paweł usiłował ją przytrzymać w swej dłoni. Krzysztof jednak wyrwał ją i bardzo szybko wyszedł z pokoju.

W pięć minut później pod oknami rozległ się warkot motoru, Krzysztof odjechał. Pojechał odwiedzić Marychnę... Paweł oparł głowę na rękę i zamyślił się. Na próżno próbował wrócić do pracy. Czytał, lecz były to tylko szeregi liter, nie wiążące się ani w słowa, ani w zdania. Nie. Był zupełnie wytracony z równowagi. Zaczął chodzić po pokoju, a raczej błąkać się po nim w wielu nieprawidłowych kierunkach. Zatrzymał się przed czarną szybą okna i znowu wrócił do biurka. Z niechęcią, niemal z obrzydzeniem składał papiery i wbrew zwyczajowi zsuwał je do szuflad biurka, nie przestrzegając żadnego porządku. Kilkakrotnie sprawdził, czy pozamykał wszystko na klucz. Wreszcie nacisnął dzwonek i kazał sobie podać palto.

– Pan dyrektor nie będzie czekał na powrót auta? – zapytał zdziwiony woźny.

– Nie. Duszno tu. Jestem zmęczony.

– Może pan dyrektor każe sprowadzić taksówkę?

– Nie, Józefie. Pójdę pieszo. Spacer dobrze mi zrobi.

Owiał go ciepły wiosenny wiatr. Niebo było wygwieżdżone. Nad miastem różowiła się luna. Rozpiął palto i wciągnął powietrze pełnymi płucami. Ulica była pusta. Minał przejazd kolejowy, przeszedł obok szeregu niskich domków. Dalej był mały, prawie wiejski kościółek wśród gęstych drzew, których gałęzie ledwie się pokrywały zielonymi pączkami. Dwoje młodych ludzi stało przy parkanie, rozmawiając półgłosem. Z daleka dolatywał monotony odgłos miasta, bliżej słyhać było pracę maszyn: u „Lilpopa” czy też u „Gerlacha” pracowała nocna zmiana. Dźwięk ten splótł się w myśli Pawła nareszcie z czymś pozytywnym: w dyrekcyjach tych fabryk panuje chaos. Po kilka miesięcy w roku muszą próżnować, a później płacą za nocną pracę. I u „Dalczów” kiedyś tak było. Dziś idzie jak zegarek. Wszystko idealnie rozplanowane... W tym zapewne jest też i duża zasługa Krzysztofa...

Nie mógł oderwać od niego myśli. Na próżno usiłował skoncentrować uwagę na jakiejkolwiek kwestii. Zawsze okazywało się, że to wiąże się z tamtym, tamto z owym, a owo już całkiem bezpośrednio dotyczy Krzysztofa, który zachował się dziś tak dziwnie, którego należy bezlitośnie usunąć, unicestwić, lecz którego niepodobna wyrzucić ze swojej świadomości...

Tu zaczynała się ulica Dworska. Właściwie nie była to ulica, lecz nieskończenie długi korytarz między dwoma wysokimi parkanami ze szerniałych desek. Na przestrzeni od Skierniewickiej do Bema w parkanach było zaledwie kilka furtek i rzadko otwieranych bram. Z prawej strony mieściły się zakłady Gazowni, z lewej rozciągały się tereny niezabudowane oraz nieczynna od szeregu miesięcy garbarnia. Środkiem szła ziemna, niebrukowana jezdnia, miejscami chrzęszcząca żużlem, miejscami lepka od błota, które tu nigdy nie wysychało. I nie dziw. Parkany były tak wysokie, iż tylko w wypadku długotrwałych upałów słońce miało dość czasu, by dno tego korytarza wysuszyć. Wówczas błoto zmieniało się pod kołami ciężarowych aut w mialki, czarny puder. Teraz jednak należało iść uważnie i nieraz lawirować między kałużami, na odcinkach zaś bardziej błotnistych korzystać z rozrzuconych tu i ówdzie kamieni, skacząc z jednego na drugi.

Parkan były jednolite, wyciągnięte w równą linię. W tych jednak miejscach, gdzie znajdowały się furtki, na przestrzeni kilku metrów zagłębiały się w dość głębokie wnęki. Ilekroć z jakichkolwiek powodów ulica Bema była zamknięta, szofer woził Pawła tędy. Paweł pamiętał, że nieliczni przechodnie biegli wówczas pędem, by dopaść jednej z takich wnęk, chroniąc się przed bryzgami błota spod kół samochodu.

Być może, gdyby myśl miał mniej zajęta innymi sprawami, nie ufałby zbyt pustce ciemnej ulicy, a zwłaszcza owym wnękom. Przełożyłby wówczas rewolwer z tylnej kieszeni do bocznej, a może trzymałby go w ręku.

Zdarzenie miało przebieg tak krótki, że na wszystkie refleksje było już za późno, tak samo jak i na obronę.

Środkiem rozlewała się wielka kałuża, bokiem zaś rozłożone były kamienie tuż koło wnęki.

Wielki czarny cień oddzielił się nagle od parkanu.

W powietrzu gwizdnął rozmach jakiegoś dużego przedmiotu. Jedną ręką Pawła błyskawicznym ruchem osłoniła głowę, druga sięgnęła do rewolweru.

Jednocześnie straszny cios spadł na dłoń i niemal rozmiądzzył ją na czaszce.

Paweł zachwiał się na nogach, lecz dopiero drugi cios powalił go na ziemię.

Zupełnie nie czuł bólu. Nie stracił też świadomości. Miał wrażenie, że znajduje się na jakiejś olbrzymiej huśtawce, poruszającej się z potworną szybkością.

Niepodobna było złapać oddechu, niepodobna było zatrzymać się ani na sekundę, ani na ułamek sekundy. Wszystkie wnętrzości zwinęły się w kłęb, napierający na gardło nieprawdopodobnym skurczem. Po twarzy i po karku obficie spływała gęsta ciepła ciecz...

To był koniec.

Ze spokojem myśl jego stwierdzała umieranie, ze spokojem tym większym, że nie władał ani jednym mięśniem, by móc bodaj drgnąć, by drgnięciem tym dać sobie bodaj złudzenie nadziei.

Umierał i jeżeli czego pragnął teraz, to możliwości wyrzucenia z siebie ohydnych balastu własnych jelit... Jakże potworny, jak straszliwy był ten ruch wahadłowy i ta lepka substancja, opływająca oczy... Szara masa mózgowa...

Czas przestał istnieć. Teraz już nawet biciem serca nie mógł go mierzyć, gdyż serce milczało. Wszystko milczało. Śmierć jest widocznie milczeniem...

Wiedział, gdzie się znajduje, wiedział, że leży na mokrej błotnistej ziemi, wiedział, że jest noc i że nad nim jest gwiazdzone niebo. Była to jednak tylko klisza pamięci, gdyż ani wzrokiem, ani dotykiem, ani słuchem nie mógł tego sprawdzić. Był niejako wydzielony z całości świata,

Nie wiedział, jak długo to trwało, lecz oto zdało mu się, iż jego słuch uchwytuje jakieś odległe dźwięki. Możliwe, że był to jazgot dalekich szyn tramwajowych, a może tylko złudzenie... Lecz nie. To było najwyraźniej szczekanie psa... Tak... A to warkot samochodu. Coraz bliższy warkot samochodu... i nagle sygnał, ostry, przejmujący sygnał. Samochód musiał gdzieś w pobliżu stanąć... Chłupot nóg po błocie... Ludzie... i wtem przerażony szept:

– Jezu! To pan dyrektor!...

Chwila ciszy i dziki, straszliwy, nieartykułowany krzyk kobiecy...

Znał ten głos, na pewno znał i gdyby nie ta potworna huśtawka, nie ten morderczy ruch wahadłowy, na pewno poznałby... Któż to woła nad nim tak rozpaczliwie:

– Pawle!... Pawle!... Ty żyjesz... Pawle... kochany.

I męski głos:

– Żyje, bo krew nie krzepnie, póki idzie, poty znak, że żyje.

Tak, to szofer, jego własny szofer, ale kto jest ta kobieta... Wahadło zatoczyło nowy oszalałymi krąg i wpadło w jakiś nieprawdopodobny wir. Głosy się zmieszały, a później znowu rozległ się warkot samochodu. Odjeżdżają. Przekonali się, że jest trupem, i zostawiają go tu. Nie może im dać niczym znaku, że słyszy ich, że myśli, że żyje... A może to właśnie jest śmierć... Motor samochodu warczy, lecz nie oddala się... Wciąż warczy bardzo blisko. Teraz rozumiał: wiozą go, lecz dlaczego nie czuje ani bólu, ani ruchu samochodu, ani dotyku poduszek?... Zawieszony jest jakby w próżni.

Warkot ustał i znowu odezwały się głosy:

– Ostrożnie, za rogi płaszcza...

– Podtrzymać głowę!

– Nie oddycha...

I znów ten głos kobiecy, głos drżący przerażeniem:

– Wolniej, doktorze, wolniej! On musi strasznie cierpieć.

I niski baryton:

– O to może pan dyrektor nie niepokoić się. Na pewno nie czuje bólu, bo jest zupełnie nieprzytomny. Jeżeli w ogóle żyje...

– Żyje, na pewno żyje – odezwał się głos kobiecy.

Tupot wielu nóg, szczęk otwieranych drzwi i dyspozycje, wydawane przez niski barytonowy głos:

– Tu położyć. Uważnie. Zabrać te poduszki. Ciepła woda i ręczniki. Zatelefonować do doktora Łukowskiego. Znajdzie pan w książce telefonicznej. Powiedzieć: pęknięcie czaszki, natychmiastowa operacja. Panie Kaczkowski, kamforę, dwa zastrzyki...

Znowu tupot nóg i jakiś inny głos:

– Pulsu ani śladu. Lusterko do ust.

– Jest. Co jest? Leciutki ślad na szkle. Oddycha...

Niežnośna huśtawka zaczynała zwalniać swe szalone tempo, lecz jednocześnie nieopisany ból przeszył plecy wzdłuż stosu pacierzowego.

Trwał sekundę, lecz po pewnym czasie znów się odezwał z większą jeszcze siłą. Spłynął ku górze i utkwił w czaszce.

Paweł uprzytomnił sobie, że to prawdopodobnie robią operację... Pęknięta czaszka... Ból wracał szalonymi porywami, w miarę jednak, jak te się powtarzały, zdawały się coraz bardziej tępieć, aż przeszły w huk, dudniący huk, wśród którego ledwie dobiegały jego uszu głosy z zewnątrz.

Teraz już wiedział, że go przenoszą, że poruszają jego rękami, że obmywają mu rany. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie czuł dotyku. Później było dokoła znowu dużo ruchu, aż wszystko ucichło.

Pozostało tylko szybkie, gorączkowe cykanie zegarka, lecz i to rozplynęło się w ciszy.

Musiał zapadać w sen czy w malignę, gdyż cisza zaczęła dzwonić, a w niej jakiś bardzo znajomy głos powtarzał szeptem:

– Będziesz żył. Pawle, będziesz żył... – i znowu powtarzał: – Będziesz żył...

*KONIEC TOMU PIERWSZEGO*